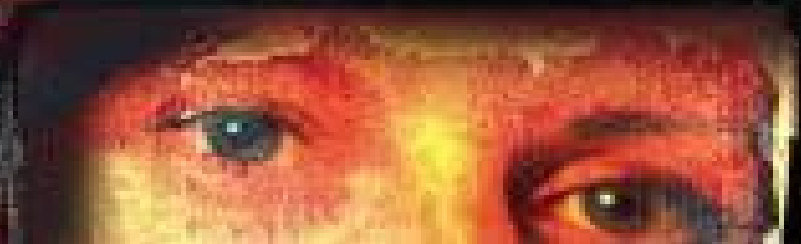


ARTYVNT
NDRTČ



S I E R G I E J Ł U K J A N I E N K O



Siergiej Łukianienko

Labirynt odbić

Przekład Ewa Skórska

Tytuł oryginału LABIRYNT OTRAŻENIJ

Spis treści

Strona tytułowa

Część pierwsza Nurek

00

01

10

100

101

111

1000

1001

Część druga Labirynt

00

01

10

11

100

101

110

111

1000

1001

1010

Część trzecia Człowiek Bez Twarzy

00

01

10

11

100

101

110

111

Część czwarta Głębia

00

01

10

11

[100](#)

[110](#)

[111](#)

[Część piąta Nieudacznik](#)

[00](#)

[01](#)

[10](#)

[11](#)

[100](#)

[101](#)

[110](#)

[111](#)

Część pierwsza

Nurek

Mam ochotę zamknąć oczy. To normalne. Barwny kalejdoskop, błyski, skrzący się gwiazdzisty wir... Wygląda pięknie, ale wiem, co kryje się za tym pięknem.

Głębia. Nazywają ją Deep, ale myślę, że słowo „głębia” lepiej oddaje istotę rzeczy. Zastępuje karteczkę z ostrzeżeniem: „Głębia!” Żyją tu rekiny i ośmiornice. Jest cicho, tylko napiera i ciśnie nieskończona przestrzeń, której tak naprawdę nie ma.

Głębia jest na swój sposób w porządku. Przyjmuje każdego. Nie trzeba zbyt wiele siły, żeby się w niej zanurzyć... ale znacznie więcej, jeśli chce się sięgnąć dna i wrócić. Przede wszystkim trzeba pamiętać, że bez nas Głębia jest martwa. Trzeba w nią i wierzyć, i nie wierzyć.

Bo przyjdzie dzień, gdy nie zdołasz się z niej wynurzyć.

Pierwszy ruch jest najtrudniejszy. Na środku niedużego pokoju stoi stół, kable od komputera ciągną się do UPS-u i dalej, do gniazdka. Cienki przewód do linii telefonicznej. Pod ścianą, na której wisi piękny dywan, stoi tapczan, przed otwartymi drzwiami na balkon – malutka lodówka. Najważniejszy sprzęt. Pięć minut temu sprawdziłem jej zawartość, w ciągu najbliższej doby nie grozi mi głód.

Kręcę głową. W oczach ciemnieje, ale zaraz przechodzi. Normalka.

– Wszystko w porządku, Lonia?

Głośniki ustawione na maksimum. Krzywię się:

– Tak. Zrób ciszej.

– Ciszej – zgadza się Windows Home. – Ciszej, ciszej...

– Starczy, Vika – powstrzymuję ją. Dobry program. Posłuszny, pojętny i serdeczny. Może zbyt zadufany, jak cała produkcja Microsoftu, ale można wytrzymać.

– Powodzenia – mówi program. – Kiedy na ciebie czekać? Patrę na ekran, gdzie w aureoli pomarańczowych iskier pływa kobieca twarz. Młoda, sympatyczna, ale nic specjalnego. Piękno mnie już zmęczyło. – Nie wiem.

– Chciałabym mieć pięć minut na samokontrolę.

– Dobra. Ale nie więcej. Za dziesięć minut będę potrzebował wszystkich zasobów.

Twarcz na ekranie marszczy się – to program wydziela kluczowe słowa.

– Tylko dziesięć minut – mówi pokornie Windows Home. – Ponownie zwracam ci uwagę, że poziom stawianych zadań nie zawsze odpowiada pojemności mojej pamięci operacyjnej. Wymagane byłoby rozszerzenie do...

– Milcz – przerywam. To brzmi jak rozkaz i program nie może nie posłuchać. Krok w lewo, krok w prawo... Cha, cha. To nie próba ucieczki, raczej dobrowolne uwięzienie. Podchodzę do lodówki, otwieram, wydaję puszkę sprite'a, otwieram. Napój chłodzi gardło. To już niemal rytuał – Głębia zawsze wysusza śluzówkę. Z puszką w ręku wychodzę na balkon, na ciepły letni wieczór.

W Deeptown prawie zawsze jest wieczór. Ulice zalane światłem reklam, cichy szum przejeżdżających samochodów. Nieprzerwany strumień ludzi. Dwadzieścia pięć milionów stałych mieszkańców, największe megalopolis świata. Z wysokości jedenastego piętra twarzy się nie zobaczy. Dopijam sprite'a, rzucam puszkę w dół i wracam do pokoju.

– To nieetyczne... – mamrocze komputer. Nie reaguję, wychodzę do przedpokoju, wkładam buty, otwieram drzwi. Klatka jest pusta, jasna i bardzo czysta. Gdy majstruję przy zamku, przez niedomknięte drzwi próbuje wlecieć maleńki żuczek. Aha, lamerzy się zabawiają. Z politowaniem obserwuję uprzykrzonego owada – z mieszkania płynie równy potok powietrza, wyrzuca go z powrotem. Zamykam drzwi, żuczek w ostatnim wysiłku zderza się z nimi, krótki rozbłysk i owad spada na podłogę.

– Złożyć skargę na właściciela domu? – pyta Windows Home. Teraz głos płynie ze srebrzystych szpilek w klapach mojej koszuli.

– Złóż – zgodziłem się. Ciągle zapominam wyjaśnić programowi, że to ja jestem właścicielem domu.

Winda czeka na mnie na piętrze. Zazwyczaj schodzę po schodach, zaglądając po drodze do cudzych mieszkań. I tak nikt tam nie mieszka... ale teraz się spieszę. Winda zjeżdża bardzo szybko.

Wychodzę na chodnik, oglądam się, może zobaczę amatora owadów? Ale nikogo podejrzanego nie ma, wszyscy spieszą dokądś w swoich sprawach. Żuczek jest najwyraźniej przelotny, seryjna produkcja. Trują je na ulicach, tłuką w mieszkaniach, ale one są niezniszczalne.

Sam kiedyś zajmowałem się podobnymi głupstwami. Bardzo rzadko żuczkom udawało się przynieść interesującą informację.

– Lonia, na kompanię Polana złożono skargę. Najemca mieszkania numer jeden.

– Zignoruj – burczę, obserwując idącego po chodniku mężczyznę. To naprawdę coś: hybryda młodego Arnolda Schwarzeneggera i starego Clinta Eastwooda. Bardzo zabawne. Mężczyzna łowi moje kpiące spojrzenie i przyspiesza kroku.

Podnoszę rękę i za chwilę przy chodniku hamuje żółta limuzyna.

– Lonia, twoja skarga na kompanię Polana została zignorowana!

– Nie szkodzi.

Można by to ciągnąć w nieskończoność, ale nie mam teraz głowy do takich gier. Wsiadam do taksówki, kierowca – młody, uśmiechnięty, starannie uczesany, w wykrochmalonej koszuli – odwraca się do mnie. Wolę takich taksówkarzy, wyszkolonych i negadatiwych.

– Kompania Deep Przewodnik serdecznie wita!

Imienia nie podaje – program zatrzymał taksówkę anonimowo.

– Jak pan będzie płacił?

– Tak. – Wyjmuję z kieszeni rewolwer i mocno uderzam chłopaka w skroń. Próbował się bronić, ale nie zdążył. Patrzę na jego pobladłą twarz, potrząsam za kołnierz i rozkazuję:

– Dzielnica Al Kabar.

– Nie ma takiego adresu – mówi kierowca. Jest ogłuszony i pokorny.

– Al Kabar. Osiem, siedem, siedem, trzy, osiem. – Prosty kod otwiera dostęp do służbowych adresów Deep Przewodnika. Mógłbym nie bić kierowcy, ale wtedy w plikach kompanii zostałby ślad mojego przejazdu.

– Zamówienie przyjęte. – Kierowca się uśmiecha, znowu jest wesoły i usłużny.

Samochód rusza. Patrzę w okno; migają osiedla nabite wieżowcami, ze wszystkimi drobnymi śmieciami Deeptown, ogromne, luksusowe biura kompanii, długie szare korpusy IBM, wspaniałe pałace Microsoftu, ażurowe wieże Ameryki On-line, skromniejsze biura innych komputerowych prawodawców.

Pełno tu również biurowców, firm sprzedających meble, żarcie, nieruchomości, agencji turystycznych, kompanii transportowych, klinik... Każda jako tako prosperująca firma dąży do otworzenia w Deeptown swojego przedstawicielstwa.

Deep Przewodnik prosperuje właśnie dzięki tej obfitości. Podróżowanie po mieście piechotą to dość czasochłonna i monotonna rozrywka. Mkniemy po autostradach, hamujemy na skrzyżowaniach, skręcamy w tunele. Czekam. Mógłbym kazać kierowcy wybrać krótszą trasę, ale wtedy musiałby połączyć się z dyspozytornią. I zostałby po mnie ślad...

Miasto kończy się niespodziewanie – jakby ścianę pałaców i wieżowców ktoś uciął gigantycznym nożem. Droga, a za nią las. Gęsty, nieprzebyty, oddzielający od codziennej krzątaniny tych, którzy nie chcą się afiszować.

– Zahamuj przy następnej ścieżce – mówię, gdy mijamy zarośla mango i przejeżdżamy wzdłuż

środkowoeuropejskiej gęstwiny.

– Do dzielnicy Al Kabar jeszcze daleko – mówi kierowca.

– Zatrzymaj się.

Samochód staje. Otwieram drzwi, odchodzę na krok od limuzyny. Kierowca pokornie czeka. Ja też. Na drodze widać światła, a świadkowie mi niepotrzebni. No, nareszcie...

Celuję w samochód i strzelam. Strzał jest niezbyt głośny, odrzut słaby, ale pojazd błyskawicznie staje w płomieniach. Kierowca siedzi bez ruchu, patrząc przed siebie. Po kilku sekundach Deep Przewodnik ma o jedną taksówkę mniej.

Dobrze. Niech to wygląda na rozrywkę pijanych szpanerów. Idę w las.

– To nieetyczne – mamrocze ze szpilki Windows Home.

– Optymizowałaś się? Dobra, teraz będę potrzebował pomocy. Szukaj skrytki, kod „Iwan”.

– Świecące drzewo – oznajmia program.

Oglądam się. Aha. Oto ogromny dąb migoczący czarodziejskim błękitnym światłem. Tylko dla mnie. Podchodzę, wsuwam rękę do dziupli, wydaję ciężki pakunek. Przebieram się w płócienną białą koszulę i spodnie, przepasuję wzorzystym pasem. Krótki miecz w pochwie, kilka drobiazgów w kieszeniach. Skrytkę zrobiłem kilka dni temu, bezprawnie wykorzystując jeden z komputerów zarządu transportu kolei zakaukaskiej. Mają tam słabych programistów, nie zauważą mojej malej ingerencji.

– Gdzie jest strumień? – pytam.

– Na prawo.

Pochylam się nad wodą i wpatruję w odbicie. Kilka razy uderzam w nie ręką, potem zaczynam wodzić palcem, ścierając własne oblicze. Zamiast mojej twarzy z drżącego zwierciadła patrzy na mnie osiłek o kasztanowych włosach. Twarz dobrodusza i do obrzydliwości pospolita.

– Dziękuję – mówię do programu i prostuję się. Przez chwilę stoję, napawając się lasem. Niech to diabli, strasznie dawno nie wychodziłem z tego miejskiego smrodu...

– Na mnie czekasz, chłopaczku? – pyta ktoś zza moich pleców. Oglądam się – z gęstych krzaków wychodzi ogromny, sięgający mi do piersi wilk.

– Może i na ciebie. – Patrzę na niego z zachwytem. Fenomenalny! Naprawdę jest szary, a raczej czarny, z wilczą siwizną. Gdzieniegdzie sierść jest zmierzwiona, do prawej przedniej łapy przyczepił się rzep.

– A może by cię zjeść, chłopaczku? – pyta wilk i szczyrzy kły, żółte jak zęby palacza, jeden ułamany aż po korzeń. Stare, doświadczone wilczyisko.

– Czemu się chełpisz po próżnicy, chcesz mego miecza zakosztować? – improwizuję. – Lepiej wstąp do mnie na służbę.

Wilk uśmiecha się, siada.

– A jak mi się odplacisz, chłopaczku?

– Trzy tysiące zielonych – oznajmiam. Wilk z zadowoleniem kiwa łbem, pociera łapą mordę.

– Al Kabar?

– Zgadłeś.

– Misja?

– Kradzież.

– Kto zamówił?

Wzruszam ramionami; retoryczna odpowiedź na retoryczne pytanie. Zleceniodawcy nie lubią się afiszować.

– Spróbujemy – decyduje wilk. – Jesteś gotów?

– Tak.

– Wsiadaj.

Wsiadam na grzbiet wilka, a on rysią biegnie przez las. Instynktownie uchylam się przed gałęziami, wilk cicho chichocze. Niech się cieszy, skoro go to bawi.

Po kilku minutach wyskakujemy z lasu. Pod nogami żółty piasek, mocny gorący wiatr zmusza do zmrużenia oczu. Przed nami szeroka na sto metrów przepaść, za nią wschodnie miasto. Minarety, kopuły, wszystko w pomarańczowo-żółto-zielonej tonacji. Nieźle to wygląda. Niedaleko nas przez przepaść przerzucony jest... no, powiedzmy, że most. Cienki jak struna. Jeden jego koniec kończy się na murze opasującym miasto, drugi trzyma w rękach dziesięciometrowy kamienny posąg z ohydą mordą.

– No, no... będzie robótka – zauważył wilk. – Nie za tanio, królewiczu?

– Licho wie – mówię, oglądając posąg. – O moście mówili...

– Co masz kraść?

– Dojrzałe jabłuszka...

– Aha, to po to ta maskarada... – wilk znowu chichocze. – A co w tych jabłuszkach?

– Nie wiem. – Zeskakuję z jego grzbietu, stoję obok, trzymając rękę na sierści. – Posłuchaj, wyskoczę na sekundę, muszę się czegoś napić...

– No to jazda – mówi wilk, rozglądając się.

Przymykam oczy.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój. Puść mnie. Głębio...” Szarpnąłem się, wstałem. Przed oczami jak na maleńkich ekranach – pustynia, przepaść, posąg, miasto w oddali. Ładnie narysowane. Al Kabar ma niekiepskich projektantów...

Wirtualny hełm jest ciężki, to najbardziej wyszukany model z seryjnie wypuszczanych przez Sony. Z pięknymi kolorowymi ekranami, wspaniałymi głośnikami, wbudowanym mikrofonem, z klimatyzacją dyszącą w twarz powietrzem o odpowiedniej temperaturze. Teraz to żar pustyni. Zdjąłem hełm, położyłem na stole obok klawiatury. Na monitorze pojawiła się znajoma kobieca twarz.

– Przerwywasz zanurzenie, Lonia? – rozległo się z głośników.

– Nie, zaczekaj.

W realu mój pokój wygląda tak samo jak w rzeczywistości wirtualnej. Tylko za oknem jest nie letni wieczór Deeptown, lecz dżdżysta jesień Petersburga. Mżawka, klakson samochodu w oddali. Otwieram lodówkę, biorę sprite'a. Wreszcie się napiję... Nie wytrzymałem, wyjrzałem z balkonu. Oczywiście, na dole nie leży żadna pusta puszka. Nie szkodzi, zaraz to nadrobię...

Wytarłem mokre od potu włosy leżącą na krześle koszulą, siadłem przy komputerze, sprawdziłem kabel biegnący od wirtualnego kombinezonu na deepie komputera. Kombinezon lekko hamował ruchy, jakbym szedł po piasku. Lewą nogę ciągnęło trochę silniej. Znowu program szwankuje. Dobra, potem skalibrujemy.

Włożyłem hełm – jakbym wsadził głowę do piekarnika. Te dranie z Al Kabaru stworzyły sobie maksymalnie nieprzyjemne warunki...

Znowu patrzę na wirtualny świat, na razie umowny jak tani film animowany. Ładny rysunek, ale toporny. Nic więcej komputer nie może wyciągnąć.

I nie trzeba. Czym jest Głębia bez człowieka?

Mrugnąłem, rozluźniłem się, próbując wejść w wirtualny świat samodzielnie. Oczywiście, nic z tego. Nie jestem na pustyni, tylko w domu przy klawiaturze. Wyciągam rękę i wprowadzam komendę:

Deep

A teraz enter.

Nad pustynią rozbłyskuje wielobarwność programu. Jeszcze przez sekundę widzę ekraniki, miękką podkładkę hełmu, potem świadomość zaczyna się rozplýwać. Mózg próbuje stawiać opór, ale deep program działa na wszystkich.

Tylko czasem – jeden na trzysta tysięcy – trafia się człowiek, który nie traci do końca łączności z rzeczywistością. Który umie samodzielnie wypływać z Głębi. Nurek.

Taki jak ja.

Wilk uśmiecha się do mnie.

– Zwiłyłeś gardło, chłopaczku?

– Tak.

Oglądam siebie – wszystko w porządku? Moje ciało w wirtualnym świecie jest tylko niezbyt wymyślnym rysunkiem przekazywanym przez komputer na ten czy inny punkt Deeptown i jego peryferii. Ale miecz przy pasie i rzeczy w torbie już nie są zwykłym rysunkiem. To rozruchowe fragmenty programów, które zaraz staną się niezbędne.

– Robimy tak – decyduję – przez most idę sam. Potem wynoszę trofea i zmywamy się.

– Twoja wola – zgadza się wilk.

Idę, a gorący wiatr wbija mi w oczy ziarenka piasku. To już nie zasługa hełmu. To mój mózg czuje to, co powinienem czuć na prawdziwej pustyni.

Posąg jest coraz bliżej, staje się coraz bardziej rzeczywisty. Rogata głowa z wyszczerzoną paszczą, nabrzmiąte kamiennymi muskularni łapy. To pewnie Ifrit. Nie jestem zbyt oblatany w arabskiej mitologii. W lewej łapie zaciśnięta cienka nić.

Most z końskiego włosa.

Zaczynam się wspinać po nodze potwora. Jak głupio musi teraz wyglądać moje ciało w pustym mieszkaniu – podskakujące, szarpiące powietrze... nie dekoncentruj się...

Ostatni metr jest najtrudniejszy. Opieram się o nabijane kolcami kamienne kolano, próbuję wczepić się w dłoń – nie daję rady. Pewnie legalni goście Al Kabaru mają jakąś inną drogę...

A ja muszę wchodzić na granitowy fallus potwora. Słyszę, jak wilk chichocze. Dla niego to śmieszne...

W końcu jestem na dłoni. Próbuję nici nogą – lekko się kołysze. Jak struna. Daleko w dole widać skały i błękitną wstążkę rzeki.

– Śmielej, bohaterze! – krzyczy wilk.

Zwykli komputerowcy nie zdołają przejść po tym moście. Coś tu nie gra...

Dłoń, na której stoję, zaczyna nagle wibrować i powoli się zaciska. Most drży, za chwilę się zerwie. Nade mną pochyła się wyszczerzona morda potwora, który ożył.

– Kim jesteś? – Jego ryk rozsadza mi uszy. Ryczy po rosyjsku!

– Gościem! – krzyczę, próbując uwolnić nogi z uścisku granitowych palców.

– Goście nie przychodzą z rzeczami zakazanymi! – chichocze monstrum.

Palec wskazujący zawisa nade mną, jakby potwór chciał mnie rozgnieść. Ale na razie tylko wskazuje miecz.

Tak, to nie bezbronny program kierowcy Deep Przewodnika, to doskonały strażnik, z pseudointelektem o stopień przewyższającym Windows Home. Jak mu się udało określić mój język?

– Goście nie przychodzą bez zaproszenia! – dodaje.

– Zaproszono mnie.

– Kto?

Gram va banque.

– Nie masz prawa usłyszeć jego imienia.

– Mam prawo do wszystkiego – oznajmia potwór, a jego palce zaciskają się mocniej.

Teraz powinno nastąpić wyjście w real, jako konsekwencja „śmiertelnego” zagrożenia. W przeciwnym razie mózg może wyobrazić sobie najprawdziwszy szok bólu, ze wszystkimi jego konsekwencjami.

Tylko samobójca odłącza bezpieczniki deep programu.

Albo nurek.

Moje okaleczone ciało leży na dłoni potwora. Czaszka zgnieciona, jedno oko patrzy na rozpalone niebo, drugie na kamienny paznokiec. Usatysfakcjonowany Ifrit głośno chichocze, potem krzyczy:

– Ty, który przyszedłeś tu w ciele wilka, zapamiętaj jego los! Aha, to w ten sposób odgadł mój język... słyszał naszą rozmowę.

Tylko zabrakło mu „rozumu”, żeby pojąć, z kim ma do czynienia.

Potwór znowu zastyga. Odczekuję chwilę i wstaję. Ciało powoli zbiera się do kupy. Normalny użytkownik deep technologii ocknąłby się teraz w rzeczywistości, przed wygłaszającym morały komputerem.

Czy program ochronny Al Kabaru bierze pod uwagę istnienie nurków?

Ostrożnie wchodzę na most.

– Kim jesteś?

Znowu to samo. Widocznie program reaguje właśnie na dotknięcie mostu.

– Tym, nad którym nie masz władzy.

– A kto ma? Coś nowego.

– Allah – mówię na chybił trafił.

Tym razem potwór pacnął mnie wolną ręką tak, że częściowo przeciekłem za krawędzie dłoni. Mówi pouczająco:

– Nie tobie wymieniać imię Najwyższego, złodzieju.

Wilk tarza się ze śmiechu po piasku. Widzę to jedynym ocalałym okiem.

Widocznie poczucie humoru programu jest bardziej amerykańskie niż arabskie. Leżę, rozmyślając.

Znowu wstaję. Na razie potwór się nie rusza.

– Vika, można to obejść? – pytam.

– To jedyny zewnętrzny kanał – oznajmia natychmiast mój komputer. Głos traci intonację, wibruje... Rzeczywiście, trzeba będzie dołożyć pamięci. – Pozostałe linie Al Kabar otwierają się wyłącznie na rozkaz z wewnątrz.

– Wariant siłowy? – dotykam rękojeści miecza. Wirus lokalnego działania jest miniaturowy, nie trzeba go nawet ściągać z domu. Wyciągnę miecz, uderzę...

– Kanał ulegnie zniszczeniu.

No jasne, nie na darmo potwór trzyma most w dłoni. Zniszczę strażnika i nitka nad przepaścią pęknie.

– Cholera. – Nie rozumiem.

– Cicho bądź.

Oglądam potwora. Kamienne powieki opuszczone, z paszczy zwisają stalaktyty śliny. Pozory dla graczy o słabych nerwach. Tak naprawdę to zwyczajny cerber przy wejściu. Gdzieś w środku nitki przebiega kanał łączności z dzielnicą Al Kabar. Tam biegną sygnały z rozkazem – przepuścić czy zlikwidować nieproszonego gościa...

– Hej, Iwanie carewiczu, spieszy mi się! – woła wilk. Trzeba działać. Na razie program odrzucał mnie samodzielnie, ale następnym razem mogą się za mnie wziąć prawdziwi programiści Al Kabaru od rzeczywistości wirtualnej i konserwatorzy.

– Ożyw cień – rozkazuję.

Ciemna sylwetka na dłoni zaczyna się poruszać, staje się trójwymiarowa i kolorowa, prostuje się. Wykrzywiam się do sobowtóra, on wykrzywia się do mnie.

– Prowadź, cieniu – rozkazuję. – Szukaj hasła.

Sekunda przerwy – maszyna ładuje do pamięci cienia wszystko, co wiadomo o Al Kabarze. Sobowtór wkracza na most. Będę miał przynajmniej chwilę czasu.

– Kim jesteś? – ryczy potwór, chwytając cień. Ledwie zdążam się uchylić przed ruchliwymi palcami, pełzną po mocno zaciśniętej pięści, skaczę na nic...

– A ty kim jesteś? – dobiega zza pleców.

Zamach prawej ręki strąca mnie na piasek. Zostaje ze mnie miazga. Leżę na wznak, patrząc na sobowtóra szamoczącego się w garści monstrum.

Niezły kawałek fatalnej roboty...

– Kim jesteś? – pyta znowu potwór.

– Tym, nad którym nie masz władzy. – Sobowtór nadal odwraca uwagę strażnika.

– W czyjej jesteś władzy?

– Swojej własnej.

Ciekawe, ile rodzajów śmierci dla złodziei ma w zanadrzu potwór? Zęby, rogi... A może fallus? Też niezłe wygląda.

– Po co tu przyszedłeś?

– Objąć władzę nad sobą.

– Więc przejdź i zrób to.

Ręka rozwiera się, potwór kamienieje. Leżę, chwytając chciwie powietrze. Sobowtór stoi nieruchomo na krawędzi dłoni.

– Vika, skąd są odpowiedzi cienia?

– Z otwartego pliku Al Kabaru. „Procedura wirtualnego podania o przydzielenie pracy”.

Wilk podchodzi bliżej i szepcze:

– Co się stało?

Wyjaśniam.

– Iwanie carewiczu, czyś ty czasem nie Iwan głuptas? – pyta wilk.

Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Trzeba było poznać wszystkie pliki, a nie tylko skradzione dane o wewnętrznej przestrzeni wirtualnej dzielnicy.

– Vika, połączenie – rozkazuję.

Jakby wessało mnie w cień. Teraz to ciało podstawowe, już przepuszczone przez most.

Pyrrusowe zwycięstwo. Strażnik i tak już zaraportował, że gość próbuje przejść na drugą stronę. Już tam pewnie na mnie czekają.

Dobra, trudno. Idę przez ten włos.

Szczerze mówiąc, ta procedura jest praktycznie nie do złamania, nawet dla profesjonalnego linoskoczka. Most jest nicią nad przepaścią. Wieże Al Kabaru w dali są kuszące, ale nieosiągalne.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Zamykam i otwieram oczy. Przed mną obrazek – przepaść, most, budynki w oddali. Śmiesznie to wygląda. Patrzę uważnie na nic i starannie przestawiam po niej nogi.

To tylko obrazek. Nie ma tu grawitacji, a narysowane ciało nie może mieć środka ciężkości. Po prostu idź i wszystko będzie dobrze... zabawne, okazuje się, że dno przepaści jest ledwo zaznaczone. Czyli górską rzekę wymyśliłem sobie sam... Ktoś inny na moim miejscu mógłby zobaczyć korony drzew albo strumienie lawy...

Teraz, gdy moja podświadomość nie uczestniczy w grze, szybko pokonuję dystans. Po trzydziestu sekundach jestem na drugim końcu mostu.

Nic dochodzi do murów twierdzy. Mur jest szeroki, na nim już czeka jakichś dwóch, pewnie na mnie. Starannie narysowani, krzepkie grubasy z mieczami przy pasach, jeden w turbanie, drugi łysy...

Stanąłem na ceglach i wyszeptałem:

– Vika, włączaj Deep...

Ogniste iskry przed oczami. Nadużywam dzisiaj wyłączania podświadomości. Jutro gwarantowany ból głowy, łomotanie serca i ogólne rozbitcie. To nic. Żebym tylko dożył do jutra...

A oto i witający – już w normalnych wymiarach.

– Szybko doszedłeś, gościu – mówi łysy. Ma dobroduszną fizjonomię Araba z dziecięcego przedstawienia o Sindbadzie Żeglarzu. Drugi, w równie karykaturalnym typie arabskim, wygląda bardziej złowieszczo: błyska białkami oczu i nie puszcza rękojeści miecza. Tylko mi w maszynie brakowało bojowego wirusa...

– Inni przechodzą wolniej? – pytam.

– Nikt nigdy nie pokonał tego mostu – oznajmia uprzejmie ochroniarz. – Zachowanie równowagi na końskim włosie przekracza możliwości człowieka.

– W takim razie raj jest pusty – wzdycham. Zdaje się, że nie ja kieruję wydarzeniami, lecz one

mną. Nie podoba mi się taki obrót sprawy.

– Za to w piekle starczy miejsca dla wszystkich. Sympatyczna obietnica.

– Idziemy.

Podporządkowuję się. Będę posłuszny i uprzejmy. Jak się wchodzi między wrony, trzeba krakać tak jak one...

W dół z murów prowadzą szerokie strome schody. Schodzimy. Dobroduszny ochroniarz przede mną, sapiący niezyczliwy z tyłu. Starannie go ignoruję, patrzę tylko na łysinę dobrodusznego. Na samym ciemieniu wielka brodawka. Ciekawe, czy naprawdę jest narysowana, czy to ironia podświadomości? Ale nie będę przecież wychodzić z Głębi, żeby sprawdzić takie głupstwo.

Al Kabar nie jest duży. W przestrzeni wirtualnej zajmuje najwyżej kilometr kwadratowy. To zresztą o niczym nie świadczy. Microsoft dostarcza swoim pracownikom roboty na całe pałace, inni poprzestają na standartowych pokoikach, aż dziw, po co im w ogóle wirtualna rzeczywistość?

Al Kabar najwidoczniej należy do tych ostatnich. Zaglądam w jedno z okien niskiego kamiennego budynku, obok którego przechodzimy.

Wyposażenie... zbyt obce, żebym mógł cokolwiek rozpoznać. Kilku ludzi przy stołach. Jeden trzyma probówkę. Doświadczenia chemiczne w wirtualnej przestrzeni? Coś nowego. Sensowne, jeśli pracuje się nad trującymi substancjami albo kulturami bakterii. Zanotować.

– Dokąd mnie prowadzicie? – pytam ochroniarza.

Łysy się nie odwraca.

– Do dyrektora korporacji.

Nie wymienia imienia, ale i tak dużo mi to mówi. Al Kabar to międzypaństwowa korporacja specjalizująca się w produkcji lekarstw, łączności telefonicznej, chyba jeszcze w wydobywaniu ropy... Mimo arabskich rekwizytów, kontrolowana jest ze Szwajcarii. Dyrektor, Friedrich Urman, to zbyt ważna persona, żeby rozmawiać z każdym gościem.

Szykuje się ciepłe przyjęcie.

Zatrzymujemy się przed malutką, porośniętą dzikim winem drewnianą altanką, ochroniarz mnie popycha, wchodzę. Arabowie zostają za progiem.

Pomieszczenie jest znacznie większe niż wyglądało z zewnątrz. Ogromny pawilon, pośrodku basen z sennymi, połyskującymi rybami. Obok stolik z dwoma fotelami. Mnóstwo kwiatów, zaczynam nawet czuć zapach.

Nikogo nie ma.

Cóż... poczekamy. Siadam w fotelu.

Obraz rozmazuje się... Należało się tego spodziewać, wycacują mój kanał łączności, próbują określić, skąd przyszedłem, ilość informacji, którą mogą przyjmować i przekazywać w ciągu sekundy programy...

Pracujcie, pracujcie. Sześć dzierzawionych routerów, przez które biegnie sygnał. I wszystko wystarczająco odporne na włamanie. A na koniec płatny internetowy portal w Austrii, przez który wszedłem w wirtualną przestrzeń.

Ślady zostały, ale prowadzą donikąd.

Mogą w każdej chwili przerwać łączność, „wykopać” mnie stąd. Tylko co im to da... Wszystkie programy, które mam przy sobie, natychmiast się uaktywnią. Niewiele zostanie do zbadania. A ja

chyba jestem dla nich dość interesujący.

– Wyśledzony pierwszy router – oznajmia Windows Home. Szybko... Kręcę głową i w tym momencie fotel naprzeciwko przestaje być pusty.

Pan Friedrich Urman zlekceważył arabski koloryt. Jest w szortach i kolorowej koszuli. Starszawy, szczupły, poważny.

– Dzień dobry... nurku – powiedział. Po rosyjsku. Głos ma nienaturalny, przepuszczony przez program-tłumacza.

To jedyny powód takiego honoru.

– Obawiam się, że jest pan w błędzie, panie dyrektorze.

– Gdy pół roku temu stworzyliśmy most, miało to tylko jeden cel, panie nurku. Odnaleźć was. Człowiek znajdujący się w rzeczywistości wirtualnej nie mógłby go pokonać. – Urman uśmiecha się półgębkiem. – Po raz pierwszy widzę prawdziwego nurka.

Jeden zero... dla niego.

– A ja po raz pierwszy widzę prawdziwego multimilionera. Widzi pan, nasze spotkanie przyniosło już pierwsze efekty.

Windows Home szepcze:

– Wyśledzono drugi router.

Urman posepnieje – jemu chyba też coś mówią – i pyta:

– Przepraszam, przez ile komputerów przeszedł pan po drodze tutaj?

– Niestety, nie pamiętam.

Urman wzrusza ramionami.

– Jak mam pana nazywać?

– Iwan carewicz.

Sekunda przerwy, potem uśmiech. Wyjaśnili mu.

– O, bohater rosyjskich bajek! Jest pan Rosjaninem?

– A jakie to ma znaczenie?

– Słusznie, ma pan absolutną rację... panie nurku. Jak rozumiem, przeniknął pan do naszego kwartału bezprawnie...

– Czyżby? – Jestem wstrząśnięty. – Szczerze mówiąc, po prostu szukałem pracy. Przeczytałem wasze ogłoszenie, przeszedłem przez most... podporządkowałem się tym dziwnym ochroniarzom.

Jeden jeden.

Friedrich Urman klaszcze w rękę.

– Tak... w istocie! Ale nie mamy do pana pretensji, panie nurku. Najwyżej o te dziwne rzeczy, które przyniósł pan ze sobą...

Powoli, demonstracyjnie wyciągam wszystko z kieszeni. Grzebień, chusteczka, małe lusterko.

– Proszę. Oddać panu miecz?

Urman macha rękami.

– Mój Boże, po co? Nie mamy zamiaru urządzać tu burd, prawda? Porozmawiajmy...

– Wyśledzony następny router...

– Jaka szkoda, że czasu na rozmowę mamy coraz mniej – wzdycham.

– Tak, czasu zawsze brakuje. A więc, panie nurku, mam podstawy sądzić, że pewne osoby chciałyby dostać kilka naszych prac. I nawet udało im się wynająć nurka... żeby zakosztować cudzych owoców.

– Jabłek – precyzuję.

– Tak, dokładnie. Pracuje u nas dobry rosyjski programista, ten wspaniały kształt przechowywania informacji to jego dzieło... – Urman klaszcze w dłonie, powietrze obok niego zaczyna mętnieć, gęstnieje. Po chwili pojawia się małe drzewko obsypane owocami. – Największe zainteresowanie budzi to małe zielone jabłuszko na najniższej gałęzi, prawda?

Patrzę na upragniony owoc. Jest małeńki, niedojrzały i robaczywy.

– Jak pan sądzi, nurku, ile mogliby zapłacić za ten plik nasi konkurenci?

– Dziesięć tysięcy – zawyżam nieco sumę.

Urman patrzy na mnie zaskoczony i uściśla:

– Dziesięć tysięcy dolarów?

– Tak.

– Szczerze mówiąc, nawet sto tysięcy nie byłoby zbyt wysoką nagrodą... no dobrze. Założmy, że proponuję człowiekowi, który próbował ukraść plik, sto pięćdziesiąt tysięcy. Pod warunkiem, że zacznie z nami współpracować... za normalną, godziwą pensję.

– Co to jest, lekarstwo na raka?

Urman kręci głową.

– Nie. Wówczas byłoby bezcenne. To tylko środek na przeziębienie, ale bardzo, bardzo skuteczny. Rozpoczęcie produkcji planujemy dopiero wtedy, gdy zostaną wyprzedane zapasy mniej skutecznych środków. Co pan sądzi o mojej propozycji?

– Obawiam się, że będę musiał pana zmartwić – mówię, starając się nie myśleć o zaproponowanej sumie. – Ale kodeks nurków stanowczo zakazuje podobnych umów.

– Dobrze – Urman wstaje. – Spodziewałem się podobnej reakcji. I cenię pańską pozycję.

Podchodzi do drzewka, z pewnym wysiłkiem zrywa jabłko. Porusza przy tym wargami – najwidoczniej wymawia hasło.

– Proszę wziąć.

Jabłko leży w moich rękach. Ciężkie – ze dwa megabajty. Kopiowanie nie ma teraz sensu, muszę zabrać ze sobą. Wsadzam jabłko za pazuchę, to znaczy przypinam plik do swojej wirtualnej postaci i patrzę na Urmana.

– Idę va banque – mówi poważnie Urman. – Rzykuję stratę bardzo obiecującego opracowania. Może pan je oddać panu Schellerbachowi i przekazać ode mnie serdeczne pozdrowienia. Proszę tylko o jedno: żeby później przyszedł pan do nas porozmawiać o stałej współpracy. Nie będę ukrywał, że właśnie teraz są nam bardzo, ale to bardzo potrzebne usługi nurka...

– Wyśledzony czwarty router... wyśledzony piąty router... Alarm! Alarm! Alarm!

– Dobrze. – Ja też wstaję. Wszystko jest bardzo niespodziewane... nigdy bym nie podejrzewał poważnych biznesmenów o tak szeroki gest. – Obiecuję, że przyjdę. A teraz proszę o wybaczenie...

– Nie, panie nurku, teraz to pan musi mi wybaczyć. Opuści pan nasz teren dopiero po ustaleniu pańskiego prawdziwego adresu. To będzie gwarancja danej przed chwilą obietnicy.

Ażurowe ściany pawilonu ciemnieją, jakby zarzucono na nie gęstą tkaninę. Z trudem robię krok.

Kanały połączenia nie odcinają – wyhamowują. Urman zaczyna poruszać się zrywami, obraz przed oczami płynie, jabłko za pazuchą przygina mnie do podłogi, głos Windows Home cichnie i traci intonację:

– Alarm... alarm...

Aha. Niezli zawodnicy z tych multimilionerów. A raczej z ich sług. Do których chcieliby mnie właśnie dołączyć.

– Vika, zrzuć detalizację! – szepczę, wyciągając rękę do stołu. Żeby tylko program zrozumiał, żeby tylko podporządkował się bez zbędnych pytań...

Pawilon się zmienia. Ze ścian znika ażurowy ornament, kwiaty tracą kielichy i część mniejszych listków, grubieje faktura koszuli Urmana.

Za to teraz mogę sięgnąć po swoje zabawki – chwytam chusteczkę. Pożyteczna rzecz te przedmioty higieny osobistej.

Machnięcie chusteczką – spowolnione, jakby pod wodą – i błyszcząca tafla światła przecina zasypiający świat pawilonu. Czasem mówi się na ten program „droga”, – wyszukuje obce kanały połączenia i zaczyna wykorzystywać w swoich celach.

Nowy, niezwykle rzadki i działający niemal bez zarzutu program.

Część ściany niknie, odsłaniając wyjście na ulicę. Najwyraźniej wykorzystalem kanał połączenia samego Friedricha. Chwytam lusterko, grzebień i rzucam się do ucieczki.

Ze ściany wysuwają się ostre czubki kopii. Program-strażnik Al Kabar. Skaczę do przodu w rozpaczliwej próbie przeskoczenia pomiędzy ostrzami.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Klimatyzator hełmu owiewa mi twarz lodowatym powietrzem. Na monitorach pojawia się pełnący pasek – procent ściągniętej informacji, a pod nią drapieźnie zwężający się otwór – kanał połączenia. Oto jak naprawdę wyglądają najbardziej zawzięte wirtualne walki. Paseczki, literki, cyferki. Walka programów, modemów, bajty informacji.

Nie chcę. Wstrętnie i smętnie.

– Deep! – komenderuję.

Głowa huczy od bólu. Do licha z nią! Przelatuję pomiędzy kopiami, spadam na podłogę. Błyszcząca wstęga wije się po ulicy, niszcząc wszystko na swojej drodze. Pokonuje parów. Naprzód...

Z naprzeciwka wyskakują ci sami ochroniarze. Obaj z mieczami, ja też wyciągam swoją broń. Czyj wirus okaże się zręczniejszy i szybszy?

Mój.

To prezent od Maniaka, starego znajomego, specja od wirusów komputerowych. Powietrze pod cięciem ostrza wybucha i niczym ogień ze smoczej paszczy uderza w ochroniarzy. Błyskawicznie płoną i przemieniają się w czarne zwęglone szkielety.

Maniak lubi ciekawe efekty. Teraz komputery ochroniarzy są szalenie zajęte niezwykle ważną pracą – wyliczeniem liczby n z dokładnością do miliona cyfr po przecinku. Nie uda im się nawet wyprowadzić operatorów z rzeczywistości wirtualnej. Pięknie, poleżą sobie w Głębi, zamiast lecieć do innych komputerów.

– To nieetyczne – szepcze żałośnie Windows Home.

Biegnę po wstędze. Kanał połączenia jest doskonały, po kilku sekundach jestem już nad murem. Wstęga pod nogami sprężynuje, podrzuca, pogania. Chichoczę, ale przez cały czas się oglądam.

Oho!

Coś się dzieje w Al Kabarze! Ulice wypełnione ludźmi, po wstędze już biegną inni ochroniarze, a z jednego budynku wypelza ogromny, zmiłowaty, nieprzyjemny kształt. Nie mam ochoty się temu przypatrywać.

Szybciej...

Wstęga przelatuje nad potworem-strażnikiem, wygina się i opiera się ziemię. Ochroniarz znowu ożył, szarpie się, wyciąga do góry łapy. Most z włosa zaraz się zerwie, ale strażnik do mnie nie sięgnie. Nie może zejść ze swojego miejsca – twardo umocowany na swoim kanale połączenia.

Na ostatnich metrach wstęga pod nogami nagle zaczyna wibrować, próbuje odrzucić mnie do tyłu. Programiści Al Kabar chcą odzyskać kontrolę.

Za późno, jestem już na ziemi. Podbiega do mnie szary wilk.

– Siadaj, Iwan, pora uciekać! – wyje.

Wskakuję na wilka, oglądam się po raz ostatni. Ze wstęgi zeskakują ochroniarze, nad przepaścią szybuje skrzydlaty cień.

– Sax! – szepczę ulubione przekleństwo hakerów. Sax to komputer, który się zawiesił, program, który nie chce działać, kwaśne piwo albo trolejbus, który uciekł ci sprzed nosa. W tym wypadku – zbyt energiczna pogoń. Nie mam czasu, żeby spokojnie ściągnąć zawartość jabłuszka i rozplynać się w powietrzu. Trzeba uciekać, trzeba zacierać ślady.

Mój partner w wilczej skórze to umie.

Mkniemy przez pustynię, potem skręcamy do lasu. Za nami pędzą rozmazane cienie – ochroniarze tracą postać, zyskując w zamian prędkość.

– Daleko pogoń, Iwanie carewiczu? – pyta wilk.

– Blisko – przyznaję się.

– Och, Iwanie, nie uratuję cię! – ryczy wilk. Wyciągam grzebień, łamię w rękę, rzucam za siebie. Ogluszający trzask – zęby rozlatują się, wbijają w ziemię i rosną, zmieniając się w gigantyczne drzewa. Ruchy ochroniarzy stają się powolne, senne; przestrzeń nasyciła się obiektami, które pojawiły się nagle, i komputery wrogów grzęzną w obfitości pustej informacji.

Niestety, sztuczka jest stara, a metodyka walki doskonale wypracowana. Większość ochroniarzy zdążyła zawęzić pole widzenia albo zaniżyć detalizację obrazu i przeskoczyła niebezpieczne miejsce. Właściwie zrobili to nie sami ochroniarze, tylko ich deep programy. Wirus odsiał przede wszystkim amatorów, którzy rzucili się w pogoń bez żadnej koncepcji.

– Och, Iwanie, moje siły są na wyczerpaniu! – wyje wilk. Nie mogę zrozumieć, czy naprawdę tak się denerwuje, czy po prostu z zapalem odgrywa baśniowy wątek.

Pora na lusterko. Gdy rzucam je za siebie, mój opanowany Windows Home piszczy:

– To nieetyczne!

Oczywiście, że nieetyczne. Pewnie! To już nie głupi kawał z szybko rosnącymi baobabami, i nawet nie lokalny miecz-wirus. To logiczna bomba o wielkiej mocy.

Tam, gdzie upadło lusterko, powstaje błyskawicznie rozszerzające się jezioro. Część ochroniarzy

wpada i tonie, znikając bez śladu. Pozostali bezradnie zatrzymują się na brzegu.

W tej strefie rzeczywistości wirtualnej wszystkie kanały połączenia są zablokowane na mur. Nikt tędy nie przejdzie przynajmniej przez kilka godzin – potem woda wyschnie.

– Skąd wzięłeś fanty? – pyta wilk.

– Od Marii Mistrzynie – odpowiadam po chwili wahania. Szczerze mówiąc, właśnie to przezwisko podsunęło mi pomysł dzisiejszej maskarady. Wilk mnie nie wyda – jemu też mogą się przydać podobne programy.

– Wezmę to pod uwagę – dziękuje wilk, ogląda się szybko i pyta: – Jaką masz trzecią niespodziankę, bohaterze?

Za nami leci smok, bojowy program wyższego rzędu. Smok ma trzy głowy – najwidoczniej trzech operatorów plus zwykły arsenał – szpony, zęby i płomień. Setka różnorodnych wirusów i mocna ochrona. Nad jeziorem smok lekko wyhamowuje.

– Trzecią wykorzystałem jako pierwszą – przyznaję się.

– Więcej nie mogłeś wziąć? Musi być jak w bajce, trzy przedmioty i koniec? – marudzi wilk. Nie ma racji – zbyt wielu bojowych wirusów donieść nie można. Ale obu nam siadają nerwy.

Wilk podejmuje jakąś decyzję, gwałtownie skręca w bok i jeszcze bardziej przyspiesza. Zatrzymuje się przed szerokim omszałym pnieniem tak nagle, że spadam na ziemię. Ogląda się na mnie i skacze przez pień.

Gdy zmieniam postać, wolę użyć wody. Strumień, rzeka albo przynajmniej pełny dzban. Ale wilkołaki są konserwatywne.

W powietrzu wilk zmienia się w człowieka. Młody mężczyzna w skromnym szarym garniturze i lakierkach. Mój przyjaciel nurek, jak zawsze elegancki. Ledwie zdążył upaść, już wstaje, skacze jeszcze raz i przemienia się w moją kopię.

– Vika, strumień! – komenderuję. Wiem już, co on wymyślił. Ale eks-wilk chwyta mnie za ramiona i z krzykiem: „Nie ma czasu!” przerzuca przez pień.

Poddanie się wpływowi cudzego programu mimikry to mało przyjemna sprawa. Ledwie zdążam szepnąć: „Vika, siedź cicho!”, żeby troskliwy Windows Home nie sprzeciwił się przemianie.

W skórze wilka już kiedyś byłem, dawno temu, gdy wirtualna rzeczywistość dopiero powstała i wszyscy zabawiali się metamorfozami. Na szczęście nie muszę biec na czworakach – zmieniam się tylko zewnątrz. Odpinam miecz, podaję go nowemu Iwanowi carewiczowi, ten chwyta broń i wskakuje mi na ramiona.

– No już, worku z trawą – komenderuje, uderzając obcasami. Rzucam się do przodu w samą porę – nad drzewami pojawia się smok. Pikuje na nas, wypuszczając trzy strumienie płomieni. Akurat na naszym kursie wybucha pożar.

– Jazda! – wrzeszczy mój partner i szeptem dodaje: – Wieczorem, tam gdzie zawsze...

Hamuję gwałtownie, zrzucam go i uciekam, obsypywany przekleństwami.

Smok przez sekundę krąży nad nami, potem dokonuje nieskomplikowanego wyboru i spada obok bajkowego bohatera. Tchórzliwy partner go nie interesuje.

O to właśnie chodziło.

Odskakuję na bok i szepczę:

– Vika, zgrywaj nowe pliki!

Za moimi plecami trwa walka. Zresztą niezbyt długa. Wilkołak zdążył osiągnąć smoka mieczem, ale wobec doskonałej ochrony tego programu wirus jest bezsilny. Kiedy wokół zakipiał śnieżny obłok, wilkołak znieruchomiał.

Zamrożony. Po wszystkim. Mój przyjaciel wyszedł z gry, jest już w domu i ściąga wirtualny hełm. A przed trzema wyszczerzonymi mordami smoka tkwi jego kopia, wraz ze wszystkimi zdobytymi programami... gdyby, oczywiście, miał je przy sobie.

Smok leciutko uderza łapą zastygłe ciało, które rozsypuje się na lodowe okruchy. Wszystkie trzy głowy nachylają się na nimi... szukając ukradzionego jabłka.

A ja biegnę.

Jabłko za pazuchą staje się coraz lżejsze. Informacje przesączają się na mój komputer. Kluczę pomiędzy drzewami, potem zatrzymuję się, żeby Windows Home mógł łatwiej skopiować plik.

Dobiega mnie ryk smoka – nie znalazł jabłka i zrozumiał, co się stało.

Kto będzie szybszy?

Smok znowu wzbija się w niebo. Łatwo mnie znajdzie – ruchy w rzeczywistości wirtualnej pozostawiają ślady. Stoję i czekam.

– Transfer pliku zakończony. Koniec. Zwycięstwo.

– Wyjście – komenderuję.

– Poważnie? – chce wiedzieć Windows Home.

– Tak.

– Wyjście z rzeczywistości wirtualnej – oznajmia komputer.

Przed oczami migoczą różnokolorowe iskry. Świat traci wyrazistość... przemienia się w wyblakły płaski obrazek.

– Wyjście z rzeczywistości wirtualnej pomyślnie zakończone! – oznajmia radośnie Windows Home. Głos w słuchawkach jest ostry i zbyt głośny. Na monitorach hełmu – gęsty błękit z białą postacią szybującego albo raczej spadającego człowieka. Znany wszystkim znaczek Deepu, Głębi, rzeczywistości wirtualnej.

Ściągam hełm, mrugam, spoglądam na monitor. Ten sam obrazek.

– Dziękuję, Vika – mówię.

– Nie ma sprawy, Lonia – odpowiada Windows Home. Tej drobnej uprzejmości nauczyłem ją z tydzień temu. Miło, gdy program zachowuje się bardziej ludzko niż powinien.

– Terminal.

Błękit zastąpił panel terminala. Ręcznie podłączam się do szóstego komputera routera, który wytrzymał, i zdejmuję swój dostęp. Potem anuluję czasowy adres w Austrii.

Główne nici zostały zerwane. Szukajcie, chłopaki z Al Kabara. Przesiewajcie pliki w poszukiwaniu Iwana carewicza. Nurek wy dostał się z pułapki.

Bez sterowania głosowego wyłączam Windows Home, wchodzę na trójwymiarową tablicę Nortona, na dysk D. Tu zachowana jest cała wirtualna zdobycz i niewielka kolekcja wirusów. Oto jabłuszko, półtora megabajta. Z pozoru zwykły dokument edytora tekstu Advanced Word. Do niego przypięto dwa małe pliki. Programy-strażnicy? Włączam program skanujący, opracowany specjalnie dla takich niespodzianek.

Aha. Jasne. To programy-identyfikatory, ich zadanie polega na zniszczeniu pliku, gdy znajdzie się

w cudzym komputerze.

Znamy się na takich sztuczках i dawno się przed nimi zabezpieczyliśmy. Programy identyfikatory po prostu nie widzą mojego komputera. Na dysku D przechowuję właśnie takie niebezpieczne rzeczy.

Wewnątrz samego pliku tekstowego skaner również znalazł niespodziankę. Malutki programik włączający się podczas próby odczytania informacji. Niczego innego się nie spodziewałem. Zrobiłem kopię pliku na dyskietce i na CD-ROM-ie. I zacząłem kroić jabłuszko z sadów Al Kabara.

Likwidacja programów-strażników bez zniszczenia samego tekstu okazała się niemożliwa. Musiałem je ogłuszyć, unieszkodliwić. Rozciąłem plik na dwadzieścia kawałków, wydzieliłem program-strażnika. Okazał się kompletnie mi nieznanym polimorficznym wirusem, który – a to już nie było przyjemne – zdążył się wczepić w mój komputer. Po dwóch godzinach intensywnej pracy, z przerwana łyknięcie aspiryny i wizytę w toalecie, przekonałem się, że nie zdołam otworzyć wirusa.

Był już późny wieczór – czas gdy hakerzy dopiero przystępują do pracy. Spakowałem wirus wraz z kawałkiem tekstu i zadzwoniłem do Maniaka.

Musiałem czekać jakieś dwie minuty, zanim podniósł słuchawkę. Miałem szczęście – mógł przecież włączyć się po rzeczywistości wirtualnej, obojętny na telefony, pożary, powodzie i inne drobne codzienne nieprzyjemności.

– Tak?

– Maniak, to ja.

Głos hakera lekko złagodniał.

– Witaj, Lonia. Co u ciebie? – Nowy wirus do twojej kolekcji.

– Puszczaj! – zawołał Maniak i błyskawicznie rzucił słuchawkę. Włączyłem modem i wysłałem Al Kabarowską niespodziankę w chciwe ręce twórcy wirusów. Wyciągnąłem chleb, kiełbasę, poszedłem do kuchni wstawić wodę na herbatę. Wirus powinien zająć Maniakowi jakieś pół godziny. Z dziesięć minut będzie go rozwaliał, potem przez dwadzieścia zachwycił się strukturą, chichotał, rejestrując nieudane decyzje, i marszczył brwi, dostrzegając te chwytły, które jemu samemu jeszcze nie przysły do głowy. Od czasów Konwencji Moskiewskiej, która godząc się z tym, co nieuchronne, zalegalizowała produkcję pewnych wirusów, Maniak zajmuje się ich produkcją. Jego wirusy są doskonałe, mogą zawiesić każdy komputer, nie niszcząc przy tym znajdujących się w nim informacji.

Maniak zadzwonił po trzech minutach.

– Złożyłeś wizytę w Al Kabarze? – zapytał słodko.

– Tak. – Kłamstwo nie miało sensu. – Tak szybko sobie poradziłeś?

– Nie musiałem. To mój wirus, przyjacielu!

Co mogłem powiedzieć?

– Przepraszam...

Maniak, czyli po prostu Szura, był bardzo poważny.

– Zwinąłeś im program?

– Nie do końca. Ale generalnie, to było wbudowane w plik...

– Łączyłeś się z kimś przez modem? Po otrzymaniu tego pliku?

– Nie...

– W takim razie po prostu miałeś fart – oznajmił Maniak. – To nie jest zwykły wirus, to

pocztówka.

Nie zrozumiałem i Maniak wyjaśnił:

– Pocztówka z adresem zwrotnym. Jeśli wirus widzi, że w komputerze jest urządzenie komunikacyjne, przykleja do każdego twojego listu jeszcze jeden... malutki, niewidoczny... pocztówkę. Bez tekstu, za to z adresem zwrotnym. Listy idą razem, a potem, już z cudzego komputera, widokówka zostaje wysłana do służby bezpieczeństwa Al Kabaru.

Poczułem chłód.

– Przybiłem wirus na komputerze...

– Nie sam wirus, tylko odbicie, które stworzył. Specjalnie, dla uśpienia czujności. Masowe programy prawie pocztówki nie zauważają – zbyt wyjątkowa sztuka.

– I co mam teraz zrobić?

– Postawić mi piwo – uśmiechnął się Maniak. – Zaraz dostaniesz ode mnie list, tam jest lekarstwo. Specjalny antywirus. Nie ma w nim podpowiedzi, po prostu włączasz bat-plik, który sprawdza komputer. Będzie pracował długo, to nie jest produkt komercyjny... tylko tak... osobiste zabezpieczenie przed własnym wirusem.

– Dziękuję.

– Mhm... Lonia, o mało się nie wpakowałaś w poważne kłopoty.

– Namnożyło się tych hakerów – burknąłem. – Do licha, czemu mi nigdy nie powiedziałeś o tym wirusie?

– A skąd mogłem wiedzieć, że się zajmiesz włamem komputerowym? – odparł rezolutnie Maniak. – Następnym razem, jak się będziesz pchał w takie miejsca, uprzedź mnie. Dobra, włączaj modem.

Po kilku minutach zainstalowałem otrzymany antywirus. Pracował rzeczywiście powoli, co minutę oznajmiając mi, że odnaleziono pocztówkę. Polimorficzny wirus rozpełzł się po całym komputerze.

Rzeczywiście, mało brakowało, żebym wdepnął.

Spoglądając na monitor, zrobiłem sobie wielką kanapkę, nalałem herbaty do kubka, wyszedłem na balkon. Zapadł mrok, kropił drobny deszczyk. Powietrze było wilgotne i chłodne.

Nurków gubi zazwyczaj zbyt duża pewność siebie. Niestraszne nam niebezpieczeństwa wirtualnego świata, a to usypia czujność.

Najbardziej przykre jest to, że nie jesteśmy zawodowcami. Hakerzy nigdy nie stają się nurkami, oni przyjmują wirtualny świat jako rzeczywistość.

A ja, przeciętny projektant z firmy produkującej gry komputerowe, która zbankrutowała trzy lata temu i dała mi w charakterze odpłaty stary komputer, wchodziłem w Głębię i stałem się nurkiem. Jednym z setki obecnie żyjących.

Fart.

Chyba po prostu fart.

Jeszcze pięć lat temu rzeczywistość wirtualna była wymysłem fantastów. Wprawdzie istniały już sieci komputerowe, hełmy, kombinezony wirtualne, ale to wszystko było niepoważne. Stworzono setki gier, w których bohater mógł przemieszczać się w trójwymiarowej cyberprzestrzeni, ale o wirtualności nie było nawet mowy.

Świat, stworzony przez komputer, był zbyt prymitywny. Nie wytrzymał porównania nawet z kreskówkami, nie wspominając już o prawdziwych filmach. Co dopiero mówić o świecie rzeczywistym! Można było biegać po narysowanych labiryntach i zamkach, walczyć z potworami albo z przyjaciółmi siedzącymi przy takich samych komputerach. Ale nikt, nawet bredząc w gorączce, nie pomyliłby iluzji z rzeczywistością.

Sieci komputerów pozwalały na kontaktowanie się ludziom na całym świecie. Ale to była tylko wymiana zdań na monitorach... w najlepszym razie z narysowaną gębą rozmówcy.

Prawdziwa wirtualność wymagała potężnych komputerów, niezwyklej jakości linii połączeń, tytanicznej pracy tysięcy programistów. Miasto, zwane Deeptown, budowano wiele lat.

Wszystko się zmieniło, gdy był moskiewski haker, dziś doskonale prosperujący obywatel amerykański, Dmitrij Dibienko, wynalazł Głębię. Malutki programik oddziałujący na podświadomość człowieka. Podobno miał hopla na punkcie Castanedy, pasjonował się medytacją, lubił trawkę. Wierzę. Jego dawni przyjaciele przyznają, że był cyniczny i leniwy, że był flejtuchem i przeciętnym pracownikiem. Też wierzę.

Ale to on zrodził Głębię. Dziesięciosekundowy film, oglądany na ekranie, sam z siebie nie jest szkodliwy. Gdyby puścić go w telewizji, a podobno w niektórych krajach próbowano to zrobić, widz nie czuje nic, nie stanie się uczestnikiem filmu. Sam Dmitrij chciał tylko stworzyć na ekranie komputera przyjemne tło do medytacji. Stworzył, wrzucił do Sieci i przez dwa tygodnie niczego nie podejrzewał.

A potem pewien ukraiński chłopak popatrzył na kolorowe migotanie deep programu, wzruszył ramionami i zaczął grać w swoją ulubioną grę – Doom. Narysowane korytarze i budynki, ohydne potwory i dzielny bohater z karabinem w ręku. Prosta gra, od której zaczęła się epoka trójwymiarowych gier.

I wszedł w grę.

Pusta – był już późny wieczór – sala wydziału patentowego, w którym pracował, znikła. Chłopak nie widział już komputera, przy którym siedział. Jego palce naciskały na klawisze, zmuszając narysowaną postać do poruszania się, odwracania, strzelania, a on czuł, że sam biegnie po korytarzach, robi uniki przed ognistymi pociskami i wyszczerzonymi mordami. Rozumiał, że to gra, ale nie wiedział, dlaczego stała się rzeczywistością i jak ją zakończyć.

Jedyne, co zdołał wymyślić, to przejść ją do końca. I przeszedł, choć okazało się to znacznie trudniejsze niż kiedykolwiek.

Lekka rana nie była już tylko procentem zmniejszonych sił życiowych na ekranie, lecz tym, czym powinna być prawdziwa rana. Bólem, słabością, strachem. Zrozumiał, że zalana krwią podłoga staje się śliska, że kamienna płyta, pod którą ukryto skrytkę z nabojami, jest bardzo ciężka, że gilzy są gorące, a odrzut granatnika prawie zwała z nóg. Elikser przywracający zdrowie miał gorzki, nieprzyjemny smak. Okazało się, że kamizelka kuloodporna, zrobiona z cienkich metalowych płytek, jest lekka, ale zbyt luźna i ma niewygodne wiązania na plecach. Po trzech godzinach zaczął

szwankować spust karabinu; teraz musiał go naciskać powoli i płynnie, poruszając palcem w różne strony.

O piątej rano skończył grę. Potwory zostały pokonane. Na kamiennej ścianie przed nim pojawiło się menu gry i chłopiec z krzykiem wałnął lufą karabinu w słowo „Wyjście”.

Iluzja się rozproszyła. Chłopak siedział przed szumiącym uspokajająco komputerem, oczy łzawiły, klawiatura pod zdrętwiałymi palcami była rozwalona. Zapadł się klawisz, który w grze odgrywał rolę spustu.

Chłopiec wyłączył komputer i zasnął na krześle. Pracownicy, którzy przyszli rano do pracy, zobaczyli, że całe ciało ma pokryte siniakami.

Opowiedział, co mu się przytrafiło i, oczywiście, nikt mu nie uwierzył. Dopiero pod wieczór, gdy zrozumiał, co się stało, przypomniał sobie o programie medytacyjnym Dibienki i zaczął podejrzewać, że coś tu nie gra.

Po tygodniu cały świat dostał gorączki. Korporacje, z wyjątkiem tych, które sprzedawały komputery i programy, ponosiły miliardowe straty; wszyscy, od programistów po sekretarki i zecerki, chcieli osobiście pobyć w cyberprzestrzeni.

Z inicjatywy Dibienki program otrzymał nazwę Deep i zaczął swoją wędrówkę po świecie. Potem były jeszcze badania, które dowiodły, że około siedmiu procent ludzi jest całkowicie odpornych na Głębię, a przebywanie w wirtualności ponad dziesięć godzin dziennie może doprowadzić do rozstroju nerwowego i syndromu pseudoschizofrenii. Miesiąc minął do pierwszej śmierci w wirtualności – gdy starszy mężczyzna, którego myśliwiec spalono w kosmicznej walce nad planetą rozumnych fioletowych gadów, zmarł na zawał przy klawiaturze komputera.

Ale to już nie mogło nikogo powstrzymać ani przestraszyć.

Świat pogrążył się w Głębi.

Microsoft, IBM i komputerowa sieć Internetu stworzyli Deeptown.

Główną zdobyczą wirtualności Głębi była prostota. Nie trzeba szczegółowo rysować budynków i pałaców, twarzy ludzi i detali samochodów. Tylko ogólne zarysy i drobne, rozpoznawalne szczegóły. Brązowa ściana, podzielona na prostokąty – ceglany mur. Błękit na górze – niebo. Niebieskie spodnie – dzinsy.

Świat zanurkował. I nie miał zamiaru wracać na powierzchnię. Głębia była znacznie ciekawsza – niechby nawet niedostępna dla wszystkich. Intelktualna elita złożyła przysięgę na wierność nowemu imperium. Głębi...

Zanim wyczyściłem komputer z wirusa-pocztówki i spakowałem zdobyty plik – teraz w przestrzeni wirtualnej będzie wyglądał jak zwykła dyskietka – minęła północ. Głowa już nie bolała, spać nie chciało się zupełnie. Który z obywateli Deeptown śpi w nocy?

– Vika, reset – zakomenderowałem.

Zamyślona kobieca twarz na monitorze spochmurniała.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

Ekran lekko ściemniał, obraz się rozmazał. Potem komputer zaczął migać indykatozem twardego dysku. Komputer mam niepoważny, pentium, ale jakoś nie mam serca zmienić go na lepszy. Stary koń bruzdy nie zepsuje.

– Dobry wieczór, Lonia – rzekła Vika. – Jestem gotowa do pracy.

– Dziękuję. Podłącz się do Deeptown... przez zwykły kanał. Pstrykanie modemu wybierającego numer. Włożyłem hełm, usiadłem wygodniej.

– Połączenie na dwadzieścia, osiem, osiemset, kanał stabilny – powiedziała Vika.

– Włącz Deep.

– Zrobione.

Błękit, biały wybuch na środku ekranu, potem różnokolorowe rozbłyski.

Jak mogłeś stworzyć deep program, Dima? Z twoją rozchwianą psychiką, dyletancką wiedzą o psychologii, elementarnymi wiadomościami z dziedziny neurofizjologii? Co ci pomogło?

A teraz, gdy jesteś bogaty i sławny, co próbujesz zrobić? Zrozumieć własne olśnienie czy wymyślić coś jeszcze bardziej zdumiewającego? Czy po prostu oddajesz się rozpuście i palisz trawkę? Albo włóczysz się przez okrągłą dobę po zaułkach Deeptown, zachwycając się dziełem własnych rąk?

Chciałbym to wiedzieć. Ale nie chciałbym znaleźć się na twoim miejscu. Bo ze wszystkimi swoimi milionami i prototypem ósemki – w charakterze domowego komputera jesteś zaledwie szeregowym obywatelem wirtualności. Głębia trzyma cię równie mocno, jak prowincjonalnego programistę z rosyjskiego zadupia, miesiącami ciulającego pieniądze na wizytę w Deeptown.

Nie jesteś nurkiem, Dima. I dlatego jestem od ciebie szczęśliwszy.

Pokój wygląda tak samo, ale za oknem widać błyski reklam, słychać cichy szum samochodów.

– Wszystko w porządku, Lonia?

Rozglądam się.

– Tak. Pójdę się przejść, Vika.

Biorę ze stołu dyskietkę ze zdobytym plikiem, chowam do kieszeni. Na półce pośród dziesiątek książek i sterty płyt CD leży odtwarzacz. Wsuwam do niego ELO, nakładam słuchawki, włączam. *Roli Over Bethoveen*. Tego właśnie chciałem. Z radosną muzyką w tle wychodzę z pokoju, zamykam drzwi.

Tym razem zuczkwów nie ma. Stojąc na chodniku, podnoszę rękę, taksówka hamuje. Kierowca jest dla odmiany starszawym, ciężkim, raczej inteligentnym mężczyzną.

– Kompania Deep Przewodnik wita cię, Lonia!

Kiwam głową, wsiałam.

– Do restauracji Trzy Prosiaczki!

Kierowca kiwa głową, zna ten adres. Jedziemy szybko, kilka zakrętów i już przed nami pojawia się dziwny budynek: częściowo kamienny, częściowo drewniany, częściowo ze słomianych mat. Wchodzę do znajomej restauracji, rozglądam się.

Pomieszczenie podzielono na trzy części – dania wschodniej kuchni podają w tej zbudowanej z mat, europejskiej można skosztować w kamiennej, rosyjskiej, oczywiście, w drewnianej.

Nie mam ochoty na jedzenie. Wirtualne dania dają wrażenie sytości; w chwilach wyjątkowego napięcia finansowego stołuję się w Trzech Prosiaczkach. Ale teraz po prostu czekam na współnika.

Podchodzę do baru, za którym stoi mężczyzna.

– Witaj, Andriej.

Czasem gospodarz restauracji sam obsługuje wirtualnych klientów. Jednak dzisiaj jest inaczej. Oczy barmana ożywiają się, ale to czysto mechaniczna uprzejmość.

– Witaj! Czego się napijesz?

– Dżin z tonikiem i lodem.

Patrzę, jak barman miesza napój. Tonik – prawdziwy schwaps, dżin – porządny befeater. Kompanie produkujące alkohol pozwalają za symboliczną opłatę wykorzystywać w rzeczywistości wirtualnej wzorce swojej produkcji. Reklama...

Pepsi-cola jest bezpłatna – też chwyt reklamowy. Za to coca-cola kosztuje dokładnie tyle, ile w realu.

Ale i tak ją kupują.

Biorę szklanekę, siadam przy wolnym stoliku. Przyglądam się klientom.

Mężczyźni i kobiety, mniej więcej w równych proporcjach. Kobiety piękne jak marzenie. Najróżniejsze, od blondynek skandynawskiego typu do Murzynek z antracytową skórą. Faceci – przeważnie potwory. No nie, przesadzam. Po prostu moja podświadomość czujnie rejestruje wszelkie przerysowanie w wirtualnych maskach mężczyzn – dysproporcję nazbyt umięśnionych postaci i zbyt rozpoznawalne rysy twarzy znanych aktorów przyklejone do ciał kulturystów.

Dla kobiet moja podświadomość miłościwie robi wyjątek. Wszystkie są piękne.

Upijam łyk dżinu, rozluźniony opieram się o bar. Dobrze mi tu.

Żaden prawdziwy bar czy restauracja nie może równać się z wirtualnym. Tutaj zawsze jest dobre jedzenie. Nie trzeba czekać na kelnerów. Końska dawka alkoholu nie spowoduje kaca.

Ale upić się można. Jeśli ma się doświadczenie w tej dziedzinie, podświadomość radośnie nurkuje w alkoholowe opary. Może w tym czasie organizm zaczyna produkować naturalne narkotyki – endorfiny? Nie wiem. W każdym razie, nawet po wyjściu z Głębi upojenie przez jakiś czas się utrzymuje.

– Można? – przysiada się do mnie dziewczyna. Jasne włosy, czysta, trochę blada matowa cera, zwykły biały kostium. Na piersi medalion na złotym łańcuszku – pewnie jakiś program. Sympatyczna i, chwała Bogu, nierozpoznawalna. Albo sama rysowała sobie twarz, albo zrobiła to, wzorując się na mało znanym obrazie, albo znalazła w jakimś filmie sympatyczną buźkę, która nie zdążyła się `opatrzyć.

– Oczywiście – odwracam się do niej. Barman już podaje dziewczynie kieliszek białego wina.

Chilijskie, imperator. Dziewczyna ma dobry gust.

– Często tu pana widzę – oznajmia dziewczyna. W mózgu rozlega się alarmowy dzwonek.

– Zdumiewające – mówię. – Nie bywam tu aż tak często.

– Za to ja owszem – mówi dziewczyna.

Kłamstwo.

Mogę wyjść z rzeczywistości wirtualnej i sprawdzić te dwadzieścia kontrolnych fotografii, które mam w komputerze. Klienci baru w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Czasem warto pamiętać nowe twarze.

Ale i tak wiem, że tej dziewczyny nigdy nie widziałem...

– Nosiłam inne twarze – dziewczyna jakby odgaduje moje myśli. – A pan zawsze nosi tę samą.

– Zmiana wizerunku to droga przyjemność – zaczynam samobiczowanie. – Robienie z siebie Schwarzeneggera czy Stallone'a jest głupotą. A na wynajęcie projektanta mnie nie stać.

– Głębia sama w sobie jest droga.

Dziewczyna nazywa wirtualność Głębią. Podoba mi się to. W odróżnieniu od jej zachowania. Wzruszam ramionami. Dziwna rozmowa.

– Przepraszam, czy jest pan Rosjaninem? – pyta dziewczyna. Kiwam głową. W wirtualności jest wielu Rosjan – nigdzie na świecie kontrola połączeń internetowych nie jest tak symboliczna jak u nas.

– Przepraszam... – dziewczyna zagryza wargi, wyraźnie się denerwuje. – Pewnie jestem strasznie nietaktowna... ale... jak się pan nazywa?

Już rozumiem.

– Nie Dmitrij Dibienko. Bo chyba to panią interesuje?

Dziewczyna zagląda mi badawczo w oczy, kiwa głową. Jednym haustem dopija wino.

– Nie kłamie – mówię łagodnie. – Słowo honoru.

– Wierzę – dziewczyna kiwa głową barmanowi, potem podaje mi rękę: – Nadia.

Uścisk dłoni, przedstawiam się:

– Leonid.

I już się znamy, już jesteśmy na „ty”. Głębia jest demokratyczna. Tutaj zbyt uprzejmy ton oznacza zniewagę.

Dziewczyna odrzuca włosy do tyłu ładnym i naturalnym gestem. Podaje barmanowi kieliszek, ten szybko napełnia go znowu. Obrzuca spojrzeniem salę.

– Jak sądzisz, czy on odwiedza wirtualność?

– Nie wiem. Pewnie tak. Jesteś dziennikarzem, Nadiu?

– Tak... – sekunda wahania i Nadia wyciąga z torebki wizytówkę: – Proszę...

Na wizytówce jest nie tylko adres internetowy, ale i głosowy telefon, imię, nazwisko. Nadieżda Mészerska. Czasopismo „Pieniądze”. Reporter.

Windows Home milczy. Wizytówka jest czysta, to rzeczywiście tylko adres, bez żadnych niespodzianek. Chowam ją do kieszeni.

– Dziękuję.

Rewanż, niestety, nie nastąpi. Zresztą Nadia na to nie liczy.

– Dziwna rzecz ta Głębia – rzuca. – Ja jestem teraz w Moskwie, ty gdzieś w Samarze, tamten chłopak w Penzie...

„Chłopak”, zabójczo przystojny Meksykanin z telenoweli, zauważa jej spojrzenie i dumnie wysuwa podbródek. Nie można Nadii odmówić spostrzegawczości, on rzeczywiście jest Rosjaninem...

– Tam siedzi grupka Amerykańców – ciągnie Nadia bez śladu szacunku. – Tamten cudak to najwyraźniej Japończyk... widzisz, jakie oczy sobie narysował. Każdy naród ma swoje kompleksy... Robimy z siebie głupków w nieistniejącej restauracji, przy kieliszku wyobrazonego alkoholu. Setki komputerów pożerają energię, grzeją się procesory, przez linie telefoniczne przechodzą megabajty bezsensownych informacji...

– Informacje nie mogą być bezsensowne.

– Może masz rację. – Nadia rzuca mi szybkie spojrzenie. – Powiedzmy tak: nieaktualnych informacji. I to ma być nowa era światowej technologii?

– A czego się spodziewałaś? Wymiany plików i rozmowy o częstotliwości procesorów? Przecież jesteśmy ludźmi.

Nadia krzywi się.

– Jesteśmy ludźmi nowej epoki. Wirtualność może zmienić świat, a my nadal dopasowujemy ją do starych dogmatów. Nanotechnologia wykorzystywana do imitacji alkoholu, to gorsze niż mikroskop do wbijania gwoździ...

– Jesteś turinką – domyślam się.

– Tak! – odpowiada z lekkim wyzwaniem Nadia.

Turińczycy to kontynuatorzy pewnego pisarza fantasty z Petersburga. Głoszą chyba zjednoczenie komputera z człowiekiem, a może oczekują od rzeczywistości wirtualnej jakichś niesamowitych łask.

– To co robisz w tej idiotycznej knajpie? – pytam.

– Szukam Dibienki. Chciałabym go zapytać... czy tak to sobie wyobrażał? Czy to, co się dzieje, jest słuszne z jego punktu widzenia?

– Rozumiem. Ale czy tak naprawdę nie podoba ci się to miejsce? Nadia wzrusza ramionami.

Wyciągam rękę, dotykam jej twarzy.

– Ciepło dłoni, cierpkość wina, chłód wieczornej bryzy i aromat kwiatów, plusk ciepłych fal, księżyc na niebie i piasek pod nogami... naprawdę ci się to nie podoba?

– Od tych rzeczy jest rzeczywistość – patrzy mi w oczy.

– A czy to wszystko często występuje razem w rzeczywistości?! Tu wystarczy otworzyć drzwi – wskazuję głową na drzwiczki w japońskiej części restauracji – i wszystko znajdziesz w jednym miejscu. Nigdy nie pragnęłaś chłodnego jesiennego poranka postać sobie na skraju lasu nad stromym brzegiem rzeki, napić się grzanego wina, z pękatego kieliszka... a wokół nikogo...

– Właściciel restauracji jest romantykiem – mówi Nadia.

– Naturalnie.

– Leonid, wszystko, co powiedziałaś, jest słuszne. Ale miejsce tych przyjemności jest w realu.

– Real nie zawsze jest taki dostępny.

– Podobnie jak Głębia, Lonia. Nie wiem, skąd bierzesz pieniądze na częste wizyty tutaj, to nie moja sprawa. Ale parę miliardów ludzi nigdy nie było w Głębi.

– Miliony ludzi nigdy nie widziały telewizora.

– Wirtualność nie powinna być namiastką rzeczywistości – mówi z przekonaniem Nadia.

– Oczywiście. Zmienimy nędzarzy i bezdomnych w skarbniki informacji, staniemy się impulsami w sieci elektronicznej...

– Leonid, znasz doktrynę turińczyków tylko ze słyszenia – oświadcza Nadia. – Odwiedź kiedyś nasz kościół.

Wzruszam ramionami. Może kiedyś zajrzę. W Głębi jest wiele interesujących miejsc. Na wszystkie nie wystarczyłoby życia.

– Pójdę już – Nadia wstaje i rzuca na ladę monetę. – Mam jeszcze pół godziny... muszę odwiedzić kilka miejsc.

– W poszukiwaniu Dibienki? – kręcę głową. – A może by tak... ciepły piasek hawajskich plaż i czerwone chilijskie?

Nadia uśmiecha się.

– Lonia, to by już nie była praca. Wieczorna plaża i wino... zapragnęłabym dalszego ciągu. A wirtualny seks jest zabawny tylko wtedy, gdy siedzisz w domu, w zamkniętym pokoju. Ja tu weszłam z pracy. Sześć komputerów w pokoju, wszystkie zajęte. Wyobrażasz sobie, jak patrzyliby na mnie koledzy?

Otwarta i mądra. Fajna dziewczyna. Daj Boże, żeby w realu Nadia była tak samo inteligentna i szczerą.

– W takim razie powodzenia – rzucam.

– Dziękuję, tajemniczy nieznajomy. – Nadia pochyla się i całuje mnie w policzek.

– Lonia, marker! – szepczą szpilki w moich klapach. Wyciągam chusteczkę wirusobójczą, ścieram szminkę z twarzy i grożę Nadii palcem.

– Wolę nadal pozostać tajemniczy, dziewczyno.

Chyba się stropiła. Ale wystarczyło jej zimnej krwi, żeby rozłożyć ręce i powoli się oddalić.

Cholera. Zepsuła całe wrażenie, idiotka!

A tak nam się fajnie gadało...

Jednym haustem wypijam džin i pstrykam palcami na barmana.

– Dżin z tonikiem, jeden do jednego!

Barman krzywi się, ale miesza. Cholera. Może zamówić tequilę z sokiem pomidorowym? Ciekawe, jaką zrobiłby minę.

– Lonia?

Oglądam się.

Mój przyjaciel wilkołak stoi obok. Biały garnitur, lakierki, nieco staromodny krawat. Napięta twarz.

– Witaj, Romek. Siadaj.

– Co to za dziewczyna?

– Nic szczególnego.

My, nurkowie, jesteśmy trochę paranoikami. Co zrobić. Zbyt wiele osób pragnie poznać nasze prawdziwe nazwiska. Wilkołak głośno wciąga powietrze, marszczy brwi.

– Próbowwała cię naznaczyć!

– Wiem. Nie martw się, to tylko dziennikarka.

Romek siada, kiwa na barmana. Ten robi groźną minę, ale podaje szklanę z pieprzowym absolutem. Trudno nawet patrzeć, jak Roman pije. A on, krzywiąc się lekko, wyciera usta i oddaje szklanę.

Może w realu jest alkoholikiem?

Nie wiem.

Ukrywamy się przed sobą tak samo jak przed wrogami. Jesteśmy zbyt cennym towarem. Głębiny ryby, migoczące magicznym światłem potwory, których pragnie skosztować każdy rekin.

– Doniosłeś jabłko? – pyta Roman.

– Wszystko w porządku. – Odchylam połę marynarki, klepię się po kieszeni koszuli, gdzie leży dyskietka. – Towar jest na miejscu.

Wilkołak rozluźnia się lekko.

– A zleceniodawca?

Patrzę na zegarek.

– Za dziesięć minut. Obok, nad rzeką.

– Idziemy. – Roman bierze szklanę.

Biorę swoją i wychodzimy przez drzwi w kamiennej ścianie. W małym przedsionku mówię cicho:

– Indywidualna przestrzeń dla nas dwóch. Dostęp dla człowieka, który poda kod „szary-szary-czarny”.

– Zrozumiałem – dobiega spod sufitu. Teraz, bez względu na to, ilu klientów chciałoby się przejść w przestrzeni wirtualnej Trzech Prosiaczków, my ich nie zobaczymy. Jedynie kupca, który uprzednio podał kod.

Za drugimi drzwiami jest las. Nieprzebyty, pierwotny, północny. Zimny wiatr przenika do szpiku kości, kulę się. Mój towarzysz jest niewrażliwy na chłód. Może ma prostszy hełm – bez klimatyzatora?

Kto wie...

Zarabia nie mniej niż ja, ale może mieć na przykład dużą rodzinę. Albo rzeczywiście jest alkoholikiem zdolnym w ciągu kilku dni przewalić setkę zielonych.

Z tyłu zostaje kamienny domek – tak wyglądają Trzy Prosiaczki z tej strony. Idziemy ścieżką, powoli pijąc drinka.

– Lubisz pieprzówkę? – pytam mimochodem wilkołaka.

– Tak.

Sucho i bez komentarzy. Cholernie chciałbym wiedzieć, kim jesteś, Roman.

Ale to niemożliwe. Wirtualność jest okrutna wobec nieostrożnych.

Wychodzimy nad rzekę – strome zbocze pokryte czepliwymi, niskim zaroślami. Wieje silny wiatr, mrużę oczy. Chmury na niebie. Rzeka nie jest górską, ale z progami, rwąca. W dali widać stado jakichś dużych ptaków – nie wiem jakich, nigdy nie podlatują bliżej. Nad urwiskiem stoliczek, na nim butelka dzinu, toniku i absolut pepper. I niklowany termos, a w nim, o ile wiem, grzane wino. Pyszne, z cynamonem, wanilią, z gałką muszkatołową, pieprzem, kolendra. Trzy wiklinowe krzesła. Siadamy obok siebie, patrzymy na rzekę.

Pięknie.

Biała piana na kamieniach, wiatr, pełny kieliszek w ręku, szaro-niebieskie chmury kłębiące się nad głową. Jutro na pewno spadnie śnieg.

W wirtualności nie bywa jutra.

– Ciekawe, skąd się wzięła ta rzeka.

– W życiu nie widziałem piękniejszego miejsca... – mówi dziwnym tonem wilkołak.

Tak jest zawsze. Każdy ma swoje skojarzenia i analogie. Dla Romana ten pejzaż najwyraźniej coś oznacza. Dla mnie to tylko ładne miejsce.

– Bywałeś tu?

– W pewnym stopniu. Ciekawe.

– Co to za ptaki, Roman?

– Harpie – odpowiada, nie patrząc.

Jeden łyk i jego szklanka jest pusta.

Ale i tak się nie upija.

Jak ja nienawidzę tajemnic, które nas otaczają. Boimy się siebie nawzajem. Boimy się wszystkiego.

– Przyjemna pogoda – rzucam na chybił trafił.

– Śnieżne mamy w tym roku lato... – mówi wilkołak i spogląda na mnie z ironią. On zna to miejsce. Trafia do jego duszy.

Nie dowiem się, dlaczego.

Nalewam sobie grzańca do ciężkiego ceramicznego pucharu. Wdycham aromat. Śnieżne lato. Niech tam. Nie ma nic lepszego od złej pogody.

– Palisz trawkę, Lonia? – Roman podaje mi papierośnicę.

– Nie.

Chyba naprawdę jest alkoholikiem i narkomanem...

– Podobno jest znacznie mniej szkodliwa niż alkohol i nikotyna.

– Podobno w Moskwie doją kury.

Roman waha się, ale pali.

Psiakrew. Argumenty Nadii nie wydają mi się już tak szalone. Ja piję wino, Roman pali gandzię. Po jakichś dwóch minutach pstryknięciem posyła niedopalonego papierosa w dół i mówi:

– Dziecinada. Nalej mi wina.

– To grzaniec.

– Co za różnica, do licha...

Teraz obaj popijamy grzane wino z korzeniami. Roman kiwa głową.

– Rules! – mówi.

Kiwam głową. Rules to coś dobrego. Zimne piwo, komputer siódmego pokolenia, piękna dziewczyna, załatwiony wirus... grzaniec.

Siedzimy nad urwiskiem i jest nam dobrze.

– Co było w tamtym jabłku?

– Nowe lekarstwo na przeziębienie. Bardzo skuteczne.

Roman marszczy brwi.

– I to jest warte sześć tysięcy?

– To jest warte sto tysięcy.

– A... – Roman zmienia się na twarzy.

– Poczekajmy na zleceniodawcę.

Wilkołak kiwa głową.

– Twoja operacja, ty decydujesz.

Kupiec pojawia się dziesięć minut później, gdy już zaczynam się niepokoić. Znałem go tylko pod ksywą Cwaniak, on mnie pod przezwiskiem Strzelec. Kupiec jest schludny i niepozorny, zwyczajny garnitur, banalna twarz. Młody mężczyzna z dyplomatką w ręku.

– Dobry wieczór, Strzelec! – mówi do mnie. Głos ma zbyt spokojny; Cwaniak porozumiewa się przez program-tłumacza.

– Dzień dobry – odpowiadam, patrząc na zegarek. Dowiedzieć się, jaki jest indywidualny czas nurka, określić, do jakiej strefy czasowej należy, to już bardzo dużo.

– Jak ja lubię wasze poczucie humoru... – zleceniodawca siada na trzecim krześle, patrzy na mnie pytająco. – Urodzaj dojrzał?

– Ciężkie mamy jabłka tego roku – wyjmuję dyskietkę, kładę na stole. – Szczerze mówiąc, spodziewałbym się większej wdzięczności za podobną pracę...

– Przecież się umówiliśmy. Sześć tysięcy dolarów. Rozkładam ręce.

– Według pańskich słów tyle to było warte.

– Pan uważa inaczej?

– Rozumie pan, panie Schellerbach...

Gość wzdryga się.

– Pomylił się pan, przynajmniej na początek. Przeziębienie to drobiazg, oczywiście... ale kto lubi leżeć w łóżku z temperaturą i katarem?

– Ja nie. – Schellerbach-Tiertyj zmienia się na twarzy. Teraz to starszawy mężczyzna, z władcą, choć nerwową fizjonomią. – A sądziłem, że słowo nurka to rzecz święta.

– Nie przeczę. Oddaję panu plik – pstryknięciem przerzucam dyskietkę przez stół. – Ale następnym razem żaden nurek nie kiwnie dla pana palcem, panie Schellerbach. Płaca powinna być proporcjonalna do stopnia trudności.

Schellerbach bierze dyskietkę i zamiera. Piję wino i przyglądam mu się. Wilkołak milczy. To moja operacja.

Gdy Schellerbach skopiował plik, jego spojrzenie nabrało śmiałości.

– Więc? – pytam.

– Pięćdziesiąt – mówi.

– Dla każdego?

Milczy – bardzo, bardzo długo. To są pieniądze. Żywe, pełnokrwiste, nieopodatkowane, które przyszły znikąd i donikąd odeszły.

– Pańskie konto.

Podaję mu kartkę z numerem konta w Szwajcarii.

– Ujemny procent... bardzo pan ostrożny, nurku...

– Nie mam innego wyjścia, Peter...

Poddaje się. Ja znam jego prawdziwe imię, on mojego nie. Bank nie zdradzi mnie nigdy. Nawet gdyby międzynarodowy trybunał oznajmił, że jestem zbrodniarzem winnym genocydu.

Za to właśnie płaci się ujemny procent.

Za absolutne bezpieczeństwo.

– Pięćdziesiąt każdemu. Z mojej strony to gest dobrej woli, panie nurku!

– Pięknie.

Po kilku sekundach na moim koncie pojawia się sto tysięcy. To dużo. To bardzo dużo. Lata spokojnego życia w wirtualności.

– Zgadza się pan na dalszą współpracę?

Wyjmuję książeczkę czekową, z przyjemnością oglądam cyfrę. Potem wypisuję czek na pięćdziesiąt tysięcy wilkołakowi.

– Całkiem możliwe.

– A na stały kontrakt?

– Nie.

– Czego pan się tak boi, nurku? – w spojrzeniu Schellerbacha jest ciekawość.

Czego ja się boję?

– Nazwisk, Peter. Prawdziwa wolność to zawsze tajemnica.

– Rozumiem – zgadza się Schellerbach. Zerka na Romana. – Pan również jest nurkiem? Czy tylko chodzącym zestawem wirusów?

– Nurkiem – mówi Roman.

– Cóż, powodzenia, panowie... – Schellerbach odchodzi kawałek i zatrzymuje się. – Powiedzcie... jak to jest być nurkiem?

– Normalnie – odpowiada Roman. – Trzeba tylko pamiętać, że wszystko wokół to gra. Fantazja.

Schellerbach kręci głową, rozkłada ręce.

– Nie wychodzi mi to, niestety...

Oddala się ścieżką, patrzymy w ślad za nim. Napęłam kieliszki.

– Lonia, powiedz, jesteś szczęśliwy? – pyta wilkołak.

– Naturalnie.

– Wielka kasa... – ogląda czek, potem zdecydowanie podnosi kieliszek. – Za powodzenie!

– Za powodzenie – zgadzam się.

– Nie znikniesz z Głębi?

– Nie.

Roman kiwa głową z wyraźną ulgą. Pije wino.

– Wiesz, ciekawie się z tobą pracuje. Jesteś nietypowy – mówi. Przez chwilę wydaje mi się, że zbliżamy się do tej niewiarygodnej krawędzi, gdy nurkowie otwierają się przed sobą.

– Wzajemnie, Roman.

Wilkołak wstaje. Gwałtownie, szybko.

– Muszę iść... przyszli do mnie.

Rozpływa się w powietrzu, kieliszek spada na podłogę i toczy się, brzęcząc i podskakując.

– Powodzenia, Roman – rzucam w pustkę.

Samotność – druga strona wolności. Nie mogę mieć przyjaciela.

– Rachunek – rzucam ze złością w przestrzeń. – Rachunek, szybko!

Najbardziej przykre jest to, że nie chce mi się spać. Zbyt fartowny dzień.

Wracam do restauracji. Część klientów się zmieniła, towarzystwo Amerykanów nadal chichocze z własnych dowcipów. Trzeba się przejść.

Wychodzę z Trzech Prosiaczków, chwila wahania – wezwać taksówkę? – w końcu idę pieszo. Unikam głównych arterii, zbliżam się do rosyjskich kwartałów dyskusyjnych.

To jedno z najciekawszych miejsc w wirtualności, przynajmniej moim zdaniem. Miejsce, gdzie można po prostu porozmawiać.

O czym się chce.

Długie rzędy budynków, każdy w innym stylu, pomiędzy nimi skwery i place wypełnione ludźmi albo puste. Oglądam wyszukane tabliczki. Część można zrozumieć od razu, niektóre mają specjalnie tajemnicze nazwy.

DOWCIPY

ROZMOWY O NICZYM

PRZYGODY SEKSUALNE

DZIWNE MIEJSCE

OWIES ROŚNIE!

KSIAŻKI

SZTUKI WALK

Tutaj przychodzi się pogadać na konkretne tematy. To echa epoki przedwirtualnej. Dalej będą bardziej solidne kluby, gdzie można załatwić konsultację w kwestiach technicznych, pogadać o oprogramowaniu, nawet kupić za pół ceny skradziony program. Ale mnie to nie interesuje.

Skrećcam na skwer z tabliczką DOWCIPY. Dużo ludzi, gwarno i wesoło. Skwer przypomina park kultury z lat sześćdziesiątych. W rogu cicho gra paroosobowa orkiestra, chyba nieprawdziwa, na ławeczkach siedzą ludzie, piją piwo i gadają. Siadam z boku.

Na małą drewnianą estradę wchodzi chłopak w dżinsach i śnieżnobiałej koszuli. Całkiem przeciętny. Obrzucają go leniwymi spojrzeniami.

– Wychodzi Stirlitz z domu... – zaczyna chłopak.

Siedząca obok mnie dziewczyna gwizdże i rzuca w chłopaka butelką po piwie. Rozumiem ją doskonale. Dziewięćdziesiąt procent dowcipów, które się tu opowiada, to starocie. Ten klub uwielbiają debiutanci w wirtualności... którzy jeszcze nie wiedzą, że *nihil novi sub sole*. Wystarczy pobyć tu pół godziny, aby nabrać pewności, że Kain zabił Abła za opowiadanie kawałów z brodą.

Chłopak przy akompaniamencie gwizdów i krzyków mimo wszystko kończy dowcip, rozgląda się jak zaszczute zwierzę i zbiega z trybuny. Ktoś go jednak oklaskuje. Tak...

Rozglądam się w poszukiwaniu baru. Daleko, na drugim końcu skweru. Dziewczyna w milczeniu podaje mi butelkę piwa.

– Dziękuję. – Upijam łyk. Zimny heineken od razu poprawia mi nastrój.

Na trybunę wchodzi kolejny chłopak. Większa indywidualność, w jakiś sposób przypominający mieszkańca krajów nadbałtyckich. Szelmowski wyraz jego twarzy sprawia, że staję się czujny. Chłopak zerka na małą budkę w rogu sceny.

– Proszę państwa! – krzyczy. Rzeczywiście pochodzi z Łotwy, jeśli tylko moja podświadomość nie dorysowała mu akcentu. – Firma Litkomp ma zaszczyt zaproponować po najniższych cenach...

Aha. Jasne.

Ja też patrzę na budkę – kryjówkę moderatora. W każdym klubie jest człowiek pilnujący zgodności prowadzonych rozmów z dozwolonym tematem. Pytanie tylko, czy moderator jest na miejscu, czy zareaguje później...

Jest na miejscu.

Drzwiczki budki otwierają się i wychodzi chłop jak dąb z ogromnym, nieprzyjemnie wyglądającym urządzeniem w rękę. Przedstawiciel Litkompu też go zauważa i zaczyna szybko mówić: – Twarde dyski Qantum Lighting, Western Digital...

– Off topic! – Leniwie, ale z zimną złością mówi moderator i podrzuca broń. Obecni cichną, rozkoszując się widowiskiem.

Lufa podskakuje i w stronę handlowca leci lśniący purpurowy przedmiot w kształcie krzyża. Mężczyzna próbuje zrobić unik, ale bez skutku. Moderatorzy nigdy nie chybiają. Na koszuli handlowca rozkwita ognity krzyż, albo, jak przyjęto mówić, „plus”. Trzy takie plusy i klub Dowcipy będzie dla niego zamknięty na zawsze.

Tłum chichocze z aprobatą.

– A może to był początek dowcipu? – woła ktoś z miejsca. Moderator grozi mu palcem, potem znowu celuje w handlowca. Ten porzuca daremne próby starcia połyskującego plusa z koszuli, zeskakuje z estrady i odchodzi w noc.

– Załatw go! – podjudzają moderatora, ale ten jest dzisiaj w dobrodusznym nastroju. Zarzuca miotacz plusów na plecy i odchodzi do swojej budki przypominającej wygodkę na daczce.

– Litkomp... – mówi w zadumie moja sąsiadka. – Trzeba będzie poznać cenę, pora zmienić twarde!

Jednak handlowiec dopiął swego. Na scenę wychodzi jeszcze jeden amator humoru.

– Pewnego dnia Kubuś Puchatek i Prosiaczek... Co za potworna nuda.

Dlaczego w rzeczywistości wirtualnej dowcipy o Stirlitzu i Kubusiu są aż tak popularne? Jakaś psychologiczna aberracja...

– Dziękuję za piwo – mówię dziewczynie, wstaję i opuszczam skwer.

Właściwie nie jestem w złym humorze... tylko jakoś się tak dziwnie czuję. Idę wzdłuż klubów. Przez zakratowane szyby Sztuk walk widać kruczego chłopaka o azjatyckim wyglądem, demonstrującego jakieś dziwne ruchy. W teatrze letnim Filmy imponujący mężczyzna z ożywieniem gestykułuje, stojąc przy ekranie. Zaglądam, dobiega mnie: „Tandeta! Straszna tandeta!”

Nudno, panowie...

Może turyńscy mają rację? Przemieniliśmy wirtualny świat w karykaturę prawdziwego życia. A karykatury nigdy nie są lepsze od oryginału. Ich zadanie polega na wyśmianiu, pokazaniu głupoty i absurdu pierwowzoru.

A ponieważ my nie możemy zmienić świata, karykatura pozbawiona jest sensu. To nie skok do przodu, lecz krok w bok.

– Vika...

– Słucham, Lonia.

– Wezwij mi taksówkę.

– Dobrze.

Może warto pojeździć trochę po mieście, wstąpić do centrum rozrywki...

Samochód Deep Przewodnika hamuje obok mnie, otwieram drzwi, wsiadam. Kierowca jest jakiś dziwny, nigdy przedtem takiego nie widziałem. Brodaty, w podartej koszulce, z tatuażami na plecach. Jakiś punk czy co?

– Samochód zaraz przybędzie – oznajmia Windows Home. Wtedy dociera do mnie, że kierowca nie wygłosił tradycyjnego powitania. Że już jedziemy, chociaż nie podałem adresu.

– Stąd jest tylko jedna droga – mówi kierowca z uśmiechem, odwracając się. Ma szramę na policzku i zepsute zęby. To nie program, to żywy człowiek.

– Proszę się zatrzymać.

– Nie wolno. – Kierowca szczyrzy się, od niechcienia kręcąc kierownicą.

Ładne kwiatki.

– Vika, wyście z rzeczywistości wirtualnej! – komenderuję. Bez odpowiedzi.

– Twój program cię nie słyszy – oznajmia kierowca. – Siedź cicho, dobra? Tak będzie lepiej.

Nigdy nie słyszałem o porwaniach w świecie wirtualnym.

– Kim pan jest?

Brodacz tylko się uśmiecha.

Oczywiście, mam wyjście. Niedostępne zwykłemu obywatelowi Deeptown.

Wyjść z Głębi samodzielnie i ręcznie przerwać połączenie.

Tylko czy nie tego właśnie po mnie oczekują? Dowodu, że jestem nurkiem. I przerywania połączenia, gdy jestem w „samochodzie”, programie transportowym, który, to całkiem prawdopodobne, może wyśledzić Unię telefoniczną?

I dlaczego wszedłem dzisiaj z głównego adresu? Pierwszy lepszy dyletant pozna moje dane!

– Czego pan chce?

Kierowca ignoruje mnie, ale nie spuszcza z oka – ciekawość myśliwego, który postrzelił złotego ptaka.

– Sam się prosisz – mówię, starając się nie panikować, i wyjmuję rewolwer.

Sześć kul – sześć różnych wirusów. Słaba broń, ale liczę na różnorodność pocisków. Może obrona porywacza nie wytrzyma.

Trzy kule przechodzą przez niego, nie widząc celu. Dobry antywirus, nie pozwolił zobaczyć swojego komputera. Jedna rozpląszcza się i spada na podłogę – wirus został zabity. Kolejne dwa pociski w ogóle nie opuszczają lufy – unieszkodliwiono je w bębieniu.

Nieźle.

Bez szczególnej nadziei walę kierowcę rękojęcią – to też słaby wirus, skutecznie ogłuszający prościutkie programy typu Deep Przewodnik. Efektu, oczywiście, brak.

– Nie rzucaj się – radzi kierowca, obserwując, jak szarpie klamkę u drzwi.

Wszystko zamknięte naглуcho, poddaję się. W końcu każda zdobyta informacja jest cenna.

Jedziemy dalej. Jeszcze raz próbuję połączyć się z Viką – bezskutecznie. Zablockowano głosowy kanał połączenia.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Na ekranach hełmu pojawia się wnętrze samochodu. A niech mnie, ale zrobione. To całkiem rozpoznawalna sportowa wersja lancii.

Kładę palce na klawiaturze, wybieram kilka komend, naciskam enter.

Działa.

Deep

Enter.

Znowu jestem w samochodzie. Kierowca ogląda się na mnie zakłopotany. W zadumie obracam rewolwer w rękę – znowu naładowany. A w kieszeni ciąży granat.

– Dostał pan przesyłkę? – pyta kierowca.

Teraz ja milczę.

– Ciekawe, w jaki sposób?

– Przyjacielu, wystrzelenie wszystkich naboji jest równoznaczne z rozkazem uzupełnienia zapasów.

W moim tonie pobrzmiwa zarozumiałość drobnego hakera. Wersja brzmi prawdopodobnie, a fakt, że komputer załadował rewolwer porcją nowych wirusów, wcale nie ujawnia we mnie nurka.

– Może poczekamy trochę ze strzelaniną? – rozmyśla głośno kierowca.

Wzruszam ramionami. Brodacz mówi uspokajająco:

– Jesteśmy na miejscu.

Samochód rzeczywiście zahamował obok nieznanego budynku. Szary sześcian bez okien, jedyne drzwi, bardzo szerokie, jak w garażu, i pokazowo pancerne ostrzegają: wejść bez pytania będzie trudno. W takich budynkach mieszczą się albo banalne magazyny artykułów przemysłowych powszechnego użytku, albo luksusowe apartamenty.

– Idziemy? – proponuje kierowca. Milczę.

Brodacz naciska na gaz i samochód skacze do przodu. Na sekundę przed uderzeniem drzwi otwierają się na oścież, wpuszczając nas do środka.

Rzeczywiście magazyn.

Stelaże pod ścianami, pudełka z kolorowymi naklejkami znanych firm. Bardzo dużo dobrego towaru. Albo to filia dużej hurtowni, albo, co bardziej prawdopodobne, złodziejska melina.

Drzwi są już odblokowane. Teraz funkcję samochodu wypełniają ściany tego pomieszczenia. Łączności z Wiką nadal nie ma.

– A więc – mówię, wychodząc z lancii. – Czego pan sobie życzy?

Kierowca nie patrzy na mnie. To głupie, ale odwracam się.

W kącie magazynu stoi człowiek bez twarzy.

Czarny płaszcz do ziemi, srebrna zapinka w kształcie róży na piersi, kręcone włosy – jakieś takie popielate, ale wyglądają całkiem naturalnie. A zamiast twarzy coś w rodzaju obłoczka skondensowanej mgły. Podobne sztuczki zabronione są na ulicach miasta, ale w domu można ich używać. Tylko po co? Chcesz być nierozpoznawalny, weź typową twarz z zestawu Windows Home albo innego, systemu operacyjnego. Jest ich tam do licha i trochę.

A już brak twarzy w połączeniu z tym dziwnym strojem to zwykła głupota.

Chociaż efektowna.

– Zostaw nas, Siemion – mówi Człowiek Bez Twarzy.

Kierowca kiwa głową, odwraca się i znika w labiryncie regałów.

Jego kroki powoli cichną. Rejestruję mimochodem, że mają tu wspaniałe echo.

Może po to, żeby dało się bezszelestnie poruszać.

– Jesteś nurkiem – stwierdza Człowiek Bez Twarzy.

No jasne. Cały dzień jest taki. Znowu próbują mnie wyłapać! Trzeci raz! – Bóg lubi trójcę...

– Możliwe. A pan to prawdopodobnie Bili Gates – odpowiadam.

Jeśli nawet się uśmiecha, nie zobaczę tego.

– Możliwe.

Akurat. Władca Microsoftu nie miałby co robić, tylko uganiać się za nurkami po Sieci. Po pierwsze, on zarabia pieniądze w bardziej tradycyjny sposób, po drugie, nie mówi po rosyjsku. Chociaż... kto wie, na ile doskonale mogą być programy-tłumacze? Drewniana intonacja zdarza się w masowych i tanich programach.

– Nie wygłupiajmy się – mówię. – Pomyślał pan, że jestem nurkiem i ściągnął mnie tu na przesłuchanie? Obawiam się, że muszę pana rozczarować.

– Dziś rano dwóch hakerów, jeden z nich bez wątpienia nurek, skradło w kwartale Al Kabaru plik z technologią produkcji nowego lekarstwa. – Człowiek Bez Twarzy jest cierpliwy i pedantyczny. – Nie wiem, ile im zaproponowano za pracę, ale na szczęście pan Friedrich Urman podpowiedział nurkowi, że właściwą ceną byłoby sto tysięcy. Dalej idą psychologiczne spekulacje. Na przykład, że nurek pozbędzie się gorącego towaru natychmiast. Na przykład, że zażąda od klienta sto tysięcy. Na przykład, że przetrzuci pieniądze na bardzo pewne konto.

To niemożliwe... w bankach pracują profesjonaliści. Al Kabar nie mógł mnie wyśledzić.

– Założmy także, że obaj hakerzy dzielą otrzymaną sumę na pół. A to już staje się interesujące, przyjacielu. Transfer pieniędzy z jednego banku do drugiego... coś takiego ma miejsce w Deeptown co sekundę. Ale transfer dokładnie pięćdziesięciu tysięcy... od osoby prywatnej do osoby prywatnej... numery rachunków pozostaną zagadką, ale miejsce, w którym doszło do podziału, jest doskonale rozpoznawalne. Nadąża pan?

No, proszę. Jakie to proste.

Śledzili mnie od Trzech Prosiaczków. Roman odszedł natychmiast, a ja postanowiłem się przejść.

Idiota.

I po jaką cholereę podzieliłem się z nim po połowie?

– Bardzo interesująca historia. Tylko co ja mam z tym wspólnego?

Rozmówca nie ma twarzy, ale wiem, że się uśmiecha.

– Przegrywać należy z godnością, panie nurku. Jeszcze nie przegrałem, ale on tego nie wie.

– Naturalnie, nurek po to jest nurkiem, żeby nie można go było złapać w wirtualności – kontynuuje Człowiek Bez Twarzy. – Cóż to dla was, bariery programowe? Chwila skupienia i już w domu... żeby odłączyć się ręcznie.

Aha. Dzięki za radę. Wtedy właśnie mnie wyśledzą, w momencie przerwania połączenia...

– Za dwadzieścia cztery godziny, gdy na moim komputerze zadziała timer bezpieczeństwa – krzyczę – pańska wspaniała idea rozsypie się w proch, i wtedy dopiero pan pożałuje! Jestem

uczciwym człowiekiem, płacę podatki! Postawię na nogi całą policję Deeptown!

– Możliwe, choć mało prawdopodobne – mówi Człowiek Bez Twarzy. – Cóż, jeśli się przekonamy, że jest pan uczciwym hakerem – w ostatnich słowach dźwięczy nutka sarkazmu – nikt nie będzie miał do pana żadnych pretensji.

– Złapią pana! – grozę. – I z całą pewnością ekskomunikują.

Ekskomunika to najstraszniejsza groźba dla każdego mieszkańca Deeptown. Trudno żyć bez wirtualności, jeśli choć raz w niej byłeś.

– Sądzę, że do tego nie dojdzie.

Człowiek Bez Twarzy rozchyła płaszcz gestem doświadczonego ekshibicjonisty. Na lewej stronie płaszcz – okrągły tęczyowy dysk. Wijąca się połyskliwa spirala w niebieskiej otoczce.

Masz babo placek. Sam jest z policji. Co najmniej komisarz, skoro ma tęczyowy żeton.

– Proszę, proszę... – mówię przygnębiony. – Wiedziałem, że psy to bydlaki, ale żeby aż tak...

– Niech mnie pan na początek wysłucha.

– A co mi innego pozostaje? – warczę. – Co?

Wyciągam rewolwer i pakuję w drzwi wszystkie sześć kul. Sześć rykoszetów. Na regałach zaczynają wybuchać i płonąć pudełka z softem. Pod sufitem z sykiem ozywają rozpylacze systemu przeciwpożarowego, i po sekundzie wirusy zostają unieszkodliwione.

– Niech pan przestanie histeryzować – mówi Człowiek Bez Twarzy i w jego głosie na moment pojawia się nuta zwątpienia.

– Rzucam w niego rewolwerem. Przelatuje na wylot, spada pod ścianą.

– Uspokoić pana?

Lodowaty ton, nie wróżący nic dobrego.

Siadam na podłodze, obejmuję rękami głowę, szepczę:

– Dranie, dranie... łajdaki...

– Twoje zabawy w Głębi są nam obojętne, nurku. Złodziejstwo nie jest rzeczą godną pochwały, ale już dawno ktoś powinien był dać Urmanowi prztyczka w nos.

Cicho jęczę, kiwając się do przodu i do tyłu. Człowiek Bez Twarzy ignoruje mój spektakl.

– Przepięstwa były, są i będą. Nie jestem Chrystusem i nie pretenduję do absolutnej sprawiedliwości. Mam inne zadania.

– A ja mam mały, legalny biznes! Czego pan chce?

– Już lepiej. Panie nurku, słyszał pan o Zabłąkanym Punkcie? Albo o Bossie Niewidce?

Wszystkiego bym się spodziewał, ale nie starożytnych bajek.

– Punkt to stara nazwa niżowego użytkownika sieci komputerowej?

– Tak. Sieci Fidonet... była taka.

– Chyba coś słyszałem. To o chłopaku, którego zabiło w momencie przebywania w rzeczywistości wirtualnej? A jego świadomość w jakiś sposób nadal żyła w Sieci?

– Tak. Chłopak o bladej twarzy, w spalonym ubraniu, który prosi napotkanych ludzi o przekazanie na trzydziesty moskiewski węzeł, że punkt sześćset sześćdziesiąt sześć zabłądził... A o Bossie Niewidce?

– Poproszę krzesło. – Wstaję z zimnego betonu.

– Chodźmy.

Idziemy na prawo, za stelaże z pudełkami oprogramowania dla macintoshów. Teraz mało kto korzysta z tych komputerów. Byli ludzie i neandertalczyki, a potem były IBM i apple. Ślepe odnogi nie mogą przetrwać.

Za stelażami stoi mały stolik, na nim porozrzucone papiery, obok dwa krzesła. Siadamy.

– Boss Niewidka jest bajką z tych samych czasów – mówi Człowiek Bez Twarzy. – Boss to trochę wyższy stopień w hierarchii Fidonetu... Właśnie do niego zwracali się ci, którzy chcieli zostać punktami, zacząć przynależeć do świata wirtualnego... zresztą, wirtualności jeszcze wtedy nie było. Według legendy zdarzało się, że żółtodzioby znajdowały sobie bardzo dobrego bossa... który proponował im najlepsze warunki: dostęp do Sieci w każdym momencie, wysoką szybkość przekazu danych, podłączenie do każdego klubu... wtedy to się nazywało czat.

Odruchowo kiwam głową.

– I wszystko byłoby w porządku – Człowiek Bez Twarzy chyba nie zauważył mojej gafy – gdyby któryś z punktów nie dowiedział się, że numer telefoniczny, pod którym łączył się z bossem, nie istnieje, a samego bossa nikt nigdy nie widział. Potem Boss Niewidka wysyłał wszystkim swoim punktom list: „Dlaczego mnie prześladujecie?” I znikał.

– Dużo było tych legend – przyznaję. – Pamiętam również historię o szalonym moderatore i czacie „Umrzyj tutaj!”

– Ja też zaczynałem od Sieci Fidonet – informuje Człowiek Bez Twarzy.

Milczę.

– Panie nurku, ja, w odróżnieniu od Urmana, nie pragnę poznać pańskiego nazwiska. A wie pan, co jest najśmieszniejsze? I jemu, i mnie jest pan potrzebny w tym samym celu.

– Wyłapać Zabłąkany Punkt?

Człowiek Bez Twarzy śmieje się cicho.

– To bajka... która zrodziła się na styku czasów, gdy Internet i Fidonet stawały się jedną wirtualnością. Teraz już mało kto ją pamięta. Pięć lat minęło, a ile zostało zapomniane...

– Nic nie zostało zapomniane. Pogrzebane pod świeższymi informacjami, ale nadal żywe.

– Sens jest ten sam.

– Za to dziś zrodziła się nowa legenda.

– Jaka?

– O Człowieku Bez Twarzy.

Mój rozmówca kręci głową.

– Nie sądzę, by była tak intrygująca jak błąd młodzińca w dymiącym ubraniu... i Śmiejemy się cicho.

– A więc, panie nurku... grywał pan w Labirynt Śmierci?

– Możliwe.

– Wie pan, że z nimi współpracuje dwóch nurków?

– Załóżmy...

Aż dwóch? Byłem przekonany, że Labirynt obsługuje jeden ratownik...

– Mogę dać panu ich adresy, sieciowe lub w realu.

Ładnie!

– Jeden z nich jest Ukraińcem, drugi Kanadyjczykiem. Pierwszy mieszka...

– Nie trzeba – mówię z pewnym wysiłkiem.

– Interesujące! Myślałem, że poznanie nazwiska nurka to marzenie wszystkich! Nie wyłączając samych nurków!

– To marzenie należy do najbardziej nikczemnych przestępstw.. według naszego kodeksu.

Po raz pierwszy przyznaję się, że jestem nurkiem. Ale mój rozmówca i tak chyba nie miał co do tego wątpliwości.

– W Labiryncie pojawił się problem... i tych dwóch nie może sobie z nim poradzić. – Człowiek Bez Twarzy pochyła się nad stołem, bierze kartkę, długopis, pisze krótki adres. Dobrze robi, że nie daje mi wizytówki. Nie wziąłbym pliku z jego rąk. – Oto namiar. Jeśli zdecyduje się pan odwiedzić Labirynt, zaproponować administracji swoje usługi i spróbować rozwiązać problem, proszę się ze mną skontaktować. Niech pan poprosi... Człowieka Bez Twarzy.

Nie jest chyba w nastroju, by podawać jakieś bliższe szczegóły. I chyba nie ma wątpliwości, że rzucę się w Labirynt.

– Dlaczego miałbym to robić?

Człowiek Bez Twarzy wyjmuje z kieszeni płaszcza mały znaczek. W jakiś sposób przypomina policyjny żeton, tylko tło jest białe, a w środku nie spirala, lecz tęczowa, utkana z cienkich nitki, wirująca kulka.

– Dlatego.

Znaczek leży na stole pomiędzy nami. Patrzę na niego, ale nie odważam się dotknąć. A nuż zniknie?

Gdy Lady Winter usłyszała od kardynała Richelieu: „Wszystko, co zrobiono z tym człowiekiem, zrobiono dla dobra Francji” – to było nic.

Przedemną leży legendarny Medal Bezkarłości. Prawo do robienia wszystkiego, co tylko można robić w Głębi.

Gdyby Friedrich Urman zobaczył ten znaczek, otworzyłby mi drzwi i osobiście zaprowadził do mostu.

Możliwe, że potem wynajęłoby killerów, żeby się ze mną rozliczyć. Ale w Głębi byłby wobec mnie uprzedzająco grzeczny.

Jeszcze nigdy nie widziałem na własne oczy medalu. Wiem, że kiedyś dostał taki Dmitrij Dibienko – za stworzenie Głębi.

Trzeba dokonać czegoś niezwykle ważnego dla całej przestrzeni wirtualnej, by każde twoje działanie uznawano za właściwe.

– Będzie na pana czekał na tym stole – mówi Człowiek Bez Twarzy. – Otrzyma go pan... jeśli wykona zadanie.

Kiwam głową w milczeniu.

– Proszę jednak wziąć pod uwagę, że będą też inni pretendenci – oznajmia Człowiek Bez Twarzy.

– Szukamy nurków w całej Głębi i wielu znajdziemy. I powiemy im to samo, co panu.

– Co jest w tym Labiryncie? – pytam, odrywając wzrok od medalu.

– Nie wiem. I to mnie właśnie niepokoi.

Pozwalani sobie na uśmiezek – on miałby nie wiedzieć...

– Do tej pory wszystko, co działo się w rzeczywistości wirtualnej, miało swój odpowiednik w świecie rzeczywistym. Rozrywka, biznes, nauka, łączność.

Interesujące, że na pierwszym miejscu postawił rozrywkę.

– Teraz coś się zmieniło. Powodzenia... nurku. Może pan iść. Człowiek Bez Twarzy wskazuje głową drzwi.

– Odejdę swoją drogą.

– Zdecydował się pan odsłonić?

– Oczywiście, że nie.

Na pożegnanie patrzę na mgłę w miejscu jego twarzy. „Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Zdjąłem hełm, niepewnie sięgnąłem do modemu i wyszarpnąłem kabel telefoniczny z gniazda.

– Połączenie przerwane! – oznajmia Vika.

– Wiem, mała.

Proszę bardzo, tajemniczy nieznajomy. Wszystko jest takie proste. Nie standardowe wyjście, które można wyśledzić, lecz natychmiastowe przerwanie połączenia.

Barbarzyństwo, rzecz jasna. Za to całkowity brak wymiany informacji pomiędzy moim adresem a komputerem, w którym istnieje model magazynu.

– Brak sygnału tonowego w linii – mówi Vika. – Proszę sprawdzić kabel.

– Wyłącz się.

– Poważnie?

– Tak.

Ekran zalewa błękitne tło ze spadającą białą figurką.

– Teraz możesz bezpiecznie wyłączyć komputer – szepcze sennie Vika.

Dobranoc, najwierniejsza z moich przyjaciółek. Pstryknąłem wyłącznikiem i cichy szum komputera zamilkł. Potem wyłączyłem modem. Potrzebuję spokojnej nocy, cała poczta może poczekać do jutra. Zresztą już wpół do czwartej, niebo jaśnieje.

Bardzo chce mi się spać. Głowa huczy od nadmiaru informacji.

Ściągnąłem wirtualny kombinezon... cholera, jak śmierdzi potem, powinienem go wyczyścić... i rzuciłem się na tapczan. Dobrze, że nie zacząłem wczoraj tankować. Jaki ja się zrobiłem... przezorny.

Już chyba ze trzy lata temu...

Gdy otworzyłem oczy, była za piętnaście pierwsza. Cicho mamrotał telewizor, który włączył się o dziesiątej. Odłączony komputer z niezadowoleniem milczał na stole. – Jak dobrze – wyszeptalem w sufit.

Należałoby zmienić mieszkanie. Kupić normalne, dwupokojowe, w centrum, w porządnym domu z cegły, z widokiem na Newę. Nie w tej zgniłej, wietrznej proletariackiej dzielnicy.

Vikę też przeniesiemy do nowych apartamentów. Kupię siódemkę, z licencyjnym softem, setką megabajtów pamięci operacyjnej. Holograficzny twardek na tysiąc terabajtów, radiomodem, ultraczuły mikrofon Siemens... kolorową drukarkę, nie wiem po co, ale niech będzie, normalny skaner zamiast tej ręcznej nędzy. Wydzieloną linię telefoniczną... cholera, nawet pięćdziesiąt kawałków nie starczy!

Zresztą po co mi dwa pokoje? I tak mam pustą kuchnię – lodówkę i mikrofalówkę dawno przeniósłem do pokoju, a po wodę bliżej do łazienki.

Postanowione, Vika dostanie nowe mieszkanie. Nie będzie wstyd przyjaciół zaprosić.

Wstałem, dotarłem do lodówki, wyjąłem puszkę piwa. Do dwunastej nie piję, ale już przecież prawie pierwsza. Ale się szczęśliwie obudziłem!

Leciutki schultheiss na czczo wydaje się prawie mocny. Żegnajcie, Amsterdam nawigator, i Bawaria 86, wierni przyjaciele biednych hakerów. Tylko guinness, heineken, killkeny... a zamiast belgijskiej kiełbasy normalna moskiewska serwolotka i wieprzowina. Co by tu jeszcze... no, na przykład ekspres do kawy. Dosyć rozpuszczalnej!

Gdy podczas golenia – po raz pierwszy od dwóch dni – nieźle się zaciałem, fantazja nuworysza podpowiedziała mi jeszcze maszynkę elektryczną. Nic mi więcej do głowy nie przychodziło, przelatywały tylko jakieś głupoty o drugiej linii telefonicznej i drugim modemie – żeby, gdy ja włączę się po Głębi, Vika mogła ściągać pocztę i wykonywać wszystkie nieskomplikowane polecenia.

Ale nie, to jednak zbędny luksus. Nawet Maniak nie ma drugiej linii.

A właśnie, jestem mu winien piwo. Bardzo prawdopodobne, że wczoraj uratował mnie od śmierci.

Nie ma co tego odkładać. Istnieje podejrzenie, że za tydzień będę go mógł poczęstować najwyżej nawigatorem... w sumie też mocne piwo, o specyficznym smaku...

Włączyłem komputer, podłączyłem się do Internetu i po dziesięciu minutach bez żadnej wirtualności przerzuciłem pięć tysięcy dolarów na swoje konto w Petersburgu. Pogrzebałem w szafie, wybrałem w miarę świeżą koszulę i stare, ale czyste dzinsy, wsunąłem do kieszeni dowód i kartę kredytową. Co jeszcze? Prawda, piwo...

Na balkonie stał paskudnie obdrapany pięciolitrowy kanister. Odkręciłem korek, powąchałem. Zaleciało kwaśnym żygulowskim piwem. Wyplukałem naczynie na przemian zimną i gorącą wodą, włożyłem do siatki wiszącej na gwoździu w przedpokoju (pozostałość po poprzednich właścicielach mieszkania – ciągle nie mogę wyrzucić tego chłamu) i wyszedłem z domu.

O ile ładniejsza i czystsza jest moja klatka schodowa w przestrzeni wirtualnej! I nie ma tego wiecznego zapachu zalanej piwnicy i bezdomnych kotów.

Wydostałem się z zaułków, stanąłem na chodniku i uniosłem rękę. Po chwili jakiś stary zygułi

zniżył się do tego, żeby się zatrzymać.

– Do Kredobanku – rzuciłem.

O dziwo, kierowca znalazł trasę.

Po dwudziestu minutach i pozbyciu się resztek gotówki, pod szklanym spojrzeniem ochrony wszedłem do sali banku. Po kolejnych dwudziestu, wypełnionych wszelkimi możliwymi kontrolami, telefonami do głównego oddziału i wielokrotnymi prośbami o podanie numeru rachunku, udobruchani pracownicy banku wydali mi tysiąc dolarów. Oczywiście, w rublach.

Po kolejnym kwadransie byłem już w irlandzkiej piwiarni Molly na ulicy Rubinsteina 36. Za dnia nie jest tu specjalnie tłoczno i to mnie uratowało. Rozluźnione mięśniaki z ochrony na widok kanistra w siatce wpadli w ośpienie. Triumfalnie ominąłem okienko szatni, wkroczyłem w przytulny półmrok sutereny, podszedłem do długiego baru i uśmiechnąłem się do barmana.

Barman w Molly jest, na szczęście, Anglikiem. Nie da się ukryć, oni nas pod wieloma względami przewyższają. Uśmiechnął się do mnie pytająco.

– Dzień dobry, Christian – powiedziałem. – Mogę prosić pięć litrów piwa?

Oswojenie się z nową dla niego sytuacją – nalewaniem piwa litrami – zajęło mu pięć sekund. Uśmiechnął się po raz drugi.

– Jakiego piwa?

– Żygulowskiego.

Ochroniarze za moimi plecami – z jakiegoś powodu postanowili przyjść tu za mną – zaczęli głośno oddychać.

– Żartuję – wyjaśniłem. – Guinnessa, oczywiście.

I podałem Christianowi kanister.

Opanowanie to chyba jedna z obowiązkowych cech najlepszych barmanów Europy, do których Christian niewątpliwie należy. Niedbale wziął kanister, podrzucił w ręce, jakby ocenił pojemność, i zaczął nalewać.

Mięśniaki sterczały za moimi plecami, resztki mózgow im się grzały. Szalenie mnie to bawiło.

– Proszę poczekać, aż się piana ustoi – powiedział Christian z silnym akcentem, stawiając kanister na barze. Coś takiego! Rzadko bywam w Molly, takiej znajomości przedmiotu się po nim nie spodziewałem.

– W takim razie jeszcze kufelek na miejscu – powiedziałem, rozglądając się.

Mięśniaki udały, że studiują baterię butelek za plecami Christiana. Jasne. Dopóki nie upewnią się co do mojej wypłacalności, nie pozwolą się spokojnie napić piwa.

Powoli wyciągnąłem z prawej kieszeni dzinsów garść drobnych i zacząłem je oglądać. Oddech ochroniarzy wyraźnie przyspieszył.

Do licha, czyja naprawdę tak nędznie wyglądam?

Z lewej kieszeni wyjrzała na światło dzienne gruba paczka banknotów stutysięcznych. Położyłem trzy papierki na barze, wziąłem kufel i odwróciłem się.

Czy ktoś tu stał? Chyba mi się zdawało...

Usiadłem przy stoliku obok baru i powoli, z uczuciem rozkoszowałem się najlepszym piwem z wymyślonych na tym grzesznym świecie. Potem odebrałem od radosnego (Europa! ich tak łatwo nie podejdiesz!) barmana kanister i po chwili wahania wziąłem resztę. Piwo i tak tanie nie jest.

A przecież w Głębi puszkowa bawaria i beczkowy guinness są niemal w jednej cenie...

Tym razem udało mi się złapać okazję szybciej – a może to czas przyspieszył bieg? Wskoczyłem do rozsypującej się wołgi i palnąłem radośnie:

– Wal do Maniaka!

Zobaczyłem wpatrzona we mnie wielkie okrągłe oczy.

– Wyłaź – tak samo krótko zasugerował kierowca.

Zatrzymując kolejnego amatora zarobku, upomniałem się w myśli, że nie jestem w wirtualności, gdzie cierpliwa Vika zmieni nieskomplikowaną komendę w zrozumiały adres, lecz w realu.

Maniak mieszka na Wasylewskiej. Sapiąc wdrapałem się na czwarte piętro – gdy budowano ten dom, windy były ciekawostką techniczną – i zadzwoniłem. Raz, drugi, trzeci... przerwa.

Raz, dwa. Nawet, jeśli Maniak jest w Głębi, to podłączony do wszystkich mieszkaniowych kabli komputer podporządkuje się kodowi dzwonka i wyciągnie go z wirtualności.

W mieszkaniu rozległy się kroki. Szybko zasłoniłem wizjer palcem.

– Kto? – zapytał posepnie Maniak.

– Zamawiał pan reket?

Przerwa. Maniak najwidoczniej właśnie wyszedł z Głębi i nie był w nastroju na dowcipy. – Kto?

– Kurczę, ja! – Zabrałem palec.

– Zgrzyt zamków, drzwi się otworzyły. Wszedłem. Maniak był w kombinezonie wirtualnym na gołym ciele, w ręce trzymał broń. Broń była potężna; szczupły, wąski w ramionach haker wydawał się przy niej dzieckiem bawiącym się w wojnę.

– Oho – powiedziałem tylko.

– Tak... grzebałem u jednego typa na kompie... ledwie się wyrwałem. – Maniak nie był rozmowny. Zamknął drzwi, zerknął na kanister, zapytał ze współczuciem: – Co, brak kasy?

– Nie całkiem.

– Mam jeszcze kilka butelek baltiki...

– A to jest guinness – oznajmiłem.

Maniak popatrzył w zadumie na kanister i rzucił:

– Zboczeniec...

Poszedłem za nim do kuchni i zapytałem z obawą:

– A gdzie... twoja?

– U swoich.

– Pokłóciliście się?

– Dlaczego od razu pokłóciliście? – oburzył się Maniak. – Jak żony w domu nie ma, to musieliśmy się pokłócić? Mamę postanowiła odwiedzić... a zresztą, poprzykaliśmy się odrobinę.

– Z powodu?

– A tak... poszedłem pod czerwone światło...

Skinąłem głową. Ciężka sprawa – żyć w Głębi i być żonatym człowiekiem.

Ale jaka to, u licha, zdrada zajrzeć do wirtualnego domu publicznego? Przecież to nie jest prawdziwe!

Usiedliśmy przy stole, Maniak pogrzebał w lodówce i wyjął paczkę parówek, potem przyniósł ze swojego pokoju dwa ogromne gliniane kufle. Uroczyście nalałem piwa.

– Rzeczywiście guinness – przyznał Maniak, rysując palcem na gęstej pianie literę M. – A to numer...

– Za miłość, Szurka!

– Uhu – mruknął posepnie Maniak. Osuszył kufel i chrząknął: – Tak. Miłość. Cholera, diabeł mnie podkusił! Musiałem się pozbyć ogona... dwóch lamerów się przyczepiło... no i postanowiłem

zajrzeć do Polanki Poziomek.

– Po cholere?

– A co, nie wiesz, jakie systemy bezpieczeństwa są w wirtualnych burdelach? – zdumiał się szczerze Maniak. – Tam przecież wysiadują senatorowie, ci z Dumy, biznesmeni... różni finansisci. Odcina cię od prześladowców na amen!

Pokręciłem głową. Nie wiedziałem. Wstyd się przyznać, ale do tych przybytków nigdy nie zaglądałem...

– No i postanowiłem z pół godziny przeczekać – ciągnie Maniak. – Nie będę tam przecież siedział sam jak idiota! Zawołałem jedną dziewczynę... siedzimy, pijemy piwo... guinnessa! – przyznał się w przypiływie szczerości. – No i... jakoś tak... samo z siebie... i w najbardziej interesującym momencie bach! Ktoś mnie spoliczkował! Dziewczyna mnie całuje, a mnie boli! Potem zaczęło się pozaprogramowe wyjście z Głębi... Gala wyciągnęła hełm z portu.

Dolał sobie piwa, a ja pokiwałem ze współczuciem głową. Wyjście pozaprogramowe to nieprzyjemna rzecz. Dla kogoś, kto nie jest nurkiem.

– Będzie dobrze – powiedziałem. – A bo to pierwszy raz?

– Powiedziała, że ostatni – oznajmił posępnie Maniak. – Rok do tych burdeli nie zaglądałem! Nawet kombinezon mam bez stymulatora seksu!

– A ja mam ze stymulatorem – przyznałem się. – Ale do burdeli nie zaglądam.

– Niesłusznie. Baw się, pókiś młody...

W rzeczywistości Maniak jest ode mnie dwa lata młodszy. Ale on jest hakerem, a ja zwykłym żółtodziobem. W dodatku jest żonaty, i to po raz drugi.

– Dobra, wyluzuj. Jutro się pogodzicie.

– Pogodzimy – przyznał Maniak. – Trzeba będzie chociaż dzisiaj się rozerwać...

Wymieniliśmy porozumiewawcze uśmiechy i napiliśmy się piwa.

– Kup Gali damski kombinezon – zaproponowałem. – Wciągnij w Głębię i po problemie!

– Jeszcze czego – burknął Maniak z niechęcią. – Widziałeś kobiety, które raz spróbowały wirtualnego seksu? Mają inną psychikę. Potem żaden normalny facet ich nie zadowoli!

Skinąłem głową, chociaż nie potrafiłem wyobrazić sobie kobiet mających świra na punkcie wirtualnego seksu. Mężczyzn owszem. Wielu dostało fioła, dlatego ja się z tym nie spieszyłem. Co innego eksperymenty z dziewczynami spragnionymi przygód, a co innego profesjonalistki z wirtualnych domów publicznych.

– Zdrowie – zaproponowałem.

Wypiliśmy i napełniliśmy kufle po raz trzeci. Kanister był już do połowy opróżniony, na duszy zrobiło się weselej.

– Za węzeł pięć zero trzydzieści, dwieście siedem – powiedział Maniak. – Za stare Fido...

Wypiliśmy w milczeniu, nie stukając się. Jak za zmarłego.

– Wszystko się zmienia, Szurka – powiedziałem cicho. – Była sieć przyjaciół, gadanie o wszystkim, zawiść wobec Internetu, wyzwiska pod adresem Microsoftu. A teraz nie ma ani Internetu, ani Fidonetu. Tylko wirtualność. A dla niej winda to najwygodniejszy program.

– Chałtura – upierał się Maniak. – A ty co, dalej się w Windows Home bawisz?

– Tak.

– Może i racja – powiedział smętnie Maniak. – Przyjemny głosik, rady co do wielkości pamięci i jakości twardego... tfu! Nie musisz myśleć, prowadzisz kursor po ekranie i patrzysz na obrazki!

– A ty ciągle się grzebiesz z OS?

– Dlaczego grzebiesz? – oburzył się Maniak. – Najlepszy system operacyjny, jeśli nie liczyć Uniksa! Przedwczoraj nową wersję zainstalowałem, cud!

– Za każdym razem, jak do ciebie przychodzę, słyszę to samo. Zainstalowałem nową wersję... trzy dni się z nią pieprzyłem... a u mnie drugi rok Windows Home...

– Każdemu według gustu – zgodził się Maniak i nieoczekiwanie zapytał: – Słuchaj, Lonia, a jak ty ze swojej windy wszedłeś do Al Kabaru?

Odwróciłem wzrok.

– Po Sieci poszła plotka, że dwóch nurków zrobiło Al Kabar w jajo – powiedział przymilnie Maniak.

– Dlaczego dwóch... Jeden nurek i jeden pomocnik – ostatnia próba uniku.

Maniak zaśmiał się cicho.

– Ty mnie za lamera nie bierz, Lonia. Bo takie cacuszko dostaniesz pocztą, że cały soft będziesz na nowo instalował... nurkowie nie biorą zwykłych ludzi na pomocników.

Patrzyłem na Maniaka w milczeniu.

– Jasne – powiedział. – Cóż za fart. Za bogatych durniów i mądrych hakerów.

Stuknęliśmy się.

– Co tam było, Lońka?

– Lekarstwo na katar.

– Poważnie? Nieźle...

Zjedliśmy każdy po kielbasce i pomyślałem z udręką, że wczoraj moja anonimowość doznała uszczerbku. Trzy razy próbowali mnie schwytać.

– Dziękuję.

– Wiesz co... tylko jedno pytanie.

Zawsze to samo. Hakerzy myślą, że dzięki jednemu pytaniu wszystkie tajemnice nurków staną się jasne jak słońce.

– No?

– Gdy nurek chce wyjść z wirtualności... Co wtedy robi? Po prostu myśli, że chce się znaleźć w realu? Czy jak?

– Słyszałem, że jeden nurek... – odwróciłem wzrok – ...mamrocze przy tym głupie zdanie...

– Jakie?

– „Głębio, Głębio, nie jestem twój”.

– To wszystko?

– Czasem jeszcze dodaje: „Wypuść mnie. Głębio”.

– To wszystko? – powtórzył przygnębiony Maniak.

– Tak.

– Brzmi prosto...

Maniak pogrzebał w kieszeniach, wyjął paczkę lucky strike'ów i zapalił. Z lekką urazą

powiedział:

– Przedtem było prościej. Byli hakerzy, uczciwe żółtodzioby, lamerzy. Pierwsi umieją wszystko. Drudzy się uczą. Trzeci to głupki, z których można sobie zakpić. Ty, jak byłeś żółtodziobem tak nim zostałeś...

– Zgadza się – przyznałem.

– I wtedy pojawiła się Głębia... wydawało się, że spełni wszystkie nasze marzenia. – Maniak zaśmiał się gorzko. – A tak naprawdę guzik z pętelką! Jestem dobrym hakerem – oznajmił wyzywająco – a w wirtualności jestem jednym z milionów! No, może trochę bystrzejszym. W końcu ma się to doświadczenie! Ale i tak... czasem takie rzeczy się dzieją...

Zamilkł, obracając w ręce kiełbasę.

– Kilka dni temu zjadłem mysz – oświadczył wreszcie.

– Co?!

– Mysz. Komputerową. No, nie samą mysz... za twarda... przegryzłem kabel.

– Po co? – zapytałem tępo.

– Przypadkiem. Byłem w Głębi. Siedzieliśmy z chłopakami w Tęczy, piliśmy piwo, jedliśmy wędzoną rybę... a jak mi się ryba skończyła, wziąłem z talerza od Maksa...

– Przecież Maks nie pije piwa!

– Fiestę pił.

– Z wędzoną rybą?!

– Żeby się nie wyróżniać... – Maniak westchnął. – No i widocznie za daleko sięgnąłem... i wyrwałem się w real. Wyszedłem, patrzę, a myszka ma przegryziony kabel! I jakby go trochę brakuje...

– Żołądek cię nie boli? – Na razie nie...

Napełniliśmy kufle.

– O, albo to – mówi Maniak. – Labirynt Śmierci znasz?

– Tak. – Natychmiast wytrzeźwiałem.

– Jakoś niedawno postanowiłem się rozerwać, zajrzeć od razu na siedemnasty poziom. Co oni tam nakombinowali, koszmar, a nie gra! Krótko mówiąc, ugrzęzłem.

– To znaczy?

– Nie mogłem przejść na następny poziom. A bez tego nie pojawia mi się menu.

– I co?

– Siedziałem trzydzieści sześć godzin – powiedział ze złością Maniak. – Całe towarzystwo się nas zebrało... idiotów. Z dziesięć razy nas zastrzelili, potem po prostu się zabarykadowaliśmy, siedzieliśmy w jednej piwnicy, śpiewaliśmy piosenki, ostrzeliwaliśmy się od potworów, dopóki nie zadziałały nam timery.

– Nieprzerwany pobyt w Głębi masz ustawiony na trzydzieści sześć godzin?

– Teraz na dwadzieścia cztery.

– A Gala co?

– Była u teściowej... Łońka, jakie ty masz ograniczenie?

– Zdjąłem zakaz – przyznałem się.

– Jasne... nurek... – Szurka zaśmiał się z przymusem. – Do licha! Nigdy w was do końca nie wierzyłem, chociaż podejrzewałem!

– Mnie?

– Pewnie. Po co żółtodziobowi bojowe wirusy i odtrutki?

Zrobiło mi się troszkę smutno. Coś się zmieniło w naszych stosunkach. Zbyt gwałtownie. Może z czasem to minie...

– Szurka, jedyne, co umiem robić, to wychodzić z wirtualności. Każdy program to dla mnie kupa bezmyślnych symboli i plik startowy.

Maniak pokiwał głową:

– Rozumiem. Ale powiedz, zamieniłbyś się ze mną? Co jest ciekawsze: tworzyć Głębię czy władać nią?

Milczę.

– Nalewaj... – mówi z westchnieniem Maniak.

U Maniaka siedziałem do późnej nocy. Po guinnessie przyszła kolej na baltikę numer sześć, a na deser Szurka wygrzebał puszkę urodzinowego kronenburga. Ani irlandzkie, ani peterskie, ani francuskie piwo nie zawiodło.

W głębi duszy byłem rad, że w końcu się przed kimś odkryłem. Moi przyjaciele hakerzy dzielą się na dwie grupy: jedni dochowiają tajemnicy do pierwszej butelki piwa, drudzy po tejże butelce o tajemnicy zapominają. Szurka należy do drugiej kategorii.

Przynajmniej teraz będzie wiedział, po co mi ten cały różnorodny wirusowy soft wyciągany od niego prawdą i podstępem.

O ileż byłoby prościej, gdyby Głębia tak nie wciągała, myślałem w taksówce w drodze do domu. O ile słuszniej i lżej.

Nie byłoby podziału na farciarzy i nieudaczników, podziału nie do pokonania. Nie byłoby tego szaleństwa – wielkich programistów, którzy nie mogą przekroczyć granicy pomiędzy iluzją a jawą, i takich ignorantów jak ja, dla których bariera nie istnieje.

Nie byłoby zazdrości i wiecznego polowania.

Ale czy to moja wina? Sam nie wiem, czemu tak się dzieje, jaki błąd świadomości – właśnie błąd, skoro jesteśmy mniejszością – czyni z człowieka nurka. Ale nie korzystanie z tej zdolności byłoby głupotą. Zaproponowanie zbadania jej – koszmarem.

Tak po prostu wyszło. Ktoś skacze osiem metrów w dal, ktoś pisze wiersze, a nad kimś innym nie ma władzy wirtualność. A dlaczego jest nas tak mało? Nie stanowimy nawet procentu, liczy się nas na sztuki...

– Tutaj? – pyta kierowca.

– Tak, dziękuję.

Zapłaciłem, wysiadłem z samochodu, wszedłem do klatki schodowej. Czulem się nadęty jak balon. Teraz trzeba albo kłaść się spać, godząc się na poranne rozbicie, albo nurkować w Głębię. Dobrze robi na kaca.

Na klatce, na pierwszym piętrze, gdzie zawsze pali się światło, siedziało na podłodze pięciu małolatów. Grali w karty, o czymś rozmawiając, a raczej przekrzykując się nawzajem. Dwóch znałem. Małe stadko drobnych drapieżników, które z przyjemnością zagryzą samotnika w ciemnej bramie. Ale tu jestem bezpieczny. Drapieżniki nie polują w pobliżu własnej nory.

– Dzień dobry – burknął chłopak mieszkający nade mną. W identycznym jednopokojowym mieszkaniu, z rodzicami i starszą siostrą, często wracającą nad ranem. Słyszalność doskonała, znam wszystkie ich problemy i skandale.

– Witaj – odpowiedziałem.

– Lonia, nie ma pan papierosów?

Jestem od niego starszy o piętnaście lat, ale chłopaki uważają mnie niemal za rówieśnika. Może dlatego, że nie mam żony, a w moich śmieciach przeważają puste butelki po piwie.

– Chwilę.

Nie palę, ale w domu zawsze trzymam dwie paczki papierosów dla wpadających hakerów. Palenie to ich cecha zawodowa.

Chłopak cierpliwie stał pod drzwiami, gdy odstawiałem kanister, włączałem światło i grzebałem w szafce.

– Trzymaj.

Skinął z wdzięcznością głową, gdy otwierał paczkę, machnąłem ręką, „bierz całą” – i zamknąłem drzwi na klucz. Drapieżniki trzeba czasem dokarmiać. Odrobinę. Żeby nie zbeczelnieli, żeby w zamroczonych alkoholem komórkach mignęła myśl, że jestem porządny gość.

Rozebrałem się szybko, rzuciłem ubranie na łóżko, poszedłem do łazienki. Chwilęostałem pod zimnym prysznicem.

Nie ma mowy o śnie. Głębia czeka.

Cały dzień starałem się nie myśleć o Człowieku Bez Twarzy i o Medalu Bezkarłości leżącym w magazynie. Ale teraz, w ciemności, gdy wirtualność była tuż obok, nie potrafiłem się skupić na niczym innym.

Człowiek i Medal.

Bat i marchewka.

Co takiego mogło się stać w Labiryncie, że nie może sobie z tym poradzić dwóch nurków? Zawodowcy, pracujący, niechby anonimowo, ale na stałej umowie? Znający Labirynt do ostatniego zakrętu...

Coś nie mającego odpowiednika?

Bardzo dziwne.

Wytarłem się, rzuciłem ręcznik na miednicę z brudną bielizną, wróciłem do pokoju, pstryknąłem włącznikiem komputera i zacząłem wkładać kombinezon.

– Dobry wieczór, Lonia – odezwała się Vika.

– Cześć, stara.

Kobieca twarz na monitorze uśmiecha się. Błąd. Pora dać nową reakcję na słowo „stara” – lekka uraza, wyduęcie warg, odwrócone spojrzenie.

– Poczta jest?

– Siedem listów.

– Czytaj.

Nic interesującego. Zaproszenie do odwiedzenia dwóch nowo otwartych klubów, cenniki jakiejś małej firmy handlowej, list od Maniaka, wysłany rano...

– Usuń wszystko – powiedziałem, siadając przed komputerem. Wetknąłem wtyczkę kombinezonu, włożyłem hełm. – Vika, podłącz się do Deeptown... przez kanał rezerwowy... osobowość numer siedem.

Tego wejścia nie używałem ze trzy miesiące. Podobnie jak osobowości – stalowy garnitur, czarna koszula, chustka na szyi, wysokie skórzane buty, sprężyste szczupłe ciało, smągła wąska twarz, włosy do ramion, niski silny głos.

– Rezerwowy kanał, siódma osobowość – potwierdza Vika. Tęcza przed oczami, fajerwerk, chciwy płomień ognistej fali.

Głębia.

Siedzę w malutkim pokoju. Łóżko, stół z komputerem, nie moim, jakimś kompletnie abstrakcyjnym, drzwi. Hotel Początek Drogi. Tutaj za grosze pokoje wynajmują ci, którzy niezbyt często odwiedzają

Głębię.

– Wszystko w porządku, Lonia?

– Tak.

Otwieram drzwi, wychodzę. Długi korytarz, drzwi po obu stronach. Przed jednym stoi Sylvester Stallone, z zachwytem oglądając własne dłonie.

– Witaj, Sly – rzucam, przechodząc obok. Prawie na pewno chłopak jest Rosjaninem, a już bez dwóch zdań – nowicjuszem.

– Podobny? – pyta z nadzieją chłopak.

– Tak... – zatrzymuję się. Piwo nastraja mnie przyjacielsko.

– Pierwszy raz w Głębi?

– Gdzie?... Tak, pierwszy.

– Używanie wyglądu zewnętrznego znanych ludzi jest w złym tonie. Po tym poznaje się nowicjusza. Postaraj się stworzyć własną osobowość... weź choćby Biokonstruktora i trochę się pobaw.

– Biokonstruktora? – pyta zakłopotany chłopak.

– Tak. Prosty program z rosyjskim interfejsem. Leży na wszystkich serwerach w rozdziale dla nowicjuszy.

– Dziękuję. – Stallone idzie za mną. Zauważam, że zaczął się garbić, jakby wstydził się swojego wyglądu. Dobry znak.

Razem wchodzimy do windy, zjeżdżamy na parter. W przestronnym holu dyżuruje czterech portierów i dwóch ochroniarzy.

– Podejść do któregoś – radzę – i poproś o konsultację. Gdzie pójść na początek, jak się zachowywać...

– Jakoś głupio...

– Głupio robić z siebie głupka. Ci goście właśnie po to tu siedzą. Na ulicy pytaj o radę ludzi z nazywką na rękawie w kształcie otwartej dłoni, to pomocnicy, wolontariusze. Albo policjantów. Ustawiłeś timer?

– Oczywiście! Na dwie godziny!

– Świetnie. Poświęć kwadrans na rozmowę z portierem, to zaoszczędzisz znacznie więcej. Szczęśliwego żeglowania.

– Szczęśliwego żeglowania! – powtarza z zachwytem nowicjusz. Jak przyjemnie być starym bywalcem.

Mrugam do portiera i wskazuję głową Stallone'a; może mu być wstyd samemu podejść. Wychodzę z hotelu, podnoszę rękę, natychmiast zatrzymuje się taksówka. To nie rzeczywistość...

– Kompania Deep Przewodnik wita pana z radością, Strzelcu! – mówi kierowca.

– Do Labiryntu Śmierci. Korpus administracyjny.

Są gry. I są Gry.

Różnią się długotrwałością istnienia.

Przemysł komputerowy wypuszcza około tysiąca gier tygodniowo. Zarówno obliczonych na Głębię, jak i tych prostych, dla zwykłych użytkowników.

Zazwyczaj gra zachowuje aktywność pół roku. Rozchodzi się legalnymi i nielegalnymi kanałami, omawia się ją. Gracze wychwytyją wszystkie pułapki, i te wpakowane przez twórców, i te przypadkowe. Potem gra umiera, przechowywana najwyżej przez setkę fanatyków.

Zdarzają się wyjątki, gdy gra żyje latami. Pojawiają się nowe, bardziej doskonałe gry, ale stara nadal ma tłum wielbicieli.

I są trzy wyjątki, które przetrwały od czasów ery przedwirtualnej. Doom, C&C i Mortal Combat. Oczywiście, zmieniały się dziesiątki razy. Ale to była raczej kosmetyka niż zasadnicze poprawki.

C&C to gra strategiczna, jej przestrzeń wirtualną stanowi cała planeta. Na tym poligonie niedoszli Napoleonowie i Żukowowie prowadzą niekończące się wojny o hegemonię nad światem, dowodząc w nieistniejących sztabach wymyślonymi armiami. Zgrzytają gąsienice czołgów, w niebo wzbijają się rakiety. Opracowuje się nowe, potworne rodzaje broni, stolice giną od wybuchów atomowych. Tutaj nie potrzeba zręczności ani bystrego oka, ważna jest strategia. Podobno grę pilnie obserwują wojskowi... i czasem fartowni gracze otrzymują propozycję rozpoczęcia prawdziwej służby w wojsku. Jednych to odstrasza, a innych przyciąga. Trochę się kiedyś bawiłem tymi „żołnierzami dla dorosłych”. Moim zdaniem to nieszkodliwa i spokojna gra. Siedzisz z filiżanką kawy, w pięknym mundurze, w sztabie wypełnionym wyszkolonymi adiutantami, i mówisz: „A może by tak rzucić na Los Angeles bombę termojądrową?”

W zeszłym roku gra się nieco zmieniła, teraz trzeba ją zaczynać od porucznika, dowodząc małym oddziałem w walkach taktycznych i podporządkowując się cudzym rozkazom; trzeba się wspinać po szczeblach kariery aż do stanowiska głównodowodzącego kraju. Pojawiły się możliwości wojskowych przewrotów, zdrad, wojny partyzanckiej „przeciwko wszystkim”... może przez to gra stała się ciekawsza. Ale ja lubiłem poprzednie zasady.

Mortal Combat jest jeszcze bardziej nieskomplikowana. To rzeź w wirtualnej przestrzeni. Można użyć jednej z setek gotowych osobowości albo wymyślić swoją. I wziąć udział w wielodniowym turnieju o prawo do walki z głównym łajdakiem marzącym o podboju całej Ziemi. Niesamowicie pożyteczna gra. Nigdzie indziej nie wytracisz tak skutecznie zbędnej energii, nie pozbędziesz się niezdrowych emocji, jak na posępnych arenach Mortal Combat – waląc przeciwnika piętą w czoło czy rzucając na niego magiczne zaklęcie. Dobra gra. Wchodziłem tam dwa razy na miesiąc, ale są tacy, którzy nie schodzą z aren. Podobno, jeśli się nie nadużywa magii, która w realu jest, niestety, niedostępna, to można się nauczyć niezłe walczyć. Osobiście w to wątpię. Cios, który poczułeś w kombinezonie wirtualnym to jedno; autentyczna gazrurka, którą przygrzeją ci na ulicy, to całkiem co innego.

No i jest jeszcze Doom. To właśnie od wejścia w tę grę zaczęła się cała wirtualna era.

Jej główne pole nazywa się mało oryginalnie – Labirynt Śmierci. To rzeczywiście labirynt; pięćdziesiąt poziomów, część położona w budynkach i podziemiach, część na ulicach posępnego miasta – umownego megalopolis podbitego przez cywilizację obcych. Głębia w Głębi, przestrzeń w przestrzeni. Z własnymi prawami i zasadami.

Poziom pierwszy to dworzec, dokąd gracz przybywa drezyną, uzbrojony w jeden jedyny pistolet. Dworzec wypełniony jest potworami, byłymi mieszkańcami Miasta Zmierzchu i innymi graczami. Nie wiadomo, która z kategorii jest bardziej niebezpieczna – potwory są lepiej uzbrojone, a gracze sprytniejsi niż maszyny. Na dworcu można znaleźć broń, apteczki, jedzenie. Wychodząc z dworca, trafiasz na drugi poziom – autostradę. Pełno tam porzuconych samochodów, potworów i, rzecz jasna, graczy. Aby zwyciężyć, trzeba dojść do pięćdziesiątego poziomu – starożytnego soboru w centrum miasta – i zniszczyć przywódcę kosmitów. To trudne. Kiedyś doszedłem. Ale od tamtej pory Labirynt zmienił się z dziesięć razy – pojawiły się nowe budynki, uzbrojenie, potwory. I, oczywiście, nowi gracze-wirtualni narkomani nie wyobrażający sobie życia bez strzelaniny na ulicach Miasta Zmierzchu.

Ciekawa gra. Przede wszystkim dlatego, że wymaga ciągłego kontaktu z innymi ludźmi. Nie walki na zabój, jak w Mortal Combat, nie wymiany dyplomatycznych not i gróźb, jak w C&C, lecz kontaktu. Zawierania przymierzy, umów, zwykłego życiowego sprytu...

I cóż takiego niezwykłego mogło się pojawić w przestrzeni Labiryntu?

Korpus administracyjny Labiryntu Śmierci jest dwupiętrowym budynkiem na peryferiach Deeptown, o ścianach wyłożonych różowymi muszelkami. Wygląda pokojowo i przytulnie, bardziej przypomina dom mieszkalny niż biuro. W takich domkach mieszkają pewnie średnio zamożne amerykańskie rodziny. Wejście do Labiryntu znajduje się opodal, i jest znacznie bardziej efektowne. Stoję w sadzie, przyglądam się ochroniarzowi przy drzwiach. Ubrany w kamuflujące, standardowe umundurowanie graczy, w ręce sztucer. Gęba nieprzenikniona; stoi i nawet nie drgnie. Człowiek czy nie? Głupio pytać, tym bardziej, że dobrze zrobiony program trudno odróżnić od człowieka. Mijam ochroniarza, wchodzę do niewielkiej sali. Przez okna wpada światło słoneczne. Pod ścianami stoliki z czasopismami, miękkie fotele. Pośrodku stół wyglądający nieco solidniej, przy nim uśmiechnięta dziewczyna. Sekretarka, i to chyba żywa.

– Dzień dobry – mówię.

Twarz sekretarki trochę się zmienia.

– Dzień dobry – odpowiada. Głos delikatny, przyjemny. Chyba przełączyli mnie na rosyjską pracownicę firmy.

– Chciałbym porozmawiać z kierownictwem – oznajmiam bez ceregieli.

– Jeśli mogę prosić, jakieś konkrety.

Dziewczyna jest uosobieniem uprzejmości. Ale przebić się przez tę zasłonę jest równie trudno co przez potwora przy moście Al Kabaru.

– Mam poufne informacje dla kierownictwa Labiryntu.

– Poproszę jednak o krótkie przedstawienie celu wizyty. Cóż...

– Chciałbym zawiadomić pana Gilermo Agirre, że wiem o pewnym małym problemie, który pojawił się w ostatnich dniach, i o tym, że współpracujący z wami nurkowie nie zdołali go rozwiązać. Mam zamiar zaproponować w tej sprawie swoje usługi.

Sekretarka kiwa głową.

– Jedną chwileczkę.

Wstaje bez pośpiechu i wychodzi przez jedne z wewnętrznych drzwi. Cierpliwie czekam. Wszystko tu jest bardzo miłe i patriarchalne. Żadnych komputerów ani potworów. Nie kombinat najbardziej posępnej i najdroższej rozrywki w historii ludzkości, prędzej mała hurtownia papieru toaletowego...

Dziewczyny nie ma dłuży czas. Mam dość stania, siadam na jednym z foteli, przeglądam rozrzucone na stoliku czasopisma. Cicho, spokojnie. Żadnych innych petentów, choć na pewno jacyś tu są. Po prostu nie widzimy się nawzajem, oni kontaktują się z innymi pracownikami.

– Panie...

– Strzelec – mówię, wstając. – Proszę do mnie mówić Strzelec.

Dziewczyna kiwa głową.

– Pan Gilermo pana przyjmie.

W jej głosie słyszę ton ciekawości. Chyba nie podejrzewała, że w Labiryncie są jakieś problemy.

Wchodzę we wskazane drzwi i zastygam.

Ładnie tu.

Pomieszczenie ma kształt nieregularnego trójkąta; jedna ze ścian, całkiem przezroczysta, udostępnia widok zalanego czerwonym światłem zachodzącego słońca miasta. Nie Deeptown... raczej Miasto Zmierzchu. Biurko kierownika służby bezpieczeństwa Labiryntu, pana Gilermo, ma kształt podkowy. Stoją na nim trzy monitory komputerowe i klawiatura, nic więcej. Sam pan Gilermo już wstaje. Starszawy, szczupły, opalony, w szortach i koszulce.

– Dzień dobry – pierwszy wyciąga rękę. – Więc to pan jest Strzelcem? Proszę mi mówić Willy.

Willy to Willy. Ściskam jego rękę.

– Mówił pan takie interesujące rzeczy. O problemach, nurkach, pomocy... – Willy śmieje się i macha rękami. – Bach! Bach! Taka pomoc?

Interesujący program tłumaczący. Silny akcent, słowa wtręty, jakby Gilermo mówił po rosyjsku sam. Od razu inny stosunek do człowieka...

– Bądźmy wobec siebie szczerzy – proponuję. Willy Gilermo marszczy czoło i kiwa głową. – Jestem nurkiem.

– Tak? – interesuje się uprzejmie Willy. – A cóż to takiego?

Uśmiecham się w odpowiedzi.

– Zapewne pańscy pracownicy, ukraiński i kanadyjski, szybciej to wyjaśnią. Mam na myśli nurków, którzy pracują na stałej umowie.

Willy patrzy na mnie i milczy. Potem kiwa głową.

– Sądziłem, że Anatol jest Rosjaninem. To Ukrainiec?

Taaak. Człowiek Bez Twarzy jest lepiej poinformowany niż kierownik służby bezpieczeństwa Labiryntu.

– To szczegóły – zapewniam.

– Proszę, niech pan usiądzie, Strzelcu... – Willy podsuwa mi fotel, sam podchodzi do okna. Patrzy na zalane krwawą zorzą miasto. – Więc jest pan nurkiem?

Kiwam głową.

– Bardzo interesujące. Niezwykłe! – Willy podnosi palec wskazujący. – Wszyscy szukają nurków, wszyscy mają prośby, interesy, pytania... a pan przyszedł do nas sam.

Milczę.

Willy odwraca się.

– Ma pan interesujący garnitur, Strzelcu – mówi. – Pasowałoby do niego kepi. Takie małe szare kepi!

Rozumiem. Nieskomplikowany test.

– Vika...

Willy uśmiecha się. Jasne. Tej samej sztuczki użył Człowiek Bez Twarzy. Jestem odcięty od swojego systemu operacyjnego. Powinienem być się tego spodziewać.

„Głębio. Głębio, nie jestem twój...”

Głowa jednak boli. Piwo...

Zdjąłem hełm, sięgnąłem do myszki. Włączyłem Biokonstruktora, szybko wybrałem w menu ikonę „ubranie”, potem „nakrycia głowy”. Wyszukałem coś pośredniego pomiędzy beretem a kepi. Wypełniłem szarostalowym kolorem i włożyłem sobie na głowę. Osobowość numer siedem,

Strzelec...

Deep

Enter.

Beret siedzi na mojej głowie. Nie wiem, czy właśnie to miał na myśli pan Agirre, ale chyba jest usatysfakcjonowany.

– Cenimy sobie pracę nurków – mówi Willy. – Ale nasi stali pracownicy dobrze sobie radzą. Potrzebny jest czas, trochę czasu. Zaproponujemy panu interesującą pracę.

Kręcę głową, beret zjeżdża na bok.

– Panie Gilermo – mówię z szacunkiem, ale twardo. – Chcę pomóc Labiryntowi w jednej konkretnej sprawie.

Zdumione uniesienie brwi.

– Czy ostatnio w Labiryncie zdarzyło się coś dziwnego? – milknę, czekam na reakcję. Willy zamyślił się.

– Dziwnego? – skinienie w stronę okna. – Tutaj codziennie coś się dzieje. Wojna! Strzały! Radość! Czyżby Człowiek Bez Twarzy się mylił? Zaczynam czuć się jak idiota.

– Pańscy nurkowie... – zaczynam. – Czy na przykład wczoraj poradzili sobie ze swoją pracą?

To jedyne, co wiem. Nurkowie Labiryntu nie spełnili pokładanych w nich nadziei...

– A! – Willy kiwa głową. – A! Ten nieudacznik!

Na wszelki wypadek kiwam głową.

– To problem? – Agirre poważnieje.

– O ile wiem, tak.

Pauza. Gilermo coś rozważa.

– Strzelcu, co pan wie?

Nie ma co kłamać. Mam przed sobą człowieka, z którym nie warto blefować.

– Niewiele. Powiadomiono mnie, że w Labiryncie pojawił się problem. Że pańscy nurkowie nie mogą go rozwiązać. Poproszono mnie o udzielenie panu pomocy.

Znowu pauza. Jestem anonimowy, wtajemniczenie mnie w nieprzyjemne strony życia kompanii jest ryzykowne. Ale Gilermo najwyraźniej ma nosa do kłopotów i do tego, jak je pokonać.

– Podpisze pan jednorazową umowę? – mówi szybko i rzeczowo.

– Tak.

– Całkowita dyskrecja – dodaje. – Ze wszystkimi możliwymi konsekwencjami karnymi.

– Tak...

– Proszę, Strzelcu – wskazuje swoje biurko. Podchodzę, sądząc, że teraz dojdzie do podpisania dokumentów o współpracy. Ale Willy wskazuje na środkowy monitor. – To trzydziesty trzeci poziom Labiryntu, Strzelcu. Disneyland.

Patrzę na ekran i poziom mi się bardzo nie podoba. Choćby dlatego, że w czasach, gdy go przechodziłem, wyglądał zupełnie inaczej.

– Bardzo, bardzo niedobry poziom – mówi Willy. Precyzuje: – Trudny. To początek. Rosyjska kolejka. To – kładzie palce na klawiaturę i obraz zmienia się – demon. Zły!

Tak jakby wyobrażenia twórców Labiryntu mogła zrodzić dobre demony...

– Oto on... – jeszcze jedno dotknięcie klawiszy. – Nieudacznik.

Gilermo milczy, ale to nie teatralna pauza – niczego niezwykłego na ekranie nie ma. Agirre po prostu się zastanawia.

– Więc to właśnie jest problem, Strzelcu? Tak?

Żaden normalny obywatel Deeptown nie może wyjść z głębi sam. Po prostu nie zobaczy swojego komputera, nie zdoła wprowadzić komendy wyjścia ani połączyć się z systemem operacyjnym głosowo. Tylko w wirtualnych mieszkaniach, gdzie stoją narysowane analogi prawdziwych komputerów, świadomość litościwie na to zezwala. Z Głębi wychodzi się tam, gdzie się wchodzi. W wymyślonym domu, który może być pałacem albo norą, ale z prawdziwym komputerem.

Dlatego istnieją timery. Wbudowano je we wszystkie programy – od Windows Home Microsoftu, po rosyjski Wirt Nawigator i Deep Komandor. Maksymalny czas pobytu w Głębi – czterdzieści osiem godzin. Tyle człowiek może wytrzymać bez jedzenia i wody. Rozsądni użytkownicy zawsze ustawiają mniejszy czas. Kilka godzin, doba... Maniak, który ustawił timer na trzydzieści sześć godzin to wyjątek. Przebudzenie się człowieka, który łąził po Głębi dwie doby to widowisko... lekko woniejące.

Oczywiście, timer można wyłamać i odłączyć. Albo wyłamać i dodać kilka zer do czterdziestu ośmiu godzin. Ale tacy kamikadze trafiają się rzadko, a ich koniec bywa opłakany.

Na przykład taki, jak u Nieudacznika.

Labiryntu Śmierci nie można przejść jednym zrywem. Po prostu nie wystarczy sił. W wirtualności nie chce się spać, ale granice wytrzymałości jednak istnieją. Dlatego pod koniec każdego poziomu gracze mają dostęp do menu gry, gdzie mogą zapisać swoje dane i wejść w zwykłą Głębię. Wejść, żeby kiedyś wrócić.

Ale czasem zdarzają się optymiści, którzy chcą przejść Labirynt od razu. Powtórzyć pierwsze, legendarne zanurzenie w wirtualność. Wyłamują timer, czasem sami, czasem korzystając z jakiegoś hakerskiego programu. Odcinają sobie gwarantowaną drogę powrotną. I nurkują do samego dna.

Na powierzchnię wyciągają ich nurkowie. Każde duże centrum gier ma kontakt z którymś z nas. Te największe trzymają anonimowych pracowników na stałej umowie. Taniej wychodzi płacenie nam, niż rodzinie zmarłego z wyczerpania gracza.

Patrzyłem na Nieudacznika. Był ubrany w zwykły kombinezon maskujący, hełm z maską, z broni miał tylko pistolet. Albo tak wszedł na trzydziesty trzeci poziom, albo może go już kiedyś zabijali. Po śmierci w Labiryncie gracz automatycznie pojawia się na początku poziomu z minimalną ilością broni.

– Brednie – mówię.

– Co? – zainteresował się Gilermo.

– Dawno tam jest?

– Trzydzieści dziewięć godzin. Wyławiamy graczy od momentu wejścia do systemu.

A więc Człowiek Bez Twarzy zainteresował się Nieudacznikiem niemal od razu, gdy ten znalazł się w Labiryncie, bacznie go obserwował i natychmiast zaczął szukać nurków.

– Jego timer mógł być ustawiony na dwie doby.

– Tak. Ach, jakie to nieapetyczne! – Gilermo wzdycha. – Załatwiać się w kombinezon... fuj!

Dlaczego Człowiek Bez Twarzy podniósł alarm? Przecież nic strasznego jeszcze się nie stało. Kolejny zarozumiały miłośnik gier.

– Długo tak siedzi?

– Około doby. – Gilermo kiwa głową. – To dziwne. Próbował przejść poziom pięć razy... potem

zrezygnował. Usiadł przy wejściu.

– I co zrobiliście?

– Posłaliśmy Anatola – Gilermo rozkłada ręce. – On umie to robić... doprowadzić do końca poziomu.

– I co?

Informacje muszę wyciągać jak kleszczami. Nie dlatego, że Gilermo coś przede mną ukrywa. On po prostu nie wie, co mnie właściwie interesuje, przywykł do kontaktów ze specjalnie przygotowanymi, rozumiejącymi go w pół słowa nurkami.

– Niech pan wyjaśni wszystko po kolei, Willy.

Gilermo kiwa głową.

– Gracz wszedł na ten poziom dwadzieścia dziewięć godzin temu. Pięć razy próbował go przejść, ale zabijano go. Szybko.

– Demon?

– Nie, demona sam załatwiał. Inni gracze. Potem siadł. Posłaliśmy Anatola, żeby prowadził Nieudacznika. Zabili ich. Anatol poszedł drugi raz, ale znowu nie mieli szczęścia. Klienta zabili. Anatol się wkurzył. Wszystkich wystrzelał, kto tam tylko był... – Gilermo śmieje się pobłaźliwie. – Dzisiaj nurkowie mieli spróbować razem. Poproszę o raport, dobrze?

– Dobrze – mówię, nie odrywając spojrzenia od ekranu. Młody chłopak w kombinezonie i z pistoletem. Co zaniepokoiło Człowieka Bez Twarzy? Dlaczego uważa, że to, co się dzieje, nie ma odpowiednika? Dlaczego proponuje za to nieskomplikowane zadanie Medal Bezkarłości jako nagrodę? – Willy, czy działo się jeszcze coś dziwnego?

Nieśmiała nadzieja, że chodziło o zupełnie inne zadanie.

– Nie.

– Nic?

– Nic! – Gilermo rozkłada ręce. – Troszczymy się o naszych klientów. W Labiryncie wszystko jest pod kontrolą.

Patrzę na ekran i czekam.

– Tak... – mówi Agirre z ciekawością. – Tak, tak... rano próbowali go wyprowadzić, dwa razy. I trzy razy w dzień... nie udało się.

– I pan o tym nie wiedział? – Nie mogę się powstrzymać od złośliwej uwagi.

– Nie hamujemy inicjatywy naszych pracowników – odpowiada z godnością Gilermo. – Sytuacja nie jest na razie krytyczna.

Ma rację. Ale zaczynam czuć lekki niepokój. Kim jest ten gracz, który wdepnął w kłopoty? Prezydent USA, papież, Dmitrij Dibirienko?

– Kim on jest? – pytam na głos.

Gilermo wzrusza ramionami.

– Nie wiadomo...

– Nie kontrolujecie swoich użytkowników?

– To centrum rozrywki, a nie KGB – odpowiada z dumą. – Informacja może zostać skradziona. Jak pan sądzi, czy solidny dyrektor korporacji albo arabski szejik ucieszyłby się z artykułu o swoich przygodach w narysowanym świecie?

– I co takiego...

– Dla pana nic. Zwykły człowiek będzie się z tego śmiał. Ale solidni ludzie bardzo, ale to bardzo nie lubią, gdy się z nich śmieją.

– Może go pan odłączyć ręcznie?

– Jak?

Rzeczywiście, jak? Nawet jeśli wyśledzi się linię, po której gracz wszedł do Labiryntu, i przerwie połączenie, niczego to nie zmieni. Człowiek zawiśnie w pustce albo świat wokół niego zastygnie jak fotografia, to już zależy od decyzji jego świadomości. To tak, jakby przykryć tonącego szklanym kloszem, żeby nie niepokoił innych kąpiących się.

– Niech pan jednak wyśledzi jego kanał – mówię.

– To bardzo trudna sprawa. – Gilermo gestem wskazuje miasto za oknem. – Tam jest dwa tysiące trzydziestu sześciu, przepraszam, teraz dwa tysiące trzydziestu pięciu graczy... a to oznacza dwa tysiące trzydzieści pięć... nie, już siedem linii telefonicznych. Wszystko wchodzi przez dwadzieścia osiem głównych serwerów, potem dzieli się na poziomy, przetwarza przez nasze wynajmowane komputery na wszystkich kontynentach. W celu synchronizacji wymiany danych wykorzystujemy cztery satelity. Wejść do Labiryntu może abonent Internetu, ale także niezorganizowany użytkownik, który zadzwonił na jeden z siedmiuset numerów telefonicznych kompanii...

– Rozumiem – mówię. Wyśledzić Nieudacznika, oczywiście, można. Ale taka zabawa kosztowałaby tyle, że namawianie Gilerma nie ma sensu. – Może pan wezwać swoich nurków?

– Nie ma ich teraz w Sieci.

Też zrozumiałe. Jeśli rzeczywiście próbowali wyciągnąć Nieudacznika przez całą dobę, to teraz po prostu śpią. Jeden na Ukrainie, drugi w Kanadzie. Może nawet klną przez sen.

– Dobrze – postanawiam. – Można wejść od razu na trzydziesty trzeci poziom?

Gilermo odwraca wzrok.

– Dawno pan grał? Ma pan rejestry?

– Nie...

– W takim razie będzie pan musiał zacząć od, początku. Czegoś takiego się nie spodziewałem.

– To jakieś brednie! Wszystkie gry mają służbowe kanały komunikacyjne pomiędzy poziomami! Jesteście wyjątkiem?

– Tak.

– Dlaczego?

– Labirynt ma dużą pulę nagród za ustanowienie nowego rekordu poziomu oraz szybkie przejście całej gry.

– Pamiętam, no i co? Jak dużą?

– Główna wygrana to pół miliona dolarów. Pieniądze otrzyma ten, kto zdoła przejść wszystkie poziomy i pokonać Księcia Kosmitów w ciągu czterdziestu siedmiu godzin i pięćdziesięciu dziewięciu minut. – Gilermo zaczyna mówić jak prezydent reklamy.

Ohohoho...

Dlaczego nie jestem graczem?

– To duża suma – przypomina Gilermo. – Gdy jest szansa na pół miliona, wszystkie kody dające graczowi nietykalność, pełny arsenał czy wyposażenie, mogłyby zostać odkryte, wszystkie służbowe

kanały – znalezione i wykorzystane. Musielibyśmy wypłacać nagrody bardzo często... a raczej nie płacić nigdy.

– Więc jak pracują wasi nurkowie?

– Przedtem przeszli cały Labirynt. Mają zapisy na wszystkich poziomach, we wszystkich niebezpiecznych miejscach. Kilka minut i są w odpowiednim miejscu.

Ładny początek.

– Ile trwa przejście na trzydziesty trzeci poziom?

– Od dwudziestu pięciu godzin do nieskończoności.

Na co właściwie liczył Człowiek Bez Twarzy? Jeśli w ciągu doby nurkowie Labiryntu nie zdołali wyciągnąć Nieudacznika, to w ogóle nie można go uratować...

Gilermo milczy, obserwuje mnie.

– Czy mogę przynajmniej dostać mapy poziomów? – pytam. – Kompletne mapy?

– Nie. Kompletnych map nie ma. Labirynt zmienia się nieustannie i niezależnie. Przecież to nie film, nie książka, Strzelcu. To cały świat, świat cudów! A cud nie może być niezmienny.

Część druga

Labirynt

Portal, przez który Labirynt łączy się z pozostałą Głębią, jest piękny. To gigantyczny, wzbijający się w niebo łuk z czarnego marmuru. Biegną po nim fioletowe iskry, wokół słychać nieprzyjemny huk na przemian z ciężkimi, nieludzkimi westchnieniami. Otwór w łuku wypełniają kłęby purpurowej mgły.

Przez tę mgłę powoli, jakby w hipnotycznym transie, idą ludzie. Niekończący się strumień ludzi. Pewnie nie wszyscy są prawdziwi, część stworzyli projektanci Labiryntu dla większego efektu. Ale i tak robi to wrażenie.

Przyłączam się do tłumu.

– Hej...

Idący obok mnie chłopak dotyka mojego ramienia:

– Jak się nazywasz?

– Strzelec.

– A ja Alex.

– Bardzo mi miło.

Odwracam się, ale chłopak nie daje za wygraną.

– Idziesz na pierwszy poziom?

– Tak.

– Pójdziemy razem? Będzie dużo łatwiej, słowo honoru!

Przyglądam mu się. Wygląd wyraźnie sztuczny, zachowanie bezczelne, ale pewne siebie.

– Pierwszych pięć poziomów przeszlibyśmy w parze – ciągnie chłopak. – Są proste, ale łatwiej będzie się wciągnąć. A potem, jeśli chcesz, rozstaniemy się. Co ty na to?

– Dobra.

Przybijamy piątkę, idziemy obok siebie. Krwawa mgła otuliła nas, nic już nie widać. Z nieba dobiega głos:

– Tryb?

– Wejście dwuosobowe – mówi Alex. – Alex i Strzelec! Powtarzam to samo.

Mgła zaczyna się rozwiewać. Stoimy przy dreźnie umieszczonej na zardzewiałych szynach. Na dreźnie leżą dwa kombinezony, hełmy z maskami i dwa pistolety. Wszyscy nasi towarzysze gdzieś znikli. Sprawdzamy magazynki, przebieramy się.

– Przy dworcu będzie pułapka. Mur beton – mamrocze Alex. – Nie traćmy czujności... Skąd jesteś, Strzelec?

– Z domu.

Więcej pytań nie ma. Stajemy na dreźnie, zaczynamy naciskać wajchę. Staruszka się rozpędza, jedziemy przez rzednącą mgłę.

– Strzelec, lubisz Kinga?

– Czemu?

– Twoja ksywka... Czy po prostu dobrze strzelasz?

– Zobaczysz.

Wyjeżdżamy z mgły. Droga biegnie przez osypujące się nasypy, przed nami spalony, niczym

Reichstag po szturmie Berlina, budynek dworca. Podobieństwo potęguje zatknięta na kopule czerwona flaga. Może ktoś w ten sposób rozlicza się z komunistami, a może przeciwnie, któryś z bolszewików w ten sposób uczcił rocznicę rewolucji. Raczej to drugie, za dwa dni siódmy listopada.

– Teraz uważaj, przygotuj się – odzywa się Alex z tyłu. – Na pewno będzie zasadzka. Rozumiesz, każdy potrzebuje dodatkowego magazynka...

– Rozumiem – mówię, odwracając się. Strzelam dwa razy, i wycelowany we mnie pistolet wypada z ręki mojego niedawnego sprzymierzeńca. Nachylam się, Alex chwyta powietrze ustami, patrzy na mnie bezmyślnie. Program daje mu pięć sekund na uświadomienie sobie swojej klęski.

– A Kinga rzeczywiście lubię – oznajmiam, podnosząc jego pistolet.

Miałem pistolet i osiem nabojów, a teraz mam dwa pistolety i czternaście nabojów.

Przerzucam zwłoki przez burtę drezyny, toczą się pod nasyp, na stertę innych ciał. Zgodnie z planem Aleksa, to ja powinienem tam leżeć.

– Grałem w Deathmatch, gdy ty jeszcze nie dotykałeś klawiatury – mówię bez złości. Ciało rozpadnie się szybko, za jakieś sześć godzin. Dobrze to urządzone. W przeciwnym razie całą przestrzeń Labiryntu zasypałyby kości.

Dworzec jest coraz bliżej. Przyglądam mu się, próbując zrozumieć, jakie zmiany zaszły tu podczas mojej nieobecności. Chyba nie było tamtej wieżyczki na prawym skrzydle.

Drezyna przejeżdża obok martwego pociągu, nowiutkiego i czystego. Przy oknach siedzą ludzie, ich ciała pokrywa szary nalot. To pociąg uciekinierów, który Kosmici spalili podczas próby opuszczenia miasta. Patrzę na siedzących grzecznie pasażerów. Ale z was lamerzy, drodzy twórcy Labiryntu. Nie macie pojęcia, czym jest prawdziwa ewakuacja i prawdziwi uciekinierzy.

Wyskakuję z drezyny, spadam pod nasyp. Do dworca niech dojeżdżają pewni siebie nowicjusze. Ja pójdę piechotą. Po cichutku.

Tak będzie pewniej.

Pierwszy etap z zasady jest prosty. Musi być, żeby debiutanci wciągnęli się w grę, uwierzyli w swoje siły. Żeby przyszli jeszcze raz. Dochodzę do dworca od strony lewego skrzydła, szybko sprawdzam zapamiętane skrytki – w luku kanalizacyjnym, w budce transformatora i w przewróconej kabinie leżącej w poprzek torów lokomotywy. W kanalizacji pusto, w budce znajduję dwa magazynki, w lokomotywie zawiniętą w folię kanapkę. Ani ludzi, ani potworów na razie nie ma. Staję się czujny.

Zbliżam się do jednego z bocznych wejść do budynku. Przez sekundę stoję przed wyłamanyimi drzwiami, potem szybko daję w nie nura. Aha!

Rzucają się na mnie dwa mutanty – drobne człekopodobne demony. Porośnięci jakimś zielonym mchem, w węzlastych łapach mają strzelby. Na twarzy jednego tkwią surowe profesorskie okulary.

Gina, zanim otworzyli ogień. Wkładam nowe magazynki, podchodzę do ciał. Ich karabiny są rozwalone kulami. Szkoda. Z samym pistoletem daleko nie zajdę.

Idę przez dworzec. Szereg pustych, zapaskudzonych sal, kałuże krwi, ściany wysmarowane rozpaczliwymi odezwaniami i przekleństwami... istna twierdza w Brześciu. Według legendy gry, tutaj odbyło się ostatnie starcie policji miejskiej z obcymi. Wiem, że gdzieś w piwnicach można się natknąć na umierającego sierżanta, który opowiada straszne historie o napadzie Kosmitów i przed śmiercią oddaje swój karabin. Ale nie chce mi się szukać tego wzruszającego programu. Sprawdzam jeszcze kilka skrytek, znajduję kastet, który natychmiast nakładam na lewą rękę, kilka ręcznych granatów, i wreszcie – dwulufowy sztucer.

Dwa razy migają w oddali sylwetki ludzi, ale ponieważ nie zaczynają polowania, ja też zostawiam ich w spokoju. Nie mam na to czasu. Idę w stronę wyjścia na plac przed dworcem. Tam, na stoliku, obok którego leży okrwawiony kobiecy trup, cicho pracuje komputer. Na ekranie menu gry. Zapisuję, na propozycję wyjścia z gry odpowiadam odmową. Dalej. Na drugi etap.

Z karabinem w ręce wybiegam z dworca, skradam się, przygarbiony chowam za drzewami. I słusznie. Ktoś do mnie strzela z górnych pięter. Pudłuje.

Pewnie człowiek. Potwory są tępe, ale lepiej celują.

Plac przed dworcem jest zastawiony zakurzonymi, ale sprawnymi samochodami. Ich właściciele wsiedli do tamtego pociągu. Kryję się za potężnym, lekko pogiętym fordem, czekam.

Zawsze tu czekam.

Po pięciu minutach z dworca wyskakuje człowiek. Szybkimi susami zbliża się do samochodów.

Wstaję, wymierzam w niego karabin. Człowiek zastyga. Nie był przygotowany na zasadzkę pod koniec etapu...

– Wsiadaj! – kiwam lufą w stronę forda. Gracz chyba mnie nie rozumie. Twarzy spod maski nie widać, zresztą wybrana przez niego twarz nic mi nie powie o narodowości. Ale chyba nie jest Rosjaninem.

– Wsiadaj do samochodu i prowadź!

Zrozumiał, widać włączył się program-tłumacz. Podchodzi powoli, otwiera drzwi, siada za kierownicą.

– Hej! – Głos jest ledwie słyszalny. Odwracam się, nie spuszczać wzroku z jeńca. W dziurze w kopule stoi znajoma postać. Alex. No, no, dogonił mnie. Wszedł po raz drugi i dogonił. To pewnie on strzelał mi w plecy. – Ja cię załatwię! Słyszysz? Nie dam ci spokoju! Załatwię cię!

Niedwuznaczny gest zmusza go do otwarcia ognia. Ale nabojów ma niewiele, a odległość spora. Odrzuca karabin, próbuje celować do mnie z pistoletu. I wtedy za jego plecami pojawia się purpurowy cień. No proszę, ogniści dusiciele trafiają się już na pierwszym poziomie. Płomienne łapy chwytają Aleksa za gardło, ten klęka, próbuje strzelać przez ramię. Nie interesuje mnie rezultat walki. Mój jeniec, który czekał posłusznie na koniec rozmowy, rusza. Prowadzi samochód powoli, oglądając się, wyraźnie spodziewa się strzału w kark.

Autostrada. Dwa razy próbują nas dogonić i staranować ogromne ciężarówki. Opuszczam szybę i załatwiam je z karabinu, celując w opony i przednią szybę. To na razie drobiazgi, potwory zrodzone przez Labirynt. Nie ich należy się bać.

Mężczyzna najpierw wzdyga się przy każdym wystrzale, potem się przyzwyczaja.

Na skrzyżowaniu czekają na nas prawdziwi wrogowie. Trzy samochody zagradzają drogę, za nimi chowają się uzbrojeni ludzie. Jeden stoi odsłonięty, w niedbalej, pewnej siebie pozie. W ręce ma granatnik.

Cholera. Słyszałem, że gdzieś na dworcu jest ciężkie uzbrojenie, ale nigdy nie sprawdziłem...

– Co robić? – pyta mój jeniec.

Trzeba być idiotą, żeby próbować pokonać taką bandę. Najlepiej się poddać i poświęcić część uzbrojenia w nadziei, że potem wypuszczą.

– Powoli zwalniam. Po moim trzecim wystrzale zatrzymaj się. W milczeniu kiwa głową.

Bandyta z granatnikiem patrzy na nas drwiąco. Czeką.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój. Wypuść mnie, Głębio”.

Popatrzyłem badawczo na obraz. Bandyta... samochody... kark mojego kierowcy. Krzyżyk celownika na środku ekranu.

Nieuczciwy ze mnie człowiek.

Wyciągam rękę, dotykam myszki, przesuwam po mopadzie. Krzyżyk przesunął się.

– Jedziemy.

Otworzyłem ogień, strzelając lewym klawiszem myszki, a prawym ładując karabin. Bandyta z granatnikiem nic nie zrozumiał. Jasne ślady strzałów przelatywały przez ekran, w słuchawkach huk. Po położeniu tych trzech, którzy się wysunęli, zacząłem strzelać do samochodów. Trafienie w bak z benzyną w wirtualności wcale nie jest łatwiejsze niż w realu. Ale za to strzelanie do obrazków jest dziecinnie proste.

Deep

Enter.

Do diabła, przecież mówiłem mu, żeby się zatrzymał!

– Hamuj! – krzyczę do kierowcy.

Stajemy tuż przed płonącymi samochodami. Odwraca się. W oczach nawet przez ciemne szkła maski widać przerażenie i zachwyt.

– Jak się panu udało?

– Wysiadał.

Wyraźnie czeka na kolejny strzał, ale ja niedwuznacznie wskazuję ciała zastrzelonych przeze mnie i zabitych w wybuchu samochodu ludzi. Zbieraj broń... Mój jeniec i tak do mnie nie strzeli.

Zademonstrowana przeze mnie szybkość i celność strzału jest praktycznie nieosiągalna dla zwykłego gracza. Tylko nurek może zrobić coś takiego. I stary doomer, który przywykł do używania myszki.

Doomerzy zawsze dzielili się na tych z klawiaturą i tych z myszą. Wieczny spór, którzy są lepsi, pozostał nierozstrzygnięty – nadeszła era wirtualności.

Teraz ja stawiam kropkę nad i.

Jeden z bandytów nadal żyje. I klnie – tak wyszukanie i soczyście, że nie mam wątpliwości co do jego narodowości. Twarz gracza zalewa krew, jedna ręka jest na w pół oderwana, drugą próbuje sięgnąć do apteczki. Ma jeszcze pięć procent życia, apteczka by go uratowała...

Podchodzę. Zauważa mnie, szarpie się, krzyczy:

– Kim jesteś? Kim jesteś, bydlaku! Kolejne wielopiętrowe przekleństwo.

– Strzelcem – odpowiadam, przystawiając lufę karabinu do czoła bandyty. Nie lubię, gdy ktoś tak bluźni. W końcu w moim ciele mogła być dziewczyna albo dziecko.

Zbieranie trofeów zajmuje nam pięć minut. Teraz jestem wyposażony od A do Z. Pistolety, karabin z optycznym celownikiem, sztucer, granatnik, apteczki, granaty, kamizelka kuloodporna. Mój jeniec też, się nieźle wyekwipował – tylko drugiego granatnika już nie było.

W realu nie udźwignęlibyśmy takiej sterty żelastwa. Ale tu każdy z nas jest trochę Rambo.

– Jedziemy – rzucam jeńcowi, wsiadając do samochodu. Zrozumiał bez dalszych wyjaśnień. Mknijemy autostradą, nie wytrzymuję i rozstrzeliwuję jeszcze jedną ciężarówkę z granatnika. Oczywiście, najpierw wychodzę z wozu... Twórcy Labiryntu mieli specyficzne poczucie humoru, a ja nie mam zamiaru oglądać własnych kiszek na suficie samochodu.

Drugi poziom kończy się na obrzeżach miasta. Razem wysiadamy z forda, i zapisujemy rezultat na komputerze pracującym na ruinach domku jednorodzinny. Dopiero teraz mój towarzysz się uspokaja. Macham mu ręką i idę w stronę studzienki kanalizacyjnej. Najpewniejsza droga przez trzeci etap biegnie wśród nieczystości. Niewielu z niej korzysta – zbyt nieprzyjemna, nawet mimo prysznic pod koniec poziomu. Ale mnie to zwisa. Przejdę przez kanał patrząc na ekran i ruszając myszką.

– Hej! – krzyczy za mną mój towarzysz. – Po co ci byłem potrzebny? Jesteś najlepszy z tych, których widziałem!

Pewnie spodziewa się, że powiem „we dwóch łatwiej” i zaproponuję, żebyśmy dalej poszli razem. Ale nie podobało mi się, że o mało nie wjechał w płonące samochody. Mówię mu prawdę:

– Nie umiem prowadzić. A iść na piechotę to trwa za długo. Stoi przy komputerze, oszołomiony, przepełniony wrażeniami. I całkiem nieźle uzbrojony jak na koniec drugiego etapu...

Przechodzę czternaście etapów w ciągu siedmiu godzin. Dzisiaj zrodziła się legenda.

Za moimi plecami trupy i ruiny. Zatrzymuję się nieco dłużej na szóstym poziomie; jest zupełnie nowy i niezwykły. Potem grzęznę na dwunastym; widziałem już podobne rzeczy, ale arena to arena, i zabicie ponad stu potworów jest nieco czasochłonne.

Na szczęście inni gracze już do mnie praktycznie nie startują. Pogłoski biegną przez Labirynt, przecinając poziomy z łatwością niedostępną nawet nurkom. Plotkom Głębia niestraszna, nic nigdy nie mogło ich powstrzymać.

Plotki to wróg nurka. Ale teraz niosą strach, i to pracuje na moją korzyść.

Pod koniec czternastego poziomu wiem już, że dłużej nie wytrzymam. Wynurzam się na moment z Głębi. Jest siódma.

Tylko komputery nie lubią, żeby je wyłączać. Z ludźmi jest na odwrót.

Czternasty etap – miejski ośrodek sportowy. Komputer z menu gry stoi na stoliku sędziowskim obok ogromnego basenu, gdzie w przejrzystej wodzie leniwie kołyszą się trupy przypominających krokodyle potworów-amfibii. Trudno je zabić, musiałem użyć karabinu plazmowego. Nurkuję w śmierdzący bulion i kilka minut czekam na pogoń. Dwoje rozhisteryzowanych graczy, chłopak i dziewczyna, gonią mnie od trzech poziomów. Chyba byli pewni, że od razu opuszczę ośrodek sportowy, i wpadli na salę nieostrożnie, chociaż efektownie. Chłopak z karabinem plazmowym przy pasie, dziewczyna ze sztucerem na ramieniu. Puszczam w nich raketę spod wody i oboje nikną w ognistym kłębie.

Wychodzę z basenu, opierając się o śliskie ciało ugotowanego potwora, i zaglądam do leju. Nic tam nie ma, chłopakowi zdetonowało jednostki energetyczne karabinu plazmowego.

– Jestem Strzelcem – mówię. To już rytuał, a ja lubię dobre tradycje.

Zapisuję się – „Strzelec, 14”, i stukam w klawisz wyjścia. Wszystko uczciwie, jak należy. Odpocząć. I wrócić.

Konieczniewrócić.

W podłodze, obok stolika sędziowskiego, jest luk – wyjście z gry. Skaczę i znajduję się w szatni.

Wyjście z Labiryntu jest tak samo pompatyczne jak wejście. Ale to inna uroczystość, wesola, odświętna. Pokój o ścianach z różowego marmuru, jasne światło słońca w oknie, miękka kanapa, stoliki z owocami i jedzeniem, ogromna rzeźbiona mahoniowa szafa. Zdejmuję kamizelkę kuloodporną, kask, kombinezon maskujący i wpycham razem ze stertą broni do swojej osobistej szafki. Tylko ja będę mógł skorzystać ze zdobytego dobra, gdy ponownie wejdem do Labiryntu. Biorę prysznic, przebieram się. Trzeba wychodzić. Nie chcę przerywać programu, dość mam już bólu głowy, w końcu dojście do hotelu i wyjście normalną drogą to kwestia kilku minut.

Szatnie wychodzą na przestronną salę kolumnową, skąd widać ulice Deeptown. To granica Miasta i zwykłej wirtualności, niewyraźna jak bariera dźwięku na oceanie.

Zazwyczaj sala kolumnowa jest mało uczęszczana. Niespiesznie wychodzą ze swoich szatni inni gracze, pojedynczo i grupami. Kierują się do najbliższej restauracyjki BFG-900 albo baru Kakodemon, żeby oblać zwycięstwo lub klęskę...

Dzisiaj zebrało się tu ze sto osób. To moja zasługa – chyba wszyscy zginęli z mojej ręki. Każdego wychodzącego z szatni bacznie oglądają, jakby mogli zapamiętać moją twarz pod maską-hełmem. Ma

mnie też patrzą, ale najwidoczniej nie przypominam tego bezlitosnego Strzelca, którego zapamiętali w ostatnich sekundach gry.

Podchodzę do najbliższej grupy. Rozmowa cichnie, muskularny mężczyzna z kwadratowym podbródkiem ostro pyta:

– Strzelec?

Na szczęście domyślam się, o co mu chodzi i kiwam głową.

– Tak. – Na mojej twarzy pojawia się uraza i złość. – Z miotacza granatów... bydlę! I jeszcze mówi: „Jestem Strzelcem!”

Chyba przeholowałem... po trafieniu z granatnika trudno cokolwiek usłyszeć. Ale postać Strzelca otacza mistyczna aureola i moje słowa o granatniku potraktowano jak typowe usprawiedliwienie niedojdy.

– Jesteś setny – mówi kwadratowy podbródek. – Mam na imię Tolik.

– Lonia.

– Setkę ludzi położył, sukinkot! – oznajmia Tolik z zachwytem i nienawiścią. – Skąd on się wziął? Poznajcie się... Jean, Damir, Katia... wszystkich położył na dziewiątym poziomie.

Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Sporo się tam działo... przedostatnia próba graczy zorganizowania się i zaatakowania bezczelnego Strzelca.

– A mnie na piętnastym – mówię. – Idę sobie, a on...

– Słyszeliście? – krzyczy Tolik. – Strzelec poszedł na piętnasty!

Odpowiedzią jest ryk.

Beznadziejnie macham ręką i idę w kierunku wyjścia.

– Hej! – woła za mną Tolik. – Nie czekasz na niego?

– Forsa... – odpowiadam. – Sami mu dołożycie.

– O, to na pewno – kiwa Tolik, – Jeśli zdołamy rozpoznać.

Nadal mnie podejrzewa, ale nie ma dowodów. Kiwam mu głową, robię kolejny krok. I widzę Aleksa.

Moja pierwsza ofiara stoi z boku, w milczeniu przysłuchując się dialogowi.

I chyba nie ma zamiaru się wtrącać. Vendetta. Jeden na jednego.

To mnie urządza. Omijam go... jeszcze kilka sekund i będę na ulicach Deeptown.

– Strzelcu! – krzyczy ktoś z tyłu i setka ludzi jednocześnie wypuszcza powietrze z płuc.

Odwracam się. Głos jest zbyt stanowczy, nie ma sensu udawać idioty.

To nie Alex. To Gilermo.

– Strzelcu! – Podchodzi bliżej. – Przepraszam, że pana zatrzymuję, ale ustanowił pan osiem rekordów poziomów... tak?

Możliwe. Nie patrzę na Gilermo, lecz na setkę moich niedawnych ofiar. Ich spojrzenia nie wróżą nic dobrego.

– Kierownictwo postanowiło przekazać panu, że nie może pan pretendować do nagrody, ponieważ teraz współpracuje pan z nami, Chwała Bogu, to ostatnie mówi cicho i nikt go nie słyszy.

– Nie miałem zamiaru – odpowiadam. Gotuję się ze złości.

Gilermo chyba rozumie, że wtrącił się nie w porę. Ale takie dostał polecenie.

– Chcemy jednak dać panu niewielką premię... dwieście dolarów... wdzięczność za intensywną pracę. Zrobił pan Labiryntowi doskonałą reklamę... ledwie radzimy sobie z potokiem nowych graczy.

Robi pauzę, popatruje na ludzi i mówi przepraszająco:

– Może pan zająć po pieniądze teraz, razem ze mną. Z naszego biura jest dużo wyjść.

– Dziękuję. – Nie lubię, gdy się mnie wpycha w bagno, a potem wyciąga pomocną dłoń. – Wstąpię przy okazji.

Gilermo wzdycha, rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć: „Co ja mogę, jestem tylko podwładnym, kazali przekazać, to przekazuję...” I odchodzi w głąb sali, w stronę jakichś służbowych korytarzy.

A na mnie patrzy pięćdziesiąt pięć par oczu.

– Jestem Strzelcem – mówię.

Dziewięćdziesiąt pięć par nóg odrywa się od podłogi. Nie, dziewięćdziesiąt osiem.

Alex stoi w miejscu, wyciąga zza pazuchy błyszczący długi pistolet i krzyczy:

– Uciekaj, palancie!

Przewisko mało przyjemne, ale rada słuszna. Każda z ofiar, może prócz Aleksa, wie, że zabiłem ją w uczciwej walce. Ale towarzyszom niedoli mówili zupełnie co innego i teraz wszyscy gotowi są pomścić niewinnie zabitych towarzyszy, zapominając, że jeszcze niedawno byli przeciwnikami.

Rzucam się do ucieczki.

Za plecami kilka wystrzałów – to Alex rozpaczliwie próbuje powstrzymać prześladowców, potem krzyczy za mną:

– Ja cię sam zała...

Krzyk się urywa. Nie tylko on ma broń wirusową. A może włączyła się służba bezpieczeństwa Labiryntu.

Biegnę.

Jeszcze tylko brakowało, żebym rozpląnął się w powietrzu. Jeśli skrzywdzeni gracze zrozumieją, że w dodatku jestem nurkiem, polowanie przemieni się w szczucie.

A tak bardzo chce mi się spać...

Zaułek, drugi, trzeci... obniżam detalizację, żeby przyspieszyć bieg. I omal nie mijam budynku z napisem ROŻNE ZABAWY W czterech zasadniczych językach Deeptown.

Na szczęście napisy są bardzo duże i w porę pojmuję ich sens. Jednocześnie przypominam sobie opowieść Maniaka o systemach bezpieczeństwa wirtualnych burdeli.

Wybór nie jest trudny. Skaczę w obrotowe szklane drzwi.

Pomieszczenie urządzone jest w stylu retro. Masywne wyściełane meble, szerokie stoły z pękatymi karafkami, misy pełne owoców. Brodaty milczący mężczyzna w rogu wygląda jak element wystroju. Kto wie, może to rzeczywiście program-strażnik...

Z pierwszego piętra po drewnianych schodach schodzi ciemnowłosa kobieta w długiej sukni. Ma około trzydziestki i twarz tak detalizowaną, że ledwie się powstrzymuję, żeby nie wynurzyć się z Głębi i nie popatrzeć na nią normalnie. Żeby zrozumieć, jak udało się osiągnąć tak niezwykle ludzkie oblicze.

Kobieta podchodzi bliżej. W końcu pojmuję sens zwrotu „dojrzałe piękno”.

Rzeczywiście, bardzo dojrzałe. Nie ma w niej nic z młodości panoszącej się na ulicach Deeptown. Nie ma również mowy o niewinności czy czystości. I chwała Bogu. Nie są jej potrzebne.

Kobieta uśmiecha się w milczeniu. Pauza się przedłuża, mamrocze:

– Dzień dobry...

Kiwnięcie głową.

– Dobry wieczór.

– Wydaje mi się, że to już noc – mówię. „,

– U nas zawsze jest wieczór.

– Dobrze wiedzieć. – A...

– Proszę do mnie mówić Madame – kontynuuje kobieta.

– Ja...

– Imię nie jest potrzebne.

– Jestem Strzelcem.

(Znowu kiwnięcie.)

– Dobrze. Przyszedł pan do nas w interesie... – uśmiech – czy po prostu ukrywa się pan przed natarczywymi przyjaciółmi?

Mimo woli zerkam na szklane drzwi. Za nimi jest cicho i pusto.

– Proszę się nie obawiać. Wchodzący nie widzą się nawzajem. Nigdy.

– A jeżeli się ukrywam... będę musiał wyjść? – chcę wiedzieć.

– Nie. Zawsze jesteśmy radzi gościom. Może pan po prostu posiedzieć, napić się kawy albo wina.

– Kawy – decyduję.

Milczący ochroniarz wychodzi. Podchodzę do sofy, siadam. Madame z uśmiechem siada naprzeciwko.

– Nie rujnują was tacy przypadkowi goście? – pytam.

– Nie ma nic bardziej pożytecznego od przypadków. A zresztą mamy swoje zasady: gość musi przynajmniej obejrzeć album.

Patrzę na nią zdumiony.

– Zdjęcia dziewczynek.

– Ach, zdjęcia – dociera do mnie. – Oczywiście, z przyjemnością.

Ochroniarz przynosi kawę w malutkim tygielku, Madame starannie nalewa ją do filiżanek.

Sypię cukier, piję. Mocna i aromatyczna, parzy wargi. Sen odchodzi, jakbym naprawdę trzasnął dawkę kofeiny.

– Pokazać panu wszystkie albumy? – pyta Madame.

Słowo „wszystkie” ma tu chyba podwójny sens. Ale ja nadal mam w głowie kłęb waty i tylko słabo przytakuję. Madame przechodzi przez salę, wyciąga z szafy kilka grubych albumów w okładkach z kolorowego aksamitu, kładzie na stole przede mną.

– Wrócę do siebie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, Strzelcu. Jeśli jednak – uśmiech – coś pana zainteresuje... proszę mnie zawołać.

– Dobrze.

Już ze schodów Madame dodaje:

– A, właśnie... jeśli spodoba się panu jakieś zdjęcie i zechce pan obejrzeć szczegóły, proszę potrzebować obraz palcem.

Kiwam głową. Piję kawę i zaczynam przeglądać albumy.

Ciekawe, czy są stąd rezerwowe wyjścia.

Zresztą zawsze mogę udać, że mój timer zadziałał i rozpułnąć się w powietrzu.

W każdym razie jestem uratowany. Utarłem nosa setce rozwścieczonych doomerów, zdobyłem wątpliwą sławę i na czternaście poziomów przybliżyłem się do Nieudacznika. Może wyciągną go wcześniej, ale starałem się jak mogłem.

Kawa wypita. Zaglądam do tygielka... proszę, znowu pełny! Czarodziejski dzbanuszek z tysiąca i jednej nocy. Nalewam drugą filiżankę, przysuwam sobie album w czarnym aksamicie. Co w nim jest, Murzynki?

Nie.

Na pierwszej stronie zdjęcie kobiety przykutej do stołu. Za jej plecami mur. Głowa odchylona, twarzy nie widać, ale obnażone ciało wygląda obiecująco. Połyskują łańcuchy o dużych ogniach. Pod nogami kobiety, na podłodze, leży skórzany pejcz.

Taak.

Zamykam album, odsuwam na róg stołu. Niech sobie czeka na sadomasochistów.

Rzeczywiście „różne zabawy”!

Patrzę na różnobarwne okładki. Spróbujemy zgadnąć. Na przykład ta błękitna.

Ha, zgadłem! Z pierwszej fotografii uśmiecha się radośnie hollywoodzki aktor, od trzech lat uznawany za symbol seksu. Ubrany w skórzaną kurtkę, buty i koronkową koszulę. Ale ci się, stary, poszczęściło.

Podpisu pod zdjęciem, oczywiście, nie ma. Nawet gdyby nieszczęsny przystojniaczek, nigdy nie będący homoseksualistą, wytoczył burdelowi sprawę, trudno będzie cokolwiek dowieść. Zdjęcie jest lekko zniekształcone i nikt nie uzna go za dowód. Prócz tych, którzy byli w Głębi, i wiedzą, jak mózg domyśla sobie obrazy. Ale ci, którzy znają wirtualność nie tylko ze słyszenia, znają również jej prawo. Najważniejsze brzmi – wolność.

We wszystkim i dla wszystkich.

Być może jest to słuszne.

Kładę aktora na damie w łańcuchach. Niech się nieszczęśnicy zabawiają.

Różowy album. Czyżby lesbijki? Dziwne...

A, po prostu pary. Dwie dziewczyny o wyzywającym spojrzeniu, jedna klęczy, druga opiera się na jej ramionach, patrząc na mnie uważnie. Nie, nie, nie. Nie dzisiaj. Nie po czternastu poziomach Labiryntu. Poleżcie sobie z boku, coś czuję, że we dwie nudzić się nie będziecie.

Brązowy. Wyobraźnia niczego nie podpowiada, otwieram...

Starucha w obwisłej sukni.

Mój Boże, rzeczywiście dla każdego coś dobrego! Zaciekawiony pocieram zdjęcie palcem. Starucha na fotografii ożywa. Uśmiecha się kokieteryjnie, zaczyna tańczyć, drobiąc nogami, i rozchyła swój chałat.

Zwariowałaś, babo?

Kładę brązowy album na różowym i zaczynam chichotać. Ochroniarz w kącie patrzy na mnie zezem, ale milczy. Nie wytrzymuję i pytam:

– Zdarzają się na to klienci?

Wskazuję palcem brązowy aksamit. Ochroniarz kiwa głową.

Fioletowy. Obracam w rękach, na próżno próbując cokolwiek wymyślić... zaglądam z obawą na pierwszą stronę... może staruszkowie?

Kózka.

To znaczy koza. Młoda. Biała, z krótkimi, ostrymi różkami.

Już się nie śmieję, nie mam sił. Kozy do rzeczywistości wirtualnej wpakować się nie da. Więc albo człowiek-operator, albo program imitujący seksualne stereotypy młodej zboczonej kozy.

Niech ją ta babcia doi.

Zostają trzy albumy, biały, zielony i żółty. Otwieram biały, nie wiedzieć czemu mając w głowie elfy, anioły i inne efemeryczne istoty. Nie zgadłem. Po prostu kobiety. Na pierwszej stronie, oczywiście, słynna top modelka w sukni wieczorowej od Cardina.

Dobra, sukienkę zdążymy obejrzeć innym razem. Biorę zielony. Co zostało z erotycznych fantazji? Dzieci, oczywiście. Otwieram album. Aha. Małoletni milioner, aktor i ulubieniec podstarzałych gospodyń domowych. Mały, przytrzymaj babci kozę...

Żółty album. Też zgadłem. Twarz dziewczyny niejasno znajoma, chyba to aktorka. Otoczenie szokuje – biegnąca aż do horyzontu plaża skąpana w promieniach wschodzącego słońca. Zamiast się tu opalać, zaniósłabyś dziewczyno wiaderko z kozim mlekiem do izby.

Po obejrzeniu najbardziej „wszelkich” z proponowanych zabaw nalewam sobie wina. Rzucam kolejny album na stertę z nietypowymi partnerami, ochroniarz w milczeniu zabiera je i wynosi.

Trzeba było dokładniej obejrzeć ten ze zwierzętami. Ciekawe, czy są tam młode krokodylice albo dojrzałe, jak Madame, łabędzice? Zresztą jeśli nie ma, zorganizują na prośbę klienta. Nawet zieloną ośmiornicę czy sukę pitbulla.

Zaczynam oglądać białą księgę, od czasu do czasu zmuszając dziewczyny do robienia striptizu. Oszałamiający wybór. Gwiazdy kina i modelki kończą się dość szybko, dalej już same nieznanne twarze. Nieznane, ale sympatyczne. Nie wytrzymuję, zaglądam na koniec albumu.

Biała kartka i napis: „Narysuj swoje szczęście”.

Tak, nikt nie wyjdzie stąd niezadowolony.

Przeoglądam album coraz szybciej. W końcu pogapić się na nagie ślicznotki, w ruchu i bez, można tańszymi sposobami niż siedząc w Głębi.

Murzynka w przepasce biodrowej, Eskimoska w futrze, Koreanka w sukience z maty, Polinezyjka z kółkiem w nosie. Wirtualność nie zna rasizmu.

Kartkuję coraz szybciej. Jedna kartka, druga, trzecia...

Vika.

Zamieram, patrząc na dziewczynę, która codziennie się do mnie uśmiecha.

Madame pojawia się bezszelestnie jak zjawa i siada obok mnie.

– Nalać panu jeszcze wina, Strzelcu?

Kiwam głową. Chyba długo tak siedziałem, patrząc na Vikę. Na zdjęciu zmierzch, ona siedzi na balustradzie drewnianej werandy, z tyłu ciemny pas lasu, żółta okrągła plama latarni w wysokiej trawie, czarne lustro basenu.

– Mamy najróżniejszych klientów – mówi w zadumie Madame. – Jednym podobają się gwiazdy kina, innym kózki... – lekki uśmiezek.

– Kim jest ta dziewczyna? – pytam.

Madame patrzy na mnie zdumiona.

– Ma realny prototyp?

Właścicielka burdelu przywiera do mojego ramienia, długo patrzy na zdjęcie.

– Strzelcu, nie mam prawa odpowiadać na takie pytania. Zresztą nie wiem. Tu są tysiące twarzy. Wiele z nich może się panu wydać znajome. – Lekki uśmiech. – Ale to przypadek. Czy ta osoba kogoś panu przypomina?

– Tak.

– Kogoś realnego?

– Nie całkiem. – Przerывam swoją jednostronną szczerość. – Madame, czy mógłbym się z nią spotkać?

– Oczywiście. – Nasze spojrzenia się łączą, twarze są blisko siebie, w jej oczach ironia i kpina. – Dziesięć dolarów za godzinę. Czterdzieści za noc. Mamy umiarkowane ceny. Przystępne dla każdego hakera.

– Jest pani okrutna – mówię.

– Tak. Gdy wydaje mi się, że sympatyczny młody człowiek zaczyna wariować, bywam okrutna.

Wyjmuję kartę kredytową.

– Czterdzieści dolarów?

– Tak.

Przyjmuje pieniądze. Po chwili mówi:

– Strzelcu, proszę posłuchać pewnej historii... była sobie pewna młodziutka głupiutka dziewczyna, uczyła się w instytucie, bawiła w dyskotekach, flirtowała z chłopakami. I kochała pewnego śpiewaka. Często pokazywano go w telewizji, przeprowadzano z nim wywiady, jego zdjęcia pojawiały się na okładkach czasopism. To był dobry śpiewak, śpiewał o miłości.

– Wiem, jak kończą się takie historie. – Nie tylko Madame umie być okrutna.

– Śpiewak przyjechał na występy do jej godzinnego miasta – ciągnie Madame. – Dziewczyna była na wszystkich koncertach. Wyskakiwała na scenę z bukietem kwiatów, a śpiewak całował ją w policzek. Osiągnęła to, co chciała. Drugiego dnia przyszła do jego pokoju w hotelu i wyszła nad ranem. Nigdy więcej nie chodziła na koncerty. Śpiewak naprawdę był porządnym człowiekiem i pięknym mężczyzną. Był czuły i delikatny, dowcipny i wesoły. Dziewczyna nie żałowała niczego. Ale przestała wierzyć w miłość. Wie pan, dlaczego?

– Iluzja zlała się w jedno z rzeczywistością – odpowiadam.

– Pan to rozumie. Oczywiście. Byłoby lepiej, gdyby okazał się tępym i brudnym chamem. Znacznie lepiej. Dziewczyna znalazłaby inny ideał albo nadal kochała wizerunek śpiewaka. A tak... to było jak lustro. Jak miłość do odbicia, sprawiedliwego i czystego. Naprawdę znalazła swój ideał. Znalazła swoje marzenie. A marzenie można kochać tylko na odległość.

Oczywiście, Madame. Oczywiście, mądra właścicielko burdelu, bez wątpienia dobrze znająca życie władczyni miłości i seksu. Wiem o tym.

– Madame, proszę mi przypomnieć, czy już pani zapłaciłem? Kobieta wzdycha.

– Chodźmy, Strzelcu...

Wchodzimy po schodach. Korytarz, drzwi. Madame prowadzi mnie do drzwi z literką B, dotyka ramienia.

– Wszystkiego dobrego, Strzelcu!... A przy okazji... historia, którą ci opowiedziałam, zdarzyła się nie mnie. Znam wiele takich historii.

Za drzwiami jest sad. I noc. Cicho grają cykady. Powietrze jest chłodne i świeże, pod nogami gęsta trawa.

Czego ja się właściwie spodziewałem?

Pokoju w tanim hotelu, z rozklekotanym łóżkiem i wilgotnymi od częstego prania prześcieradłami? Jedną z zalet wirtualności jest to, że przestrzeń swojego domu można powiększać bez granic.

Idę w stronę światła latarenki na trawie.

Ruchy powolne i leniwe, sen prawie odszedł, ale nadciągnęło ołowiane zmęczenie.

Domek, a może skromna willa. Pusto. Latarenka świeci samotnie i tęsknie. Przez chwilę mam wrażenie, że Madame postanowiła litościwie zostawić mnie samego. No nie, współczucie współczuciem, ale interes przede wszystkim.

Siadam przy latarni. Jest stara, naftowa, z płomieniem osłoniętym siatką. Można by z nią zejść do podziemi. W Głębię.

Wokół lampy latają muszki, uderzają o światło, na próżno próbując się do niego dostać. Ludzie są znacznie głupszy od muszek – zawsze znajdą ogień, w którym można spalić sobie skrzydła. Dlatego właśnie są ludźmi.

Kroków nie słyszę, po prostu na moich ramionach spoczęły czyjeś dłonie. Niepewnie, nieśmiało. Jakby się przyzwyczajając.

– Zawsze tu tak cicho? – pytam.

– Nie.

Aż drgnąłem. Jej głos też jest znajomy.

– Wszystko zależy od gości.

– Lubię ciszę – mówię, dalej się nie odwracając.

– Ja też – przyznaje ona. Może dlatego, że chce mi się przypodobać. A może mówi szczerze.

Decyduję się i odwracam.

Wygląda tak samo jak na zdjęciu. W krótkiej spódniczce, nie wyzywająco krótkiej, po prostu wygodnej, letniej. Jedwabna bluzka. Na nogach szare klapki, ciemne włosy ściągnięte wstążką.

Dziewczyna patrzy na mnie poważnie, badawczo. Jakbym nie był klientem, którego trzeba będzie obsłużyć, a prawdziwym gościem, którego można przyjąć, ale można także wygonić w noc.

– Dzisiaj przez cały dzień mówiono do mnie Strzelec – odzywam się. – Ale ty zwracaj się do mnie Leonid.

Kiwa głową potakująco. Zgadza się.

– I... jeśli można – dodaję – jeśli można, będę do ciebie mówił Vika.

Dziewczyna bardzo długo milczy, chyba mimo woli ją uraziłem. W końcu pyta:

– Dlaczego? Kogoś ci przypominam?

– Owszem – przyznaję się. – I tak się zapomnę i nazwę cię Viką. Lepiej tego uniknąć.

– Lepiej – mówi ona, siadając obok mnie. Wyciąga ręce do latarni, grzeje jak nad ogniem. – Szybko przyzwyczajam się do imion.

– Ja też.

Siedzimy w milczeniu. Czuję, jak powoli się zapadam... coraz głębiej.

– Vika...

– Słucham, Leonidzie?

– Czy zrobię z siebie straszego idiotę, jeśli teraz zasnę?

– Nie wiem. Ciężki miałeś dzień?

– Będą cięższe.

– W domu jest łóżko... sam rozumiesz.

Kiwam głową. Nie chce mi się wstawać i odchodzić z żywej ciszy w martwą.

– Jeśli chcesz, przyniosę ci kołdrę – ciągnie Vika.

– Dziękuję. To by było wspaniale. Zbieram resztki sił i wstaję.

„Głębio, Głębio nie jestem twój... wypuść mnie, Głębio...” Najpierw do toalety; chwała Bogu, kable od kombinezonu i hełmu są wystarczająco długie. Potem dowlokłem się do tapczanu, padłem na pościel, odrzuciłem poduszkę. W wirtualnym hełmie głowa i tak jest zadarta do góry. Do rana zdrętwieje mi szyja, ale nie chcę teraz wychodzić.

– Vika, włącz Deep – szepczę do Windows Home. Kolorowa zamieć i znowu jestem w Głębi.

– Co mówiłeś? – Vika stoi obok mnie. Tamta Vika, żywa... prawie.

– Nic.

Biorę kołdrę, rozpościeram na trawie, kładę się. Dziewczyna siada z boku.

Patrzę na gwiazdy, są takie bliskie i tak mamiąco jasne. Brak mi tylko przezroczystych, delikatnych skrzydeł – żeby unieść się i rozbić o niewidoczne szkło...

– Vika, nie czujesz się samotna w tej głuszy?

– Dlaczego głuszy?

– Gwiazdy tu są takie jasne.

– Nie. Tu jest dobrze...

Przyklęka, ja się odsuwam, robię dla niej miejsce na kołdrze.

– Lubisz niebo? – pyta Vika.

– Tak. Lubię patrzeć na gwiazdy. Tylko kompletnie nie wiem, jak się nazywają.

– Im też niepotrzebne nasze imiona. – Vika dotyka mojej ręki. – Patrz, gwiazda spadła nad nami.

– Możemy pójść i jej poszukać – mówię poważnie.

Vika długo milczy, i z przerażeniem myślę, że zaraz będę musiał wstać.

– Nie – mówi w końcu. – Nie utrzymałbyś się na nogach. Poszukamy jej rano. Gwiazda ostygnie i będzie można wziąć ją do ręki.

– Rano jest zbyt jasno – zauważam. – Lepiej jutro wieczorem.

– Dziwny jesteś – mówi dziewczyna. – Dobrze. Jutro wieczorem.

– Znalazłaś kiedy spadającą gwiazdę?

Vika milczy, ale czuję, że kręci głową.

– Wirtualność odebrała nam niebo – szepczę.

– Też to zrozumiałaś?

– Oczywiście. Świat odchodzi w Głębię, w odbicie rzeczywistości. Po co lecieć na Marsa czy

Księżyc, skoro tu dostępne są wszystkie planety. Znikła ciekawość.

– Za to rozwijają się elektroniczne technologie.

– Czyżby? Ósemka to tylko ulepszony 686... – specjalnie nazywam Pentium Pro tą nieprzyjemną nazwą. – W ciągu ostatnich pięciu lat nie powstało nic nowego. Drepczemy w miejscu.

Vika szepcze:

– Mój Boże, spór o rozwój technologii... Leonid, jesteśmy w burdelu.

– Wiem. Nudzi cię to?

– Nie... ja... ja po prostu odwykłam od takich rozmów.

Milczy, potem leciutko dotyka mojego policzka ustami.

– Śpij. Język ci się płacze. Lonia.

Nie spieram się. Nie chcę się z nią spierać.

Tym bardziej że ma rację.

Zamykam oczy i zasypiam. Momentalnie.

Mam sen. Często je miewam – w ciągu dnia świadomość tak się wyczerpuje, że odreagowanie jest konieczne. Sny przychodzą po to, żeby ochronić nas przed nadmiarem wrażeń, dopowiedzieć to, co zostało niedopowiedziane.

Zwykle nie pamiętam snów. Tylko jakieś fragmenty, nieuświadomione do końca. Ale ten sen jest wyraźny i wbija się w świadomość. Może dlatego, że śpię w wirtualności.

Stoję na scenie, za ciężkimi kotarami. Na scenie człowiek z gitarą, nieruchomy, jakby skuty niewidzialnymi łańcuchami. Śpiewa, ale nie słyszę słów. Między nami – niczym przezroczysta ściana

Głębia, która ożyła. Próbuję podejść do niego, przebić się przez ścianę i usłyszeć słowa. Ale Głębia jest ciężka i sprężysta jak gumowa płyta. Odrzuca mnie do tyłu, padam na kolana, zamieram. Nie mam siły się ruszyć.

Śpiewak odwraca głowę, patrzy na mnie. Chyba zaczyna śpiewać głośnie. I tak go nie słyszę. Jestem spętany Głębią. Bezradny.

Śpiewak odwraca się. Nagle dociera do mnie, że to ten Nieudacznik z Labiryntu. Ten, którego muszę uratować. Uratować, a nie klęczeć pod niewidocznym gumowym ciężarem.

– Nie mam sił.

Z przeciwległego końca sceny, zza kotary wyłania się jeszcze jeden człowiek. Jest w kamuflażu, w rękę ma winchester. Uśmiecha się, patrzy na mnie i unosi broń.

– Nie! – krzyczę, ale dźwięk grzęźnie w Głębi.

Alex strzela. Kula przebija gryf gitary, struny zwijają się z jękiem. Bariera ciszy pęka. Ciężar znikł, podrywam się. Śpiewak, nic nie rozumiejąc, patrzy na zabitą gitarę, Alex przeładowuje, a ja biegnę, skaczę, przewracam śpiewaka, zasłaniam go sobą.

– Mówiłem, że cię załatwię – odzywa się Alex.

Strzela, kula wchodzi w moją pierś, rozrywa serce, przechodzi na wylot i przebija śpiewaka. Jego ciało się pręży. Śpiewak umiera.

To koniec. Nie zdążyłem.

Wstaję, idę w stronę Aleksa. Moje serce już nie bije, ale co z tego. Jestem nurkiem. Jedyiny wróg Głębi, strażnik pomiędzy światami, ten, który powinien był zdążyć. Przywykłem żyć bez serca. Nie tak łatwo mnie zabić.

Sala za moimi plecami ryczy, klaszcze, gwizdże, tupie.

– Załatwiłem cię – mówi Alex, opuszczając winchester.

Zza jego pleców wychodzi Vika. Wyciąga rękę – na dłoni tłusty szary popiół.

– Znalazłam tamtą gwiazdę – szepcze i rozchyła dłoń. Popiół, wirując, opada na podłogę.

Wtedy umieram.

Budzę się, łapczywie chwytam ustami powietrze. Świta. Powietrze jest upojnie świeże. Vika śpi, przytulona do mojego ramienia, skulona z zimna.

Jak w tym dowcipie o Freudzie: „Wiesz, córeńko, bywają również zwykłe sny...”

Mówi się, że sen w wirtualności to zły omen.

– Vika... – dotykam jej ramienia, ona wzdryga się, ale śpi dalej. Wstaję, przykrywam ją brzegiem

kołdry. Lampa na trawie zgasła, wypaliła się. Idę do domku.

Jest tu tylko jeden pokój – elegancka sypialnia, a także łazienka, toaleta i kuchnia. Wyjmuję z lodówki śmietanę, ser i pasztet. Na malej kuchence robię kawę, przygotowuję kanapki, układam wszystko na tacce, wracam do Viki.

Śpi.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Zdrowo sobie pospałem. Trzecia godzina. „Poszedłem do łazienki, doprowadziłem się do porządku, nawet zęby umyłem, ściągnąłem hełm i trzymając go pod pachą. Wróciłem do pokoju, wyjąłem z lodówki puszkę lemoniady, jogurt, kawałek kiełbasy. Idiotyczny zestaw, ale czy nie wszystko jedno, co będę jadł w rzeczywistości? Chodzi o to, żeby zapchać żołądek.

Ta Vika, która jest na monitorze komputera, też drzemie. Czuję lekki wstyd, wstyd przed programem, którego zdradzam z człowiekiem.

Deep

Enter.

Głaszczę włosy Viki – tej prawie prawdziwej – i szepczę:

– Pora wstawać...

Budzi się, patrzy na mnie zdumiona i zaraz się uśmiecha.

– Dziękuję.

– Za co?

– Tak odpoczęłam... to się nie zdarza często...

– Przyniosłem śniadanie – mówię.

– To mój obowiązek – odpowiada z udawanym niezadowoleniem Vika. – Dziękuję, Leonid.

Pijemy kawę, jemy kanapki. Gdzieś daleko w lesie słychać ptasi śpiew.

– Miałam zły sen – oznajmia Vika.

– O scenie? – pytam i serce mi zamiera, jakby znowu weszła w nie kula.

– Nie. Że znalazłam spadającą gwiazdę, a ona już zgasła. Zupełnie.

Serce znowu trzepocze, łomot w skroniach, huk i ból.

Spanie w wirtualności – zły znak.

Jakie biegają nici pomiędzy nami, śpiącymi w Głębi? Bezgłośny szepc i senne grymasy, napięte mięśnie i trzepot rzęs, wszystko, wszystko przemienia się w impulsy elektroniczne, i biegnie przez Głębę.

Żeby dotknąć tej, która była obok.

Tak samo śpiąca.

Żeby wejść w jej sen.

Zły omen, spać w Głębi.

– Poszukamy jej jutro – mówię. Vika patrzy na mnie ironicznie.

– Jesteś siostrzeńcem milionera? – pyta. Wzruszam ramionami.

– Chcę cię znowu zobaczyć. Po prostu zobaczyć. Po chwili wahania pyta:

– Powiedz... czy ja cię nie pociągam?

– Seksualnie?

Vika kiwa głową.

– Pociągasz.

– W takim razie dlaczego?

– To nie powinno być takie łatwe... – ja też nie od razu znajduję siły, żeby odpowiedzieć. – I nie powinno być towarem.

– Lonia, wariujesz.

– Możliwe.

– Przecież nie wiesz, kim jestem. To – podnosi ręce do twarzy – to maska, makijaż. Mogę być kimkolwiek.

Milczę. Masz rację. Masz rację. Nie spieram się.

– Przecież tak naprawdę mogę być staruszką – mówi bezlitośnie Vika. – Paskudną. Albo facetem, zbrojeńcem. Rozumiesz?

Rozumiem.

Chociaż co do mężczyzny, to raczej wątpię...

– Nie wygłupiaj się, Lonia. Nie zakochuj się w iluzji.

– Po prostu chcę cię znowu zobaczyć.

Vika podejmuje decyzję:

– Jak wrócisz do Zabaw, poproś, żeby zawołano Vikę. Bez zamówienia. Dobrze?

– A Madame nie będzie się gniewać?

– Nie.

– Dobrze. – Dotykam jej ręki. – Umowa stoi.

Dopijamy resztę kawy, dojadamy kanapki. Vika popatruje na mnie, ale milczy. Niech tam.

W środku triumfuję. W środku jestem skupiony i rzeczowy.

Znowu jestem dwudziestoletnim młodzieńcem, który zaleca, się do kapryśnej rówieśniczki.

Tylko, w odróżnieniu od młodzieńca, seks nie mąci mi myśli.

Wymieniając się nic nieznaczącymi zdaniami, wychodzimy z sadu. Drzwi są wprost na trawie, przypomina mi to scenę jakiegoś starego filmu dla dzieci. Vika otwiera je pierwsza, i pierwsza wychodzi na korytarz burdelu. Ja za nią.

Cicho i smutno.

Klienci nie widzą się wzajemnie.

– Czas na mnie – mówi Vika. – Zaraz zadziała mój timer.

Kiwam głową. Timer rzecz święta.

– Dziękuję.

– Za co?

– Za spadającą gwiazdę.

Chyba chce coś powiedzieć, ale widocznie jej czas naprawdę dobiegł końca.

Rozpływa się w powietrzu.

– Do widzenia – szepczę. Schodzę po schodach. Ochroniarz w holu jest teraz inny; mrugam do

niego i, nie doczekawszy się reakcji, idę do drzwi wyjściowych.

– Strzelcu!

Odwracam się.

Madame stoi na półpiętrze, ciężko oparta o balustradę.

– Chyba niepotrzebnie pan do nas przyszedł, młody człowieku.

– Możliwe – przyznaję. – Ale tak się złożyło.

Madame wzdycha i odwraca się. Niech tam.

Dzisiaj nie potrzebuję Deep Przewodnika. Pamiętam drogę swojej wczorajszej ucieczki, a wyjście z Labiryntu i wejście do portalu są oddalone o pięć minut drogi. Idę po wieczornych ulicach Deeptown, rozglądając się i oczekując zasadzki.

Ale nic się nie dzieje. Albo zgasł zapał prześladowców, albo schudły sakiewki.

– Jestem Strzelcem! – krzyczę, wchodząc w purpurową mgłę portalu. Ludzie na mnie patrzą, a ja się śmieję i wyrzucam ręce w górę, ku przetykanemu błyskawicami łukowi. – Jestem Strzelcem! Strzelcem! Strzelcem!

Dziś stałem się śmiercią, a śmierć stała się mną. Bywa.

Idę przez poziomy Labiryntu, odstrzeliwując potwory i unikając innych graczy. Gracze mnie unikają.

Prócz tych, którzy wczoraj poczuli się urażeni i tych, którzy od dawna mają się za bohaterów.

Tych zabijam.

Dwa razy zabito mnie. Za pierwszym razem straciłem całe uzbrojenie i odrzuciło mnie na początek dziewiętnastego. Dwudziestu graczy – nie wyobrażam sobie, jak serwerem Labiryntu udaje się skoordynować działanie takiego tłumu.

Obrażam się i zabijam wszystkich. Po kolei, wyławiając ich na bagnach otaczających miejski zbiornik wodny, nurkując i wciągając ich pod wodę, gdzie mogłem wytrzymać znacznie dłużej od nich, bo wychodziłem z wirtualności. Ostatniemu – jeśli się nie mylę, Tolikowi – podcinam gardło ostrym jak brzytwa liściem kosmicznej turzycy. Nowy element w programie Labiryntu. Możliwość wykorzystywania przedmiotów podręcznych.

Potem zabieram ich wyposażenie i idę dalej.

Na dwudziestym czwartym poziomie – na moście oddzielającym przemysłowe dzielnice miasta od strefy mieszkalnej – dogania mnie Alex.

Dochodzę właśnie do końca mostu – procedura wymagająca raczej zmysłu równowagi i mocnych nerwów niż umiejętności strzelania. Przydaje się doświadczenie z włosianego mostu Al Kabaru.

Strzał pada, gdy zeskakuję z ostatniej, wiszącej nad przepaścią belki. Na moście wykwita ognisty lej, fala uderzeniowa rzuca mnie na betonową balustradę.

Alex stoi na początku poziomu. Podnoszę do oczu lornetkę znaną w głównej skrytce na dwudziestym poziomie; mogę mu się teraz porządnie przyjrzeć. Uzbrojenie minimalne – sztucer, granatnik i kilka apteczek.

– Strzelec! – krzyczy i macha ręką. Kul ma dużo, ale nie strzela. Ja też nie.

– Załatwię cię, stary! – krzyczy. – Słyszysz? Jesteś trupem! Idzie za mną od pierwszego poziomu – i niemal udaje mu się mnie dogonić. Może też jest nurkiem? Jeszcze jeden pretendent do Medalu Bezkarłości? Nerwy mi szwankują, wychodzę z Głębi, chwytam Aleksa w siatkę celownika i puszczam w niego trzy rakiety.

Uchylił się i wybuchy grzmia za jego plecami, rozrywając na kawałki jakiegoś biedaka, który właśnie wszedł na poziom. Alex jest ogłuszony, siedzi w kucki, trzęsie głową, próbuje wstać. Naprowadzam granatnik. I opuszczam broń.

Złość przechodzi.

– Ochłoń, lamerze! – krzyczę, zarzucając granatnik na ramię. Opuszczam poziom. Jeśli nie jest nurkiem, utknie przy moście na długo.

Na trzydziestym pierwszym poziomie w obroty biorą mnie potwory. Jest ich tu ze dwie setki, od tępych i słabych mutantów poczynając, a na latającym, skaczącym i zakopującym się nawet w asfalcie plugastwie kończąc.

Siedem minut stoję na początku poziomu, w westybulu wieżowca, i rozstrzeliwuję zbiegające się radośnie potwory. Kończą się naboje w winchesterze, w sztucerze, pociski granatnika. Odrzucam użytą broń. Dwa razy mnie ranią, zużywam kilka apteczek.

Okno w westybulu pęka i wysuwa się półprzeźroczysta mordą. Potwory nadal się zbiegają.

Zdejmuję z ramienia karabin plazmowy i otwieram ogień. Jednostek energii mam dużo, oszczędzałem tę najpotężniejszą z dostępnych obecnie broni.

Poziom płonie.

Niebieskie pętle wystrzałów niszczą wszystko razem z potworami i innymi graczami. Wypalają całą ulicę.

Potwory się uspokajają. Idę przez ruiny.

Kilka ataków, ale już nie tak zmasowanych.

Z poziomu wychodzę z pustymi rękami. Bardzo, bardzo nieprzyjemny poziom. Potwory – mimo całego wysiłku programistów – pod względem inteligencji pozostają daleko w tyle za ludźmi. Ale przytłaczają masą.

Na trzydziestym drugim zostaję zabity od razu. Przy wejściu stoi koleś z winchesterem i strzela do mnie z bardzo bliska. Nie mam naboju, próbuję do niego podbiec i uderzyć kastetem, ale trzy kule z rzędu wyciągają ze mnie resztkę życia.

Zaczynam poziom od nowa. Bez kamizelki kuloodpornej i z jednym pistoletem.

Z wściekłości robi mi się ciemno przed oczami. Rozstrzeluję drania, podchodząc do niego zygzakiem. Upuszcza winchester i pada na wznak. Zaczynam walić jego głową o asfalt, wytrząsając przy każdym uderzeniu jeden procent życia. Nawet się nie broni, tylko radośnie bełkocze:

– Zabiłem Strzelca, zabiłem Strzelca...

Zabieram mu broń – szkoda, że jest jej niewiele – i odchodzę, zostawiając tego półżywego idiotę na rozszarpanie potworom.

Na szczęście ten poziom – ulica sklepów – jest dość łatwy. Chwila oddechu dla tych, którzy przeszli rzeź poprzedniego. Długie rzędy supermarketów i małych sklepików; dopóki się w nich człowiek nie zagłębi, szczególnego niebezpieczeństwa nie ma.

Zdobywam sztucer, granatnik, kamizelkę i trochę amunicji. Nie szukam zwady. Dochodzę do wyjścia.

Do Nieudacznika... niech go jasny szlag.

Gdy wchodzę na teren Disneylandu (przy głównym wejściu leży zakrwawiona dziecięca lalka i stosik małych kości) mimo woli myślę, że Nieudacznika mógł już ktoś uratować.

Dopiero by było śmiesznie.

Ale Nieudacznik jest na swoim miejscu.

Długo się rozglądam, zapamiętując teren. Gdy ostatni raz przechodziłem Labirynt, tego miejsca po prostu nie było. Trzydziesty trzeci poziom do przyjemnych nie należał, ale wyglądał standardowo.

Skulony Nieudacznik siedzi obok stopionego ogrodzenia rosyjskiej kolejki, którą osobiście wolę nazywać amerykańską. Z jednej strony osłania go budka z mechanizmami sterującymi kolejką, z drugiej mur otaczający cały Disneyland. Dobre miejsce, nie sposób podejść do niego niepostrzeżenie. Też bym tu siedział.

Ale nie dwie doby.

Podchodzę do Nieudacznika – otwarcie, z pustymi, podniesionymi rękami. Nieudacznik nie reaguje. Może śpi.

A może umarł.

Śmierć w wirtualności to nieprzyjemna rzecz. Widziałem kiedyś jednego trupa... Najstraszniejsze, że on „żył”; nadal szedł ulicą, wpadał na przechodniów, podrygiwał, powtarzając konwulsje swojego pechowego pana. Wyłączyli go ręcznie, gdy po dwóch godzinach udało się wysledzić jego kanał. Paskudna sprawa, taki maszerujący ulicą nieboszczyk.

Ale Nieudacznik wzdryga się i podnosi głowę.

– Witaj! – krzyczę. – Nie strzelaj! *Don't shoot!*

Nie odpowiada. Ale i nie podnosi pistoletu z kolan.

– Przyszedłem ci pomóc – mówię. Słyszę hałas za plecami, odwracam się. Jakiś koleś z karabinem plazmowym patrzy na mnie z obłędem w oczach.

Grożę mu palcem i macham, żeby przechodził. Nie trzeba go namawiać. Poznał Strzelca i nie pragnie współzawodniczyć w celności strzału. Podchodzę do Nieudacznika.

– Pogadajmy, dobrze? Jestem przyjacielem! *Go steady!*

Ale on już chyba nic nie chce – ani przyjaźni, ani strzelaniny. Siadam obok niego w kucki, wyciągam rękę, ostrożnie odbieram pistolet. Nieudacznik nie protestuje.

– Rozumiesz mnie? – niemal krzyczę. Nieudacznik zniża się do odpowiedzi. Jego wargi drgnęły i raczej domyślam się, niż słyszę: „Tak”. No, to już coś. Rodak.

– Dawno tu jesteś? – pytam ostrożnie. Ciekawe, czy stracił wyczucie czasu?

Kiwnięcie. Coś jednak rozumie.

– Masz włączony timer?

Zero reakcji.

Szarpię go za ramię.

– Włączyłeś timer? – powtarzam. – Timer masz włączony? Nieudacznik kręci głową. No tak. Najgorszy wariant. Odwracam się – Gilermo na pewno mnie obserwuje – i krzyczę:

– Widzi pan? Sam nie wyjdzie! Wyśledźcie kanał!

Ale nie wierzę w powodzenie tego przedsięwzięcia. Czyli przyjdzie mi ciągnąć Nieudacznika do końca poziomu i tam namawiać, zmuszać do naciśnięcia klawiszy wyjścia.

Zresztą, to nie jest niemożliwe.

– Teraz wstaniesz i wyjdziemy stąd – mówię łagodnie, jak do dziecka. Całkiem prawdopodobne, że Nieudacznik jest dzieckiem, które podczas nieobecności rodziców dorwało się do upragnionej zabawki. Zdarzały się już takie rzeczy. – Możesz iść?

Niepewne kiwnięcie.

– Wiesz co, odpocznijmy. – Wiem, że gadam bzdury, Nieudacznik odpoczywa już ponad trzydzieści sześć godzin, ale mówię dalej: – Odpocznijmy, zjemy coś i ruszymy dalej. Teraz już będzie dobrze. Przeprowadzę cię.

Ściągam hełm-maszkę, na tym poziomie powietrze jest wystarczająco czyste, i wyciągam torbę z jedzeniem. Podaję Nieudacznikowi potężną kanapkę i puszkę lemoniady. Wirtualne jedzenie nie pomoże jego ciału, ale da złudzenie rzeźkości w Głębi.

Jem swoją kanapkę i patrzę na Nieudacznika. Siedzi z kanapką w ręce. Nie będzie łatwo.

Gdybym przyszedł dobie wcześniej...

– Jedz – namawiam go, wyciągam rękę, ściągam mu maskę. Od gum respiratora na policzku pozostał czerwony placek, poza tym twarz ma normalną, standardową. Jasnowłosy młody chłopak,

tylko oczy zmęczone, zgaszone. – No! – zachęcam go.

Podnosi kanapkę do ust, zaczyna powoli żuć. Proszę bardzo. Kawaleczek za mamę, kawaleczek za tatę, kawaleczek za wujka-nurka. Może to rzeczywiście dziecko?

– Nazywam się Strzelec. A ty? – pytam. Nieudacznik nie odpowiada, zbyt zajęty kanapką. – Ile masz lat?

Ostatnie pytanie jest poważną zniewagą. W wirtualności wszyscy są równi. Jeśli Nieudacznik ma choć niewielkie doświadczenie życia w Deeptown, to na pewno odpowie. I to jeszcze jak odpowie.

Ale on milczy.

Czeka mnie ciężka praca.

Ale nagroda też jest niemała – nie zamieniłbym jej na te pół miliona dolców Labiryntu. Medalu Bezkarłości nie można kupić. Jeden taki przypadek natychmiast zniszczyłby jego wartość.

– Lepiej? – pytam Nieudacznika. Kiwa głową. – No to dobrze. Wstawaj.

Posłusznie wstaje, oddaję mu pistolet. Na trzydziestym trzecim poziomie to symboliczna broń, tym bardziej w jego rękach. Ale Nieudacznik poczuje się pewniej. Przynajmniej chciałbym w to wierzyć.

– Teraz pójdziemy – mówię. Spokojnie, pewnie. Jestem idiotą.

Zapominam o demonie chwytaczu, który siedzi za rogiem. Zapominam, że Gilermo mi go pokazywał. Idę wzdłuż ogrodzenia kolejki, kroczę jak na paradzie.

Demon radośnie chwyta mnie długą ręką, podrzuca do góry. Przypomina porośnięty mackami pień, może baobabu. Pośrodku pnia zębata mordą, z dolnej części wyrasta chwytna siedmiopalczysta łapa, która teraz obraca mną w powietrzu i zgniata, przemieniając w mięsną kulkę na jeden kęs.

Pistolet Nieudacznika gdać: tak-tak-tak... wywalając cały magazynek w potwora. Wisząc w powietrzu, zdumiewam się dziwną pozą mojego klienta – tułów pochylony, ramiona cofnięte, pistolet w wyciągniętej do przodu lewej ręce.

Z takiej broni demona nie zabije.

A jednak łapa nagle przestaje łamać mi żebra, słabnie – i spadam z trzymetrowej wysokości prosto w rozdziawioną żarłocznie paszczę.

Na szczęście, potwór nie może już żuć i łykać. Wychodzę ze śmierdzącego otworu, starając się nie patrzeć na dziesięciocentymetrowe zęby. Na zębach widać strzępy ubrania. Nie mojego.

Cały jestem w ślinie, która syczy na kamizelce kuloodpornej. Wycieram się pękami pozółkłej, wyschniętej trawy. Podchodzę do Nieudacznika, który znowu jest rozluźniony, osłabły i ledwie żywy.

Zewnątrz.

– Dziękuję – mówię. Przykładam rękę do apteczki. Wstrzykuje mi lekarstwa i rozpada się. Mocno mnie zmiotosiło.

– Nie ma za co – mówi cicho, ale wyraźnie Nieudacznik. Zresztą to imię niezbyt do niego teraz pasuje. Położyć demona z pistoletu!

Cóż, teoretycznie jest to możliwe. Twórcy Labiryntu nieraz oświadczały, że każdego potwora można zabić z pistoletu, ba, nawet kastetem. Teoretycznie. Jeśli tylko zna się ten jeden jedyny superczuły punkt jego ciała.

Osobiście o takich wyczynach nie słyszałem.

Zrzucam z ramienia karabin, podaję Nieudacznikowi. Melancholijnie bierze broń.

Sam jestem uzbrojony w granatnik. Są w nim tylko cztery pociski, ale spróbujemy jeszcze zdobyć.

– Jak się nazywasz? – pytam.

Brak odpowiedzi.

Czort z tobą. Będziesz dalej Nieudacznikiem.

Disneyland pomyślany jest wspaniale. Nie wiem, czy kopiuje jakiś prawdziwy park, czy to urzeczywistnienie marzenia twórców gier. Ale potwory, które kręcą się na kole widokowym i przerzucają ognistymi kulami niczym śnieżkami, najwyraźniej zrodziły się w czyjejś chorej wyobraźni. Widok jest tak zajmujący, że patrzę przez kilka minut i dopiero potem strzelam w koło rakiety. Wybuch i koło powoli się przewraca. Odłamki lecą na dwadzieścia metrów.

Spoglądam kątem oka na Nieudacznika, ciekaw, czy docenił widowisko?

Nic podobnego...

– Idziemy – rzucam. Powoli zaczynam się przyzwyczajać do swojego milczącego towarzysza.

Mijamy wodne rozrywki. W basenach zamiast wody krew. Część mechanicznych łódeczek, ślizgających się po purpurowej gładzi, wypełniają szkielety, część jest pusta. Przy ruchu rozlega się nieprzyjemny chrzęst – mechanizmy nie są przystosowane do pracy w takiej cieczy.

Ohyda.

A oto rodzinka mutantów. Dwoje dorosłych i trzy maluchy w kolorowych koszulkach urządają piknik. Na malutkiej gazowej kuchence pieką kawałek nogi w skórzanym bucie. Tracę jeszcze jedną raketę.

Nawet nie próbują uciekać. To nie są bojowe potwory, stworzono je, by spotęgować wrażenie koszmaru.

Gdybym tak mógł znaleźć tego, kto to wszystko wymyślił, i dać mu w mordę. I to nie w wirtualności.

– Już niedługo koniec – mówię do Nieudacznika. – Dobrze się trzymasz.

Kiwa głową, jakby z wdzięcznością. Dlaczego ci nurkowie Labiryntu tak długo się z nim bawili? Chłopakowi całkiem nieźle idzie.

We dwóch odbijamy atak całego stada małych latających potworów. Nieudacznik strzela skąpo i celnie, skórzane skrzydła się łamią, niezgrabne ciała spadają i pękają.

– Idziemy – mówię.

Dopiero przy ogromnym betonowym polu, po którym powoli ślizgają się różnokolorowe samochodziki, zatrzymujemy się na dłużej.

W jednym z samochodzików siedzi dziecko. Mały ciemnoskóry chłopczyk. Kieruje, uciekając przed trzema mutantami, które ze zgrzytliwym śmiechem gonią go po całym polu. W pewnym momencie chłopczyk przejeżdża tuż obok ogrodzenia i obrzuca nas oszalałym ze strachu spojrzeniem.

Nieudacznik podnosi karabin.

– To nie gracz – wyjaśniam ze zmęczeniem. – To część programu. Bonus. Ratujesz dziecko, odprowadzasz w bezpieczne miejsce i znajdujesz tam jakąś broń, albo pancerz. Idziemy, szkoda czasu.

Ale Nieudacznik chyba już stracił kontakt z rzeczywistością. Zaczyna strzelać – trzy strzały, trzy mutanty. Próbują się bronić, ciskają w nas ogniste kule, ale Nieudacznik jest szybszy i bardziej dokładny.

Na odgłosy strzelaniny wypęłza skądś ogromny pająk i zaczyna częstować nas seriami z

wrośniętego w paszczę karabinu maszynowego. Muszę się włączyć. Kolejne dwie rakietki zmarnowane. Zapada cisza, słychać tylko płacz chłopczyka, który wysiadł z samochodziku i teraz siedzi w kucki.

– Chodźmy – decyduję. Teraz trzeba zaprowadzić chłopca do jego kryjówki i odebrać uczciwie zapracowaną amunicję.

Pokonujemy rozerwane wystrzałami cekaemu ogrodzenie, żeby dostać się do chłopca. Zostają trochę z tyłu, grzebię nogą w resztkach pająka, zastanawiając się, czy nie dałoby się wykorzystać jego karabinu.

Śluz, chityna i resztki metalu. Nic z tego.

Nieudacznik podchodzi do mnie, troskliwie niosąc chłopca na rękach. Mimo woli zaczynam czuć do niego sympatię. Jest kretynem, który wyłączył timer i zabłądził w Głębi, ale mimo wszystko porządny z niego gość.

– Gdzie są twoi rodzice? – pytam chłopca w nadziei, że to prosty program i nie trzeba będzie tracić czasu na namawianie go i inne ceregiele. Chłopiec w milczeniu wskazuje palcem budynek obok. Chwała Bogu...

Idziemy do budynku, trzymam granatnik w pogotowiu, Nieudacznik jest chwilowo niezdolny do walki.

Widok zewnętrznych drzwi budzi moją czujność. Są wyrwane z zawiasów i skrzypią, chociaż nie ma wiatru. Za nimi ciemność. Okna budynku od wewnątrz porasta niebieski mech.

– Tam? – pytam na wszelki wypadek. Chłopiec kiwa głową. Już mam pokonać próg...

– Przepraszam – szepcze chłopiec. – Powiedzieli, że wypuszczą mamę, jeśli ja...

W ostatniej chwili odskakuję i strumień ognia przechodzi obok. Wewnątrz budynku coś się groźnie porusza i ciężko przewala po podłodze. Pakuję w drzwi swój ostatni granat.

Po wybuchu niepokojące dźwięki tylko przybierają na sile. Chłopiec płacze, wyrywa się z rąk Nieudacznika, który próbuje go utrzymać, ale dzieciak drapie go po twarzy, wyslizguje się i wpada w drzwi.

– Mamusiu! – słychać jego cieniutki krzyk. Głośne mlaśnięcie, potem cisza.

– To się nazywa łatwy bonus – mówię, chwytając Nieudacznika za ramię i odciągając od budynku. Chyba gotów jest skoczyć za chłopcem, prosto w gościnną paszczę niewiadomego potwora.

– Dlaczego? – szepcze Nieudacznik, odwracając się do mnie. – Dlaczego on tak postąpił?

Wyjaśnianie mu logiki twórców poziomów nie ma sensu. On wyraźnie bierze całą sytuację na poważnie.

– Zmusili chłopca, żeby zwabił przechodzących w pułapkę – mówię. – Grozili, że zabiją jego mamę. No to posłuchał.

Nieudacznik milczy, jakby przetrawiając moje słowa. Potem pyta:

– A dlaczego wbiegł do domu?

Przynajmniej mój podopieczny trochę się rozgadał.

– Bał się o mamę.

– Trzeba im pomóc. – Nieudacznik poprawia sobie karabin w ręce. Najwyraźniej ma zamiar leźć diabłu w paszczę.

– Oni już nie żyją! – krzyczę. – Zginęli, uwierz mi!

Wierzy i opuszcza broń. Na szczęście nie domaga się pomszczenia nieszczęsnego dzieciaka.

Idziemy dalej.

Ja mam pusty granatnik, a Nieudacznik karabin i z dziesięć naboju. Doskonałe uzbrojenie. Jaki przyjemny spacer. Gdy zauważam kątem oka, że sto metrów dalej stoi obserwujący nas człowiek, humor psuje mi się zupełnie.

– Zdejmij go – mówię. Nieudacznik odwraca się do mnie zdumiony.

– Dlaczego?

Słuszne pytanie. Jeśli wierzy w to, co się tu dzieje, to nie będzie strzelać do ludzi. Co za facet.

– Daj broń! – Żądam, wpatrując się w nieznajomego. Alex czy nie? Gdzie moja lornetka?

– Nie dam – mówi twardo Nieudacznik i chowa karabin za plecami.

Nawet mi się nie chce kłócić. Stoję, przyglądając się obcemu. Ten robi to samo, potem wchodzi za róg budynku i znika nam z oczu. Chyba jednak nie Alex.

– Idziemy, nieszczęście ty moje – mówię.

Pół godziny później nasza sytuacja wygląda już nieco lepiej. Purpurowe obłoki na niebie rzędą, odsłaniając bezlitosne południowe słońce. Jesteśmy niemal przy wyjściu z Disneylandu. Nieudacznikowi udało się odbić atak dwóch pajaków, ja znajduję pociski do miotacza i karabin plazmowy z jedną jednostką energii. Życie staje się weselsze.

Robimy postój w cieniu rozwalonej pizzerii.

Tym razem nie muszę namawiać Nieudacznika do jedzenia. W skupieniu żuje ostatnią kanapkę. Patrzę na niego. Wprawdzie nie jestem głodny, ale mimo wszystko mógłby zaproponować, że się podzieli, lamer jeden...

– Dlaczego chciałeś zabić tamtego człowieka? – pyta Nieudacznik.

Wolę mu nie mówić, że przydałoby się nam jego wyposażenie.

– Mógł nas zaatakować. – Nie. Dick jest dobry.

– Dick?

– Tak. Próbował mi pomóc. Dziś rano. Moje szare komórki aż trzeszczą z wysiłku. Więc obserwuje nas jeden z nurków Labiryntu? Nie wtrącając się, nie proponując pomocy, ale i nie przeszkadzając? Dziwne to wszystko.

– Anatol też jest dobry? – pytam ostrożnie.

Nieudacznik energicznie kręci głową, ale nie wyjaśnia przyczyny swojej antypatii do drugiego nurka.

– A ja? – chcę wiedzieć. Nieudacznik przestaje jeść. Myśli.

– Jeszcze nie wiem – ogłasza wyrok. Potem przepaszająco dodaje: – Raczej dobry.

Chcę podtrzymać rozmowę, więc ostrożnie biorę Nieudacznika za rękę i mówię:

– Rozumiesz, że wokół jest rzeczywistość wirtualna?

– Tak.

Pięknie. Połowa roboty!

– Chłopcze... jak ci na imię?

– Nie mogę powiedzieć – przyznaje się z wyraźnym żalem Nieudacznik.

– Jesteś pewien?

– Nie mogę.

– Jesteś w wirtualności już półtorej doby. To długo, bardzo długo. Twoje ciało jest zmęczone, potrzebuje odpoczynku, jedzenia, wody...

Mam nadzieję, że mój głos budzi zaufanie jak głos hipnotyzera.

– Muszę wyjść – zgadza się Nieudacznik.

– Pomogę ci – obiecuję znowu. – Jesteśmy już blisko. Ale jeśli coś się stanie, łatwiej będzie ci pomóc w inny sposób.

Nieudacznik pochłania resztkę kanapki i patrzy na mnie pytająco.

– Podaj swój adres sieciowy – proszę. – Labirynt przekaże twoim prowadzącym, oni wyślą człowieka i wyciągną cię z Głębi ręcznie. Nie ma w tym niczego wstydliwego, przysięgam. Takie rzeczy się zdarzają.

– Nie. To niemożliwe.

– Posłuchaj mnie... jeśli tak się wstydzisz tego, co się stało... jeśli się boisz... to ja do ciebie przyjadę. Bez względu na to, gdzie jesteś. Jestem osobą prywatną, mam gdzieś ten cały Labirynt. Po prostu chcę rozwiązać twój problem. Wierzysz mi?

– Wierzę.

– To powiedz adres. – Przez chwilę wydaje mi się, że wygrałem. Naprawdę jestem gotów wyskoczyć z Głębi, kupić bilet na samolot i wyruszyć do domu Nieudacznika. Choćby na Sachalin, choćby do Magadanu.

– Nie.

Ze złości walę rękaw ścianę i odbijam sobie kostki.

– No to wstawaj!

Wyjście z Disneylandu mieści się wewnątrz lustrzanego labiryntu. Labirynt w Labiryncie... Zaczyna mi się kręcić w głowie na myśl o tej matriosce¹¹ z przestrzeni wirtualnych.

– Zrobimy tak – proponuję, gdy przechodzimy obok zamienionego w kamienny posąg wąsatego staruszka z plikiem jakichś reklamowych ulotek w granitowych palcach. Staruszek ze smutkiem obserwuje wychodzących z poziomu graczy. – Pójdę przodem. Trzymaj się blisko mnie, dobrze? I postaraj się pierwszy zauważyć wroga. Masz bystry wzrok.

– Dobrze – odpowiada Nieudacznik.

Wchodzimy do labiryntu luster. Początkowo to po prostu korytarz wyłożony lustrami. Potem zaczyna się rozgałęziać. Wśród gęsto rozstawionych kolumn kompletnie tracę orientację. Wokół mnie jest dziesięć par nurków i Nieudaczników. Świat się rozmnaża, krąży, rozmywa.

Cholera.

W prawdziwych lustrzanych labiryntach, które tak lubią pokazywać w tanich fantastycznych bajeczkach filmowych, wszystko jest zupełnie inaczej. Mimo starań reżyserów nie sposób pomylić rzeczywistości z iluzją.

Tutaj nie ma żadnej różnicy.

Zastanawiam się, czy nie wyjść z Głębi. Zresztą i tak mi to nic nie da. Szczegółowa iluzja zostanie zastąpiona iluzją schematyczną, to wszystko.

– Nieudacznik, uważaj – ostrzegam, odruchowo nazywając go wymyślonym przez Gilermo przezwiskiem.

Nieudacznik nie protestuje. Błądzimy po labiryncie luster przez dwadzieścia minut i w końcu wchodzimy do wielkiej sali. Też lustrzanej. Pryzmat o trzynastu krawędziach.

Pod ścianami stoją komputery. Wyjście.

Pod sufitem, na balkonikach, parami stoją potwory. Takich jeszcze nie widziałem. Ogromne wypukłe oczy, długie ręce mocno ściskające karabin, pokryte łuską ciało. Poza tym zupełnie człekokształtne.

– Do tyłu! – krzyczę.

Nieudacznik robi ruch, próbując wrócić w lustrzane przejście. Wtedy potwory zaczynają strzelać.

Kule dziurawią lustrzaną podłogę, w moje ciało wbijają się ostre igły. Strzelam na chybił trafił w jeden z balkonów. Jeden z nich jest prawdziwy, pozostałe to odbicia.

Ognisty wybuch, lustrzana sala zasnuwa się dymem. Huk wystrzałów. Ranią mnie w prawą rękę, dygoczę z bólu, przerzucam ciężką rurę granatnika na lewe ramię. Nie ma czasu na wyjście z wirtualności.

Nieudacznik biegnie do mnie.

Stoimy ramię w ramię, strzelając w przeklęte lustra, które rozpadają się z drwiącym brzękiem. Ranią mnie znowu, krzyczę, ale strzelam dalej.

Ostatni granat też nie znajduje celu. Ciskam granatnik w górę, w jeden z trzech ocalałych balkonów, trafiam w szkło, chwytam karabin plazmowy i dokonuję niezbyt prostego wyboru pomiędzy dwoma ostatnimi celami. Zły wybór.

Niebieska ognista pętla trafia w mętniejące lustro. Plazmowy karabin jest już pusty.

Jeden z potworów nie żyje; albo dostał pociskiem, albo pocięły go odłamki lustra. Drugi nadal strzela. Jego karabin jest wycelowany we mnie, a on naciska na spust. A Nieudacznik zasłania mnie sobą.

Wchodzi w niego cała seria. Osuwa się. Potwór przeładowuje karabin, zręcznie, z wyczuciem, a ja stoję oszołomiony; nie dociera do mnie to, co się stało.

Zresztą i tak nie mam amunicji.

Pocisk przechodzi ponad moim ramieniem, ogłuszając mnie. Ognista kula płonie na balkonie, spalając potwora, wypluwając pętle pocisków na wszystkie strony. Próbuje znaleźć jeszcze jakiś cel.

BFG-9000.

Broń, której nie zdołałem zdobyć podczas maratonu przez poziomy.

Nawet nie patrzę, kto strzelał. Nachylam się nad Nieudacznikiem.

Jego twarz jest krwawą maską, pierś rozerwana kulami, ale chłopiec nadal żyje; pięć pożegnalnych sekund, darowanych przez grę...

– Odbicie... – szepcze.

Ścieram dłonią krew z jego twarzy. Wstaję.

Za mną stoi rosły mężczyzna w pancerzu obwieszony bronią jak choinka ozdobami. Twarz ma spokojną, suchą, filtr zsunięty na podbródek.

– Trudno zabić gwardię eskorty Księcia Kosmitów – mówi. Głos ma cichy, ale pod opanowaniem daje się wyczuć kipiące emocje.

– Jesteś nurkiem... – szepczę.

– Ty też.

Gigant w pancerzu nie przypomina człowieka, który nas obserwował.

– Anatol?

Kiwa głową. Przypominam sobie o zasadach uprzejmości z kodeksu nurków.

– Leonid – przedstawiam się.

Nurek Labiryntu kiwa głową i zarzuca ciężki BFG-9000 na ramię. Pewnie widzieliśmy się na jakimś zebraniu. Po prostu był w innym ciele, tak samo jak ja. Anatol podchodzi do ciała Nieudacznika, patrzy mu w oczy i rzuca:

– Jak zawsze.

Lekko szturcha ciało nogą, jakby się upewniając, że Nieudacznik rzeczywiście nie żyje.

Wtedy uderzam go w twarz. Tak mocno, że odlatuje pod ścianę.

Rozdziela nas Dick, drugi nurek Labiryntu, ten, którego Nieudacznik nazwał dobrym człowiekiem.

Walczymy z pięć minut, nie próbując się zabić nawzajem, po prostu wyrzucając z siebie wściekłość i nienawiść. Dick wsuwa pomiędzy nasze splecione ciała lufę swojego BFG-9000 i niegłęboko mówi:

– Jeszcze trzy ciosy i strzelam.

Anatol zerka na niego, odrywa się ode mnie, a przy okazji zadaje krótki cios pod żebra. Łapię oddech i kopię go w krocze. Teraz on wije się z bólu.

Dick ze stoickim spokojem czeka na trzeci cios. Ale my już stoimy na baczność.

– W porządku – odzywa się Dick, opuszczając broń. Mówi po rosyjsku niemal czysto i bez akcentu. – Nurki... wasza mać.

– Ten skretyniały lamer... – syczy Anatol. – Ten łajdak...

– Wyluzuj – radzi mu Dick. – Dobrze szedł, patrzyłem. Nie zawsze uczciwie, ale zawsze dobrze.

Dick jest niewysoki, szczupły, zwinny. Ale w tej parze on jest tym głównym. Anatol milknie, ociera krew z twarzy. Robię to samo.

– Dobrze grałeś – mówi Dick. – Ale to nie takie proste.

– Już to zrozumiałem – przyznaję, odrywając spojrzenie od ciała Nieudacznika. – Co się dzieje?

– Wyjaśnij mi, An – rzuca Dick i siada na okopconym, strzaskanym lustrze podłogi.

Anatol krzywi się, jakby kazano mu zjeść garść kijanek. Ale jest posłuszny.

– Myślałeś, że się tu wygłupiamy? – pyta.

– Ty wiesz lepiej – odgryzam się.

– Co godzinę go prowadzimy! – wrzeszczy Anatol. – Sam prowadziłem go siedem razy! Dick aż osiem! Rozumiesz, tępaku? My tu znamy każdy kąt! Czujemy, kiedy się zmienia! Rozumiesz?

Zaczynam rozumieć.

– Gilermo ci powiedział, że próbujemy go wyciągnąć? – pyta obojętnie Dick.

– Tak – pociągam rozbitym nosem.

– Pięknie – ożywia się on. – Więc po jaką... – przełyka przekleństwo i z rezygnacją macha ręką.

– Kim on jest dla ciebie? – pyta nabzdyczony Anatol

– Kto?

– Nieudacznik! – ryczy. Najwyraźniej chce kopnąć ciało dla zilustrowania swoich słów, ale w porę się powstrzymuje. – Swatem, bratem? No, kim? Ty co, kasy nie masz, że się za naszą robotę wziąłeś?

– Widzę właśnie, jak pracujecie!

– Anatol zadał dobre pytanie – zauważa Dick. – Kim on jest dla ciebie?

– Nikim.

– Stary, jeśli znasz jego adres, to lepiej wyciągnąć go ręcznie.

– Nie znam. Możesz mi uwierzyć? To po prostu klient. Dostałem zlecenie, żeby go uratować.

– Od kogo to zlecenie?

– Też nie wiem. Zleceniodawca nie miał twarzy. Obserwuję reakcję, ale reakcja nie następuje.

Fragment o Człowieku Bez Twarzy odebrali jako metaforę.

– Im dłużej, tym gorzej – mówi Dick.

– Dalej – poprawia go automatycznie Anatol. – Im dalej, tym gorzej.

– Dziękuję. – Dick zerka na mnie. – Stary, jak się nazywasz?

– Leonid. Lonia.

Dick kiwa głową.

– Mnie znasz jako Crazy Tossera.

Gapię się na niego tępo. Crazy Tosser to jeden z najstarszych i najbardziej szanowanych nurków. Starszawy, wesoły grubasek... W takim ciele pojawia się na złotych.

Więc to tutaj Crazy zarabia na utrzymanie...

– Chłopaki, nie ma zamiaru odbierać wam chleba – mówię. – Dostałem konkretne zamówienie, uratować Nieudacznika. Nie mogłem odmówić.

Obaj nurkowie od razu łagodnieją. Chyba wczorajszy szum i moja pospieszna podróż przez poziomy Labiryntu wzbudziły w nich jakieś konkretne obawy.

– Jesteś doomerem, prawda? – pyta Anatol. – Jeszcze ze starej szkoły...

– Tak.

– No... szedłeś normalnie – mówi Anatol, odwracając się. – Słyszałem rozmaite opowieści. Jeśli nawet połowa z nich to bajki, to i tak...

– Dzięki – rzucam. Nawet żółtodziobowi jest przyjemnie, gdy go chwala.

– Nieudacznika nie można uratować – odzywa się Dick.

– Co? – Czuję się speszony.

– Nie można.

– Dick jest fatalistą – uśmiecha się Anatol. – Dobra. Siadaj, wyjaśnię ci.

Siadamy wokół ciała Nieudacznika i Anatol zaczyna opowieść. Słucham, ignorując szczegóły, zapamiętując najważniejsze fakty.

Nieudacznik nie podaje swojego imienia i adresu.

Nieudacznik jest wyborowym strzelcem... gdyby miał więcej szczęścia, przeszedłby Labirynt w ciągu dwudziestu czterech godzin, zdobywając wszystkie nagrody.

Nieudacznik nigdy nie strzela do graczy.

– Co takiego? – pytam.

– To co słyszysz. Nie strzela do graczy. Potwory kładzie – mruczy Anatol – aż miło popatrzeć. Do ludzi nie strzela nigdy. Gdy ciągnąłem go drugi raz, właśnie na tym wpadłem. Byłem pewien, że mi pomoże...

– On całkiem odjechał – mówię. – To, co się dzieje, bierze za rzeczywistość... Nie! Zaraz, przecież sam powiedział, że wokół jest wirtualność!

– Aha – zgadza się Anatol. – Nie stracił orientacji. Ale z tą miłością bliźniego to ma hopla.

– Wierzący? – sugeruję. – Pacyfista?

Anatol wzrusza ramionami.

– I za każdym razem zabijali go gracze?

– Zabijał go los – wtrąca się Dick. – Zabijali go gracze, potwory, rykoszet, sufit, który się zawalił.

Tonął w płynnym asfalcie i spadał z wysokości. Piętnaście śmierci i każda inna.

– To się nie zdarza – zauważam. – Chyba że on sam tego chce.

– Jeśli jest samobójcą, to bardzo sprytnym – nie zgadza się Dick. – Wszystko wygląda na przypadek. Tylko za dużo tych... przypadków.

– Dick uważa, że to jego karma – mówi Anatol. – Że sobie zasłużył na taki los. Bez względu na to, co zrobimy, nie wyciągniemy go.

– Crazy, to brednie! – protestuję. Dick tylko się uśmiecha. – Chłopaki, czy nie można wyłączyć gracza przymusowo? Nie znając jego adresu?

Nurkowie Labiryntu wymieniają spojrzenia.

– Nie ściemniajcie – proszę. – Sprawa jest poważna.

– Był sposób – mówi Dick. – Anatol go sprawdził.

Patrzę na Anatola, oczekując wyjaśnień.

– Trzynastokrotna śmierć – wyjaśnia niechętnie. – Jeśli gracz ginie trzynaście razy pod rząd, w odstępach mniejszych niż pięć minut, program wyrzuca go bez podania przyczyny. Taka bariera dla kompletnych niedołęgów.

– Nie rozumiem.

– Dzisiaj rano wypróbowałem ten sposób – ciągnie Anatol. – Nie prowadziłem Nieudacznika przez poziom, tylko przystanąłem od razu i zacząłem go zabijać. Trzynaście razy pod rząd, potem jeszcze dwa razy, myślałem, że mi się pomyliło. I nic!

– Stop! – krzyknął Dick. – Leonid, jeszcze krok i ja cię zabiję. To gra! Rozumiesz?

Odsuwam się od Anatola. Dick ma rację, tego, co dzieje się w Labiryncie, nie można mierzyć miarką świata rzeczywistego, czy nawet Deeptown. To Głębia w Głębi.

– Jak on się zachowywał? – pytam.

– Wszystko mu na początku wyjaśniłem! – Anatol też ma napięte nerwy. – Nie myśl sobie, że dla mnie to kaszka z mlekiem! Wszystko wyjaśniłem, a potem strzelałem z winchestera, w głowę. Myślałem, że może przynajmniej zacznie się bronić. A on najpierw próbował uciekać, a potem po prostu siedział i czekał!

Teraz rozumiem, dlaczego Nieudacznik ma taką opinię o Anatolu.

– Leonid, to gra – powtarza Dick. – Na siedemnastym poziomie, żeby przejść dalej, musiałeś rozstrzelać chłopca przywiązanego do drzwi tunelu. Zrobiłeś to?

Oczywiście... nie dało się go odwiązać.

– To był tylko program, Dick. Rysunek i plik dźwiękowy. Przeszkadzał w przejściu do żywego człowieka.

– A ilu ludzi rozstrzelałeś pierwszego dnia, żeby zdobyć reputację? – krzyczy Anatol. – I nie mów mi o uczciwym pojedynku! Jesteś doomerem starej szkoły, nurkiem! Wszyscy bohaterowie Labiryntu nie mają nawet połowy twoich możliwości w pojedynku! Możesz wyskoczyć z Głębi, i nie poczuć bólu! Strzelać jak na strzelnicy! Przejść po linie, jak linoskoczek!

Zamilkł, zmarszczył brwi.

– Al Kabar to twoja robota?

Kiwam głową.

– Ładnie... – Anatol gaśnie równie szybko, jak się zapala. – Generalnie, Leonid, jest tak. Nie

będziemy ci przeszkadzać. Próbuje. Ale na nas się nie odgrywaj! My wykonujemy swoją pracę.

– Teraz nasza kolej – dodaje Dick. – Przyjdź za sześć godzin. Jeśli w tym czasie chłopaka nie wyciągniemy, znowu wejdiesz do gry.

Nie kłóć się. Oni są gospodarzami, ja gościem. Wstaję. Idę do komputera przy ścianie.

– Hej, Leonid! – rzuca za mną Anatol. – Wiesz, dlaczego nie mogłeś zabić gwardzistów z eskorty od razu?

Kręcę głową przecząco.

– Programy też umieją oszukiwać. Obojętnie jak strzelasz, dobrym strzałem będzie dopiero ostatni.

No cóż, dzięki za informację... dotykam klawiatury, zapisuję się.

– Za sześć godzin – przypomina Dick. – Nie wcześniej!

Tym razem w sali kolumnowej jest mniej ludzi. Ale tych kilkanaście osób czeka wyraźnie na mnie. Wymijam ich.

– Strzelec!

Odwracam się. Dwóch nieznajomych i długowłosa dziewczyna idą w moją stronę.

– Jestem Strzelcem – przyznaję.

– Kim jesteś? – pyta przygarbiony okularnik. Wielu wybiera taki mało wojowniczy wygląd zewnętrzny, usypiający czujność współzawodników.

Chyba nie dojdzie do strzelaniny. Wczoraj wszyscy byli bliscy wrzenia, ale do dzisiaj głowy ostygły. Zresztą, to nieważne.

– Strzelcu, o co ci chodzi? – włącza się do rozmowy dziewczyna. – Po prostu grasz?

– Nie.

– W takim razie, co się dzieje? Cały dzień widziano cię na trzydziestym trzecim poziomie. Ugrzązłeś?

– Nie.

Delegacja drepcze w miejscu, potem chłopak w okularach podnosi rękę.

– Pokój, Strzelcu? – proponuje.

– Pokój – mówię, nic nie rozumiejąc.

– Ludzie boją się iść na trzydziesty trzeci – wyjaśnia. – Na trzydziestym drugim kłębi się pół setki narodu. Strzelcu, jeśli nie będziesz odstrzeliwał graczy, to cię nie ruszą. W przeciwnym razie zostanie ogłoszone wielkie polowanie. I to nie tylko w Mieście.

– Dobrze – zgadzam się. – Tylko jeden warunek. Na początku poziomu siedzi chłopak z pistoletem. Jego też nie ruszajcie.

Okularnik i dziewczyna wymieniają spojrzenia.

– Umowa stoi. Ściskamy sobie ręce.

– Idziemy do BFG? – Proponuje dziewczyna.

Umowy zazwyczaj zatwierdza się przy piwie. A ja mam sześć wolnych godzin. Kiwam głową. Reszta graczy podchodzi do nas i zwartą grupą wychodzimy z sali kolumnowej. Rozglądam się. Aleksa albo nie ma wśród moich towarzyszy, albo kryje się w innym ciełe.

– Słuchajcie, jeśli ktoś złamie umowę i mnie zaatakuje...

– To będzie jego i twój problem – potwierdza okularnik.

– Pięknie.

– Strzelec, jesteś doomerem? – pyta dziewczyna.

– Tak.

– Pewnie jeszcze na 386 grałeś?

– Na 286.

– W Doom? – pyta ironicznie okularnik.

– Jasne, że nie. W Wolfstein.

Aprobujący pomruk tłumu. O tej najbardziej prymitywnej z trójwymiarowych gier wielu tylko

słyszało.

– A właśnie – mówi dziewczyna. – Niedawno poznałam chłopaka, który wszedł na 386 w Deeptown.

– Co? – Okularnik jest w szoku.

– To, co słyszałeś. Bez hełmu i kombinezonu, ręcznie. Mówił, że jest sierżantem służby tymczasowej. Siedzi gdzieś w tundrze na stacji łączności kosmicznej. Sprzęt tam mają taki, że tylko do muzeum. Ale do Internetu można wejść przez jakąś wojskową linię lokalną. On załadował deep program na 386-DX40, wszedł przez jakieś wejście w Deeptown i snuł się po mieście. Zwróciłam uwagę na jego chód... jakiś taki nierówny, od razu widać, że parszywy modem.

– Ale pojechał – kręci głową okularnik. – Na 386 wirtualność się nie wejdzie.

– Dlaczego? Jeśli z koprocesorem, to nie widzę przeszkód! – sprzeciwia się ktoś.

Zaczyna się długi spór: czy można wejść w wirtualność na IBM 386 i czy pomoże w tym matematyczny koprocesor. Słucham, nie wtrącając się, chociaż znam odpowiedź.

Można.

Sam zaczynałem od 386. Też bez hełmu i kombinezonu, jak ten hipotetyczny żołnierz, który wybrał najbardziej niezwykłą ze wszystkich samowolek w historii.

Ale takich informacji nie rozgłasza się na prawo i lewo.

Jesteśmy już przy BFG 9000. Posępny budynek, utrzymany w stylu Labiryntu, albo raczej jego poprzednika – Dooma. Przed ciężkimi żelaznymi wrotami stoją dwa potwory w liberiach; odruchowo próbują zrzucić z ramienia nieistniejący już karabin. Mój gest powtarza kilka osób.

Gra w Labiryncie pozostawia ślad w psychice.

Rozpychając potwory – odźwiernych – pakujemy się do restauracyjki. Wnętrze znajome do bólu. To ostatni poziom gry Doom-2. Ogromna sala do połowy zalana połyskliwą zieloną cieczą; połowę stanowi kamienny taras zastawiony stolikami. Na ścianie nad zieloną mazią widnieje morda potwornego demona, z której co jakiś czas wylatują wirujące sześciiany. Nad tarasem sześciiany pękają, wykluwają się z nich potwory, przez kilka sekund snują się pomiędzy stolikami i znikają. Nikt nie zwraca na nie uwagi; w odróżnieniu od tych w grze, są bezcielesne i niegroźne.

– Kiedyś to były proste poziomy – rzuca jakiś chłopaczek z naszej grupy. Milczę. Gdyby tak wsadzić go na ten poziom, nawet bez żadnej wirtualności, popatrzyłby sobie na bohaterskie czyny innego pokolenia. Uczciwe przejście ostatniego poziomu, bez wprowadzania kodu nieśmiertelności, udawało się nielicznym.

Siadamy nieopodal zielonej cieczy, zsuwając kilka stolików. Podchodzi kelner, też potwór – latająca purpurowa kula z wytrzeszczonymi oczami.

– Piwa! – żąda okularnik. – Markowego, dla wszystkich! Ja funduję.

Potwór otwiera paszczę, uchylam się mimo woli. Ale z paszczy wylatują nie ogniste czaszki, jak w grze, lecz spotniałe kufle piwa.

Jakichś dwóch idiotów śmieje się ze mnie. Pozostali wymieniają pełne zrozumienia spojrzenia.

Czym różni się zwykły człowiek od doomera? Zanim doomer wejdzie za róg, najpierw tam zajrzy.

Doomer rozpozna doomera z daleka. Starych graczy moja reakcja nie dziwi.

Zsuwamy kufle.

– Za pokój! – wygłasza okularnik. – Pomiędzy Strzelcem a nami wszystkimi!

Piwo jest gęste i ciemne, nie guinness, ale coś podobnego. I bardzo mocne.

Ciekawe, jakim cudem właścicielowi restauracji udało się nadać nieistniejącemu piwu taki smak, że odbiera się je jako mocne?

– Damir – przedstawia się okularnik.

– Strzelec.

Damir kiwa głową, godząc się z tym, że nie zdejmuję maski. Mam wrażenie, że jego labiryntowy wygląd zewnętrzny jest przeciwieństwem wyglądu prawdziwego. Zapewne jest wysoki i mocno zbudowany. Czytałem kilka psychologicznych opracowań dowodzących, że metoda maskowania się „na odwrót” wykorzystywana jest w dwóch trzecich przypadków.

– Czemu cię wcześniej nie było w Labiryncie? – indaguje Damir.

– Niezbyt tu interesująco.

Damir przyjmuje moją wypowiedź spokojnie, ale młodziaki zaczynają się marszczyć.

– Nie byłeś czasem na moskiewskim turnieju doomerów w dziewięćdziesiątym siódmym? – docieka.

– Nie.

– Skądś znam twój system... – decyduje Damir.

Siedzimy, pijemy piwo. Szczerze mówiąc, cieszę się, że stali gracze Labiryntu zdecydowali się zawrzeć pokój. Gdyby rzucił się na mnie prawdziwy tłum, nie uratowałyby mnie nawet zdolności nurka.

Sala zaczyna się ożywiać. Zjawia się chłopak z gitarą, smagły, jasnowłosey. Uśmiecha się zmieszany, macha ręką, wchodzi na zieloną część sali. Ciecz kipi pod jego nogami. Chłopak idzie na środek zielonej strefy i siada na krześle stojącym na małym kawałku betonu. Zaczyna powoli stroić gitarę. Ja też macham mu ręką, chociaż w postaci Strzelca na pewno mnie nie pozna. Chłopak jest legendarną postacią w Głębi – haker starej szkoły, w dodatku bard. Dawnośmy się nie widzieli. Zazwyczaj występuje w Trzech Prosiaczkach, gdzie, jak wieść niesie, ma niewielki udział. Do Labiryntu ma stosunek obojętny, dziwne, że go tu przywiało. Chłopak odsuwa włosy z czoła i zaczyna śpiewać.

Wilgoć i zimno, ale jak pięknie

Mokre ulice, snuje się mgła!

A ja uśmiecham, uśmiecham się smętnie,

I mnie, i miasto upija mgła.

Długowłosa dziewczyna wybija ręką takt na stole, piwo leje się strumieniami. Przyglądam się towarzystwu, na wszelki wypadek zmuszając Vikę do zapamiętania imion i twarzy. W ferworze zabawy jakiś chłopak ściska mi długo rękę i chyłkiem nakleja na ramieniu prościutki marker. Udaję, że nie zauważam, w porywie uczuć obejmuję chłopaka i przerzucam marker na niego.

Niech sobie mnie potem śledzi, lamer.

Idę przez mgłę, jak w oceanie, i

Może to łódź, a może ryba

*Albo po prostu coś z oczami,
Pomiędzy wodorostami się ślizga...*

Impreza na całego. Wszyscy są zadowoleni. Włączając sprytnego chłopaczka.

*Nie znam już dźwięków, nie pamiętam,
Słowa odeszły, po co mi słowa
Wilgotną mgłą siebie napelniam,
Jeśli pomieści ją moja głowa.*

Ja też jestem pełen chmielowej mgły. Wstaję, uśmiecham się do graczy.

– Pora na mnie.

Nikt nie pyta, dlaczego, nikt mnie nie namawia, żebym został. Przebywanie w Głębi to płatna rozrywka. Przeciskam się pomiędzy stolikami, nad głową syczą iluzoryczne sześciany, otwierają się, wypływają potwory. Ledwo się powstrzymuję, żeby się nie uchylać.

Mam jeszcze pięć godzin. Na razie nurkowie Labiryntu bawią się z Nieudacznikiem. Z jakiegoś powodu jestem pewien, że nic im z tego nie wyjdzie.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Przede wszystkim zdejmuję hełm. Otwieram lodówkę. Wyjmuję lemoniadę, kiełbasę, jogurt. Trzeba coś zjeść.

Na ekranie wszystko w porządku. Strzelec stoi przyklejony do ściany. Nieliczni przechodnie nie zwracają na niego uwagi. Jakiś typek wszedł do Różnych Zabaw.

– Tylko nie do Viki! – rzucam w ślad za nim.

– Nie zrozumiałam, Lonia – odzywa się Windows Home.

– Nic, nic – mówię, odwracając wzrok. – Wszystko w porządku. Poczułem się nieswojo. Może do Viki, tej wirtualnej, właśnie ktoś przyszedł? Wyobraziłem sobie, jak urządzam mordobicie w burdelu i uśmiechnąłem się. I zacząłem szybciej jeść.

– Lonia – odzywa się Windows Home. – Muszę ci podać comiesięczne przypomnienie.

– Zasuwasz – burknąłem.

– Zadzwoń do rodziców – mówi z wyrzutem Windows Home. – Mogę teraz wybrać numer, ale to będzie wymagało zwolnienia linii...

– Nie.

Pewnie, nieładnie to wyszło, ale zadzwonię wieczorem.

– Zapłacić rachunki...

Tak, tego nie ma co odkładać. Odłączą telefon w najmniej odpowiednim momencie...

– Dziękuję.

– Posprzątać w mieszkaniu.

Rozejrzałem się szybko. Jasne, trzeba by umyć podłogę. I wytrzeć kurze. Kran z rdzawym nalotem doprowadzić do porządku.

– Dziękuję, Vika, przyjąłem.

– Prócz tego zauważam po raz kolejny, że poziom stawianych mi zadań nie zawsze odpowiada objętości pamięci operacyjnej...

– Milcz.

Kładę dłonie na klawiaturze, łokciem zsuwając pusty kubeczek po jogurcie, żeby nie przeszkadzał.

Deep

Enter.

Odklejam się od ściany, wchodzę przez szklane drzwi burdelu. Madame wychodzi mi na spotkanie.

– Wcześniej pan dzisiaj przyszedł, Strzelcu.

– Za to nie na długo.

Madame uśmiecha się, wyciąga dłoń, dotyka mojego policzka.

– Tylko proszę nie zawracać dziewczynkom w głowach.

– Postaram się – mówię głosem posłusznego chłopca.

Madame kiwa głową, niespecjalnie przekonana. Odwraca się do ochroniarza.

– Zaprowadź go do pomieszczeń służbowych. Do Viki.

– Dziękuję – mówię z całego serca.

Madame opęda się zmęczonym gestem, wchodzi po schodach na pierwsze piętro. Ochroniarz wskazuje niskie drzwi, przy których stoi.

Nieco zmieszany idę za nim.

W samo serce burdelu.

Czyściutki korytarz, za oknami letni las, rzeka i słońce. Aha, a Madame mówiła, że u nich zawsze jest wieczór. A jednak czasem chce się słońeczka.

Wzdłuż korytarza drzwi, bez numerów czy liter, za to z rysunkami. Kotki, pieski, myszki, zajączki. Przypomina mi to przedszkole. Z jednego pokoju wysuwa się na wpół rozebrana blondynka, z okrzykiem zasłania piersi rękami i wpada z powrotem.

Staram się kroczyć z kamienną twarzą. Zza mijanych przede mną drzwi dobiegają szmery i szelesty. Wiem, że gdybym się odwrócił, zobaczyłbym kilkanaście zaciekawionych twarzy wyglądających na korytarz.

Nie odwracam się.

Ochroniarz zatrzymuje się pod drzwiami, na których wisi wizerunek zamyślnego czarnego kotka.

Stuka.

– Tak? – słychać w odpowiedzi.

Poznaję głos.

– Gość – mówi ochroniarz.

– Niech wejdzie.

Ochroniarz lekko klepie mnie po ramieniu i oddala się. Słyszę biegnące po korytarzu, zadawane szeptem pytania, ale ochroniarz kroczy w milczeniu.

Wchodzę odprowadzany kpiącym spojrzeniem kotka.

Pokój wygląda jak górską chatę. Przez otwarte na oścież okno wpadają porywy zimnego wiatru.

Szumi rzeka. Vika siedzi przy oknie na zwykłym drewnianym krześle, ogląda swoją twarz w małym lusterku. Obok, na zbitym z desek stole, leżą całkiem współczesne kosmetyki.

– Cześć – rzuca. – Poczekaj chwilę spokojnie, dobrze?

– Dobrze.

Stoję i rozglądam się. Na ścianach wiszą akwarele – nieznajome, prawie na wszystkich góry, mgły, sosny. Na pierwszy rzut oka wydają się monotonne, niczym landszafty niedzielnego malarza na cotygodniową sprzedaż. Przyglądam się im uważniej i kiwam z aprobatą głową. To nie taśmowa produkcja wprawnej ręki, lecz cykl.

– Jak byś je nazwał? – pyta Vika, nie odwracając się. Jej to dobrze, ma lustro.

– Nie wiem – przyznaję się. – Zawsze miałem problemy z nazwami. No, na przykład...

Idę wzdłuż ściany, ostrożnie dotykając ram. Góry, albo jedna góra z różnych punktów widzenia, gęste kłęby mgły wczepione w zbocze sosny. Poranny chłód i suche, rozrzedzone powietrze. Śmiech strumyka, szmer wiatru... jakby obraz mógł przekazać dźwięk.

– Labirynt – mówię. – Labirynt odbić.

Vika maluje usta zamyślona. Po chwili przyznaje mi rację.

– Można i tak... najważniejsze, że nazwa niezrozumiała. Z takimi lepiej się sprzedają.

– To twoje obrazy?

W ciągu ostatnich dwóch dni wykazuję się wyjątkową tępotą.

– Tak. Niepodobne do mnie?

– Podobne. Ale myślałem, że po prostu dobrałaś je z gustem.

– Co za facetów teraz mamy – Vika w końcu wstaje. Ma na sobie białą sukienkę do kolan, klapki, srebrny wisiorek na łańcuszku. – To komplement na pierwszej randce?

– Na drugiej – próbuję odpowiedzieć żartem.

– Nie, na pierwszej. Rano to była praca.

– W takim razie zaczynam mówić komplementy – mamroczę. – Jesteś mądra, piękna, utalentowana...

– Dodaj jeszcze: punktualna – Vika ściąga włosy wstążką.

– Nie, lepiej dodam: szczodra. Pozbywanie się takich obrazów musi być dla ciebie trudne.

– Głupstwo – opędza się Vika. – Sprzedaję rzeczywiste oryginały. Te zostają u mnie. Są lepsze.

Vika nie zauważa gafy, którą popełnia. Jestem z tego zadowolony. Pospiesznie pytam:

– Dlaczego lepsze?

– Mają dźwięk.

Więc o to chodzi. Szum wiatru i plusk wody nie był złudzeniem.

– Rodzi się nowa sztuka – mówię.

– Zrodziła się dawno temu. Tylko jeszcze jej nie rozumiemy. Gdy pierwszy jaskiniowy człowiek rysował na ścianach jelenie, też nie od razu uznano to za sztukę.

– Jeśli tak, to cały Deeptown jest dziełem sztuki.

– Oczywiście. Nie cały, ale miejscami na pewno. Chodź tutaj. Vika bezceremonialnie bierze mnie za rękę i ciągnie do okna.

– Patrz!

Więc to tak. Vika po prostu rysowała z natury... tylko czy w realu istnieją takie góry?

Centralny szczyt na pewno nie. Ma z dziesięć kilometrów wysokości, wyrzywa się z łańcucha górskiego niczym górski buntownik. Obłoki krążą wokół szczytu, nie mogąc przykryć wierzchołka swoją czapką. Góra jest jakby złożona z warstw – ciemna zieleń lasów, sałatowy odcień alpejskich łąk, pierścień śniegu i szara granitowa martwota szczytu.

Pomiędzy naszą chatą, która też stoi na niezłej wysokości, a szczytem gigantem leży jezioro. Nieduże, ale idealnie okrągłe; powiedziałbym – narysowane, gdyby nie było takie żywe. Woda jest ciemnoniebieska, ciężka, na granicy lodu.

Milczę.

– Nie boisz się, że to firmowy pejzaż dla wybrednych klientów? – pyta Vika.

– Jeszcze czego. Obejdą się. Patrzymy na góry.

– Długo rysowałaś? – pytam cicho.

– Dwa lata – mówi niefrasobliwie Vika.

Kiwam głową. Na coś takiego warto poświęcić nawet więcej czasu. To nie sztamperowe zaokienne widoczki sprzedawane na każdym rogu. Wydaje mi się, że gdybym nawet wziął bardzo silną lornetkę, nie musiałbym niczego się domyślać. Obraz zrobiony doskonale, do najdrobniejszych szczegółów.

– Chciałabym tam zejść – mówi Vika, patrząc na jezioro. W milczeniu kiwam głową.

– Droga jest bardzo skomplikowana – wzdycha. – Gdyby przywiązać linę do okna, dałoby się tamtędy zejść, ale północnym zboczem pół roku temu zeszła lawina. Ścieżkę na pewno zawałiło.

Odwracam się. Patrzę jej w oczy. Nie kłamie i nie kpi.

– Chcesz mi powiedzieć, że to wszystko jest żywe? – pytam. – Można tam zejść? Wspiąć się na szczyt, wykapać w jeziorze?

– Woda jest lodowata, przeziębilibyś się.

– I to wszystko żyje? Pada śnieg? Schodzą lawiny, zdarzają się burze?

Vika kiwa głową.

– Żeby utrzymać taką przestrzeń, potrzebny jest osobny serwer!

– Dwa. Jeden jest całkiem zapchany, drugi utrzymuje cały zakład.

Łykam zimne powietrze.

– Więc po co tu pracujesz? Każda firma weźmie cię na projektanta przestrzeni, jeśli pozwolisz im wyrzeć przez to okno.

– Mam swoje powody – mówi Vika, lekko podnosząc głos. Rozumiem, że moje pytanie było niewłaściwe.

Wolność dla wszystkich i we wszystkim. Może lubi być wirtualną prostytutką.

– Dziękuję – mówię. Vika ściąga brwi.

– Dziękuję, że pozwoliłaś mi to zobaczyć – wyjaśniam. – Przecież nie każdego tu wpuszczasz?

– Nie każdego. A ty pokażesz mi swoje obrazy? – pyta z uśmiechem Vika. Wzdrygam się. – Skoro powiedziałaś, że nie umiesz wymyślać nazw, to widocznie się tym zajmowałaś?

No tak. Ja też palnąłem głupstwo i tak jak Vika, nie zauważyłem swojej wpadki.

– Od dawna nie rysuję – wyznaję. – Jakoś tak wyszło. Może to i lepiej, i tak czegoś takiego nigdy bym nie stworzył.

Vika nawet nie próbuje uprzejmię protestować. Zna swoją wartość.

– Wiesz, chciałem zaprosić cię do restauracji – mówię – jeśli się zgodzisz...

– Nie.

Czuję się, jakby mnie opluto. Byłem pewien, że Vika się zgodzi, że spodoba ją się jej Trzy Prosiaczki, że postoiśmy nad górską rzeką... nie ja stworzyłem ten pejzaż, ale i tak go Kocham...

– Rozumiem – mówię.

– Nie rozumiesz. Nie chodzi o klientów, teraz akurat jest spokój, w razie czego dziewczyny mnie zastąpią. To ja cię zapraszam do naszej restauracyjki.

Nic nie rozumiem, ale zgadzam się. Vika przygląda mi się bacznie, poprawia kołnierzyk koszuli.

– Ujdzie – decyduje. – Idziemy.

– Daleko?

Vika tylko się uśmiecha i bierze ze stołu małą zamszową torebkę. Wychodzimy na korytarz i zauważam, że drzwi już nie poskrzypują w przystępie ciekawości.

– Chodźmy, chodźmy...

Idziemy, trzymając się za ręce, jak dobrze wychowane dzieci na spacerze. Korytarz kończy się kręconymi schodami, wchodzimy na górę. Doliczylem się siedmiu zakrętów, potem drogę przecinają ciężkie aksamitne zasłony. Przez głowę przemknęła mi myśl, że przestrzeń jest tu przenicowana i że wyjdziemy w holu na parteru.

– Niczemu się nie dziw – mówi Vika i idzie pierwsza. Wychodzimy na brzeg morza.

Zachód słońca maluje niebo na złoto i pomarańczowo. Morze oddycha zmęczone, pieszcząc brzeg. Piasek pod nogami jest czarny. Cała plaża skrzy się czernią. Wiem, że są takie plaże. Ale nigdy nie przypuszczałem, że to takie piękne.

Na brzegu stoją białe stoliki pod parasolami, przy nich siedzą ludzie. Wszyscy są żywi, żadnych programów ani atrap. Przede wszystkim dziewczyny, jedynie przy stoliku najbliższym wody siedzi dwóch muskularnych mężczyzn. A obok długiego baru przycupnął szczupły chłopak w szortach.

– To nasza strefa rekreacyjna – szepcze Vika. – Chodź. – Siadamy przy wolnym stoliku, Vika nachyla się do mnie:

– Tutaj jest samoobsługa. Podejdz do baru, wez dla mnie szampana.

Idę, grzęznąc w piasku i czując na sobie wzrok trzech mężczyzn i dwudziestu kobiet. To wszystko wygląda niesamowicie – jakby po nabrzeżu przeszedł potworny tajfun, zmiotł domy i hotele, ale oszczędził część restauracji. Wrażenie potęgują drzwi, przez które weszliśmy, tkwiące samotnie na czarnym piasku.

– Witaj! – odzywa się chłopak przy barze i szybko wyciąga rękę. Odruchowo ściskam jego dłoń.

– Vika lubi wytrawnego szampana – mówi chłopak. – Tylko nie bierz francuskiego, wez abrau durso, jest gdzieś pod barem, po lewej... Jesteś tu pierwszy raz? Nie widziałem cię wcześniej. Dzisiaj jest pusty dzień, wszystkie dziewczyny się tu zebrały. Zaraz cię obgadają!

Nawija z energią Robinsona, który spotkał Piętaszka. Ma niesamowicie ruchliwą twarz, widać brak kilku zębów.

– Podobasz mi się – mówi chłopak, drapiąc się po opalonym brzuchu. – Kurczę, naprawdę mi się podobasz! Ha, ha! Przestraszony? Nie, ja tu nie pracuję... to znaczy pracuję, ale nie tak. Żebyś się czasem nie spodobał tym dwóm, przy wodzie!

Zaczyna mi się kręcić w głowie. Naciągam na twarz żalony uśmiech, wchodzę za bar, wydając z wiaderka z lodem butelkę, biorę dwa wysokie kieliszki.

– Za długo się wczoraj opalałem! – wykrzykuje tymczasem chłopak, odrywając płat schodzącej skóry. – Z dziewczynami się założyłem, że się opalę, nie wierzyły. Przychodzą rano, a ja naprawdę jestem opalony!

Podsuwa mi pod nos martwy naskórek.

– Nieźle wygląda, co? Całą noc robiłem symulację opalenizny. Trzeba będzie gdzieś wcisnąć, rozejdzie się jak świeże bułeczki!

Pospiesznie kiwam głową i uciekam ze zdobyczą. Vika czeka na mnie, krztusząc się ze śmiechu.

– Kto to? – pytam, siadając na krześle. Cichy szmer fal jest dobrodziejstwem.

Vika w końcu poważnieje.

– To nasz geniusz komputerowy, haker i ochroniarz, znawca hardware’u i softu. Zwracaj się do niego „Komputerowy Magu” albo po prostu „Magu”. On to lubi. Tylko nie nazywaj go Zuko.

– Zuko?

– Mhm. Lubi te wszystkie rozpuszczalne napoje, zuko, sprim i inną chemię. Dziewczyny go tak przezwały, a on się obraża.

– Dlaczego jest taki... dziwny? – pytam ostrożnie.

– Nie wiem. Może odstrasza naszych gejów, a może naprawdę taki jest.

Zerkam kątem oka na chłopców na brzegu. Też mi się przyglądają, coś omawiając. Potem jeden klepie drugiego leciutko po wargach i ten odwraca się urażony.

Czuję się nieswojo, ale Vika nadal się uśmiecha. Ze sztucznym ożywieniem pytam:

– Po co wam faceci? Dziewczyny nie zawsze dają sobie radę?

– Oczywiście. Pamiętasz niebieski album? Pamiętam. Diabeł ciągnie mnie za język.

– A gdzie się pasą kozy?

Śmiejemy się razem, napięcie spada.

– To program – przyznaje się Vika. – Próbowaliśmy załatwić ciała zwierząt, ale ich zachowanie wychodzi nieprawdziwie. Klienci zdarzają się rzadko, ale za to mamy wszystko. Na każde zboczenie.

Nalewa szampan do kieliszków, stukamy się.

– W porządku – mówi Vika.

– Tak, niezły – zgadzam się, odstawiając pusty kieliszek.

– Abrau durso nie może być niedobry. Mówiłam o tobie. Miałam wątpliwości, jak się będziesz zachowywał w takim towarzystwie.

– A co tu jest takiego dziwnego? – mówię głosem człowieka spędzającego każdy wieczór w towarzystwie prostytutek i homoseksualistów.

Vika zastanawia się.

– Na razie tak nie uważasz – mówi w końcu. – Ale to nic. Najważniejsze, że tak mówisz. W końcu w to uwierzysz.

– Można? – Komputerowy Mag stoi przy naszym stoliku, przedziwnie wygięty, z przepaszającym grymasem na twarzy. – Nie o mnie mówicie? Nie przeszkodzę? Mogę usiąść?

– Siadaj – mówi Vika tonem skazańca. Mag klapie na wolne krzesło, gestem sztukmistrza wyciąga

zza pleców kieliszek i jeszcze jedną butelkę. Jakiś bananowy likier.

– Vika, dzięki! Już myślałem, że zgniję w samotności! Napijesz się?

Zamiast odpowiedzi Vika nalewa sobie szampana. Ja też rezygnuję z likieru. Mag napełnia swój kieliszek.

– Za znajomość! – mówi. – Nazywam się Komputerowy Mag!

– Strzelec – odpowiadam odruchowo.

– Ho, ho! – Mag odchyła się na oparcie krzesła. – Tylko mnie nie zabijaj! To przecież ty od dwóch dni szalejesz w Labiryncie? Gratulacje, Vika, poznałaś ostrego doomera! Wszyscy przez niego płaczą! Bezlitosny zabójca!

– Naprawdę? – pyta Vika.

Kiwam głową.

– W życiu bym nie pomyślała.

– W końcu ja też powinienem cię czymś zaskoczyć.

– Strzelcu, ty tam w Labiryncie za bardzo nie psoć! – pokrzykuje Mag. – Bo wezmę od Madame urlop, ruszę w Labirynt i wszystko rozniosę w pył! Jestem spokojnym człowiekiem, ale jak się wścieknę... nie daj Boże! Nawet dwóch mnie nie utrzyma! O, kiedyś...

– Mag – przerywa mu Vika. – My tu rozmawiamy poważnie. Pogadaj z Tiną albo z Lenką.

Mag kiwa ze smutkiem głową.

– Zawsze to samo... idę już, idę. Nikt mnie nie lubi...

– Bardzo cię lubię – mówi Vika. – Ale Tina ma od wczoraj depresję. Rozerwij ją, przecież potrafisz jak nikt.

– Spoko! – ożywia się Mag. Bierze butelkę i tanecznym krokiem zmierza w stronę stolika, przy którym bujna czarnowłosa piękność w skupieniu pije wódkę.

Kręcę głową.

– Mamy tu swój świątek – mówi Vika. – Dość cichy i spokojny. Przy okazji, tutaj wszystkie dziewczyny pojawiają się w bazowych ciałach. Nie w tych, które wkładamy dla klientów.

– Więc to jest twoje podstawowe ciało w wirtualności?

– Tak.

Robię kolejny krok.

– Imię też? Nazywasz się Vika?

– W Głębi tak. Dlatego pozwoliłam ci przyjść... bo zgadłeś. Uśmiecha się ze smutkiem.

– Najpierw pomyślałam, że jesteś jakimś szpiegiem albo hakerem, albo nurkiem, który poznał moją osobowość...

Serce wali mi jak szalone.

– Teraz już tak nie myślisz?

Vika wzrusza ramionami.

– Kto wie? Ale podobasz mi się. Chcę, żeby wszystko samo się ułożyło. Pięknie i dziwnie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zasłony w drzwiach się rozsuwają, między nimi pojawia się dziewczęca twarz.

– Natasza, Tina... wyjście. Albumy: zielony i żółty.

Bujna piękność, do której już przysiadł się Mag, ciska w drzwi butelką. Vika wstaje.

– Alice! – mówi niegłośno, ale wyraźnie. – Zastąp Tinę! Dziewczyna przy sąsiednim stoliku kiwa głową, ale Tina protestująco podnosi ręce.

– Vika, ze mną wszystko w porządku.

Mówi przez program tłumaczący, ale w głosie i tak pobrzmiwa zmęczenie i złość.

– Popracuję jako małolata. Wszystko w porządku. Cyklistówka mnie wczoraj dopadł.

Jeden z gejów wstaje, szybkim krokiem idzie pomiędzy stolikami. Obejmuje Tinę za ramiona, coś szepcze, zmusza, żeby siadła z powrotem. Patrzy pytająco na Vikę.

– Dobrze, Andrzej – zgadza się ona. – Dziękuję.

Gej i jedna z dziewczyn wychodzą. Vika siada, jednym haustem dopija szampana i nieoczekiwanie świszczącym szeptem mówi:

– Bydlaki. Wszyscy faceci to bydlaki.

– Kim jest Cyklistówka?

– Stały klient. Zazwyczaj ja z nim pracuję, ale wczoraj byłam zajęta.

– Ze mną?

– Tak – mówi twardo Vika. – Dziewczyny nie powinny z nim pracować, trudno im potem dojść do siebie.

– A czego on wymaga?

– Czerwony album.

Przypominam sobie wczorajszy wieczór.

– Nie pamiętam takiego.

– Wkładka do czarnego. Nie każdemu się ją pokazuje. – Vika wstaje. – Do diabła. Wybacz, Lonia...

Też wstaje.

– Chciałeś mnie gdzieś zaprosić?

– Tak.

– To do roboty!

W holu rozglądam się, spodziewając się zobaczyć Madame, ale ona się nie pojawia. Łapię samochód, podaję adres – Trzy Prosiaczki. Vika uspokaja się powoli. Bardzo chcę wypytać ją o czerwony album i Cyklistówkę, ale milczę. Nie wolno. Na razie nie wolno.

– Pokazałam ci, jak żyjemy – odzywa się Vika. – Ciekawie?

– Nic szczególnego. Normalka.

– Nic szczególnego... – Vika wyjmuje z torebki papierosa, pstryka zapalniczką. – Normalka...

Nie lubię, gdy dziewczęta palą. Nawet w wirtualności.

– A czego się spodziewałaś? Okrzyków: „Co za koszmar!” Nie jestem świętoszkiem. Zachwyków? Też nie widzę powodów.

Przelotnie dotyka mojej ręki.

– Przepraszam, Lonia. Trochę się martwię o dziewczyny. Widzisz, ty jesteś przypadkowym klientem. Uciekałeś przed pogonią, wpadłeś do burdelu, dostałeś kręćka, widząc moje zdjęcie... Wybacz. Nie masz z tym nic wspólnego.

Podjeżdżamy do Trzech Prosiaczków. W wirtualności nie ma godzin szczytu, strefy czasowe zlikwidowały to pojęcie. Ale jakieś przypadkowe przypływy i odpływy się zdarzają. Teraz na przykład sala jest nabita.

Przepycham się do baru, krzyczę do barmana:

– Cześć, Andriej!

– Cześć, cześć – mówi Andriej, podając drinka jakiemuś klientowi. – Kim jesteś?

No tak. To rzeczywiście on, a nie program barmana.

– Leonid – mówię.

Andriej marszczy czoło. W tym ciebie nie widział mnie nigdy, więc woli się zabezpieczyć.

– Koles! – mówię groźnym szeptem. – Co z tobą? Znowu podatki? Pliki ci ukradli? Powiedz, pomożemy...

Andriej przechyla się przez bar.

– A! Nie poznałem! No, no, ale wyrosłeś! Kawał chłopca!

Vika cierpliwie czeka. Chyba czuje się nieswojo. Podobnie jak ja w strefie rekreacyjnej domu publicznego.

– To co zwykle? – pyta Andriej, wyciągając rękę do butelek.

– Dżin z tonikiem, jeden do jednego. To naprawdę ja! Tylko wolelibyśmy posiedzieć nad rzeką. W samotności.

Andriej krzywi się lekko i zerka na terminal pod barem.

– Wszystkie kanały zawałone? – pytam z obawą.

– Dla ciebie jakiś się znajdzie – postanawia Andriej. Wyciąga rękę, coś naciska. – Żaden problem... O, jak miło! Zerwane połączenie, jeden kanał wolny! Idźcie, tylko szybko!

Chwytam Vikę za rękę, ciągnę do drzwi w kamiennej ścianie restauracji. W przedsionku rzucam:

– Przestrzeń indywidualna dla nas dwojga. Żadnego dostępu.

– Przyjęte – szepcze sufit. – Żadnego dostępu. Jesteście gośćmi restauracji. Trzy Prosiaczki życzą wam przyjemnego wieczoru.

– Ale odjazd – mówi ironicznie Vika. – Jesteś tu stałym klientem?

– Tak.

Nie wdaję się w szczegóły, w rodzaju tej małej afery nurków z poszukiwaniem i przypieraniem do muru rekietierów, którzy ukradli właścicielowi restauracji pliki finansowe. Gdybym nie wpłynął na tę bandę niedouczonej hakerów, Andriej musiałby wyłożyć niezłą kasę. Albo hakerzy, albo inspekcja podatkowa Deeptown... a tak wszystko się dobrze skończyło, nawet hakerzy byli dość zadowoleni, że im tak ulgowo przeszło.

Wychodzimy w jesień.

Vika zatrzymuje się na chwilę i rozgląda. Podnosi z ziemi liść, gniecie w palcach. Dotyka kory drzew.

Czekam. Ja też tak drepczę, wchodząc w nowe przestrzenie wirtualne. I jeszcze przy tym wychodzę z Głębi, oceniam prawdziwy wygląd miejsca. Vika nie może tego zrobić, ale projektanci przestrzeni mają własne metody.

– Nieźle – mówi. – Chyba sam Carl Sigsgord tu pracował. Pozazdrościć.

– Tobie też wspaniale wychodzi – pocieszam ją, ale ona kręci głową.

– Nie we wszystkim. On ma niesamowite wyczucie umiaru. A ja daję się ponieść...

Jak dziecko kopie w ziemi. Liście unoszą się niechętnie i szybko opadają. Już się nalatały.

– Chodźmy. – Biorę ją za rękę i prowadzę do rzeki. Stolik nakryty jak na bankiet. Na wielkim półmisku firmowa pieczona wieprzowina a la Trzy Prosiaczki. Jest i mój ulubiony grzaniec, i spory wybór win.

Vika nie zwraca uwagi na stół; stoi nad urwiskiem, wpatrując się w dal. Staję obok niej. Przy przeciwległym brzegu strumień obmywa gałęzie zwalonego drzewa. Pewnie była burza. Ta przestrzeń też jest żywa, jak góry Viki.

– Dziękuję – mówi ona. Dobrze mi. Muszę jej jeszcze pokazać brzeg morza i kawałek starej Moskwy, przylegające do restauracji. Jeszcze będziemy mieli czas, na pewno będziemy mieli czas.

Bo inaczej po co to wszystko?

– Wiesz, ja bardzo rzadko wychodzę ze swojej przestrzeni – mówi Vika. – Nie wiem, dlaczego...

– waha się, ale mówi dalej: – Pewnie boję się zobaczyć tych, którzy do nas przychodzą... zobaczyć ich takimi, jacy mogą być. Weseli, dobrzy, wspaniali ludzie.

– Dlaczego?

– Bo to by znaczyło, że wszyscy ludzie są dwulicowi. Przecież my jesteśmy jak chlew, Leonid. Śmietnik, gdzie wyrzuca się cały brud nagromadzony w duszy. Strach, agresję, niezaspokojone pragnienia, pogardę do samego siebie. W twoim Labiryncie pewnie jest tak samo.

– Nie jest mój. Załatwiam tam pewną sprawę.

– Wobec tego tobie łatwiej. A do nas przychodzą smarkacze, którzy chcą szybko zostać mężczyznami; mężczyźni, którym znudziło się nimi być; zaszczuci przez swoje dziewczyny chłopcy pragnący się wykazać... czasami, podochoceni, przelatują przez wszystkie albumy. Mówią: „W życiu trzeba spróbować wszystkiego”.

Znowu się powstrzymuję przed pytaniem, z jakiego powodu pracuje w Zabawach.

– Dlaczego ciągniemy za sobą w przyszłość wszystko, co w nas najgorsze? – pyta Vika.

– Dlatego, że to istnieje. I nie zniknie. Wyobraź sobie, że wokół ciebie są sami dżentelmeni w smokingach, damy w wieczorowych sukniach, wszyscy się dystyngowanie wysławiają, są uprzejmi i kulturalni...

Vika śmieje się cicho.

– Nie uwierzę.

– Ja też. Żadna zmiana społeczeństwa: techniczna, społeczna czy kompleksowa, taka jak Głębia, nie wpływa na indywidualną moralność. Postulowano wszystko, co tylko się dało, od pogardy dla chłopów do równości i braterstwa, od ascetyzmu do „wszystko jest dozwolone”. Ale wyboru zawsze dokonywano indywidualnie. Głupio byłoby sądzić, że wirtualność uczyniła ludzi gorszymi niż byli. Niepoważnie się też spodziewać, że uczyni ich lepszymi. Dostaliśmy narzędzie, ale czy zaczniemy nim budować, czy rozbijać sobie głowy, to już zależy od nas.

– Narzędzie jest niewłaściwe, Lonia. Wszyscy zdają sobie sprawę, że tak naprawdę są w domu czy w pracy, że gapią się w ekran albo mają na głowie hełm. I dlatego wolno robić wszystko. Gra, miraż.

– Mówisz jak turyńscy.

– Nie, ich podejście też mi się nie podoba. Wcale nie mam ochoty stać się strumieniem elektronicznych impulsów.

– Vika... – kładę jej rękę na ramieniu. – Nie warto zgadywać, nie warto się denerwować. Głębia ma pięć lat. To jeszcze dziecko. Chwyta wszystko, co jej wpadnie w ręce, mówi głupstwa, śmieje się i płacze bez sensu. Nie wiemy, co z niej wyrośnie, nie wiemy, czy pojawi się jej rodzeństwo i czy będzie lepsze. Po prostu trzeba dać jej czas.

– Trzeba dać jej cel, Lonia. Zanurkowaliśmy w ten świat, zanim poradziliśmy sobie z tym, co zostawiliśmy za sobą. Nie potrafiąc żyć w jednym świecie, zrodziliśmy drugi. I nie wiemy, dokąd iść. Do czego dążyć.

– Cel pojawi się sam – mówię bez przekonania. – Daj jej czas... pozwól Głębi uświadomić sobie siebie.

– A może ona już to zrobiła? – odzywa się kpiąco Vika. – Ożyła. Jak w fantazjach ludzi, którzy nigdy w niej nie byli. Może wśród nas są ludzie, których nie ma w realu? Odbicia pustki? Może ty... albo ja... wcale nie istniejemy? I nasze wyobrażenia o rzeczywistości to tylko fantazje ożywionej Sieci?

Mam wrażenie, że wpadam w koszmar. Nie jestem skłonny uznać, że tak naprawdę mnie nie ma. O Vikę też jestem prawie spokojny. Ale chyba znam kandydata na odbicie pustki. A Vika mówi dalej, jakby chciała za wszelką cenę doprowadzić mnie do obłądu:

– Wyobraź sobie, jak to może wyglądać. Setki, tysiące, może nawet milion komputerów podłączonych na stałe do Sieci. Strumienie informacji mkną pomiędzy kontynentami, siadają na hostach i routerach, odkładają się w pamięci maszyn. Nieistniejące przestrzenie żyją według własnych praw, zmieniają się. Spada liść z drzewa nasze kroki pozostawiają ślady, nasze głosy ścigają lawiny. Informacja dubluje się, mąci, miesza. Programy są posłuszne, tworzą atrapy osobowości, ale kto wie, kiedy osobowość wypełni się prawdziwym rozumem?

– Hakerzy umarliby ze śmiechu, gdyby to usłyszeli – mówię drewnianym głosem.

– Nie jestem hakerem. Po prostu widzę, co się dzieje wokół nas. I zastanawiam się, co zobaczyłby człowiek znikąd, który pojawił się w Deeptown, absolutnie przekonany, że jest prawdziwy i żywy. Wyglupiających się idiotów? Ludzi, którzy biegają po Labiryncie, z entuzjazmem zabijając się nawzajem? Psychopatów dających w burdelach ujście swoim żądzom? Wszystko, co jest wokół nas, istnieje w realu. Niebo i słońce, góry i morza, miasta i pałace. Przestrzenie w przestrzeniach, przemieszanie czasów i narodów, zalet i wad. Wszystko! Wszystko i nic. Potrzebujemy tylko tego, czego nienawidzimy w prawdziwym życiu. Śmierć, krew, fałszywe piękno i zapożyczona mądrość. Co pomyśli sobie Głębia o ludziach, jeśli nauczy się myśleć?

Milczę. Przypominam sobie Nieudacznika, który zabija potwory z pistoletu i nigdy nie strzela do graczy. Który nie podaje swojego imienia i adresu sieciowego. Który już dwie doby wisi w wirtualności, a język nie płacze mu się z pragnienia, nie uginają się pod nim nogi ze zmęczenia. Który nie rozumie, że uciekające przed mutantami dziecko to tylko setka kilobajtów programu na serwerze trzydziestego trzeciego poziomu.

Przypominam sobie słowa Człowieka Bez Twarzy. Teraz coś się zmieniło”. Przecież to była bezpośrednia odpowiedź. Razem ze wspomnieniami o Bossie Niewidce i Zabłąkanym Punkcie. Zdarzyło się to, co ma odpowiednik jedynie w folklorze. Przeszywa mnie dreszcz.

Nie istnieją przypadki zdarzające się piętnaście razy pod rząd. Nurkowie Labiryntu wyciągnęliby Nieudacznika... gdyby nie sprzeciwiała się sama Sieć. Nieudacznika nie ma dokąd wyciągnąć z

Głębi – on żyje tylko w tamtym świecie. Jest przykuty do Labiryntu, do świata strzałów i zdrad, krwi i ruin. Zginie i ożyje, nie rozumiejąc, co się z nim dzieje.

– Vika... – szepczę – nie daj Boże...

– Co? – patrzy na mnie i cofa się o krok. – Co z tobą?

– Nie daj Boże, żebyś miała rację... – mówię cicho. – A wydaje mi się, że masz...

Chwyta mnie za rękę, ściska mocno, niemal boleśnie i krzyczy:

– Na ile nastawiłeś timer? Gdzie mieszkasz? Lonia, opamiętaj się! Ty żyjesz, jesteś prawdziwy!

Plotę bzdury, bzdury!

Zabawne – Vika zaczęła się o mnie bać.

– Wszystko w porządku – mówię. – Żyję i jestem prawdziwy. Nie mam psychozy Głębi. Ale znam człowieka, który nie może być żywy.

O dziwo, Vika się uspokaja. Ja na jej miejscu dopiero teraz bym się zaniepokoił.

– Też takich spotykałam... Kręcę głową.

– Vika, ja znam człowieka, który zachowuje się jak w twojej fantazji. Nie odróżnia jawy od rzeczywistości. Nie zna granicy, nie gra, lecz żyje w Głębi.

Domyśla się od razu:

– W Labiryncie?

– Tak.

– To się nazywa utrata rzeczywistości. Załamanie nerwowe, nic więcej.

– Widziałem już niejedno załamanie nerwowe. To co innego.

– Lonia... – Vika się uśmiecha. – Nagadałam głupot, a ty... wiesz, analogie bywają fałszywe.

Chciałbym opowiedzieć jej o wszystkim. O Człowieku Bez Twarzy i o Nieudaczniku. O przypadkach, które stały się systemem. Ale podpisałem umowę, obiecując dyskrecję.

Poza tym musiałbym się przyznać, że jestem nurkiem.

A ja mam spore doświadczenie w takich wyznaniach.

Domyślam się, o czym myślą dziewczyny, całując się z nurkiem: zaraz wyjdzie z Głębi, a moja twarz zamieni się w maskę małych kwadracików-pikseli. On jest tu wolny, a ja jestem niewolnicą...

Nie chcę, żeby Vika tak myślała. Nie chcę, żeby to stało pomiędzy nami jak mur.

Stoimy nad urwiskiem, całujemy się, a rzeka ryczy pod nami, wiatr szarpie nasze włosy. Samotny ptasi krzyk, błysk słońca w rozerwanych chmurach, dywan liści pod nogami. Miękki, pachnący. Zdejmuję z Viki sukienkę, ona pomaga mi się rozebrać. Całuję jej ciało, moje usta dotykają żywego ciała, nie jestem w Głębi, Głębia jest we mnie, to nasz świat, nie odejdę stąd nigdy, zagubimy się w tych lasach i odnajdziemy drogę do gór, które widać z jej okna.

Vika coś szepcze, ale nie słyszę słów. Jesteśmy zbyt głęboko, wyszliśmy poza granice wszystkich przestrzeni.

Potem następuje krótka chwila, gdy przestrzenie łączą się w jedno.

Jesteśmy razem poprzez odległości i niewiedzę.

– Nie odchodź, Strzelcu – szepcze Vika. – Tylko spróbuj odejść...

– Nie odejdę – mówię. Przytulamy się do siebie, wiatr ślizga się po skórze, mokre liście chłodzą

plecy. Patrzę w górę, ale nade mną krążą kłęby chmur, jeszcze chwila i spadnę w niebo, zatracę się w rzeczywistościach jak Nieudacznik...

– Kim jesteś, Lonia?

Nie mogę odpowiedzieć. Znowu przyciągam do siebie Vikę, nasze wargi się łączą i sprawiają, że słowa stają się puste i niepotrzebne.

– Mój czas się kończy – szepcze Vika. – Muszę zaraz wyjść...

Rozumiem. Obejmuję ją jeszcze mocniej, jakbym mógł zatrzymać bieg timera na tamtym końcu niewidocznej nici, zatrzymać Vikę w Głębi choć na minutę, choć na chwilę...

– Przyjdź... – Vika trzyma wysoko głowę, unosi się nade mną na łokciach. – Przyjdź dzisiaj, będę czekać.

Kiwam głową, wyciągam do niej rękę, ale już jest za późno.

Jej ciało blaknie i niknie, rozsypuje się w liliowy obłok iskier, sukienka na ziemi topnieje jak garść śniegu. Jeszcze chwila i zostaję sam pod niebem, które prosi, by w nie upaść, zatracić się w oparach chmur, zostać jeszcze jednym człowiekiem, który nie zna granic pomiędzy światami.

Wtedy Vika będzie ze mną zawsze, staniemy się sobie równi, i nigdy nie będę musiał odpowiadać pocałunkiem na pytanie...

Kręcę głową, wtulam twarz w zwiędłe liście.

To się zdarza. Wszyscy nurkowie to przeżywają – moment, gdy chcesz być taki sam jak inni.

Trzeba uciekać.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój... wypuść mnie, Głębio!”

Ekraniki przed oczami, zimny wiatr z klimatyzatora.

– Przełknęłaś? – pytam Głębię. – Smakowało? Ząbki nie bolą? Głębia milczy. Nie majak odpowiedzieć. Znowu przegrała. Świat jakby pękł na dwie połowy. Na tę, gdzie była miłość i na tę drugą, gdzie turlałem się po podłodze, obejmując pustkę. Niech będzie przeklęte to rozdwojenie, po którym czujesz się jak idiota.

Zdjąłem hełm. Ciało mam jak z waty, rozbite. Muszę odespać. Wyciągnąłem rękę, wyrwałem kabel kombinezonu z portu.

– Błąd peryferii! – oznajmia przestraszony Windows Home. – Lonia, sprawdź połączenie kombinezonu wirtualnego!

– Przerwa – rozkazuję. Wyprostowałem się, wstałem. Trzeba uprać kombinezon.

Poszedłem do łazienki, rozebrałem się, wszedłem pod prysznic. Postałem tak pół minuty, mocne strugi wody smagały odchyloną twarz. Potem podniosłem z podłogi kombinezon i wziąłem kawałek mydła.

Właśnie tak niszczy się wartościowe rzeczy – gdy człowiek się wstydzi lub leni, by pójść do pralni.

Bardzo starannie wyprałem kombinezon i powiesiłem go na wieszaku nad wanną. Pociękły strumyczki wody. Wyzymanie tkaniny, wewnątrz której biegną setki kabli, czujników i imitatorów ciśnienia, to jeszcze większe szaleństwo niż jej pranie. Dobra, trzeba liczyć na reputację firmy Philips. Może wzięli pod uwagę rosyjskie olewactwo.

Mój stary kombinezon wirtualny, chiński, ale całkiem porządny, leży w szafie. Planowałem go sprzedać, ale ciągle nie miałem czasu, żeby dać w Sieci ogłoszenie. Chwała Bogu.

Naciągnąłem kolorowy trykot, przeszedłem się po pokoju. Pasuje. Trochę się zrobił przymały, ale ujdzie. Machając kablem, zacząłem pogwizdywać pod nosem.

Vika rzeczywiście plotła trzy po trzy, a ja zacząłem bezkrytycznie przyjmować jej fantazje. Sieć to tylko setki, tysiące komputerów podłączonych do linii telefonicznych. Wirtualność to domysły świadomości.

Elektroniczny rozum na bazie pentiumów i 486 nie istnieje.

Każdy komputerowiec powiedziałby to samo – gdyby tylko chciało mu się roztrząsać tak oczywistą głupotę.

Włożyłem wtyczkę do portu i Windows Home radośnie poinformował:

– Stwierdzono nową peryferyjną instalację. Przeprowadzić podłączenie?

– Tak.

Mój kombinezon będzie sechł jakieś trzy dni. Niech Windows Home podłączy stary jak należy.

– Czujniki ruchu... test zakończony... imitatory ciśnienia... test zakończony... zużycie energii... test zakończony... ograniczenie krytycznych przeciążeń... ostrzeżenie! Dany model kombinezonu wirtualnego nie odpowiada dopuszczalnym parametrom bezpieczeństwa! Może wystąpić dyskomfort podczas kontaktów wirtualnych... nie zaleca się...

– Kontynuować test – rozkazałem. Ze wszystkimi chińskimi kombinezonami jest to samo. Z punktu widzenia standardów zachodnioeuropejskich i amerykańskich nie wolno ich używać. Jeśli w wirtualności zmiażdży mnie betonowa płyta, kombinezon może zareagować zbyt energicznie i zostawić na ciele kilka siniaków. Szczerze mówiąc, niezbyt mnie to martwi.

– Test zakończony. Zaleca się przerwanie podłączenia sprzętu.

– Przyjąć – mówię, wkładając hełm.

– Mówisz poważnie? – Pyta Windows Home.

– Tak.

– Sprzęt przyjęty – zgadza się żałośnie program.

Deep

Enter.

Wiatr się nasilił. Kulę się, odchodząc od urwiska. Sterczenie tutaj z mokrymi włosami nie należy do przyjemności.

Zwłaszcza, że teraz jestem tu sam.

Biorę termos, nalewam sobie grzanego wina. Jeszcze tu przyjdę z Viką. Mam nadzieję, że było jej tu dobrze. Mało jest wirtualnych miejsc, które wydają mi się tak doskonałe.

– Na razie – mówię do rzeki, wiatru, jesiennego lasu. Idę w stronę wyjścia.

Jeśli pójdę do Labiryntu na piechotę, akurat zużyję resztę czasu. Nurkowie zakończą swoje próby uratowania Nieudacznika. Które – tego jestem pewien – zakończyły się klapą.

Pierwsze, co widzę, wchodząc na trzydziesty trzeci poziom, to leżący na trawniku Anatol. Nosił wilk, razy kilka, myślę sobie. Ale Anatol podnosi głowę i macha do mnie ręką.

Nieudacznik jest w tym samym miejscu – w swoim kącie.

– Hej, Strzelec! – Anatol nie ma najmniejszego zamiaru zmieniać swojej horyzontalnej pozycji. – Podejdź no tutaj!

Siadam obok niego, spoglądam pytająco.

– Chcemy zrezygnować z tego... – Anatol wskazuje głową Nieudacznika – ...zadania.

Milczę. Niech się wygada.

– Nie wierzę w karmę – ciągnie Anatol – ale jeśli prowadzisz człowieka do wyjścia, troskliwie jak kryształowy wazon, a on zdycha, to znaczy, że sam tego chce.

– To znaczy?

Anatol zniża głos do szeptu.

– Słuchaj, ty masz swoje powody, żeby go ratować... próbuj. Ale najpierw pomyśl. Jest w Głębi dwie doby. Widziałeś kiedy takich oryginałów?

– Tak.

– Zachrypnięty głos, chodzi jak automat, rozumie wszystko od trzeciego kopa... tak?

Patrzę na Nieudacznika i kręcę głową.

– No wiesz... on je i pije. Korzysta z toalety. Orientuje się, co się dzieje. – Anatol podnosi się, siada w kucki. – Strzelec, ten koleś robi z nas idiotów. Albo jest tutaj na polecenie dyrekcji i sprawdza, jak pracujemy, albo jest nurkiem, tak jak my. Albo i jedno, i drugie.

Nie mam nic do powiedzenia. Anatol może mieć rację. Z punktu widzenia normalnej logiki innych możliwości nie ma. Ale ostatnio mam problemy z normalnością.

– Crazy poszedł do dyrekcji – mówi Anatol. – Albo się przyznają, że zorganizowali kontrolę naszych umiejętności, albo niech nie wymagają rzeczy niemożliwych.

– Pomyślą, że Nieudacznik to nurek.

– Właśnie!

– Bardzo wygodna wersja, Anatol. Nurek dowcipniś, który postanowił zakpić sobie z przemysłu rozrywkowego i swoich kolegów po fachu... nie będą przecież zatrzymywać całego Labiryntu z powodu takiego drobiazgu.

– Strzelec, prowadziłem go przez cały poziom – mówi z rezygnacją Anatol. – W sali lustrzanej wystrzelałem wszystkich gwardzistów.

Kiwam głową. Z jego uzbrojeniem i doświadczeniem to całkiem możliwe.

– Wiesz, co było potem? – W głosie nurka wzbiera złość. – On upuścił karabin! Oberwał prosto w czoło!

Milczę. Co mogę powiedzieć? Nieudacznik nie chce wyjść z poziomu... – Nie mam już siły... – Anatol splota na trawę. – Nie mogę na niego patrzeć, a co dopiero go ratować.

– Anatol, nic się nie dzieje bez powodu.

– No to czego on chce? Czego? Powiem ci! Chce, żebyśmy zerwali umowę! Żeby sam mógł

wskoczyć na cieplutką posadkę! Sam... albo w parze z kimś. Z nurkiem, który go jakoby ratuje!

Patrzy mi w oczy. Przyjmuję wyzwanie.

– Zarzucasz mi podwójną grę?

Nurkowie nie wystawiają nurków. Jest nas zbyt mało. Dlatego został stworzony kodeks, dlatego spotykamy się trzy razy do roku, gardząc ostrożnością i wzajemną nieufnością.

Jeśli nurkowie zaczną się rozliczać ze sobą w Deeptown, ucierpi cała Sieć. A życie Sieci jest najważniejsze. I bez tego mamy wystarczająco dużo wrogów w rzeczywistym świecie.

– Nie wiem – Anatol odwraca oczy. – Nie, raczej nie. Wybacz. Ale ciebie też ktoś wystawił. Kto zlecił ci ratowanie Nieudacznika?

– Anonimowa osoba. Mam z nim kanał połączenia. Ale obawiam się, że jednorazowy i dobrze chroniony.

– Ten anonim mógł być nurkiem? Wzruszam ramionami.

– Sam wyciągnij wnioski. My już mamy tego koleśka po uszy, ty też narobiłeś szumu na cały Labirynt, ale i tobie zaczniesz to wszystko bokiem wychodzić. A wtedy przyjdzie gość z boku, wyciągnie Nieudacznika i dostanie kontrakt.

Anatol rozpina kombinezon na piersi, mówi rzeczowym tonem:

– Strzelaj.

– Co?

– Zabij mnie. Będziesz mógł zabrać całe uzbrojenie. A co, miałeś zamiar wojować ze sztucerką?

Waham się, on kręci głową.

– Ech, Strzelec, sam jesteś jak ten Nieudacznik... Przystawia do piersi swój karabin plazmowy, naciska spust.

Krótki wybuch, chlusta krew, ale on nadal żyje. Nurkowie Labiryntu mają ogromny zapas sił.

– Kurwa! – charczy Anatol i strzela po raz drugi.

Jego kamuflaż jest cały we krwi, ale staram się nie zwracać na to uwagi. Zdejmuję pancerz, wkładam na siebie, zbieram broń i amunicję.

Nieudacznik albo na nas nie patrzy, albo nie reaguje na ten niezwykley proces przekazania uzbrojenia.

Podchodzę do niego, siadam obok. Czyżby rzeczywiście był nurkiem? Siedzi sobie teraz spokojnie przy filiżance kawy, je kanapkę, popatrując na ekran, gotów w każdej chwili zanurkować w Głębię... i zacząć mącić mi w głowie...

– Nie nudzi ci się tu? – pytam. Po sekundzie... ciekawe, na co poszła, na obmyślanie odpowiedzi czy na podłączenie deep programu?... Nieudacznik ochryple mówi:

– Nie mam innego wyjścia.

– Dlaczego? Wyjdźmy z Labiryntu. Byłeś w Trzech Prosiaczkach? Albo w Starym Hakerze?

Nieudacznik kręci głową.

– Tam jest znacznie ciekawiej – mówię. Siedzimy obok siebie, trzymam na kolanach BFG 9000, gotów w każdej chwili spalić dowolnego przeciwnika. Z takim uzbrojeniem przejdziemy. Nie możemy nie przejść. Ale nie spieszę się. – A właśnie, dziękuję ci.

– Za co?

– Zasłoniłeś mnie w sali lustrzanej.

Nieudacznik ściąga respirator. Zauważam, że dziwnie się porusza. Tak miękko i plastycznie, jakby każdy gest sprawiał mu rozkosz. Czasem zachowują się tak na scenie zakochani w sobie aktorzy. Ale w odróżnieniu od nich, Nieudacznik nie budzi rozdrażnienia.

– Czy to wymaga wdzięczności? – pyta z ironią.

– Tak – odpowiadam. – Oczywiście.

– Ty byś zrobił inaczej?

– Na twoim miejscu tak.

Przerwa. Nieudacznik chyba jest zdumiony.

– Dlaczego?

– To ty masz problem. Ciebie trzeba wyciągnąć z Labiryntu.

– To nie ja mam problem. – Nieudacznik kręci głową.

– Jesteś nurkiem? – walę prosto z mostu. – Nie.

– Koleś, nie zalewaj. Jesteś w Głębi trzecią dobę. Musi cię skręcać z głodu i z pragnienia.

– Nie pragnienie jest najstraszniejsze.

– Tylko co?

– Cisza. Cisza, Strzelcu.

Patrzy mi w oczy. Nie odwracam spojrzenia. Nasz twarze są blisko siebie.

Jego oczy ożywają, nie ma w nich już bezradności. Czarna głębia... bezkresna ciemność, jakbym patrzył w nocne niebo, na którym w jednej chwili zgasły wszystkie gwiazdy. W wir ciemności wysysającej poza granicę światów.

– Cisza – szepcze Nieudacznik.

Czuję ją, tę Wielką Ciszę, o której on próbuje mi powiedzieć. Dobrze, że teraz milczy. Słowa są bezradne, uderzają w zasłonę ciszy, nie mogąc jej przebić i przeszkadzając mi zrozumieć.

Cisza.

Kimkolwiek jest Nieudacznik, wie o niej więcej niż ktokolwiek inny.

Jeszcze chwila i spadnę w tę ciszę. Zrozumiem Nieudacznika.

Nie chcę go rozumieć!

– Tego się właśnie boję... – mówi Nieudacznik i czar znika. Po prostu siedzę obok niego. Dwóch narysowanych ludzików wymieniających się mętnymi zdaniem.

Ciekawe, czy w Głębi można zwariować? Może ja będę pierwszy?

– Dlaczego się zabiłeś?

– Kiedy?

– Anatol wyprowadził cię, a ty upuściłeś karabin i strzeliłeś sobie w łeb. Chcesz powiedzieć, że to był przypadek?

– Przypadki nie istnieją.

– W takim razie, dlaczego?

– Anatol nie zdołał mnie wyprowadzić.

– Dlaczego? – krzyczę. Rozmowa głuchych, niczego nie wyjaśniające odpowiedzi.

Nieudacznik nie odpowiada.

I dobrze.

Dość mam tych zagadek. Po prostu go wyprowadzę.

Nie będzie miał innego wyjścia – poza wyjściem z poziomu.

– Wstawaj! – krzyczę. Chwytam Nieudacznika za ramiona, zmuszając go, żeby wstał. Wyciągam z kabury jego pistolet, rozbijam, wyrzucam.

– Idziemy! Naprzód!

Nie spiera się. No, spróbowałby się kłócić... jak będzie trzeba, zaniosę go na własnym grzebieniu.

Nie będzie miał innego wyjścia.

Przechodzimy cały Disneyland; rozstrzeliwuję potwory, nie żałując pocisków. Na ten poziom wystarczy ich na pewno.

Granatnik rozgrzewa się od nieprzerwanego ognia. Parzy ramię nawet przez pancerz. Drobiazg.

Na placyku z samochodzikami znowu dziecko ucieka przed trzema zwinnymi potworami. Tylko tym razem nie czarnoskóre, a latynoskie. Te amerykańskie kompleksy rasowe... Nieudacznik staje jak wmurowany; trzeba powtórzyć krótki pojedynek z demonami i pajakiem-cekaemem. Idziemy do budynku, który wskazał dzieciak. Tym razem Nieudacznik trzyma małego bardzo mocno i chłopczkowi nie udaje się wyrwać. Zamiast niego, do środka wchodzi ja.

Niemal cały hol wypełnia półprzeźroczysty, kołyszący się bukłak z zębami. Rakiety przechodzą przez niego na wylot, nie wybuchając. Palę stwora plazmą, tracąc dwie jednostki energii.

W następnym pokoju szamocą się w śluzowatej pajęczynie dwoje ludzi – mężczyzna i kobieta. Pilnuje ich mały potwór. Nawet nie próbuje mnie atakować, tylko rzuca się, żeby zabić jeńców. Strzelam do niego z karabinu, razem z Nieudacznikiem uwalniamy rodziców chłopca. Dalej standardowy scenariusz – opowieść o koszmarze ataku Kosmitów, rady na temat przejścia przez labirynt luster i uroczysty podarunek – plazmowy karabin. Programy są tak prymitywne, że nawet nie zauważają, że mam już taką broń. Ziewam, przyjmując prezent. Połączona na nowo rodzina oddala się. Jaki piękny (do obrzydzenia) widok – dziecko idzie pomiędzy rodzicami, wzruszająco trzymając ich za ręce... rozumiem, że teraz wydadzą się z Miasta. Spoglądam na Nieudacznika – na jego twarzy całkowita powaga. Jakby rzeczywiście uratował trzy ludzkie życia.

Idziemy do labiryntu luster. Broni Nieudacznikowi nie daję. Niepotrzebny mi numer z upadającymi i strzelającymi winchesterami.

– Więc tak – instruję. – Zatrzymujesz się przy wejściu do sali. Czekasz, aż cię zawołam. Potem spokojnie podchodzimy do komputera i zjeżdżasz stąd do domu. Dobrze?

– Tak.

– Zrozumiałeś mnie? Nie będziesz robił głupstw?

Nieudacznik patrzy mi w oczy.

– Te głupstwa to zasłanianie cię przed strzałem?

– Tak! Sam sobie poradzę, ty tylko stąd wyjdiesz. Jasne?

– Jasne.

Jakoś mi się nie chce wierzyć w jego szczerłość... ale trudno. Przechodzimy lustrzanymi korytarzami, przy wejściu do sali klepię Nieudacznika w ramię. Ten posłusznie staje.

– Czekaj. Czekaj na mnie, a wrócę znów... – mówię. Robię krok do wejścia, nie wytrzymuję,

odwracam się.

– Słuchaj... kimkolwiek jesteś... jestem bardzo zmęczony. Nieudacznik kiwa głową.

– Mam już dość tych bzdur. Obiecuj, że nie wyskoczysz pod wystrzał. Obiecuj, że nigdzie nie pójdziesz. Chcę cię wyciągnąć i wrócić do domu.

– Zrobię wszystko, tak jak mówisz – odzywa się Nieudacznik, a ja, o dziwo, mu wierzę.

– Dziękuję – szepczę i skaczę do sali. Zaczyna się ognista karuzela.

Gwardia Księcia Kosmitów strzela do mnie z trzynastu balkonów, ja też strzelam na chybił trafił. BFG 9000 wypala trzy lustra jedną salwą. Pomieszczenie wypełnia srebrny dym. Kule tłuką w mój pancerz, przewracając mnie na podłogę. Strzelam na leżąco, turlam się po podłodze jak w zapomnianym tańcu swojej młodości – break dance – i strzelam jeszcze dwa razy. Trzy lustra, trzy lustra, trzy lustra...

Ostatnia lustrzana krawędź i oto już prawdziwy balkon z dwoma potworami. Potwory zalane są zieloną krwią, BFG porządnie posiekał ich łuskowate ciała. Mój pancerz jeszcze się trzyma, pognieciony, rozpalony, ale nadal pewny.

Ostatni wystrzał, ognista kula, trzask wtórnych ładunków... Potwory wrzeszczą, umierają, przemieniają się w kłęby czarnego popiołu.

Zapada cisza.

Lustrzana sala jest wypalona i zniszczona, tylko komputer triumfalnie migocze ekranem pośród pogromu.

– I nadeszła cisza... – szepczę, wstając z kolan. – Dzięki za pancerz, Anatol, dzięki... Nieudacznik!

Słaby dźwięk z korytarza i niepewny krok. I dwa krótkie pstryknięcia – wystrzały ze sztucera.

Nie trzeba mi żadnych wyjaśnień.

Ani pocieszeń.

Idę do drzwi, przechodzę nad martwym ciałem Nieudacznika, patrzę na lustrzaną nieskończoność korytarza.

Alex, w otoczeniu swoich bezcielesnych sobowtórów, opuszcza sztucer. Ma na sobie resztki kamizelki kuloodpornej, na twarzy krew. Lufa sztucera patrzy w podłogę, na swoje odbicie.

– Nie mam więcej naboju – mówi.

Odrzucam BFG 9000, zdejmuję z pasa pistolet. Przystawiam lufę do czoła Aleksa, tak mocno, że facet się odsuwa. Nawet nie czuję złości. Alex czeka w milczeniu na strzał.

– Siadaj – mówię, opuszczając broń. – Siadaj, gadzie.

Siada, ja lokuję się obok niego na podłodze, a ciało Nieudacznika, który znowu nie miał szczęścia, ślepo patrzy w sufit.

– Dlaczego go zabiłeś?

– Ja... ja chciałem zabić ciebie – mówi Alex. – Gonilem ciebie. Bałem się, że nie zdążę. Nie zauważyłem, że on nie ma broni.

– A mnie – dlaczego?

Alex wykrzywia się w uśmiechu.

– Zabiłeś mnie na pierwszym poziomie. Nie pamiętasz?

– Pamiętam. I to ma być powód?

– Przecież się umówiliśmy, że będziemy szli razem! Boże, za jakie grzechy?

– Chcesz powiedzieć, że ty nie miałeś zamiaru mnie zastrzelić? Z powodu magazynku?

– Zastanawiałem się nad tym – przyznaje się spokojnie Alex. – Ale jeszcze się nie zdecydowałem.

A ty mnie zabiłeś.

Dostaję ataku śmiechu. Leżę na podłodze, wsparty hełmem o nogę Nieudacznika. Walę rękaw lustrzaną podłogę.

– Potwór! – krzyczę. – Debil!

Alex obraża się.

– Przecież do ciebie nie strzeliłem! – krzyczy. – A ty do mnie tak!

– Facet, jesteś stuknięty! – wołam. – Mściciel się znalazł, taka twoja mać... Zorro niedorobiony...

Ja jestem nurkiem! Rozumiesz? Chłopak, którego stuknąłeś, siedzi w Głębi od dwóch dni! Ma wyłączony timer! Może się przekręcić, jeśli go nie wyciągnę! A ty tu ze swoimi kompleksami... Idiota, idiota...

– Nurek... – powtarza tępo Alex.

– Nurek! – Mam gdzieś wieczną konspirację. – Ja na ten Labirynt... z czterdziestego piętra!

Próbuję uratować człowieka, a ty bawisz się w wojnę, gnojku! Ile ty masz lat?

Alex odpowiada nie od razu – ale jednak odpowiada:

– Czterdzieści dwa.

Znowu zwijam się ze śmiechu.

Królestwo Piotrusia Pana, wyspa wiecznych dzieci.

Podstarzały amator gier wojennych.

W wirtualności nie ma wieku. I solidny starszawy biznesmen, i gołowąs, który dorwał się w pracy do komputera z modemem, wszyscy są tu równi.

Każdy ma prawo biegać po narysowanych labiryntach, przypominając sobie dziecięce zasady honoru i krzyżąc: nie liczy się!

Każdy może się bawić w szlachetnych bohaterów i dzielnych rycerzy, zapominając o tym, że życie jest znacznie bardziej skomplikowane niż dziesięć przykazań.

– Bardzo mi przykro – mówi Alex. – Nie wiedziałem, że zajmujesz się tu taką poważną pracą...

Boże, co za cyrk... nie, skąd, nic poważnego, tak tylko wpadłem, na chwilę...

– Jeśli mogę ci to jakoś zrekompensować – mówi przygnębiony Alex – zapłacić za czas, który straciłeś...

– Czasu nie można kupić – odpowiadam. Już bym wolał, żeby Alex zachowywał się jak młodociany programista. – Teraz gdzieś tam umiera z głodu i pragnienia chłopak, w którego wsadziłeś swoje zasrane kulki!

– Bardzo mi przykro... – Alex wstaje, podchodzi do mnie. Patrę na niego. – Po prostu zachował się pan nieetycznie. Strzelił pan do mnie bez wyraźnego powodu...

I co z takim gadać...

– Być może nie mam racji – jego głos nabiera mocy – ale, rozumie pan, wszystkiemu winien jest pański pierwszy czyn. Zapewne jest pan ode mnie młodszy...

Patrę w sufit, na odbicie Nieudacznika. Na zastygłą, martwą twarz.

– Jednak musi pan rozumieć nie gorzej ode mnie, że jesteśmy w świecie nierealnym, nieistniejącym – przemawia Alex. – To niebezpieczna iluzja. Zdarza się, że ludzie tracą swoje normy moralne, ulegają złudzeniu, że wszystko jest dozwolone. Możliwe, że mój czyn był nie do końca słuszny, ale ja zawsze staram się przestrzegać zwykłych ludzkich imperatywów. Labirynt to gra, ale znalazły w niej odbicie odwieczne ideały: rycerskości i walki dobra ze złem.

No proszę, jeszcze jeden walczący z iluzjami. Ilu ich już było – ludzi próbujących sprawić, by Głębia stała się dokładną kopią rzeczywistego świata. Najśmieszniejsze, że najbardziej słynnym był pewien autor książek fantastyczno-naukowych...

– Już na samym początku zachował się pan nieuczciwie – kontynuuje Alex. – I oto smutny rezultat. Tak działało się zawsze, od stworzenia świata. Cała historia jest tego żywym przykładem!

– A we wrzących kotłach dawnych walk i smut... – szepczę. – Ileż pożywki dla naszych małych mózgów!

Alex milczy.

– Wyrównałeś ze mną rachunki? – pytam. – Odpowiedz, wyrównałeś? Czy chcesz mnie osobiście zastrzelić? No to już!

Rzucam mu pistolet. Rozkładam ręce.

– Ja... chodziło mi o coś zupełnie innego... – mamrocze Alex. – Gdyby po prostu uznał pan niesłuszność swojego postępowania, byłoby to zupełnie wystarczające...

– Uznaję – mówię, obiema rękami mocując na piersi rurę granatnika. – Uznaję. Powinienem był poczekać, aż mnie zastrzelisz. Zadowolony?

Alex cofa się o krok, w proteście macha rękami. Jest niezadowolony z takiego obrotu sprawy, nie zdążył się usprawiedliwić we własnych oczach.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Spust działa opornie, ledwie udaje mi się go nacisnąć.

Na ekranikach hełmu krew.

A wewnątrz mnie cisza.

Nie. Nie wyciągałem z Głębi pechowego gracza, i nie próbowałem przechytryć pozbawionego zasad kolegi. To Sieć.

Sama wirtualność powstała przeciwko mnie.

Część trzecia
Człowiek Bez Twarzy

Byłem obecny przy narodzinach przestrzeni wirtualnej. Jako jeden z pierwszych wypróbowałem na sobie deep program Dibienki. I nie ma we mnie mistycznego strachu zwykłego człowieka wobec komputera.

Arytmometry nie są rozumne.

Vika może fantazjować o elektronicznym rozumie, ale ja nie mogę w to uwierzyć. Wszystko, co dzieje się w Głębi, to jedynie przecięcie różnych programów. Jeśli to, co się dzieje, wychodzi poza ramy rzeczy możliwych – stoi za tym człowiek.

Ale kto, kto mógłby stać za niekończącymi się śmierciami Nieudacznika?

Dobry nurek albo po prostu doświadczony bywalec Głębi zdolny jest organizować swoją śmierć raz za razem. Wszystkie te upuszczone sztucery to bzdura. Ale dlaczego Nieudacznikowi pomaga sama Sieć? Dlaczego Alex zdołał nas dogonić właśnie w tym momencie, gdy Nieudacznik wyszedł spod mojej ochrony? Przypadek?

A dwóch zawodowców prowadzących Nieudacznika do wyjścia też nie mogło uchronić go przed przypadkami?

Nie wierzę w to.

Siedzę w szatni Labiryntu. Znowu wejdę w Głębię, ponizony i zhańbiony, nurek-nieudacznik, który uważał się za mądrzejszego od innych. Głębio, Głębio. Jak łatwo mnie rozdeptałaś. Walka jest przegrana, jeśli przeciwnik nie wyszedł na ring.

Nie na darmo Człowiek Bez Twarzy proponował taką nagrodę za uratowanie Nieudacznika. Wiedział znacznie więcej niż powiedział. Celne strzały i błyskawiczny refleks nie pomogą.

Wobec tego muszę przestać wyważać narysowane drzwi. Trzeba szukać prawdziwego wyjścia.

Wrzucam pancerz i uzbrojenie do szafki, włączę pod prysznic, przez minutę stoję pod lodowatymi strugami. Konsternację i bezsilność zastępuje złość. Pięknie. Witaj, złości. Jesteś tym, czego potrzebuję. Wystarczy tej gry zgodnej z zasadami.

Ubieram się i wychodzę do sali kolumnowej.

– Administracja prosi Strzelca o zgłoszenie się do naczelnika służby bezpieczeństwa... – rozlega się w powietrzu. – Administracja...

Gracze patrzą na mnie, gdy podchodzę do drzwi, przez które wtedy przeszedł Gilermo. Pcham je, są otwarte.

W biurze administracji tym razem panuje ożywienie. Zostałem wpuszczony do służbowej przestrzeni twórców Labiryntu; ja mogę widzieć ich, a oni mnie. Zresztą i tak nikt się mną nie interesuje. Idę korytarzami, zaglądam przez szklane drzwi, za nimi są terminale, chłopcy i dziewczyny przy komputerach. Niektóre sale zajmują; ogromne stoły z makietami poziomów Labiryntu: wzgórze i parowy, budynki i ruiny, rzeki i pożary. Wokół stołów leniwie chodzą ludzie. Jakiś chłopak nachylił się nad makietą, wylewa do małej rzeczki kolbę zielonej cieczy. Rzeka zaczyna kipieć. Chłopak trąca stojącego obok towarzysza, ten patrzy na zapaskudzony pejzaż i wzrusza ramionami.

Więc tak konstruuje się poziomy. A raczej ich szkielet, który później zacznie żyć własnym elektronicznym życiem, zasiedlony graczami i potworami. Przez kilka tygodni czy miesięcy poziom będzie pobudzał wyobraźnię bywalców Labiryntu. Potem go zmienią.

– To pan jest Strzelcem?

Dziewczyna podchodzi do mnie bezszelestnie i niezauważalnie.

– Tak.

– Proszę ze mną. Pan Agirre czeka na pana.

Idę. I tak wiem, co zaraz usłyszę. Ale czemu nie miałbym poświęcić kilku minut na zbędne formalności?

Gilermo stoi przy oknie wychodzącym na Labirynt, ciemna sylwetka na tle krwawej zorzy. W tym trójkątnym pokoju wszystko zostało dokładnie przemyślane. Gospodarz gabinetu na tle okna wydaje się malutki, zagubiony i przykuwa spojrzenie. Wchodzący, znajduje się automatycznie na wierzchołku piramidy, mimo woli zaczyna odczuwać ważność własnej osoby... i czuć się niezręcznie.

– O, Strzelec! – Gilermo rusza ku mnie energicznym krokiem. – Niech pan usiądzie...

– Zrywa pan umowę? – pytam wprost.

Gilermo zatrzymuje się. Pociera nos.

– Taak... Rozmawiał pan z Anatolem, Strzelcu?

– Rozmawiałem.

Jakby nie monitorował naszej rozmowy...

– Strzelcu, nie zgadza się pan z opinią naszych nurków?

– Nie.

– Dlaczego?

– Czy to coś zmieni? – odpowiadam pytaniem.

– Już podjął pan i decyzję rezygnacji z ratowania Nieudacznika.

– Ja decyzji nie podejmowałem – mówi Gilermo.

– Ale umowę pan zrywa?

Gilermo wzdycha.

– Doceniamy pańskie próby pomocy. Znacząco doceniamy.

Po raz pierwszy jego język staje się nieprawidłowy, i jestem pewien, że Gilermo rzeczywiście nie korzysta z programu-tłumacza, on zna rosyjski. Zna bardzo dobrze. Miłe. Ale nic w tym dziwnego, Rosjanie stanowią bardzo duży procent graczy. Najwidoczniej dlatego, że nasze przysłowiowe niedbalstwo żyje do tej pory... i wiele firm, nawet tego nie podejrzewając, płaci za rozrywkę swoich pracowników, a nie za pracę w Głębi.

– Pojawiła się opinia, że mamy do czynienia z akcją wrogo nastawionego nurka. Kontynuacja misji ratunkowej byłaby poparciem jego planów. Tak?

Kiwam głową. W głosie Gilermo nie ma pewności. Ale i ja nie mam żadnych kontrargumentów na słowa nurków Labiryntu. Na razie. Spieranie się nie ma sensu.

– Firma wypłaci panu wynagrodzenie – mówi Gilermo. – Możemy się nawet potargować... odrobinę – uśmiecha się, chytrze i serdecznie jednocześnie.

– Wysokość kwoty pozostawiam pańskiemu uznaniu – mówię.

Gilermo spogląda na mnie badawczo, potem siada przy biurku.

Wypisuje czek. Robi to złoconym parkerem, książeczka czekowa wydana jest przez Chase Manhattan. Suma nie robi na mnie takiego wrażenia, jak by się to stało przed operacją w Al Kabarze, ale budzi szacunek.

– Dziękuję – mówi uroczyście Gilermo, wręczając mi czek. To tylko formalność, pieniądze już zostały przelane na moje tajne konto wymienione w umowie. Ale trzymanie w ręce nieistniejącego czeku sprawia przyjemność.

Kiwam głową, ściskam Gilermo dłoń. Koniec, można wyjść. Dali chłopczykowi cukierka i wygonili z pokoju dorosłych grających w poważne gry.

– Strzemiennego? – Agirre z uśmiechem wyciąga z biurka butelkę. Prawdziwy francuski armagnac. W wirtualności jest trochę droższy od coca-coli, ale sam gest jest miły. Agirre nie ma chyba wątpliwości, że znam smak tego alkoholu.

Stukamy się kieliszkami, pijemy. Nie jestem miłośnikiem koniaku, ale zawsze to przyjemnie czuć się znawcą szlachetnych trunków.

– Domyślam się, na co przeznaczy pan tę sumę – mówi nieoczekiwanie Gilermo.

– No, na co?

– Pieniądze wrócą na rachunek Labiryntu – uśmiecha się Gilermo.

– Nie.

Zdumiony unosi brwi.

– Rezygnuje pan?

– Uratuję Nieudacznika. Ale na to mam pieniądze. A czek... zwrócę go. Żeby zmienił pan sumę.

Gilermo kiwa głową. Spodziewał się mojego uporu i jest usatysfakcjonowany obietnicą.

– Powodzenia, nurku.

– Jeśli w Labiryncie wydarzy się coś nieoczekiwanego, będzie pan mógł mnie powiadomić? – pytam. – Nieoficjalnie?

– Adres – mówi rzeczowo Gilermo.

Daję mu wizytówkę z adresem sieciowym. To nie są moje dane, zwykła skrzynka pocztowa, z której po podaniu hasła będę mógł odebrać listy na nazwisko Strzelca.

– Wezwać panu taksówkę? – pyta na pożegnanie Agirre.

– Dziękuję, Willy, nie ma takiej potrzeby.

Samochód Deep Przewodnika łapię, odchodząc kilka ulic dalej. Nie żebym się spodziewał, że mnie śledzą, ale po co zmieniać dobre przyzwyczajenia.

– Dzielnica Al Kabaru – mówię. Tym razem kierowcą jest rudowłosa kobieta o miłej powierzchowności, z małutkimi zmarszczkami w kącikach oczu. Doskonale stworzona twarz...

– Taki adres nie istnieje – zasmuca mnie.

– Al Kabar, osiem, siedem, siedem, trzy, osiem.

– Zamówienie przyjęte.

Samochód rusza z miejsca, ulice migają wokół. Proszę Vikę, żeby zmieniła męzne oblicze Strzelca na prostoduszną gębę Iwana carewicza. Po chwili w lusterku widać bohatera w białym ubraniu.

Obrazki, obrazki, nic więcej. Teraz program Deep Przewodnika przerzuca mój kanał połączenia z serwera na serwer, szykując się do połączenia mnie z Al Kabarem. Dostarczyć do włosianego mostu, do strażnika Ifrita. Obrazki. Głębia nie może mieć własnego rozumu!

A jednak nie umiem się przekonać, nawet w myślach.

Pustynia wita mnie gorącym oddechem, Ifrit ogłuszającym rykiem:

– Śmiałeś wrócić, złodzieju?

Dobry program – z pamięcią...

Ifrit odrywa od piasku nogi, most z włosa napręża się i dźwięczy, ale na razie się nie zrywa. Nowość – w ciągu ostatnich dni programiści Al Kabaru „uruchomili” strażnika.

– Stój! – krzyczę i podnoszę ręce. – Przyszedłem do Friedricha Urmana! Nie jestem w twojej władzy!

Gigantyczna pięść drży nad moją głową. Pomiedzy palcami strzelają iskry.

– Stwierdzono nieznany wirus! – szepcze Vika. – Uwaga, włączam web!

Przeźren otula leciutka zasłona. Program antywirusowy web zacznie odcinać część napływającej informacji, próbując ochronić komputer przed działaniem wirusa. Ochrona nie jest idealna, dobry wirus i tak wciśnie się na mój kanał. Ale nie powstrzymuję Viki – spanikowała, jeśli, oczywiście, można użyć tego słowa... Postać Ifrita rozplywa się, rozmazuje.

– Kim jesteś? – ryczy potwór. Głos też jest zmieniony.

– Nurkiem! – krzyczę. Nie mam nic do ukrycia.

– Czeka! – rozkazuje Ifrit.

Iskry w jego dłoniach gasną, Vika wyłącza web.

Co mam zrobić? Czekam. Potwór nieruchomieje, tylko jego oczy błyskają, obmacując mnie niemal fizycznie odczuwalnym spojrzeniem. Żadnego porównania z poprzednimi gierkami – wtedy pozwolili mi wejść w pułapkę, przekonani, że nie zdołam uciec. Teraz programiści korporacji, zdrowo ochrzanieni przez dyrekcję, rzucą na mnie najbardziej perfidne wytwory własnej wyobraźni. A wśród nich na pewno są takie wirusy, co nie tylko ze mnie, nie tylko z Maniaka, ale i z samego staruszka Łozińskiego wyrwałyby okrzyk przerażenia. Przypominam sobie bajki o wirusach niszczących hardware – materialną część komputera...

– Idź – ożywa potwór. Wchodzę na włosiany most. „Głębio, Głębio...”

Tym razem wita mnie nie dwóch karykaturalnych ochroniarzy, lecz cały uzbrojony po zęby tłum. Gdyby mnie tak konwojowali poprzednim razem, guzik bym skradł, a nie megabajtowy plik.

Ochrona prowadzi mnie ulicami w lodowatym milczeniu. Myślałem, że zaprowadzą mnie do tamtej altanki, ale nasza procesja podąża dalej.

Do posępnego szarego budynku.

Chcą mnie wsadzić do więzienia? Śmieszne. Nurkowie są nietykalni. Można przeszkodzić nam w wykradzeniu pliku, ale nie sposób więzić w wirtualnym świecie.

Część strażników zostaje przy bramie, czterech wprowadza mnie do wnętrza kazamatów. Dwóch z przodu, dwóch z tyłu. Obnażone miecze. No, jak mi wpuszczą wirus, będę się miał z pyszna. Ten, komu zdarzyło się oglądać śmierć twardziela, ten mnie zrozumie. Kiedyś podczas drobnej i prawie nierentownej akcji podłapałem przemilego wirusa, który przemieszał boot-sector i tablicę partycji twardego dysku w równomierną papkę. Maniak całą dobę wydłubywał z martwego twardziela resztki informacji. Sporo uratował. A ja plotłem mu o pirackiej grze na dysku, z którego załapałem wirusa.

Jeśli tamtym cwaniaczkom udało się zarazić mój komputer takim świństwem, to wolę nie myśleć, co mogą zrobić ci z Al Kabaru.

Drzwi za moimi plecami zatrząskują się ciężko. Kazamaty toną w ciemnościach. Idę na oślep, popychany z tyłu. Wszystko jasne. Maksymalnie zwężony kanał połączenia, przez który docierają do mnie informacje. Żebym znowu czegoś nie daj Boże nie ściągnął. Brak wizji.

– Stój! – pada rozkaz z tyłu. Posłusznie zamieram.

Ci, którzy tu są, na pewno widzą mnie jak na dłoni. Nie poprawia mi to samopoczucia.

– Miał pan czelność zjawić się znowu, Iwanie?

Poznaję głos Urmana – a raczej intonację jego tłumacza. Odwracam się, próbując nie wytrzeszczać oślepych oczu.

– Tak się umawialiśmy.

– Czyżby?

– Oddał mi pan dobrowolnie plik w zamian za obietnicę powtórnego spotkania.

Przerwa. Długa. Nie kłamię i Urman znalazł się w idiotycznej sytuacji. Jak miło mówić prawdę. Zresztą, po co? Na świecie jest tak wiele różnych prawd, że kłamstwo zwyczajnie przestaje być potrzebne.

– Czego pan chce?

– Ja? Niczego. To pan prosił mnie o spotkanie, więc ma pan widocznie jakieś propozycje.

Znowu milczenie. Oczywiście, Urman nie spodziewał się, że przyjdę po jego próbie namierzenia mnie. Na wszelki wypadek dorzucam:

– A właśnie, proszę nie namierzać mojego kanału połączenia. W przeciwnym razie odejdę.

Milczenie przeciąga się. Oczami wyobraźni widzę, jak Urman kiwa ochroniarzom głową: „Bierzcie się za niego...”

– Proszę odnowić jego kanał w pełnym zakresie – rozkazuje Urman. – I zdjąć obserwację.

Jasne, ostre światło. Mrużę oczy, oglądam wewnątrz kazamatów spod półprzymkniętych powiek. Posępne, grube mury, wysoko na ścianach kraty; małe okienka z lustrzanego szkła. Na środku stół i fotele.

– To sala konferencyjna – wyjaśnia Urman. Jest w eleganckim garniturze, pod krawatem. Prawdopodobnie jego ubranie automatycznie dostraja się do wnętrza. Słyszałem o takich sztuczkiach. – Odbывают się tu zebrania rady dyrektorów i pewne spotkania...

Jasne. Najlepiej zabezpieczone miejsce w przestrzeni wirtualnej korporacji. Stąd już bym nie uciekł, jak wtedy z altanki.

Zresztą nie mam z czym uciekać – przyszedłem absolutnie bezbronny.

– Proszę nas zostawić – wydaje polecenia Urman.

Ochrona wykonuje rozkaz.

– Dziękuję, Friedrich.

Urman w milczeniu kiwa głową, siada na jednym z foteli. Ja siadam obok.

– Sprzedał pan... jabłuszko? – pyta Urman.

– Tak, dziękuję.

– Cieszę się.

Chyba nie jest zły. I to budzi moją czujność.

– Mam nadzieję, że nie skomplikowało to zbytnio sytuacji finansowej korporacji?

– Nie. Zbyttno nie. Patrzę pytająco na Urmana.

– Poprzednim razem zapomniałem poinformować pana, że to doskonale lekarstwo ma jedną wadę

– zauważa Urman. – Skutek uboczny. Odkryliśmy go niemal przypadkiem. I, jak sądzę, pan Schellerbach z Transfarm Group na niego nie natrafi.

Robi mi się nieprzyjemnie.

– Niech się pan nie przejmuj, nurku, sprawdzanie lekarstwa pod względem szkodliwości nie należało do pańskich obowiązków – śmieje się Urman. – Poza tym, to naprawdę nic śmiertelnego... nie onkologia i nawet nie efekt teratogeny. Ale pacjenci nie będą zadowoleni.

Al Kabar się zabezpieczył... Ciekawe, co to za skutek uboczny? Zielony kolor skóry, impotencja, wyłysienie? Urman nie powie. Do końca swoich dni będę leczył przeziębienie aspiryną.

– Dobrze, zapomnijmy o wzajemnych urazach! – proponuje wielkodusznie Urman.

Kiwam głową.

– Jak już mówiłem, mam dla pana interesującą propozycję... Stała praca.

– Nie.

Patrzmy sobie w oczy. Podobno są one zwierciadłem duszy. Czy nasze wirtualne ciała mają dusze?

– Niektórzy nurkowie mają stałe umowy – zauważa Urman. – Czyli nie jest to zabronione.

– Nie jest. Ale istnieje różnica pomiędzy pracą dla centrum rozrywki czy wirtualnego biura detektywistycznego a pracą dla was. Za miesiąc, dwa, może trzy dowiedzie się, kim jestem.”

– Tak bardzo pan się boi rozgłosu?

– Oczywiście. Jesteśmy alchemikami wirtualnego świata. Czarownikami. Żaden normalny car nie wypuściłby alchemika z komfortowej ciemnicy. Żeby nie wymyślił prochu dla wrogów.

– Szkoda... – Urman nie spiera się. – Ma pan wiele racji, rosyjski nurku... rosyjski, rosyjski, proszę wybaczyć, ale to akurat wiem. Pański głos został poddany analizie; to nie jest program-tłumacz.

Ja też nie zaprzeczam. Taka spokojna i sympatyczna rozmowa. Taka lojalność... Coś pięknego.

– Wobec tego proponuję jednorazową współpracę – mówi wesoło Urman. – Praca niezbyt trudna, a płaca dobra.

– Sądzi pan, że wyciągnięcie Nieudacznika z Labiryntu to taka błahostka?

Bingo! W środek tarczy! Twarz Urmana drga, szybko zapanowuje nad emocjami, ale tik pod lewym okiem zostaje. Jeden zero! Nie, pięć zero!

– Może pan wyjaśnić, o czym pan mówi? – pyta niepewnie dyrektor.

– O panu.

Albo mnie teraz zabiją, albo wyłożą karty na stół. Urman umie wytrzymać cios.

– Jedną z dziedzin działalności korporacji jest demograficzna kontrola Deeptown.

Kręcę głową – nie rozumiem...

– Określenie liczby przebywających w wirtualności ludzi, w każdej chwili. Z dokładnością do jednego człowieka. W podziale na dzielnice, budynki i przestrzenie w przestrzeni, takie jak nasza.

– Po co? Jakim prawem?

– To była wspólna decyzja podjęta jeszcze w zeszłym roku – wzrusza ramionami Urman. –

Porównanie obciążenia na poszczególnych serwerach, z uwzględnieniem pory dnia, pozwala na koordynację pracy i na obniżenie kosztów korzystania z przestrzeni wirtualnej. America Online była jednym z głównych zleceniodawców, małe kompanie też się przyłączyły.

Pogarda dla otwartości znowu oddała mi niedźwiedzią przysługę.

– Wprowadziliśmy kontrolę liczby wchodzących i wychodzących sygnałów na serwerach – ciągnie Urman. – Bardzo prosto i pewnie. Bardzo operatywnie. Serwery składają raporty co dwie minuty. Nie narusza się niczyich praw, a my znamy liczbę ludzi znajdujących się w wirtualności. To nie śledztwo, lecz statystyka.

Kiwam głową.

– Równolegle prowadzona jest kontrola opracowywanych przez komputery obiektów w każdym rejonie – opowiada dalej Urman – Dzięki temu wiemy, ile osób znajduje się w tej czy innej przestrzeni.

Raport składany jest również co dwie minuty. Jak łatwo zrozumieć, po zestawieniu aktywnie działających obiektów wszystkich dzielnic otrzymamy liczbę ludzi, którzy weszli w Głębię. Już rozumiem.

– Liczby wam się nie zgadzają.

– Tak. W wirtualności jest o jednego człowieka więcej niż powinno. Komputery go widzą, on funkcjonuje w cyberprzestrzeni, ale nigdy nie wchodził do Sieci.

Urman wstaje. Machnięcie ręką i na ścianie, ponad betonem i stalową kratą, rozwija się ogromny ekran. To mapa Deeptown i okolic, jakby zszyta z małych kawałeczków. Każdy kawałek to serwer obsługujący dany odcinek przestrzeni. Ponad nimi drobne czerwone punkty – to wchodzące serwery, linie telefoniczne, przez które można wejść w Głębię.

Robi wrażenie. Wszyscy burżuje to efekciarze.

– Można obejrzeć dane w podziale na dzielnice – oznajmia Urman. – Proszę...

Podchodzi do mapy, wskazuje palcem dzielnicę Al Kabaru. Nad ekranem pojawia się napis – 1036/1035.

– Rozumie pan?

– Wasze serwery utrzymują w wirtualności tysiąc trzydziestu sześciu ludzi. Włączając mnie. I wszyscy, prócz mnie, podłączyli się przez wasze kanały?

– Tak jest. Przepuszczanie tajnych informacji przez cudze linie jest zbyt ryzykowne, nawet jeśli mówimy o najpewniejszych providerach. Dlatego mamy własne kanały połączenia w dwunastu miastach, w których mieszkają nasi pracownicy.

Ale w ten sposób nie da się namierzyć Nieudacznika! Podchodzę do mapy, odnajduję restaurację Trzy Prosiaczki, spostrzegam się w porę i wskazuję palcem inny zakład, nieopodal. Byłem tam kilka razy, nie podobało mi się. Zbyt głośno i pompatycznie. Pokazują się cyfry: 63/2.

– To najbardziej powszechny obraz, prawda? W przestrzeni restauracji bawią się sześćdziesiąt trzy osoby, ale tylko dwie weszły przez jej łącze!

Urman kiwa głową.

– Natrafiliśmy na Labirynt w inny sposób.

Zapominam na chwilę, że mam przed sobą sprytnego i niezbyt mi życzliwego dyrektora korporacji. Teraz jestem tylko ciekaw, w jaki sposób odszukali człowieka, który nie wchodził w Głębię.

– Tak... wyśledzenie każdego oddzielnego sygnału jest niemożliwe. Trwałoby to bardzo długo, poza tym jest zabronione.

Urman patrzy na mnie z taką dumą, jakby to on osobiście rozwiązał problem, a nie wydał polecenie swoim specjalistom.

Dobra, pomyślmy. Czasem to się przydaje.

Oto strumień impulsów elektronicznych. Nieważne, skąd się wziął. To informacja, prościutki trójwymiarowy obraz człowieka, Nieudacznika. Wchodzi w komputer tworzący trzydziesty trzeci poziom Labiryntu; możliwe, że przez modem, a możliwe, że bezpośrednio w procesor. Komputer umieszcza obraz na początku poziomu i szykuje się do sterowania przemieszczaniem się Nieudacznika. Będzie przekazywać jego głos pozostałym graczom, wyliczać efekt jego strzałów, przemieszczać potracone kamyczki. I, oczywiście, wysyłać Nieudacznikowi obrazki, które on widzi lewym i prawym okiem, dźwięki, które słyszy, ruchy, które czuje za pomocą wirtualnego kombinezonu.

Stop! Dokąd przesyłać, skoro on nie wchodził do Głębi?

Zachodzi błąd – komputer opracowuje działania Nieudacznika, ale nie wie, skąd się wzięły i gdzie wysyłać rezultaty. Czy może się to odbić na czujnikach serwera? Powinno. Ale tylko na bardzo specyficznych – na czymś w rodzaju korelacji pomiędzy zakresem opracowywanych przez procesor danych a liczbą wysłanych i przyjętych przez modem informacji. I trzeba interesować się tym właśnie wskaźnikiem, żeby w ciągu kilku godzin znaleźć serwer, na którym pojawił się nieproszony gość...

– Czekaliście na niego – mówię. – Wiedzieliście, że się pojawi!

– Zakładaliśmy taką ewentualność – precyzuje Urman. – Wcześniej czy później powinien być się pojawić człowiek, który może wejść w wirtualność samodzielnie.

– Bez komputera? – wypowiadam na głos te brednie, które – kupa śmiechu! – wcale nie wydają się bredniami człowiekowi nie mającemu styczności z komputerami czy Siecią. To tak, jakby wyobrazić sobie kogoś potrafiącego podłączyć się do linii telefonicznej. To po prostu głupota.

Tyle że Urman może być każdym, ale nie głupcem. To milioner, który ciągnie dla Al Kabaru zyski ze wszystkiego – z wnętrza Ziemi, z kosmicznych sputników i zakatarzonych nosów.

– Nie my jedni pracujemy nad alternatywnym wariantem kontaktu z komputerem – mówi Urman. – Klawiatura, hełm i kombinezon są pozostałościami epoki przedwirtualnej. Przed nami bezpośrednie podłączenie do nerwów wzrokowych i słuchowych. Czip o, tutaj... – robi palcem kółko przy skroni, czy to wąpiąc we własny zdrowy rozsądek, czy też próbując pokazać gniazdko za uchem. – Ale ta droga wymaga jeszcze bardzo poważnej pracy nad mentalnością społeczeństwa. Trudniej złamać psychologię ludzi niż prześwidrować kość czaszki i umieścić w mózgu mikroschemat. Gdyby nie było to potrzebne, gdyby było można po prostu wejść w wirtualność, świat stanie na głowie.

– Tak bardzo chciałby go pan przewrócić? Friedrich jest poważny. – Gdy świat się przewraca, najważniejszą rzeczą jest stanąć na głowie jako pierwszy.

Nie mam nic do powiedzenia. Czy chciałbym wchodzić w Głębię bez komputera? Bez Viki za plecami? Bez strachu przed bronią wirusową? Bez zakłóceń na liniach telefonicznych i wiecznej pogoni za szybkością modemów?

Śmieszne pytanie. Pewnie, że bym chciał. Tylko nie wierzę w takie historie. A bardzo chciałbym uwierzyć.

– Z tego, co wiemy, Nieudacznika próbowało wyciągnąć dwóch nurków pracujących dla Labiryntu – rzuca niedbale Urman.

Kiwam głową. Niezły mają wywiad. Czego to nie zrobią dolary użyte w odpowiednim czasie i w odpowiedniej ilości.

– Oraz niejaki Strzelec – dodaje Urman. – Zapewne również nurek?

– Tak. To byłem ja.

Urman kiwa głową.

– Czekam na obiecane wyjaśnienia. Być może powinienem teraz wyszeptać pod nosem: Głębio, Głębio... i zniknąć. Ale nie mogę tego zrobić po szczerych słowach Urmana. Dziurka w czaszce to lepsze niż dziura w życiowych zasadach...

– Wkrótce po mojej pierwszej wizycie u pana zmusił mnie do spotkania...

Urman unosi brwi.

– Właśnie zmusił... człowiek, którego nazwiska nie znam. Zaproponował mi, żebym zorientował się w sytuacji, jaka powstała w Labiryncie. Szczegółów nie wyjaśnił. Dopiero potem dowiedziałem się, że chodzi o Nieudacznika.

– My nazywamy go Pływak – zauważa Urman. – Przez analogię do was, panowie nurkowie.

– Właściwie, to wszystko – mówię. Nie lubię, gdy mi się przerywa.

– Obiecano panu nagrodę?

– Obiecano.

– Dużą?

– Bardzo... – Nie mogę się powstrzymać i dorzucam: – Obawiam się, że nie może mi pan zaproponować więcej.

Urman jest poważny – nasza rozmowa staje się bardzo konkretna. Ale na razie nie spiera się co do możliwości Al Kabaru.

– Jak znalazł pana ten człowiek? I dlaczego właśnie pana?

– Urządził obławę na nurków. A ja się trochę podstawiłem.

– Ma pan jakieś podejrzenia co do jego tożsamości?

– Żadnych – mówię szczerze, ale widocznie niewystarczająco szczerze; Urman milczy, patrzy mi w oczy. Możliwe, że moje słowa kontrolowane są przez detektor kłamstwa i ktoś przekazuje Urmanowi rezultaty kontroli...

– Tylko jeden szczegół. On wiedział o mojej wizycie u pana. I był doskonale poinformowany o naszej rozmowie. I wiedział też, że chce mi pan zaproponować tę samą pracę.

Urman wytrzymał cios. Jak wiele musiał ich przyjąć w swoim życiu... Ale w masce spokoju widać pęknięcia. Nieprzyjemna sprawa dowiedzieć się, że masz pod bokiem szpiega.

– Dziękuję, nurku.

Uśmiecham się pobłaźliwie. Ach, drobiazg. Niech się dwa pająki szamoczą w swojej pajęczynie...

– Może mi pan coś powiedzieć o Pływaku?

Wzruszam ramionami.

– Niewiele. Człowiek jak człowiek. Czasem można odnieść wrażenie, że ma psychozę głębi; bardzo poważnie traktuje to, co się dzieje. Poza tym jest zupełnie w porządku.

Urman kiwa głową. Chyba udało im się przyssać do komputerów Labiryntu na serio i teraz

kontrolują wydarzenia. To zmusza mnie do pytania:

– Próbowaliście mimo wszystko wysledzić sygnał Pływaka?

– Nie ma żadnych sygnałów.

Albo Urman cierpi na chorobliwą szczerłość, albo zależy mu na całkowitym przekonaniu mnie...

– Serwery Labiryntu nie przekazują informacji Pływaka. W żadną stronę. Siedzi na poziomie sam z siebie.

Więc to prawda. Człowiek, który wszedł w wirtualność bezpośrednio...

– Administracja Labiryntu nadal próbuje namierzyć jego kanał połączenia – rzuca Urman. – Ale, według danych naszych ekspertów, za pięć, najwyżej osiem godzin dojdą do tych samych wniosków, co my. Wtedy zacznie się prawdziwa panika.

Wyobrażam sobie. Poziom zostanie odizolowany, możliwe, że cały Labirynt oczyszcza z graczy. Przebiją bezpośrednie przejścia na trzydziesty trzeci poziom. To, że ich nie ma, wcale nie znaczy, że nie mogą powstać. Odłączą wszystkie potwory, pogrążą w śpiączce budynki, żeby przypadkiem Nieudacznika nie uderzyła spadająca cegła. Tłum psychologów-hakerów-urzędników, a z nimi Anatol i Dick-wszyscy wpadną na opustoszały poziom. Okrążą Nieudacznika, otoczą go troską i czułością, zanoszą na rękach do wyjścia...

Można śmiało założyć, że moje usługi nie będą im potrzebne.

Patrzę na Urmana – chyba nie żartuje.

– Już pracuję dla człowieka, którego nazwiska nie znam.

– Możliwe, że ten tajemniczy mister X wiele panu obiecał. Ale czy udzielił panu choćby najmniejszej pomocy?

Kręcę głową.

– Jeśli rzeczywiście jest pan Strzelcem, to mógł się pan przekonać, że zwykłe metody nie zdają egzaminu. Kilka kolejnych prób niczego nie zmieni. Potem Labirynt zostanie odizolowany i problemem zajmą się właściciele tego centrum rozrywki.

Ostatnie słowo wymawia z pewną pogardą.

– Ktokolwiek pana wynajął, nie zrobił tego ze względu na pańskie talenty nurka.

– Tylko ze względu na co? – Trochę mnie to peszy.

– Znacznie prościej byłoby kupić nurków Labiryntu. Albo wynająć grupę. Poznanie waszych prawdziwych nazwisk to rzeczywiście trudna sprawa. Ale spotkanie i propozycja pracy jest całkiem możliwa. W końcu z tego właśnie żyjecie. Pańskiego tajemniczego pracodawcę przyciągnęło coś ważniejszego niż umiejętność wychodzenia z wirtualnego świata.

Wydawałoby się, że mam wszelkie podstawy, by spuchnąć z dumy. Ale zamiast tego zaczynam czuć strach.

– Sądzę – kontynuuje w zadumie Urman – że on miał rację. Pływak to zadanie dla pana. Najważniejsze zadanie pańskiego życia. A ja mogę panu pomóc sobie z nim poradzić.

Wątpię, czy mógłby mi zaproponować Medal Bezkarłości. Takie rzeczy nie są na sprzedaż. Ale stawka jest wysoka i nagroda może być bardzo, bardzo duża.

Po co mi Medal, jeśli do końca moich dni nie będę mógł się zajmować w wirtualności nielegalnymi sprawkami?

– Podpisał pan umowę? – pyta Urman.

– Nie.

– Ustne porozumienie?

– Nie.

– No to czym się pan przejmuje?

Milczę. Nie wiem dlaczego trzymam się propozycji Człowieka Bez Twarzy. Siłą zmusił mnie do spotkania. Wysłał do Labiryntu, nie wyjaśniając absolutnie niczego. A jego obietnica może być równie dobrze blefem.

– Muszę się zastanowić.

– Dobrze – zgadza się Urman. – Mamy niemal gwarantowane pięć godzin... złoży pan kolejną wizytę w Labiryncie?

Kiwam głową.

– Ja podejmę własne działania – mówi Urman. – Na pewno się pan o nich dowie. I zdoła podjąć decyzję.

– Mętnie to brzmi, Friedrich. Z jakiego właściwie powodu jestem dla pana cenny?

– Wkrótce pan zrozumie, drogi Iwanie carewiczu. Przy okazji, jakiej narodowości jest Pływak? Jak pan sądzi?

– Rosjanin – odpowiadam odruchowo. Urman kpiąco kiwa głową.

– Możliwe, możliwe... Do widzenia, nurku. Niech pan pomyśli i podejmie decyzję.

W tej samej chwili drzwi otwierają się na oścież i pojawiają się strażnicy. Tym razem bez obnażonych mieczy.

– Odprowadzą pana do mostu – oznajmia Urman.

Albo mnie nie śledzą, albo robią to zbyt umiejętnie, by Vika podniosła alarm. Wspinam się na mur i odprowadzany spojrzzeniami ochroniarzy, wchodzę na most z włosa.

Ciekawe, ile metrów uda mi się przejść bez wychodzenia z Głębi?

Jeden krok, drugi – nic drży pod nogami, czuję zawroty głowy. Sto metrów niżej, pomiędzy skałami, wiją się błękitne wstążeczki rzek, migoczą pomarańczowym żarem jeziora lawy.

– Hej, nurku, chwiejesz się! – słyszę drwiący głos z tyłu. Już się nie chwieję – spadam.

Pewnie tak właśnie spadają grzeszni muzułmanie próbujący dostać się do swojego rajy, do czułych Gurii i gór Rahatlukum...

Nogi się ześlizgują, lecę, czepiając się nici, która bezwzględnie kaleczy mi palce. Zimne powietrze uderza w twarz, chłoszcze, zapraszając do krótkiej podróży, skały wirują w dole, rosnąc i jeżąc się igłami szczytów. Gdy dotknę kamieni, serwer Al Kabaru zaraportuje, że zostałem poddany śmiertelnym przeciążeniom – i wtedy zadziała program wyjścia.

Ale nie jestem ciekaw, jakim bólem odmaluje tę śmierć moja wyobraźnia.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Na ekranach krew. Normalka.

Ściągnąłem hełm, przechyliłem się przez stół, wyszarpnąłem z gniazda kable telefonu.

– Przerwanie połączenia – mówi Vika. – Brak sygnału tonowego. Sprawdź połączenie!

– Wszystko w porządku – mamrocze, wciskając kabel na miejsce. – Reset.

– Serio?

– Tak.

Na monitorze – błękit i spadający człowieczek. W duszy mrok.

Wplątałem się w cholernie poważną historię. Jeśli Al Kabar, Labirynt i ci, którzy stoją za Człowiekiem Bez Twarzy, wezmą się za łby z powodu Nieudacznika... cóż, lepiej nie wchodzić między takie żarna. Najlepiej byłoby na kilka tygodni zapomnieć o całej wirtualności. Grać w zwykłe gry, pić piwo z Maniakami, upgradeować komputer, pojechać gdzieś, gdzie jeszcze jest ciepło, kąpać się w morzu...

I zapomnieć o Vice. O prawdziwej Vice. Na długo.

Na zawsze pożegnać się z marzeniem o Medalu Bezkarności.

I, oczywiście, wymazać z pamięci Nieudacznika.

A kim on właściwie jest, żebym z jego powodu miał nie spać po nocach? Homo komputerus? Człowiek komputerowy, zdolny wchodzić w przestrzeń wirtualną bez żadnych modemów i innych telefonów? A jeśli nawet? Nie ma się co łudzić, że jego zdolności, jeśli takowe rzeczywiście istnieją, można od niego przejąć.

Będą go badać specjaliści wszelkich maści, robić mu encefalogramy i pomiary różnych możliwych i niemożliwych parametrów. Nieudacznika złączą przed komputerami najrozmaitszych typów, podłączać i odłączać modemy, wozic go w pobliże linii telefonicznych i chować w podziemnych bunkrach. Będą żądać: „Wejdz w Głębię... Powiedz, co teraz czujesz; jakie wrażenie pojawia się w wielkim palcu twojej lewej nogi przy wejściu w wirtualność, i jak zmieni się krzesło po trzech

dobach w świecie wirtualnym”. Nieudacznik spędzi resztę swoich dni w doskonale chronionej szwajcarskiej willi, na pustyni Teksasu albo w jakimś centrum naukowym CIA. Niezwykle cenna i powszechnie szanowana świnka morska.

Zresztą w końcu jest Rosjaninem... w każdym razie obywatelem rosyjskim. Gdyby wrzucić informację o Nieudaczniku do otwartej Sieci albo powiadomić odpowiednie władze...

Rozbawiła mnie własna naiwność. Co by to dało? Czy staruszka Rosja wyśle samoloty i brygady czołgów, by chronić Nieudacznika? Mało to utalentowanych programistów wyciągnięto nam z kraju? Czternastoletniego chłopca z Woroneża, Saszę Morozowa, zabrali rejsem specjalnym. Szare komórki nie są u nas nikomu potrzebne. Prędzej wywiad zbierze resztki dawnej śmiałości i przejmie Nieudacznika – po to, żeby zamurować go we własnym centrum badawczym, gdzieś na Syberii czy Uralu...

Gdy pojawiła się Głębia, jej sztandarem była wolność.

Jesteśmy niezależni od sprzedajnych rządów, zmurszałych religii i purytańskiej moralności. Jesteśmy wolni we wszystkim i na zawsze. Informacja nie ma prawa być utajniona – i Deeptown nie będzie miał granic. Będziemy walczyć o swoje prawo do posiadania wszelkich praw. Wygonimy z naszych szeregów tylko tych, którzy powstaną przeciwko wolności.

Cóż za naiwność, jaka egzaltacja!

Ludzie nowego cybernetycznego świata, wolnej, bezkresnej przestrzeni!

Upojeni wolnością, bawiący się nią jak dziecko, które wstało z łóżka po długiej chorobie, radośni i dumni z siebie. Ciekawi Głębi – wszystko dla niej, wszystko w jej imię, na wieki wieków...

Amen.

Ale dlaczego ja mimo wszystko wierzę w te śmieszne hasła równie radośnie, jak w dzieciństwie wierzyłem w komunizm?

Dlaczego tak chce się wierzyć – na przekór wszystkiemu?

Omijając prawa, gromiąc cudze komputery, kradnąc cudzą własność intelektualną, nie płacąc biednej ojczyźnie podatków, nie ufając nikomu prócz garstki przyjaciół – jak mogę wierzyć w coś czystego i wiecznego? W wolność, dobro, miłość?

Zapewne należę do rasy, która inaczej żyć nie może.

Zresztą nikt mi nie przeszkadza dalej wierzyć w wolność. Jeśli tylko odsiedzę w realu kilkanaście dni, zmienię kanały wejścia w Głębię i adres sieciowy...

Wierzyć – jakie to proste.

Patrzyłem na trójwymiarową siatkę nortonowskiej tablicy, na równiutkie linijki katalogów i podkatalogów. Trzy gigabajty, wszystko zawalone po dach. Służbowe programy, wirusy i antywirusy, fragmenty świadomości Viki, muzyczne pliki i gry, skradzione informacje i książki, które jeszcze nie zdążyły wyjść poza ściany drukarni. *Serca i silniki znowu w drodze* Wasiliewa, świeżutki kryminał płodnego jak królik Lwa Kurskiego, powieść *Oldie*, która narobiła tyle hałasu. Wyjść z domu, kupić duuużo piwa, wydrukować na starej drukarce kilka książek, zwalić się na tapczan. Wypać się! A pan Urman, którego już nigdy nie zobaczę na oczy, i pan Bez Twarzy, którego nie zobaczę tym bardziej, mogą sobie spokojnie walczyć z Willym-Gilermo o Nieudacznika...

„Nigdy nie lubiłem idiotów ani kamikadze.

Wziąłem z pudełka swojego starego 586 słuchawkę, wybrałem numer Maniaka. Znowu miałem szczęście – nie siedział w wirtualności i nie spał.

- Halo!
- Szura, to ja.
- A... – Maniak ściszył głos.
- Nie jesteś zajęty?
- No... trochę.

- Pisziesz program?
- Nie, obieram ziemniaki. Gala szykuje kolację.
- Gratuluję.
- Czego? – Maniak stał się czujny.
- Pogodzenia!
- A... głupstwo.

Nie warto zabierać mu czasu, tym bardziej w sytuacji świeżej harmonii z małżonką.

- Szura, powiedz mi, czy można wejść do Labiryntu Śmierci z bronią?

– Z wirusem? Co, już ci BFG nie wystarcza? – zgrywa się Maniak. – Chyba żartujesz. To przestrzeń w przestrzeni. Łatwiej byłoby wnieść wirus do Pentagonu, niż przenieść przez filtr Labiryntu.

- A czy to czasem nie ty robiłeś im filtr?

- Nie – mówi z żalem Maniak. – Nie ja. Ale wiem, kto i jak robił.

- No, jak?

– W portalu wejścia kopiowany jest twój obraz. Jeśli masz przy sobie jakiegokolwiek programy, zostają odcięte. Przez serwer Labiryntu przechodzi twoja dokładna kopia.

- I nie ma sposobu, żeby to obejść? – pytam bezradnie.

- Pomyśl.

– Coś za często ostatnio muszę myśleć. Znudziło mi się – burknąłem. – Szura! No, powiedz, można przebić filtr?

- Przebić to możesz głową mur – powiedział pouczająco Maniak. – Co się stało?

- Wyjątkowo nieprzyjemna historia.

- Dla kogo nieprzyjemna?

- Dla całej Głębi. I dla jednego porządnego człowieka.

- A dla ciebie? – pyta wprost Maniak i mimo woli przypominam sobie trzech muszkieterów.

- Kompletnie bagno. Możesz mi wierzyć.

Maniak milczy dłuższą chwilę. W końcu zaczyna pogwizdywać.

- Szurka!

- Warlock 9000 cię urządza?

- A co to takiego?

- Lokalny wirus. Jak zwykle.

- I przejdzie przez filtr?

- Może...

- Szura, czy ja cię za bardzo nie odciągam? Od ziemniaków? – budzi się we mnie poczucie winy.

– Bez przesady, już kończę...

Nie lubię telefonów bezprzewodowych. Wystarczy mi promieniowanie własnego komputera. A Maniak przeciwnie, żyć bez nich nie może; teraz pewnie siedzi, przytrzymując słuchawkę brodą i obierając ziemniaki.

– Wrzucić mi go.

– Tak od razu?

– Tak – beczelniej zupełnie.

– Poczekaj, to nie takie proste. Jakich programów używasz, tworząc swoją postać?

– Różnych... Biokonstruktor, Morfolog, Osobowość...

– Jasne. W jakiej postaci będziesz korzystał z wirusa?

– Osobowość numer siedem, Strzelec.

– Jakie rozszerzenie ma plik?

– Rozszerzenie? Chyba...

– Włączaj terminal – rozkazuje zrezygnowany Maniak. – Daj pełny dostęp na hasło... na przykład 12345.

– Jeden dwa trzy cztery pięć... – powtarzam bezmyślnie.

– Cyframi – precyzuje Maniak. – Sam wszystko ustawię.

– Dziękuję!

– Nie wykręcisz się. Wisisz mi piwo.

Maniak jeszcze raz wzdycha i przed odłożeniem słuchawki grozi:

– Dzwonię za pięć minut. Twoja starucha ma już pracować, czekać na mnie, posłuszna jak gimnazjalistka. Jasne?

Rzucam się do komputera. Po trzech minutach Vika zgadza się być posłuszna temu, kto zadzwoni z hasłem 12345. Wychodzę do kuchni szykować kolację. Nie zdążyłem nawet nalać wody do czajnika, gdy w pokoju brzęknął i zaczął pogwizdywać łączący się modem.

Jednak jestem głupcem. I kamikadze.

Zresztą przecież lubienie samego siebie to głupota. Mogę więc być głupcem.

Wypijam herbatę z konfiturami tkwiącymi od wieków w szafce, dolewam sobie znowu i idę do pokoju. Maniak właśnie odłączył się od komputera, zostawiając na środku ekranu płonący czerwony napis: „Wziąłem to i owo z twojego chłamu do poczytania i pogrania wirus jest wszyty instrukcja głosowa za minutę”.

Znaki przestankowe Maniak spokojnie olał.

Wchodząc w Nortona, odszukałem plik z wyglądem Strzelca (rozszerzenie programu było typowe - .clt) i zacząłem porównywać z innymi niezmodyfikowanymi postaciami. Na mój gust żadnej różnicy.

Czego należało oczekiwać.

Minutę później zadzwonił Maniak i szybko wyjaśnił, co i jak mam zrobić. Zatkalo mnie, gdy zrozumiałem, co nawyrabiał z moim wyglądem numer siedem.

Warlock 9000 był najwidoczniej wirusem, który Szura przygotował dawno temu i do tej pory trzymał na ten wyjątkowy moment. Jeśli podobnej sztuki użyje się choćby raz, natychmiast powstaną setki plagiatów.

– Piwo, piwo i jeszcze raz piwo... – powiedziałem, odłączając telefon. Ale czy będę jeszcze miał możliwość mu to piwo postawić – nie wiadomo.

Planowałem urządzić w Głębi taką burzę, jakiej od dawna nie pamiętała.

Burzę, na jaką zasłużyła.

Terminal włączony – zaraportowała Vika. Kliknąłem kursorem ikonkę połączenia i po kilku sekundach byłem na serwerze Rosja Online.

Adres, który zostawił mi Człowiek Bez Twarzy, znałem na pamięć. Jakiś polski serwer, co kompletnie nic nie znaczyło. Zwykły przekaźnik, na pewno po drodze do tajemniczego nieznanego mój sygnał przemknął przez kilka innych krajów.

Serwer nie miał wideo, żadnych narysowanych mordek czy animowanych zdjęć na ekranie. Menu po polsku i po angielsku, możliwość przełączenia się na jeden z kilkunastu innych języków, włącznie z rumuńskim i koreańskim... Rosyjskiego brak. Niestety, bratni naród niezbyt nas lubi. Odpowiedziałem na powitanie operatora i poprosiłem o połączenie z Man Without a Face. Po pół minucie operator przełączył się na rosyjski driver klawiatury i poprosił o nazwanie abonenta w moim ojczystym języku.

– Człowiek Bez Twarzy – napisałem.

Zaczęli mnie przerzucać z serwera na serwer. Pierwsze dwa były otwarte, z trzech kolejnych nie dowiedziałem się absolutnie niczego. Potem na ekranie pojawił się napis: „Proszę czekać”. Po rosyjsku.

Czekałem piętnaście minut.

Pierwsze pięć cicho i skromnie; potem wyjąłem z lodówki piwo i wsunąłem do CD stary album Nautilus Pampilius.

Ja budzę się, a pot oblewa mnie

Ja budzę się, co za koszmar sen...

Śpiewa Butusow. Dobry piosenkarz. Póki sam nie próbuje pisać tekstów.

Jak gdyby dom nasz został zalany wodą

I nikt nie przeżył, poza mną i tobą...

Przypomniałem sobie swój sen – ze śpiewakiem na scenie i nieszczęsnym Alekssem. Tylko dlaczego wyobraziłem sobie, że Nieudacznik to śpiewak? W życiu nie miałem znajomych śpiewaków, a sam śpiewam wyłącznie w całkowitej samotności.

Ikilometry słonej wody nad nami

I wieloryby machają ogonami

I nie wystarczy dla nas dwojga tlenu

Leżę wpatrzony w ciemność

Słuchając naszego oddechu,

Słuchając naszego oddechu...

Lubię tę piosenkę. To jakby o mojej Głębi, o wirtualnym świecie, który jeszcze nie istniał pięć lat

temu, gdy ta piosenka powstała. To ja próbuję odczytać się oddychania, niewiary w piękno cyberprzestrzeni.

„Kto?”

Rzuciłem się do ekranu i bez zastanowienia napisałem:

„Ja”

„Jak postępy, nurku?”

„Sądzę, że wie pan nie gorzej ode mnie”

Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, kim jest Człowiek Bez Twarzy.

„Tak”

„Nie poradzę sobie”

„To twój problem”

„Nie tylko”

Teraz długo nic – albo Człowiek Bez Twarzy zastanawiał się, albo gdzieś na liniach była przerwa.

„Czego chcesz?”

„Pomocy”

„Nie mogę ci pomóc. Wszystko, czego potrzebujesz, jest w tobie samym”

Gdyby on był obok – realny człowiek z krwi i kości, powiedziałbym mu to, co warto mówić jedynie osobiście, a najlepiej w ogóle nie mówić. Powiedziałem to na głos. Sieć ma swoje zasady kontaktu; moje palce wybiły na klawiaturze:

„Kim on jest?”

„Już ci powiedziano”.

Pająki, które zarzuciły cienkie niteczki na cudze legowiska. Urman obserwuje Labirynt, a Człowiek Bez Twarzy kontroluje Al Kabar.

„To prawda?”

„Możliwe”

„NIE PORADZĘ SOBIE!”

„Szkoda”

Niemal w tym samym momencie na dole ekranu pojawia się linijka: „Połączenie przerwane na życzenie abonenta”.

– Połączenie przerwane! – potwierdza Vika. – Powtórne połączenie?

– Nie. – Nie miałem cienia wątpliwości; polski serwer nie połączy mnie już z Człowiekiem Bez Twarzy.

Może obraził się, że opowiedziałem o nim Urmanowi. Może rozczarował się co do moich umiejętności. Efekt ten sam.

– Vika, czy ja jestem mądry? – pytam.

Windows Home ma około tysiąca słów-kluczy. Czasem z komputerem można prowadzić bardzo zabawne dyskusje... niemal inteligentne.

– Jaką odpowiedź chciałbyś usłyszeć? – robi unik Vika. Jak zawsze, gdy sformułowania nie mają formy rozkazu i są dla niej niezrozumiałe.

– Prawdziwą.

– Nie wiem, Lonia. Bardzo chciałabym odpowiedzieć, ale nie wiem.

– Głupia jesteś, Vika.

– A ty cham.

Zaśmiałem się. Gdyby usłyszał mnie ktoś nieznający współczesnych systemów operacyjnych, pomyślałby, że mój pentium jest rozumny.

– Przepraszam, Vika.

– Nic się nie stało. Nie gniewam się.

Rozum – imitacja rozumu... gdzie leży granica? Rozmawiamy ze swoimi komputerami, one nas witają i życzą miłych snów. Wiele osób – ja na przykład – większość życia spędzają w przestrzeni wirtualnej. Ale to nie zwycięstwo ludzkiego rozumu, to jedynie imitacja zwycięstwa. Kolorowe sztandary i fajerwerki nad pustynią. Większa częstotliwość procesora, większa pamięć i maszyna zaczyna przypominać człowieka... to wszystko.

Przecież Nieudacznik też może być programem. Równie chytrym, jak wirus Maniaka. Może przeszedł przez filtr jako człowiek, zapuszczając korzenie w serwer trzydziestego trzeciego poziomu. Zdolny podtrzymywać rozmowę i niszczyć potwory.

– Cholera! – zawyłem.

Takie proste! Setka zdań wygłaszanych czasem udatnie, a czasem bez sensu. Program, który czerpie z twoich własnych słów, zwracając ci twoje własne myśli. Posłusznie idący za ratownikami... i, rzecz jasna, niepotrzebujący żadnych kanałów połączeń.

Co mówiłem Nieudacznikowi, kiedy on mi odpowiadał? Wytężyłem pamięć.

Nie wiem. Może to jednak program. Wtedy Al Kabar i Człowiek Bez Twarzy wyszliby na idiotów., Jakby to było dobrze, gdybym miał rację. Takie proste rozwiązanie zagadki! Cisza, Strzelcu...

Czuję dreszcz. Przypomniałem sobie pustkę, która pojawiła się *i* po jego słowach.

Program?

Nieudacznik troskliwie niosący narysowanego chłopca...

Program?

– Nic nie rozumiem, Vika – mówię – kompletnie nic. I ty nie możesz mi pomóc.

– Mogę pomóc? – odpowiada bez sensu Vika. – Nie!

– A kto może?

Po chwili milczenia odpowiadam:

– Prawdziwa Vika. Głębka!

– Włączyć deep program?

Zamiast odpowiedzi zakładam hełm i kładę ręce na klawiaturze, Deep

Enter.

Ciemność ekranów poprzecinały spadające gwiazdy, tęczowa spirala zawirowała przed oczami, ścierając realność, zabierając mnie do wieżowców Deeptown.

Pierwszy moment jest najtrudniejszy. Pokój wygląda tak samo, ale wiem, że to tylko miraż.

– Wszystko w porządku, Lonia?

Kręcę głową. Pokój jest w porządku. To ja jestem inny.

– Osobowość numer siedem, Strzelec...

– Wykonuję...

Tym razem mój wygląd zmienia się nużąco długo. Cóż począć, nieunikniona zapłata za broń.

– Wszystko w porządku, Lonia?

Wstaję, przyglądam się sobie w lustrze.

– Tak. Dziękuję, Vika.

Podchodzę do lodówki, szukam czegoś do picia. Sprite się skończył, jest tylko cola. Może być.

– Powodzenia, Lonia.

– Dziękuję.

Chciwie piję popularny napój, wymyślony – kupa śmiechu! – jako środek przeciwko biegunce.

Urman wyliczył, że mam jeszcze pięć godzin. Teraz już tylko cztery. Niemal czuję, jak gdzieś daleko, na innych kontynentach, skrzypią szare komórki urzędników wszelkiej maści zaczynających uświadamiać sobie fenomen Nieudacznika. Wkrótce zamkną trzydziesty trzeci poziom Labiryntu. Wkrótce urządzią polowanie na Nieudacznika. Nieważne, czy to program, czy człowiek. Ja go wyciągnę.

– Wezwij mi taksówkę – mówię i wychodzę z mieszkania. Jadę czyściutką, jasną windą, otwieram drzwi wyjściowe.

Czekana mnie stary ford. Kierowcą jest przylizany młodzieniec w białej koszuli. Kopia tego, którego zabiłem dwa dni temu, przenikając do Al Kabaru. Aż mi głupio na widok jego życzliwego uśmiechu.

– Dom publiczny Różne Zabawy! – szczechnąłem.

Vika chyba musiała przekonać Madame, by nadano mi szczególny status. W każdym razie, gdy wchodzę do holu, widzę w nim trzech mężczyzn. Wszyscy podnoszą gwałtownie głowy, wszyscy mają w oczach przerażenie i zakłopotanie. Nawzajem się nie widzą, a dwóch nawet częściowo przecina się w przestrzeni, przypominając potwornych braci syjamskich.

Tych dwóch to błękitnooccy bruneci, standardowe ciała z zestawu Windows Home, najwidoczniej nałożone w celu zamaskowania się. Trzeci jest smagły, dobrze zbudowany i ma gładko ogoloną czaszkę. Łączy ich spojrzenie. Każdy z nich wygląda jak człowiek, którego przyłapano na wyciskaniu pryszczy.

Najwidoczniej jestem teraz na prawach pracownika burdelu, skoro widzę od razu wszystkich klientów i mogę wchodzić do pomieszczeń służbowych.

– Witam! – podnoszę rękę. Wszyscy trzej odwzajemniają gest. Jeden ze sztucznie niedbałą miną odkłada zielony album, drugi odrzuca od siebie fioletowy.

Tylko ogolony mięśniak uparcie przegląda czarny album, z ciekawością oglądając zdjęcia.

Podchodzę do ochroniarza, który posłusznie otwiera przede mną drzwi. Wychodzę z holu, uwalniając klientów od męczarni duszy.

Nikt nie ma zamiaru mnie odprowadzać, zresztą pamiętam drogę. Korytarz jest pusty, część drzwi otwarta. Zza jednych dobiegają wybuchy śmiechu. Zaglądam. Altana otoczona kwitnącą sakurą. Wiosenne słońce, w oddali stożek Fudzi. W altance dwie dziewczyny piją herbatę, na mój widok machają rękami.

– Cześć, Strzelec! Napijesz się herbaty?

– Nie... – mamrocze, oddalając się szybko. Z kolejnych drzwi wysuwa się dziewczyna kompletnie naga, co jej absolutnie nie krępuje.

– Vika jest zajęta! – mówi. – Posiedzisz u mnie? Tak nuuuudno!

W słowach dziewczyny nie ma żadnej aluzji, myśl o seksie podnieca ją tak samo jak o procesie wejścia-wyjścia. Ale jest coś potwornego w całej tej sytuacji... w tych wesołych, życzliwych młodych dziewczynach...

Nagle rozumiem, co mi to przypomina.

Starą powieść fantastyczną o wesołych młodych ludziach, nieustannie zajętych, spędzających w pracy okrągłą dobę, serdecznych, zawsze gotowych pomóc towarzyszowi, niezdolnych powiedzieć koledze nic przykrego...

To jak krzywe zwierciadło. Fałszywe odbicie. Zło przywdziało szaty dobra, a one, o dziwo, pasowały!

– Dziękuję, poczekam u niej! – uśmiecham się z determinacją. – Dziękuję!

Dziewczyna robi żalostną minę i znika w swoim pokoju. Idę dalej.

Aż spotykam się wzrokiem z czarnym kotkiem na zdjęciu.

– Miau! – szepczę cichutko, pchając drzwi. Kotek otwiera pyszczek, cicho miauczy w odpowiedzi i znowu zamiera.

Górska chata jest pusta, wpadający przez otwarte okno wiatr porusza krótkimi firankami. Opieram się łokciami o parapet i długo patrzę na góry.

To nieprawdopodobne. Żeby jedna osoba mogła stworzyć cały świat! I to nie dla pieniędzy czy sławy, nie na zamówienie – po prostu dla siebie. Nawet nie po to, żeby w niego wejść.

Wystarczy sama wiedza, że on jest. Obok, za oknem. Skrzący się śnieg szczytów, bezkresny lazur nieba, kamienie na zboczach, czarny mech pod sosnami, ptaki na niebie, wiewiórki pod drzewami. Świat ciszy, czystości i spokoju. Świat, w którym nie istnieje słowo brud...

Nieudacznikowi pewnie by się spodobał.

Mam nadzieję, że mu się spodoba...

– Lonia?

Vika wchodzi bezszelestnie.

– Przepraszam... nie uprzedzono cię?

Kręci głową.

– Zapragnąłem z tobą posiedzieć. Choć na chwilę. – Mimo woli zaczynam się usprawiedliwiać. – Z tobą... wszystko w porządku?

Vika kiwa głową.

– Nie warto tak często nurkować w Głębię – mówię, podchodząc do niej. – Jadłaś coś przynajmniej?

– Tak. Dużo dziś klientów.

Nie odwraca wzroku. Przywykła uważać to za pracę. A ja czuję w piersi zimno, jakby śnieg, syпки i ostry, w mroźny dzień. Przęłykam powietrze i mówię:

– Naprawdę trzeba tak dużo pracować... Madame?

Vika podchodzi do okna. Pyta, nie odwracając się:

– Jak się dowiedziałeś?

– Wyczułem.

– Odejdź, Leonid. Odejdź na zawsze, dobrze? – Nie.

– Po jaką cholere się do mnie przyczepiłeś? – krzyczy Vika, odwracając się. – Po co ci dziewczyna prostytutka? Zjeżdżaj! Mnie się to wszystko podoba, jasne? Pieprzyć się sto razy dziennie, zmieniać ciała, dyrygować dziewczętami i udawać, że jestem jedną nich! Rozumiesz?

Stoję i czekam, aż się wykrzyczy. Potem podchodzę i staję obok niej przy oknie.

Nie mogę nic powiedzieć, nie mogę jej dotknąć. Milczenie też jest niebezpieczne, ale nie mam innego wyjścia. Czekam. Sam nie wiem, na co.

Góry zaczynają drżeć i podłoga pod nogami wibruje. Vika krzyczy, czepia się parapetu, ja łapię ją za ramię, wolną ręką opieram się o ścianę. Ziemia drży. Śnieżne czapki spadają niczym biały dymek, wyciągają w dół macki lawin. Obok okna z hukiem przelatuje ogromny głaz.

– O mamó... – szepcze Vika, siadając na podłodze. Jest bardziej podekscytowana niż przerażona. – Nachyl się, Lonia!

Siadam obok niej – w samą porę, w okno wali kamienny szrapnel.

– Pięć stopni! – krzyczy Vika. – Siedem!

– Osiem! – Chyba nigdy nie widziała prawdziwego trzęsienia ziemi... nie bawiłaby się tak dobrze.

Podłoga chaty jeszcze się trzęsie, ale już słabiej, drobnym konwulsyjnym drzeniem.

– Niezła jazda – szepcze Vika, wyciągając się na podłodze. Łowię jej spojrzenie, dotykając ręką

policzka. – Nie gniewaj się na mnie, Lonia.

– Nie gniewam się.

– Klienci czasem potrafią dokopać.

– Cyklistówka? – przypominam sobie.

– On sam.

– Kim on jest?

Vika wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Chodzi w różnych ciałach i nic o sobie nie mówi. Tylko... – Vika uśmiecha się krzywo – zawsze ma na głowie czapkę. Stąd przezwisko.

– Sadysta?

– Pewnie tak. Tylko szczególny.

Jej wargi bezgłośnie szepczą krótkie przekleństwo.

– Przyjmujecie wszystkich klientów? Nawet takich, przez których chodzicie po ścianach?

Vika milczy.

– Myślałem, że największych idiotów odsiewacie. Jeśli Cyklistówkę można rozpoznać...

– My nie odsiewamy nikogo.

– Honor firmy? Każde zboczenie?

– Możesz to i tak nazwać.

Trzęsienie ziemi chyba się skończyło. Wstaję, wyglądam przez okno. Po zboczach jeszcze schodzą lawiny; rzeczka na dole, przecięta jedną z nich, powoli się rozlewa, szukając nowego koryta.

– Uspokoilo się... – mimo woli zniżam głos. Jakby moje słowa mogły na nowo obudzić żywioł. – Po co zrobiłaś trzęsienie ziemi?

– Co ja mam do tego? Ten świat żyje sam. Nie mam możliwości sterowania nim.

– Żadnej?

Vika rzuca mi krótkie spojrzenie, wstaje, ogląda zmieniony pejzaż.

– Żadnej. Świat staje się prawdziwy dopiero wtedy, gdy otrzymuje wolność.

– Jak człowiek.

– Oczywiście.

– Tak bardzo wierzysz w wolność?

– W wolność nie trzeba wierzyć. Gdy jest, czuje się ją. Wiedziałem, że powie coś w tym guście.

– Vika... gdyby człowiekowi, porządnemu człowiekowi groziło nieszczęście... Gdyby on na zawsze mógł stracić wolność... zgodziłabyś się mu pomóc?

– Zgodziłabym się – odpowiada spokojnie. – Nawet jeśli to nie tak całkiem porządny człowiek.

– Muszę kogoś ukryć.

Vika śmiesznie kręci głową, włosy rozsypują się jej na ramiona.

– Lonia, o czym ty mówisz? Gdzie schować?

– W wirtualności.

– Po co?

– On nie może wyjść.

– Mówisz o tym, który jest w Labiryncie?

– Tak.

– Lonia... – Vika bierze mnie za rękę. – Kiedy ostatnio byłeś w realu?

– Pół godziny temu.

– Na pewno? Czy to nie tobie potrzebna pomoc? Ja... – przygryza wargi... – mam znajomego nurka. To nie wymysł, oni naprawdę istnieją!

Zabawne...

– Chcesz, poproszę go, żeby się z tobą spotkał?

– Vika...

Milknie.

Szczerze mówiąc, nie przywykłem do takiej troskliwości. To moja specjalność – troszczenie się o ludzi, którzy zagubili się w wirtualności.

– Pomogę – mówi Vika. – Ale nie masz racji... tak mi się przynajmniej wydaje.

Nie mam teraz głowy do takich dyskusji.

– Dziękuję. Macie pewne systemy bezpieczeństwa?

– Absolutnie pewne. Znasz się trochę na tym?

Kiwam głową. Nie mógłbym wprawdzie napisać programu, ale tyle razy je rozwaląłem, że mogę uważać się za eksperta.

– Możesz wypytać Maga.

– Powie mi?

– Tobie nie. I mnie też nie... ale Madame...

Vika waha się i rzuca mi takie spojrzenie, jakby prosiła, żebym wyszedł. Gdy jestem przy drzwiach, woła:

– Lonia... nie trzeba. Chcę, żebyś widział.

Podchodzi do ściany, przesuwa po niej ręką. Deski rozsuwają się, odsłaniając wąskie drzwi.

Za nimi jest światło. Zimne, martwe. Vika przez sekundę je zasłania, potem znika w środku. Idę za nią, wbrew sobie. Jestem jak zahipnotyzowany.

Szopa. Albo kostnica. Albo muzeum Sinobrodego.

Ze ścian wystają lśniące niklowane haki. Na nich, kilka centymetrów nad ziemią, wiszą ludzkie ciała. Przede wszystkim młode dziewczyny, blondynki i brunetki, kilka rudych i jedna zupełnie łysa. Są również kobiety w średnim wieku, dwie starszki, kilka dziewczynek i paru chłopców.

W ich otwartych oczach jest pustka.

– To moja garderoba – mówi Vika. Milczę. Wiem.

Vika idzie wzdłuż kołyszących się ciał, zaglądając w martwe twarze, coś szepcze, jakby się z nimi witała. Madame wisi na końcu pierwszej dziesiątki. Vika ogląda się na mnie, chcąc się upewnić, że patrzę, i przytula się do obfitego ciała właścicielki zakładu; obejmuje je jak w paroksyzmie zwyrodniałej namiętności.

Przez chwilę nic się nie dzieje. Potem – moment przejścia mi umyka – Vika i Madame zamieniają się miejscami. I to Madame odsuwa się od wiszącego bezradnie ciała.

– To wszystko – mówi Madame swoim niskim głębokim głosem.

– Dlaczego to takie makabryczne? – pytam. – Te haki... Po co to? Vika?

Madame patrzy na Vikę i kiwa ze smutkiem głową.

– Vika, dziewczynko, po co? – mówi do niej. – Wyjaśnimy Loni? Vika, nakłuta karkiem na hak, milczy.

– Żeby nie zapomnieć, Leonid. Żeby ani na sekundę nie zapomnieć: oni nie żyją.

Patrzę na Madame, znacznie spokojniejszą i mądrzejszą niż Vika. I obiektywnie rzecz biorąc, piękniejszą.

– Musiałeś to zobaczyć. – zobaczyłem.

Z magazynu ludzkich tusz wychodzimy przez inne drzwi – prowadzące do pokoju Madame. To zupełnie inny świat. Gwarny. Plaża za oknem, białe słońce na niebie. Pokój zastawiony starymi meblami, wszędzie leżą porozrzucane książki, otwarte bombonierki, ubrania, tania biżuteria i bransoletki z dętego złota, opróżnione do połowy flakoniki perfum, karty do gry. Ogromne łóżko pod aksamitnym baldachimem, niezaścielone, obok niego pantofle. W barku galeria napoczętych butelek, na ścianie gitara, na podłodze perski dywan nadgryziony przez mole i poplamiony winem.

– Zgaduj zgadula, jaka jestem naprawdę – mówi Madame. Nie mam zamiaru zgadywać. Na świecie i tak nie ma innej prawdy niż ta, w którą chcemy wierzyć.

Nie zatrzymujemy się w pokoju Madame, co mnie cieszy. Zbyt tu duszno.

– Lonia, czasem odnoszę wrażenie, że jesteś jeszcze chłopcem – mówi Madame. – Nie można być tak naiwnym.

– Dlaczego?

– Naiwnemu trudno żyć.

– Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

Idę obok Madame, zastanawiając się, jak wyglądamy z boku. Błady wysoki Strzelec mógłby być synem Madame, gdyby nie brak jakiegokolwiek podobieństwa. Pewnie wygląda to na wizytę przebranego arystokraty w tanim burdelu.

– Schody są strome – uprzedza Madame.

– Pamiętam.

Wchodzimy do strefy wypoczynkowej. Dziewczyny pod parasolami witają Madame radosnym piskiem. Gej, pluskający się w wodzie przy samym brzegu, pospiesznie wstaje i macha ręką. Spod baru wysuwa się rozczochrana głowa Komputerowego Maga i szybko nurkuje z powrotem.

– Widzisz, Viki nie ma – mówi głośno Madame. Kładzie opiekuńczo rękę na moim ramieniu. – Dziewczęta, Strzelec poczeka tu na swoją dziewczynę. Nie róbcie mu krzywdy!

Ogólny sens radosnej odpowiedzi sprowadza się do tego, że na pewno mnie skrzywdzą i że bardzo im się to spodoba. Madame grozi dziewczętom palcem, potem podchodzi do baru. Mag, jakby wyczuwając, że ona się zbliża, wyłania się spod kontuaru.

– Porozmawiaj ze Strzelcem – prosi łagodnie Madame. – Ma do ciebie kilka pytań. Odpowiedz na wszystkie.

– Naprawdę na wszystkie? – pyta Mag.

– Absolutnie.

– No, Madame, ja pani za język nie ciągnąłem! – oświadcza Mag.

– Gdybyż to było konieczne... – wzdycha Madame. Czekam na Maga przy stoliku stojącym w

pewnym oddaleniu od innych. Dziewczęta nie muszą słyszeć naszej rozmowy.

– Szampan! – oznajmia Mag, podchodząc do nas. – Witaj, Strzelcu. Pijesz szampana, prawda? Ja nie piję, za dużo bąbelków, potem w brzuchu burczy!

Jakoś dziwnie się porusza. Bardzo równo, jakby szedł po asfalcie. Patrę na jego nogi – na bosych stopach Maga zdeptane klapki, a z nich wyrastają malutkie, młóćące powietrze skrzydełka.

– Piję szampana, ale tylko z dziewczętami – odmawiam. – Wódka jest?

– Wszystko jest! – Mag stawia na stole butelkę likieru w jadowicie fioletowym kolorze i odbiega z niepotrzebnym adrau durso. Po minucie, nadal frunąc nad plażą, wraca z wódką Ursus, kryształowym dzbanem pełnym wody i torebką zuko.

– Masz, pomieszaj sobie.

Ursusa nigdy nie piłem, ale słyszałem, że to dobra wódka. W nadziei, że podświadomość sama dopowie sobie smak, nalewam do kieliszka. Mag chwyta dzban i sam miesza w nim napój, używając ręki zamiast miksera.

W końcu jesteśmy w wirtualności i tu nie ma zarazków. Wypijam jednym haustem i popijam prosto z dzbanka.

– Gdzie dostałeś takie buty? – pytam.

– Klapki? Dzisiaj zrobiłem... dość miałem grzeźnięcia w piasku. A że w Deeptown można chodzić tylko po podłodze, musiałem przykleić do podeszew kawałki podłogi. I teraz spoko. Spaceruj po powietrzu, aż się zmęczysz!

Mag chichocze i zaczyna przebierać nogami, unosząc się niemal do poziomu blatu. Potem podkurcza nogi, opada na fotel i otwiera swój likier. Cmoka i przypina się do butelki.

– Delicje! – oznajmia. – Miodzik! Prawdziwe curacao!

– Cały dzień tu spędzasz?

– Ha! Wychodzę stąd tylko, żeby coś wszamać i, za przeproszeniem, do toalety skoczyć!

– Madame mówiła, że cały system zabezpieczeń trzyma się na tobie...

– Niewłaściwe słowo! Tu się wszystko na mnie trzyma!

– Obcy mogą tu wejść?

– A jak byśmy na życie zarabiali, gdyby się ich nie wpuszczało?

– Mówię o czym innym. Można przeniknąć do służbowych pomieszczeń burdelu?

– Zakładu! To nie burdel, tylko zakład! Nie można.

– Absolutnie?

Mag wzdycha i odrobinę poważnieje.

– Jesteś hakerem czy lamerem?

– Uczniem.

– Jasna sprawa. Absolutne zabezpieczenie nie istnieje. Im bardziej przybliżasz się do absolutnej pewności, tym mniej wygodne jest twoje przebywanie w wirtualności. Zależność odwrotnie proporcjonalna: wraz ze zwiększeniem zabezpieczenia spada twoja zdolność odbierania i przekazywania informacji. Najważniejsze to znaleźć optymalną równowagę ochrony i wygody. Nasz system zabezpieczający został stworzony z zastosowaniem elementów sztucznego intelektu. Jeśli powiadamia o próbach włamania, wprowadza się dodatkowe hasła, włączają się bałwanki...

– Bałwanki?

– Autonomiczne ruchome programy zabezpieczające, fagocyty. Nazywam je bałwankami, bo są tępe. Czemu nie pijesz?

Nalewam sobie wódki.

– Jeśli następuje zmasowany atak – ciągnie Mag – stopień ochrony rośnie w sposób nieograniczony, aż do całkowitego zakapsułowania zakładu. Oczywiście, w praktyce do czegoś takiego nigdy nie doszło, ale wszystko powinno zadziałać właśnie tak...

– Chcesz powiedzieć, że zabezpieczenie jest mimo wszystko idealne?

Mag waha się. Zarozumiałstwo walczy w nim z obiektywizmem. – Nie... jeśli przeniknięcie zaplanuje duża grupa profesjonalistów, zdążą wejść, zanim ochrona rozkręci się na całego. Tylko komu to potrzebne?

Rozumiem; zresztą trudno było oczekiwać innej odpowiedzi. Na każdą tarczę znajdzie się miecz.

– Dziękuję, Magu.

– Nie zwracaj głowy! – macha ręką. – Chcesz założyć własny system zabezpieczeń? Spróbuj, pomogę. Albo nie, chodźmy do ciebie! – zapala się Mag. – Sam ci wszystko zrobię. Nudno tu!

Kręcę głową. Nie zgadłeś, stary. – Byłem po prostu ciekaw, jak to wygląda.

– A, jesteś z kontroli! – podrywa się Mag. – Cii! Wszystko kapuję, cicho... czemu Madame od razu nie powiedziała?

Ciekaw jestem, kto mógłby sprawdzać wirtualny dom publiczny? I po co? Interesujące... ale nie wypytuję Maga.

– Pójdę, może Vika jest już wolna – mówię. Mag od razu staje się uroczysty i ważny.

– Tylko uważaj, żebyś Viki nie skrzywdził! – ostrzega. – Bo... to świetna dziewczyna, ja za nią każdemu mordę obiję.

Wzdycha, patrzy z rozmarzeniem na morze.

– Miałem do niej uderzyć, ale mnie uprzedziłeś – przyznaje się. – Vika jest we mnie zakochana po uszy. Teraz na pewno też... ale nie przejmuj się. Przyjaciołom dziewczyn nie odbijam.

Kiedyś mi się wydawało, że komputerowcy z telenowel to wymyślone charaktery. Gdybyż tak było! W życiu też się tacy trafiają.

– Ale do tej blondyneczki nie podchodź! – dodaje Mag. – Zakochała się we mnie i od pół roku za mną usycha.

Biedna, nic niewiedząca o swoim ciężkim losie dziewczyna chichocze, obejmując się z przyjaciółką.

– A może uderzę do Nataszki... – rozmyśla Mag. – Wszystkie tu takie kochliwe!

Bierze swój likier i tanecznym krokiem zmierza do wesołej blondynki. Korzystam z okazji i zmywam się.

Najwidoczniej robię za dużo kółek na kręconych schodach i schodzę aż do holu. Tamtych klientów już nie ma. Pewnie smakują radość życia.

Tylko jakiś mężczyzna stoi przy stoliku, przeglądając czarny album. Niewysoki, przygarbiony, z twarzą wygłodzonego świstaka; długie pukle włosów wysuwają się spod nasuniętej na oczy cyklistówki.

Wyminąłem go, idąc do drzwi prowadzących do pomieszczeń służbowych, i wtedy do mnie dotarło. Gość już odłożył album i niespiesznie idzie do wyjścia.

– Cyklistówka! – krzyczę.

Zatrzymuje się i powoli odwraca. Oczy puste i zadowolone, jak u gotowanej ryby.

– Jesteś Cyklistówka – powtarzam.

Żadnej reakcji. Koleś gapi się na mnie pustymi oczami.

– Nie podobasz mi się! – mówię z niespodziewaną radością. – Słyszysz? Bardzo mi się nie podobasz.

– Trzy razy ha-ha-ha – mówi Cyklistówka, odwracając wyblakłe spojrzenie i rusza do drzwi. Moje uwagi go nie interesują.

Ale przynajmniej rodak.

– Stój! – krzyczę. Zatrzymuje się i obojętnie czeka. – Nie przychodź tu więcej.

Cyklistówka uśmiecha się nieładnie – pierwsza okazana emocja, ale tak mechaniczna, jakbym rozmawiał z programem, a nie z człowiekiem.

– Czego tu chcesz?

Chyba zadałem pytanie, na które gotów jest odpowiedzieć.

– Pewne badania psychologii grupowej.

– Prowadź je w innym miejscu.

Jasne oczy obmacują mnie od stóp do głowy.

– Pracownik?

– Nie.

– A więc mutant.

Robi mi się nieswojo od tej dziwnej charakterystyki, a Cyklistówka wyjaśnia:

– Utrata społecznej i etycznej orientacji. Rozpad osobowości. Nieuchronna i fatalna metamorfoza.

I otwierając drzwi, dodaje:

– Nic interesującego...

Głos Viki dogania mnie przy wyjściu:

– Leonid, poczekaj! Nie warto!

Z trudem udaje mi się dość do siebie. Okazuje się, że moja prawa ręka ściska pas, lewa jest zaciśnięta w pięść. Patrzę na Vikę, a wściekłość powoli opada.

– To był Cyklistówka? – pytam na wszelki wypadek.

– Tak.

– Chyba zacznę rozumieć waszą reakcję.

– Ochłonąłeś? – pyta Vika. – Dobrze. Chodź.

Głupio mi z powodu tego wybuchu. Dziwne, nie spodziewałem się, że można mnie tak łatwo wkurzyć i to nic nieznaczącymi słowami.

– Kim on jest, Vika?

Czuje, że na to pytanie będzie musiała dać odpowiedź.

– Nikim szczególnym. Człowiekiem, który uważa, że ma prawo osądzać innych.

– Na przykład wirtualne prostytutki?

– Nie tylko. Wiem, że Cyklistówka prowadzi swoje eksperymenty w kilku innych miejscach.

– Coś wspominał o psychologii...

Nie wiedzieć czemu moje słowa bawią Vikę.

– Osoba niezdolna do tworzenia zawsze szuka usprawiedliwienia w destruktywnym zachowaniu. Bardzo często przyjmuje ono formę obojętnej obserwacji niedoskonałości świata. Zwłaszcza takiej jak nasz burdel...

Podchodzimy do drzwi, z których uśmiecha się czarny kotek. Vika kontynuuje:

– Psychologia w powszechnym mniemaniu jest bardzo prostą nauką. Ludzie niezdolni do samodzielnego wbicia gwoźdźcia czy zrymowania kilku linijek nie mają żadnych wątpliwości co do swoich umiejętności rozumienia i sążenia innych. W skrajnych przypadkach staje się to sensem ich życia i źródłem pewności siebie.

– A kim ty jesteś?

– Psychologiem w stopniu doktora, jeśli cię to interesuje. Siada, strząsając ze stołu mały kamyczek. Pokój po trzęsieniu ziemi wymaga gruntownego posprzątania. Ponieważ nie ma drugiego krzesła, siadam w kucki.

– A jak brzmi temat twojej pracy?

– *Sublimacja anomalnych zachowań w warunkach przestrzeni wirtualnej.*

Jakby przepraszająco dodaje:

– Wybacz naukowy żargon. Ach tak...

– Badasz takich jak Cyklistówka? – pytam. – Prawdziwy łowca lipnych łowców?

– Nie. Od dawna już nie. Badanie było interesujące przez rok. Wszyscy oni działają identycznie. I Cyklistówka, i jemu podobni. Wszystkie patologie są jednakowe, jeśli znasz jednego psychopatę, możesz przewidzieć zachowanie tysiąca.

– W takim razie, po co...

– Dlatego, że oni istnieją. Tutaj destrukcja, która z nich emanuje, może zadać ból jednemu człowiekowi lub kilku osobom. W realnym życiu pozostawiają za sobą złamane życia, toksyczne miłości, wyśmiane przyjaźnie. Może nawet krew. Tutaj są nieszkodliwi. Cała ich duma, zwierzęce reakcje, intrygi i zarozumiałość to pył. Pył na wietrze.

– Ale tobie jest ciężko!

– I co z tego? To nie jest ból prawdziwej kobiety. To ból kobiety narysowanej.

– Vika...

– Proszę cię, nie mieszaj się do spraw zakładu. Bo Madame zdejmie twój dostęp.

Uśmiecha się.

– Dobrze – mówię. – Nie będę się wtrącał w wasze sprawy w zakładzie.

– A poza nim?

– To już kwestia wolności jednostki. Vika rozkłada ręce.

– Leonid, ile ty masz lat?

– Wymiana? – pytam szybko. – Informacja za informację?

W wirtualności nikt nie afiszuje się ze swoimi danymi. A Vika nawet nie podejrzewa, jak bardzo ja nie przywykłem się z nimi afiszować.

– Dobrze. Mam dwadzieścia dziewięć lat, Leonid. Zanim odpowiem, zdążam się ucieszyć.

– Trzydzieści cztery.

– W życiu bym nie pomyślała. Dawałam ci dwadzieścia dwa. Nie przyznaję się, że miałem odwrotne obawy.

– Wirtualność jest złudna.

– Nie. Wirtualność jest jak lód. Wmarzamy w nią raz na zawsze. Nie możemy zdjąć naszej pierwszej maski. Wymyślamy setki ciał, ale pierwsze zawsze będzie widoczne.

– Twoją pierwszą maską była Madame?

Vika bierze ze stołu torebkę, wyciąga papierosa, przypala.

– Tak, Lonia. Dostaliśmy pieniądze na badania zachowań seksualnych w przestrzeni wirtualnej. Zachód miał na tym punkcie małego świra, w końcu jedna trzecia informacji w Sieci dotyczy seksu. No to wymyśliłam sobie taki wygląd: pewna siebie właścicielka burdelu, która niejedno widziała i z niejednego pieca chleb jadła...

– Udało ci się – przyznaję.

Vika wypuszcza dym i pyta z lekką ironią:

– Może w głębi duszy taka właśnie jestem?

– Wszystko mi jedno.

Kłamię, kłamię. Ale Vika się nie spiera.

– Zuko cię uspokoił?

– Prawie.

– To dobry specjalista. Możesz spokojnie przyprowadzić swojego przyjaciela.

Patrzę na zegarek. Mam jeszcze czas.

– To nie takie proste, Vika. Trzeba jeszcze przyjść po niego w odpowiednim momencie.

– Śmieszny z was naród, hakerzy – rzuca Vika. Cha, cha, zostałem uznany za twardziela programistę.

– Pozwolisz mi się tu przespać?

– Słucham?

– Przespać się. Jestem w Głębi prawie dobie, a lepiej pracować ze świeżą głową.

Vika – o dziwo – podchodzi do kwestii rzeczowo.

– Obudzić cię?

– Tak, za dwie godziny.

– Śpij. Czuj się jak u siebie. Sama cię obudzę.

Mierzwi mi włosy gestem, który bardziej pasowałby do Madame, ale i tak mi przyjemnie. Wskazuje głową łóżko i wychodzi przez drzwi prowadzące do garderoby. Po minucie Madame idzie do swojego pokoju, żeby podyrygować dziewczętami.

A ja wydaję z kieszeni kurtki kołowrotek z cienką nitką. Na końcu nitki jest ciężarek.

Wiatr za oknem nie cichnie ani na moment, szarpie nitką. Rozwijam ją do końca. Gdy ciężarek dotyka zbocza, patrzę na nić – każdy metr zaznaczony jest czerwoną farbą.

Siedem i pół metra. Prześcieradła nie pomogą. No nic, w burdelu na pewno są jakieś sznury, choćby w pokojach przeznaczonych dla sadomasochistów.

Wyrzucam kołowrotek za okno. Trochę się głupio czuję, jakbym nadużył zaufania Viki, ale pocieszam się, że ona na pewno pozwoliłaby na ten mały eksperyment.

Powiedziała przecież: „Czuj się jak u siebie...”

Rzucam się na wąskie łóżko i zamykam oczy. Ale zanim pozwolę sobie zasnąć, mimo wszystko wychodzę z wirtualności i rozkazuję Windows Home obudzić mnie za dwie godziny.

Sen przychodzi natychmiast. Z jakiegoś powodu liczę, że zobaczę coś proroczego – jak poprzednim razem. Ale śnią mi się kompletne bzdury.

Tęcza nad Deeptown. Oślepiające błyski przypominające deep program. Tęcza składa się ze stopni – biblijne schody prowadzące do nieba. Idę po nich, niczym Mag Komputerowy w swoich skrzydlatych klapkach. Barwy tęczy mają różną gęstość – zapadam się w fioletowych i niebieskich warstwach, lekko wspieram na zielonych i twardo stąпам po żółtych. Pode mną kolorowe, świąteczne miasto, widzę je przez różnobarwną mgiełkę...

We śnie wiem, po co idę do nieba. Gdzieś tam, na górze, jest kryształowy klosz Głębi dzielący świat na dwie połowy. Muszę go rozbić – albo bronią Maniaka, albo gołymi rękami. Kryształ rozsypie się i spadnie na miasto jak oślepiający gwiazdny deszcz. Przecież gwiazdy są z kryształu. Z kłującego kryształu odbijającego światło naszych oczu.

I coś się stanie. Może gwiazdy nas spalą. A może zdążą ostygnąć i spadną w podstawione dłonie. Nie wiem, czego właściwie chcę.

Najważniejsze to uderzyć w porę. Czas, kiedy zdołam przemienić barierę w miliony kryształowych gwiazd, już został wyznaczony. Niemal już nadszedł...

– Czas... Leonid, już czas...

Otwieram oczy, słysząc szept Windows Home. Mija kilka sekund, zanim uświadamiam sobie, gdzie jestem. Po chwili wchodzi Vika.

– Obudziłeś się?

Kiwam głową, siadam na pomiętej pościeli, trę czoło. Głowa ciąży. Trzeba było albo dłużej pospać, albo w ogóle się nie kłaść.

– Zaparzę kawę – mówi Vika.

Opieram się plecami o drewnianą ścianę, obserwuję Vikę. Wyjmuje z czarnego, chyba ze starości, kredensu płócienny woreczek z kawą. Miele ziarna w małym ręcznym młynku z wypolerowanej do błysku miedzi. Umiejętnie rozpala ogień.

Pachnie suchym sosnowym drewnem i kawą. I jakąś abstrakcyjną, niesterylną czystością... Albo woda w górskim strumieniu, albo piasek nagrany słońcem.

Dobrze mi.

Może wyszeptać swoją wyliczankę i wyjść w real?

Zaparzyć prawdziwą kawę, dodać koniaku. Wziąć prysznic.

Obym był przeklęty, jeśli to zrobię.

To tu wszystko jest prawdziwe. Czyste powietrze, żywa woda, fusy kawy na dnie filiżanki, troskliwe spojrzenie Viki. Na zewnątrz jest zapuszczone mieszkanie, wilgoć, stęchła woda w kranie.

...Coś często zaczęło mnie nawiedzać samobójcze pragnienie, by stać się takim jak wszyscy...

– Koniaku? – pyta Vika. Nalewa mi malutki kieliszek ahtamansa.

– Mam jeszcze pięć minut... potem w drogę.

– Wrócisz nie sam?

– Taką mam nadzieję.

– Gdy będziecie wchodzić, weź swojego przyjaciela za rękę. Wtedy on też będzie miał uprzywilejowany status. Poproszę Maga.

– Dziękuję.

– Podziękujesz Madame. To od niej wszystko zależy.

– Ja i Madame jesteśmy przyjaciółmi – uśmiecham się. Zdążam wypić dwie filiżanki kawy i dwa kieliszki koniaku. Czas mi się naprawdę kończy.

Vika zaczyna sprzątać pokój, gdy wychodzę. Mimo woli przypominam sobie o surogacie rodziny pojawiającym się ostatnio coraz częściej. Wszystkie te pary, które żyją w realu w różnych miastach i wynajmują w Deeptown wspólne mieszkania. Podobno bardzo lubią krzątać się po domu, odkurzać i prać – jakby imitacja domowego życia czyniła ich związek bardziej rzeczywistym.

„Ma pan rodzinę?”

„Tak. Moja dziewczyna jest prostytutką, mamy malutką górską chatę w burdelu. Proszę kiedyś zajrzeć, ona parzy doskonałą kawę. U nas zawsze jest czysto i przytulnie, nawet po trzęsieniu ziemi!”

Obrazek nawet nie budzi złości. Jest potworny.

Sytuację trzeba rozwiązać. W dowolny sposób.

Idę ulicą do portalu wejścia. Mijam pawilonik jakiejś kompanii lotniczej ze znudzonym operatorem. Obok pawilonu ulokował się żebrak. To również nowe zjawisko: proszenie o jałmużnę w przestrzeni wirtualnej. Miesiąc temu tego nie było.

Nędzarz jest schludny, ale obdarty i wychudzony. Jego postać, lekko przezroczysta, porusza się zrywami; w ten sposób chce zademonstrować niską szybkość modemu i słabe oprogramowanie.

– *Help me*... – jęczy żebrak.

– Bóg da.

– Panie hakerze, choć jednego dolara... – błaga nędzarz. Podobno większość nędzarzy to Rosjanie. Podobno nikt z nich nie potrzebuje pieniędzy. Taka zabawa nowych ruskich, wyszukana rozrywka. Poskamieć, pobyć w skórze nędzarza. Modna i podobno skuteczna psychoterapia. Maniak przysięgał, że powiesił na jednym takim marker, a ten okazał się dyrektorem wielkiego banku.

– Pracowałem w Microsoftzie – mamrocze żebrak, idąc za mną. – Kiedyś powiedziałem, że Windows to nedorobiony program i pochwaliłem OS/2. Następnego dnia Bili Gates osobiście wylał mnie z pracy i umieścił na czarnej liście. Byłem niezłym hakerem... i na co mi przyszło...

– Na jakim przerywaniu wisi twój modem? – wykrzykuję, odwracając się. – Od czego zależy

pojawienie się napisu „Proszę zacząć pracę od naciśnięcia tego przycisku”, w Windows Home? Trzy najlepsze sposoby zawieszenia windy? Kto wymyślił grafikę teksturową? Najlepszy protokół dla modemów marki... – Żebrak odwraca się i ucieka.

Coś mi się zdaje, że Maniak nie kłamał.

Ale przynajmniej ta rozrywka nie jest tak niebezpieczna jak uliczne pościgi, modne rok temu. Właśnie z ich powodu zabroniono używania prywatnych samochodów i Deep Przewodnik stał się monopolistą na rynku usług transportowych.

Spotkanie z żebrakiem poprawia mi humor i do portalu Labiryntu podchodzę już w zupełnie innym nastroju.

Jak zawsze zbity tłum. Labirynt jeszcze funkcjonuje, więc wyliczyłem prawidłowo. Ale nadal boję się spóźnić i w ostatniej sekundzie utknąć w zamkniętych drzwiach. Przeciskam się pomiędzy graczami – szybciej, szybciej...

Uspokajam się dopiero po wprowadzeniu kodu i wyjściu na trzydziesty trzeci poziom.

Zaczynamy! Jestem Strzelcem!

Na poziomie jest wiatr. Poskrzypuje, chwiejąc się, żelazna kabinka amerykańskiej kolejki, splełzając z szyn i zawisając nad głową Nieudacznika.

Pięknie, kolejny niezawodny sposób popełnienia samobójstwa.

– Hej! – krzyczę, podchodząc. – To ja! Nieudacznik podnosi głowę. Może to dobry znak.

– Nie nudzisz się?

Siadam obok niego, Nieudacznik sam ściąga respirator. Patrzy i na mnie, a w jego oczach jest zmęczenie i beznadzieja.

– Jesteś programem czy człowiekiem? – pytam wprost. Nieudacznik kręci głowę. Mogę sobie sam wybrać, co zanegował.

– Wiesz, że przeczuli cię Nieudacznik? – pytam. – Ale nawet Hiob miał więcej farta niż ty! Twój pech to coś wyjątkowego!

W końcu odpowiada:

– To nie tylko mój... pech.

– Chcesz powiedzieć, że źle cię ratowali?

Jestem ożywiony i gadatliwy, jak po alkoholu. Muszę trochę rozruszać Nieudacznika i – mimo że brzmi to idiotycznie – upewnić się, że nie jest programem.

– Dobrze mnie ratowali. Po prostu nikt nie wyszedł poza barierę.

– Jaką barierę?

– Świadomości.

Nieudacznik bardzo cierpliwie udziela mi wyjaśnień, które nic nie wyjaśniają.

– Chodź spod tego szajsu – wskazuję oczami kołyszącą się kabinę. – Mamy mało czasu.

– I tak ci się nie uda... – szepcze Nieudacznik, ale posłusznie wstaje i siada z boku.

– Zobaczymy...

Sam nie wiem, na co czekam. Na obiecaną przez Urmana akcję, na zamknięcie poziomu?

– Nieudacznik... mogę cię tak nazywać? Lubisz poezję? Milczenie.

Program może imitować rozmowę, czerpiąc odpowiedzi z moich własnych słów.

Ale nie zdoła sam nic stworzyć.

– Mój zacny wujek, biedaczysko... – deklamuję. – Mów dalej! No? Patrzy na mnie z taką ironią, że zacznę się czuć nieswojo.

– Gdy niemoc go zwała z nóg... Strzelcu, czy wszyscy rosyjscy nurkowie znają na pamięć tylko Puszkina?

– Anatol?

– Tak. Pamiętał cudne zachwycenie.

Moja własna głupota zaczyna mnie śmieszyć – te wbite w świadomość schematy! Ale nie śmieję się: coś we mnie pęka – może ta słynna bariera, może zdrowy rozsądek? – i pytam:

– Co recytował Dick? Szekspira?

– Carolla – słyszę z tyłu.

Dick stoi obok. Anatol pięć metrów dalej, z BFG w pogotowiu.

– Dokładnie tak samo siadłem z boku – mówi Dick. – Siadłem... Siada przed obojętnym Nieudacznikiem i mówi:

I was brilling, and the slithy tobies, Didgyre andgimble in the wabe...

Czekam, niczym w hipnozie. A Nieudacznik kontynuuje:

Ali mimsy were the borogoves And the mome raths outgrabe.

Z bardzo daleka Windows Home alarmująco piszczy i szepcze:

– Nie można przetłumaczyć! Nie ma w słowniku podstawowym. Nie można przetłumaczyć!

Dick podnosi na mnie oczy.

– Więc według ciebie Nieudacznik jest Rosjaninem? Urman zadał mi to samo pytanie.

– Kim jesteś? – pytam Nieudacznika. On uśmiecha się i wstaje. – Kim jesteś?! – krzyczę.

Szedł w noc, trwał w dzień, o Pampamu pień w rychliwych myślach wsparty – mówi Nieudacznik.

Anatol chichocze, podchwytyjąc:

A w myślach onych trwając – czuj duch!

Zabrołak z płogiem w oku,

Świszłap! I brnie przez tołszczy pnie,

I gzybyka nań w pomroku!

Dom wariatów. A ja jestem najbardziej tępym pacjentem.

– Odejdź, nurku – rozkazuje Dick. – Koniec zabawy w ratowanie. Sprawa jest znacznie poważniejsza niż sądzisz.

Jakby na potwierdzenie jego słów, nad poziomem rozlega się wyGie syreny, tak głośne, że rozsadza uszy. Potem syrena milknie i słychać tylko wycie i pisk zaniepokojonych potworów. Zagłuszając je, z nieba rozlega się kobiecy głos:

– *Attention!* Uwaga! Wszyscy, którzy znajdują się na trzydziestym trzecim poziomie Labiryntu Śmierci! Natychmiast opuścić poziom! To oficjalne ostrzeżenie. Trzydzieści sekund na opuszczenie strefy gry. W celu dokonania samobójstwa możecie użyć własnej broni i wrócić do sali kolumnowej Labiryntu. Zostaną wam udzielone wyjaśnienia i wypłacone rekompensaty. Uwaga! Wszyscy...

– Pomóc ci? – pyta Anatol, celując do mnie z BFG. – Czy wolisz sam?

– Uważaj, postrzelisz Nieudacznika – mówię. Anatol kiwa głową, odkłada BFG i zrzuca z ramienia granatnik.

W tej samej chwili wyszarpuję spod kamuflażu skórzany pas Strzelca. To najzwyczajniejszy pas – dopóki znajduje się na moim ciele.

W ręce pasek wydłuża się ze świstem, pokrywa niebieskimi iskrami. Warlock 9000 Maniak stworzył w formie bicia.

Jeden zamach i bicz wyciąga się, jakby chciał się wyrwać z moich rąk. Koniec uderza Anatola w kamizelkę kuloodporną.

Niebieski strumień ognia, wijący się wokół bicia, wżera się w ciało Anatola. To broń bojowa, nie widzi różnicy pomiędzy pancerzem a nagim ciałem. Nurek znika w wichrze fioletowego płomienia, zapada się pod ziemię. Ale wicher nie cichnie, ognisty lej powoli się rozszerza.

– Ty! – krzyczy Dick. – Przeniosłeś wirus!

Nasze twarze oświetla niebieskie lśnienie. Nieudacznik patrzy jak zaczarowany na rosnący wir. Kiwam głową. Po co teraz słowa?

– Piętnaście sekund... – mówi głos w niebie.

– Uderzyłeś Anatola! Naruszyłeś kodeks nurków! – Dick nie próbuje wziąć do rąk broni, co mnie cieszy; nie chcę go zabijać.

– Wszystko jest zbyt poważne – powtarzam jego własne słowa. Nowy dźwięk – łoskot pękającego szkła, hurgot burzonych murów, wizg zgniatanego metalu.

Z purpurowych chmur spada w dół srebrny pierścień. Nakrywa trzydziesty trzeci poziom niczym gigantyczna szklanka. Za nim jest ciemność. Można by pomyśleć, że tak właśnie wygląda kapsułowanie Labiryntu, gdyby nie przerażenie i szok na twarzy Dicka.

Do gry włączył się Al Kabar.

Ale Dick skłonny jest winić o wszystko mnie. Podrywa karabin, a ja reaguję bez zastanowienia. Bicz trafia go w szyję, gilotynując z entuzjazmem bezrobotnego kata.

Raz-dwa raz-dwa rąb, klingo zła

Zarłacka opak z brodom...

To Nieudacznik.

Chwytam go za ramiona, popycham w stronę ognistego leja. Za naszymi plecami nowy wicher wybuchu na ciele Crazy Tossiera.

– Po co? – zdążyła zapytać Nieudacznik.

Trzeba się spieszyć. Teraz, gdy hakerzy Labiryntu i Al Kabar walczą o trzydziesty trzeci poziom, właśnie teraz jest idealny moment, żeby stąd zjeżdżać. Warlock to nie tylko zabójca, to również tunel, który przewierca Głębię.

– Żeby wrócić! – krzyczę, wpychając Nieudacznika w niebieski płomień, a sam nurkuję za nim.

Ogień.

Spadamy.

Spirala niebieskiego płomienia to ściany tunelu, fioletowa mgła to jego ciało.

Pod naszymi nogami przydymione lustra – spadając, rozbijamy je. Twarze w lustrach – jak cienie; przestrzeń – niczym błada akwarela.

Zniszczony dworzec pierwszego poziomu, szpital dwudziestego pierwszego... sobór pięćdziesiątego! Nawet widzę wyszczerzoną mordę Księcia Kosmitów i ognisty błysk jego granatnika, ale my już lecimy dalej.

Ulica Deeptown, twarze przechodniów, maska taksówki, reklamowy szyld – „Tylko pracując dla...”

Księgarnia, tęcza okładek, dziewczyna w okularach kartkująca czasopismo, szelest stron niczym wystrzał, chłopak przy kasie...

Niebieskie błyskawice pełzną po moich rękach.

Nieudacznika otacza obłok turkusowego płomienia.

Supermarket – tuż przed moimi oczami miga słoik pomarańczowego dżemu. Pusty.

Sklep zoologiczny. Biały królik w klatce...

Ciekawe, czy w Głębi można mieć halucynacje?

Warlock powinien się w końcu uspokoić. Ma wbudowany licznik pokonanych przestrzeni... no tak, ale Maniak nie obiecywał, że on zadziała. Nie miał okazji przetestowania wirusa...

– Równina, niewyobrażalnie płaska, wypalona, cztery pełnzące po niej samochody...

Obłoki albo morze białego puchu, kryształowe drzewa aż po horyzont, siwy staruszek w białej chlamidzie do pięt odprowadzający nas stropionym spojrzeniem, muzyka harf...

Purpurowo-czarny wir, niski ryk, siarkowa woń i błysk stali w ciemności.

Błękitne pociski pękają wokół nas, każdy włoszek na skórze trzeszczy i kłuje, jakby wrastając w ciało.

Zielona polana, po której biegnie, oczadziały zachwytem i rozpierany energią, mały szczeniaczek. Cichnące szczekanie...

Zatrzymaj się, Warlock!

Spienione morze, gwiazdy w rozerwanych chmurach, słony smak na wargach, malutki jacht, niesiony na grzbiecie fali i spadający w dół – na dziobie, trzymający się lin, goły po pas mężczyzna z harpunem...

Mrok, okrągła sala, ściany z ekranów, przypominający tron fotel...

To lustro się nie rozbija, wsysa nas w siebie i wyrzuca na zimną marmurową podłogę. Nie ma czasu na sprawdzanie, czy niczego sobie nie złamałem.

Zrywam się, wznoszę bicz do ciosu.

Ale zagrożenia chyba nie ma. Na fotelu-tronie siedzi mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku, ubrany w niewiarygodnie wspaniałe strój o półwojskowym kroju. Pierś obsypana orderami. Chyba nas nie widzi – całą jego uwagę przykuwa istota na największym ekranie. Istota przypomina ogromną czerwoną mrówkę.

– Musimy połączyć nasze wysiłki! – oznajmia mężczyzna. – Wspólnie nasze rasy...

Pomagam Nieudacznikowi wstać. Wpadliśmy na serwer jakiejś gry. Nieźle.

– Ludzie nieraz dowiedli kłamliwości swojej natury – ryczy mrówka z ekranu. – Rozbijemy w pył pamięć o was!

Ekran blednie, mężczyzna przyciska do twarzy dłoń i zamiera.

– Co to? – pyta Nieudacznik.

– Gra – wyjaśniam, rozglądając się w poszukiwaniu wyjścia. Drzwi są, ale nie wyglądają na takie, które dałyby się otworzyć. Pomieszczenie przypomina filmowy bunkier bazy raketowej. Surowe umeblowanie. Z poszarpanej dziury w suficie sączy się nadal fioletowa mgiełka i sypie lustrzany pył odłamków. Warlock nadal pracuje, siłą rozpędu trzymając się kilku najbliższych serwerów.

– Jaka gra?

– O gwiazdnych wojnach.

Podchodzę do mężczyzny. Stopnie tronu są kryształowe, śliskie i cholernie niewygodne.

– Ej, zbawco ludzkości! – klepię gracza po ramieniu. Mężczyzna prostuje się w fotelu. W oczach ma skąpe męskie łzy.

– Deneb! – rozkazuje. Ekran się rozjaśnia, pojawia się oficer, liczbą orderów współzawodniczący z graczem. – Pułkowniku! Proszę wyprowadzić eskadrę na orbitę Soła!

– Imperatorze, nasza planeta jest bezbronna...

– Najważniejsze to ochronić ojczyznę ludzkości – mówi Imperator. Pułkownik z miną męczennika kiwa głową.

– Rozkaz zostanie wykonany, Imperatorze!

Zasłaniam Imperatorowi twarz dłonią. Może jesteśmy dla niego niewidoczni? Ale mężczyzna odpycha moją rękę i mamrocze:

– Zakłócenia... niestabilna łączność...

Oho! Ja to mam szczęście – jeszcze sobie przy okazji znalazłem pracę! Deep psychoza, ostatnie stadium. Mężczyzna po prostu nie chce nas widzieć – nie pasujemy do stereotypu prościutkiej, strategicznej gry, którą jest pochłonięty.

– Jak stąd wyjść? – krzyczę. – Wyjście!

Wyciąga rękę, naciska jakiś przycisk. Świadomością nas nie przyjmuje, ale podświadomie gotów jest zrobić wszystko, żeby zlikwidować zakłócenia. Jego ruchy są słabe i niepewne. Co najmniej doba Głębi. Za moimi plecami z szumem otwierają się drzwi.

– Co z nim? – Nieudacznik podchodzi bliżej.

– Deep psychoza.

Oglądam się na drzwi. Trzeba się spieszyć. Warlock zostawił ślady, wcześniej czy później ktoś je znajdzie. A facet, co odgrywa Imperatora na pewno ma włączony timer...

– Idziemy? – pyta Nieudacznik.

No dobra, złamałem kodeks nurków, używając broni wobec Anatola i Dicka, ale mimo wszystko jestem nurkiem. Strażnikiem Głębi.

Jeśli nie ja, to kto?

– Vika! – komenderuję.

– Lonia? – Głos Windows Home jest głuchy i obojętny. Komputer najwyraźniej mocno przeciążony, programowi nie zostało sił na modulację głosu.

– Standardowy zestaw wyposażenia.

Przerwa. Bardzo długa. Potem kieszenie zaczynają mi ciążyć.

Zrzucam z siebie poszarpane – czyżby w czasie spadania przez lustra? – resztki kombinezonu kamuflażu. Zostaję w ubraniu Strzelca. Starannie zwijam bicz, który znowu zmienia się w pas.

– Co będziesz robił?

Nieudacznik jest uosobieniem ciekawości.

– Wyciągał!

Teraz muszę przechwycić kanał połączenia łączący gracza z jego domowym komputerem i złamać zabezpieczenie; nie powinno być skomplikowane, sądząc z tego, co widzę, to typowy żółtodziób. Potem trzeba uruchomić deep program wyjścia albo wyzerować timer.

Wyjmuję z lewej kieszeni ciemne okulary. Nakładam. Ciemność niemal nieprzenikniona, tylko u podnóża tronu wije się lśniąca pomarańczowa nić. No proszę, kanał. Oglądam pokój. Widzę własną segmentową pępowinę leżącą na podłodze i wychodzącą w wygryziony przez Warlock tunel. Niedobrze. Czyli nie podłączyliśmy się do serwera gracza, tylko weszliśmy nie wiadomo skąd. Mój kanał może teraz krążyć po kontynentach, wskakiwać na sputniki, ślizgać się po dnie oceanu. Wiele było przestrzeni na drodze z Labiryntu... teraz są tuż obok. W tunelu widać rozbłyśki światła, od

czasu do czasu wypadają gasnące strzępy nici.

Od Nieudacznika rzeczywiście nie biegną żadne sygnały – albo może biegną, ale są zbyt dobrze zamaskowane, by mój prościutki skaner mógł je wykryć. Widzę jedynie nieruchomą, ciemną sylwetkę przyglądającą się mojej pracy.

W prawej kieszeni mam metalowe pudełko. Otwieram; na miękkiej poduszce porusza łapkami połyskliwy szmaragdowy żuk. Biorę go w palce, on się energicznie wyrывa, kierując się na mój własny kanał. Kochany! Nie tutaj.

Sadzam żuka na podstawie tronu; zamiera, rusza głową, potem nurkuje w pomarańczową nić.

Teraz będziemy czekać w nadziei, że na komputerze Imperatora jest tylko standardowy zestaw antywirusowy.

– Kto?

Najpierw myślę, że to głos Nieudacznika. Tak samo spokojny, pozbawiony emocji. Ale gdy się oglądam, widzę, że na sali jest nas już czworo... jeśli, oczywiście, uznać Imperatora za pełnowartościowego uczestnika wydarzeń.

Z dziury w suficie zwisa migotliwa biała nić, na jej końcu wisi długa, skurczona postać. Jej kontury są rozmyte, ruchy gwałtowne. Człowiek kręci głową, ale chyba nie widzi, co się dzieje. Boże mój, z jakiej dali on tu wypadł, jak wytrzymał upadek przez tunel? Warlock nieźle się spisał, nie ma co!

– Nie twoja sprawa! – odzywam się agresywnie. Jeśli nieznajomy jest zwykłym użytkownikiem Sieci, może mi przeszkodzić.

Gościowi nie podoba się moja reakcja. Wyciąga ręce, i po chwili w moją stronę, a raczej w stronę mojego kanału zaczyna biec giętki, połyskliwy sznur.

Wesoło. Gdybym się nawet starał, w życiu bym czegoś takiego nie wymyślił – wyciągać nie wiadomo kogo z Labiryntu, w połowie drogi ratować idiotę z deep psychozą, a tu jeszcze wyskakuje haker z zestawem służbowych programów.

Dobrze chociaż, że jego kanał jest taki cienki. Wkładam rękawiczki, łapię sznur i zawiązuję na węzeł.

– Odczep się. Jestem nurkiem.

Zazwyczaj działa to bez zarzutu. Ale gość albo uważa się za największego hakera na świecie, albo mi nie wierzy.

– Możesz sobie być nawet Dżepetem! – odpowiada. Drugi kanał jest szybszy i próbuje robić uniki. Na końcu szcękają małe zaciski. Łapię kanał przy samym końcu i ściskam z satysfakcją. Rękawiczki ogłuszają program.

Mam ochotę zrobić to samo z nieproszonym gościem, ale samymi rękawiczkami go nie powstrzymam, a nie chcę używać Warlocka. Zbyt potężny ten wirus, takiego efektu się nie spodziewałem.

Zresztą Nieudacznik właśnie przestał się interesować mną i krąży wokół hakera. Ten go nie zauważa, widocznie też patrzy przez skaner, rejestrując jedynie kanały połączenia.

– Słuchaj, po coś się przyczepił? – dostosowuję się do sposobu, mówienia gościa. – Ja pracuję!

– Ja też.

Drewniany głos rozmówcy mnie denerwuje, ale i tak cud, że cokolwiek słyszę. Nić jego kanału zwęziła się maksymalnie, postać zaczyna drgać, głowę przekrzywia mu na bok, nos odpływa za

policzek, za to wydłużają się ręce. Widok jest tak komiczny, że przestaję się złościć.

– Słuchaj, koleś... może ciebie też będę kiedyś musiał wyciągać! Spadaj! Bo mi się żółtodziób przekreśli!

Do hakera w końcu dociera, że sprawa jest poważna. Przestaje sięgać do mojego kanału, za to wyciąga coś w rodzaju latarki i oświetla Imperatora. Jakiś półaktywny program skanujący. Niech sobie patrzy, niczego tajnego w moich metodach nie ma.

– System klienta pod kontrolą – szepce Windows Home.

Nigdy nie wiadomo, jak będzie wyglądać wewnątrz cudzego komputera, na który patrzy się z Głębi. Dlatego zawsze wybieram najłatwiejszą drogę. Spycham Imperatora z tronu – zsuwa się na podłogę. Zajmuję jego miejsce, ściągam rękawiczki, biorę pomarańczową nić gołymi rękami, szarpie.

– Vika, terminal!

Przedemną rozwija się ekran. Aha, Virt Nawigator. Niezły system operacyjny, ale obliczony na człowieka z instynktem samozachowawczym, a nie na żółtodzioba eksperymentatora. Wyłączenie w nim timera to kaszka z mleczkiem.

I niedoszły władca galaktyki właśnie to zrobił. Jest w wirtualności od dwudziestu ośmiu godzin!

Nie mam ochoty grzebać się z timerem. Znajduję plik natychmiastowego wyjścia z Głębi i włączam. Deep program nie słucha od razu, pyta o potwierdzenie. I to się nazywa natychmiastowe wyjście...

Imperator cicho jęczy, chwyta się za głowę. Próbuje dojść do drzwi.

Zeskakuję z tronu, machnięciem ręki zwijając terminal. Chwytam mężczyznę za kołnierz, pcham w stronę tronu i rozkazuję:

– Zdejmij hełm! Wyłącz komputer.

– Ja... ja nie chciałem... – mamrocze Imperator.

– Rachunek za uratowanie dostaniesz później – ucinam. – Wyłaż, szybko!

Ręce mężczyzny sięgają do głowy, potem niepewnie młóć powietrze. Jego postać mętnieje, pomarańczowy sznur gaśnie. Zdejmuję okulary.

Haker pod dziurą tunelu jest niemal bezcielesny. Powoli kręci głową, rozglądając się. Tak właśnie powstają legendy o nurkach cudotwórcach.

– Idziemy – mówię do Nieudacznika. Ten ciągle krąży wokół hakera, zagląda w otwór tunelu, skąd wysypują się różne śmieci. – Chodź!

Muszę ciągnąć go za rękę jak dziecko. Zaciekawiony haker zostaje w pustej sali. Dziura w suficie powoli się zwęża, za dziesięć minut jego kanał zostanie przerwany. Ale niech sobie sam radzi z takimi drobiazgami, skoro taki z niego twardziel...

Drzwi prowadzą nas do niewielkiej sali – siedem innych wyjść i szyb windy. Gdzieś obok śni na jawie przywódca czerwonych mrówek, obmyśla chytrą strategię władca rozumnych meduz i inni maniacy gier...

– Co się tak przyssałeś do tego hakera? – pytam Nieudacznika w windzie. Ale on milczy.

Bóg z nim. Mam dosyć zastanawiania się nad jego dziwactwami.

Najważniejsze, że wyciągnąłem go z Labiryntu. I to pod nosem dwóch potężnych przeciwników!

Winda wywozi nas na ulicę Deeptown. Kręcę głową, rozglądam się. Widać wieżę America Online, długie rzędy hoteli, zieleń parku – to ogrody Giltoniel. Całkiem znośnie. Jesteśmy na granicy

rosyjskiego, europejskiego i amerykańskiego sektora miasta. Nieudacznik podnosi głowę i mówi:

– Gwiazdy i planety... władca Syriusza!

Idę za jego wzrokiem. Nad budynkiem, z którego wyszliśmy, mieni się czerwona reklama:

STARS&PLANETS: MASTER OF SIRIUS!

Znana firma. Warto im zaproponować usługi nurka – łatwa praca, stała płaca.

– Nieudacznik, jaki jest twój język ojczysty? – pytam.

– Nie znasz go – opęda się.

– Może BASIC? Śmiejemy się obaj.

– Dobra – mówię. – Żyjesz. Nie jesteś tworem rozumu komputerowego.

– Dziękuję.

– Ale w takim razie kim jesteś?

Nieudacznik wzrusza ramionami. Ogląda przechodniów z ciekawością człowieka, który po raz pierwszy znalazł się w wirtualności.

– Zdejmij maskę – radzę i sam ściągam z niego respirator. – Po co straszyć ludzi.

– Jeszcze gdzieś pójdziemy? – pyta Nieudacznik.

Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Bałem się natychmiastowej pogoni, pościgu, zamieszania i krwi. Wtedy od razu polecilibyśmy do Różnych Zabaw.

– Połazimy trochę – postanawiam. – Byłeś w ogrodach elfów?

– Nie.

– To idziemy. Rozrywka całkiem... – zaczynam, ale najwidoczniej dzisiaj nie jest mi sądzone wystąpić w roli przewodnika wycieczek.

Na wieczornym niebie, gasząc gwiazdy, pojawia się tęcza. Słysząc brzęk kryształu. To przekaz ogólnosieciowy. O ile pamiętam, włączali go do tej pory może z pięć razy.

Domyślam się, co powiedzą teraz.

– Taksówka! – krzyczę, wyciągając rękę. Po chwili obok mnie zatrzymuje się samochód; wpycham do środka Nieudacznika, wsiadam sam. Kierowca, młodzianka kędzierzawa Murzynka, odwraca się do nas z uśmiechem.

Nie mam przy sobie rewolweru, więc wciągam rękawiczki i ogłuszam dziewczynę uderzeniem pięści. Nieudacznik nie protestuje, może zaczął odróżniać ludzi od programów.

– Do domu publicznego Różne Zabawy – rozkazuję. Dziewczyna posłusznie rusza, samochód zrywa się z miejsca.

– Obywatele Deeptown!

Głos płynie zewsząd. Nie można się przed nim ukryć w przytulnym wnętrzu samochodu czy za ścianami domów.

– Zwraca się do was Jordan Rade, komisarz służby bezpieczeństwa miasta...

Znam Rade'a. Porządny gość, chociaż Amerykanin. Jeden z tych, którzy gotowi są kontaktować się z nurkami i znosić drobne przestępstwa w imię życia samej Sieci.

– Przekazują ważną wiadomość... proszę zwrócić uwagę – mamrocze Murzynka.

Jakbym mógł nie zwrócić!

– Mniej więcej pół godziny temu na terenie Labiryntu Śmierci popełniono przestępstwo

zagrożające istnieniu Deeptown – mówi Rade.

Matko Boska! Co on gada?

– Dwóch ludzi, z których jeden jest nurkiem, zostało oskarżonych o użycie broni wirusowej zabronionej przez Konwencję Moskiewską. To polimorficzny wirus o nazwie Warlock 9000, z nieograniczoną możliwością rozprzestrzeniania się...

Co za bzdury! Maniak nigdy by nie wypuścił takiego wirusa!

– Jedną z właściwości jego działania jest przejęcie zarządzania sprzętem komunikacyjnym. Wśród poszkodowanych są korporacja Al Kabar i Labirynt Śmierci...

Wszystko jasne. Gdy walczący ze sobą przeciwnicy zrozumieli, że zwierzyna dała nogę, połączyli siły. I zwalili na mnie wszystko, ze zniszczeniem trzydziestego trzeciego poziomu włącznie.

Spróbuj im teraz udowodnić, że Warlock tylko przewiercił tunel i spokojnie umarł, jak przystało na porządny wirus dopuszczony do użytku. Nawet gdyby pokazać policji kod źródłowy wirusa, i tak nikt nie zaryzykuje uniewinnienia mnie. Warlock mógł w jakiś sposób oddziaływać na wirtualny świat Labiryntu.

– Do licha – szepczę.

– Źle? – pyta Nieudacznik.

– To nie jest właściwe słowo.

Sięgam przez ramę Murzynki, zdejmuję z panelu słuchawkę telefoniczną, wystukuję na klawiaturze adres Gilermo.

– Zaraz zobaczycie postacie używane przez podejrzanych w Labiryncie – kontynuuje Jordan. – Proponujemy tym osobom, by dobrowolnie zjawily się w zarządzie bezpieczeństwa Deeptown. Wszyscy, którzy znają tych ludzi, proszeni są o skontaktowanie się ze mną...

Na niebie płoną nasze portrety. Potem mnie i Nieudacznika zaczynają demonstrować w skali jeden do jednego i w ruchu.

Robi wrażenie, zwłaszcza widok, jak biczem odcinam Dickowi głowę.

– Skurczybyki... – mamroczę, odrywając się od szyby. Połączenie uzyskuję po dziesięciu sekundach.

– Hello!

– Witaj, Willy – mówię szybko. – Jak mam to rozumieć? Wahanie.

– A! Strzelec! Gdzie pan jest?

– W samochodzie.

Żadne ryzyko, ogłuszony program transportowy nie doniesie o swoim miejscu pobytu.

– Zaszło nieporozumienie – mówi pośpiesznie Gilermo. – Niech pan przyjedzie, wszystko załatwimy.

– Najpierw zdejmijcie zarzut.

– Strzelcu, to nie leży w mojej kompetencji... – wzdycha Willy.

– Wielka szkoda. Jeszcze zadzwonię – obiecuję, kładąc słuchawkę na widełki.

Dojeżdżamy do burdelu i pojawia się nowy problem: co zrobić z samochodem? Zniszczyć program do końca? Niełatwe zadanie. Wypuścić? Wcześniej czy później Deep Przewodnik wznowi połączenie i wyśledzi trasę.

Będę musiał poprosić o pomoc samego Deep Przewodnika...

Wyciągam z kieszeni pudełko ze szmaragdowym żukiem i okulary.

– Nieudacznik, wysiadaj.

Wychodzę z samochodu za nim, wrzucam tępego owada do środka i zamykam drzwi. Rezultat jest natychmiastowy.

Deep Przewodnik nie troszczy się zbyt o ochronę swoich taksówek, godząc się na figle w rodzaju moich bezpłatnych, nierejestrowanych przejazdów. Ale próby przeniknięcia na swoje serwery przecina bezlitośnie. Takie prymitywne programiki jak mój żuk nie zdołają pokonać jego ochrony.

Taksówka rozpływa się w powietrzu, kanał połączenia zostaje przecięty, gdy tylko żuk zaczyna próbować wejścia na cudzy komputer.

– Idziemy – ciągnę Nieudacznika za rękę. Jeśli w holu akurat siedzą klienci, wdepnęliśmy na całego.

Ale mamy szczęście – hol jest pusty. Nie ma nawet ochroniarza.

– To dom publiczny – wyjaśniam Nieudacznikowi na wszelki wypadek. – Możesz przejrzeć albumy.

Kręci głową, że nie.

– I czemu mnie to nie dziwi?

Po korytarzach prawie biegniemy. Czekam, aż pracownice znowu zaczną wysuwać się ze swoich pokoi, ale panuje absolutna cisza. Nieudacznik podąża za mną.

– Można ci pogratulować, Leonid? – pyta Vika lodowatym głosem.

W chacie jest czysto, jakby nie było żadnego trzęsienia ziemi. Nie wiem, jak inni, ja taki porządek zaprowadzam w chwili kompletnego rozstroju nerwowego. Na stole pojawił się malutki magnetofon. Vika przebrała się, teraz jest w szarych dzinsach i szarym swetrze.

Sądząc po głosie, czeka na wyjaśnienia.

– Słyszałaś komisarza?

– A kto go nie słyszał? – Vika wstaje, a ja szybko się cofam. Gdy kobieta jest w takim nastroju, najlepsze, co może zrobić mężczyzna, to nie stawiać oporu. – Więc uratowałaś... przyjaciela. Uratował cię, koleś?

Nieudacznik wzrusza ramionami, uśmiecha się i Vika odrobinę zmniejsza obroty.

– Jak się nazywasz?

– Nieudacznik.

– Aha. No więc, przyjacielu, nie kuś losu i postój sobie spokojnie przy oknie!

Nieudacznik posłusznie idzie do okna, a Vika przystępuje do ataku. Wybrała niewłaściwą osobowość – to maniera Madame.

– Więc go uratowałaś. Załatwiłaś Al Kabar i Labirynt?

– Vika, oni kłamią! – mówię szybko. – Warlock to lokalny wirus, odpowiada wymaganiom Konwencji!

– O nurku też kłamią? – krzyczy Vika. Wreszcie rozumiem, co ją wyprowadziło z równowagi. – Kłamią? A może to ktoś inny tu kłamie?

Mam nieduże doświadczenie w dostawaniu w twarz. Trzymam się za płonący policzek i stoję jak słup. Nieudacznik posłusznie patrzy w okno, ale trudno było nie usłyszeć plaśnięcia.

– Nurek? – wścieka się dalej Vika. – Nurek? A ja, skończona idiotka, jeszcze ci proponowałam pomoc! Nie mogłeś mi powiedzieć, że sam jesteś nurkiem?

– Nie... – szepczę.

– Dlaczego? Nie ufasz mi?

Nigdy nie uwierzę, że Bóg stworzył kobietę z żebra Adama. Wykonał ją, tak samo jak mężczyznę, z gliny – tylko zupełnie innego rodzaju.

Zupełnie inne powody budzą w nas gniew.

– Bałem się, że cię stracę.

– No i... – zaczyna Vika i milknie.

– Nie można kochać człowieka, który widzi Głębię bez iluzji. Wiem to, Vika, próbowałem się otworzyć. To zawsze... zawsze się staje. Zaczęłaś mnie nienawidzić. Niezauważalnie. I nie zdawałaś sobie sprawy, w czym rzecz...

Mówię i wiem, że to już koniec. Możemy zostać przyjaciółmi, niczym więcej. Żadna kobieta na świecie nie pokocha mężczyzny, który widzi jej twarz jak mozaikę kolorowych kwadracików.

– Tak, powinienem był ci powiedzieć – szepczę. – Od razu. Wybacz, nie mogłem. A tobie starczyłoby odwagi, żeby powiedzieć, że jesteś nurkiem?

Vika milczy. W jej oczach widzę łzy, których naprawdę nie ma. Między nami jest mur – teraz i na zawsze.

– Nie – mówi cicho. – Ja też nie mogłam... ja... bałam się, że cię stracę.

Chyba zwariowałem.

Tylko co z tego, skoro obejmuję Vikę i pomiędzy nami nie ma żadnych murów...

– Moja praca... to przez nią. To takie wstrętne, gdy wszystko jest prawdziwe... nie wiem, dlaczego tak wyszło... było zbyt ohydnie... przestraszyłam się i wypadłam z Głębi...

– My mówimy „wynurzyłem”... Wynurzyłam...

Nieudacznik patrzy na góry. Zuch, gotów jest stać tak cały dzień.

– Zawsze się wynurzam. Dlatego biorę na siebie najbardziej ohydne typy... i tak mi wszystko jedno...

Mam na końcu języka pytanie, którego nigdy nie zadam. Ale Vika odpowiada sama:

– Tam, nad rzeką... nie wychodziłam z Głębi. Po raz pierwszy w życiu. To prawda.

Wierzę jej. Jak wszyscy mężczyźni od stworzenia świata. W tym świecie tylko nasza wiara staje się prawdą.

Vika przygotowuje kawę, nawet Nieudacznik się ożywia. Siadamy przy stole, świeża śmietanka w malutkim dzbanuszkę, w cukiernicze góra białego cukru, pełna butelka ahtamaru czeka na swoją kolej. Zresztą Vika od razu nalewa koniak do kieliszków.

– Za twój sukces, Lonia.

– Marny sukces.

– Dlaczego?

– Ogólnosieciowy list gończy.

– I co z tego?

– Będę musiał wyjść. Ta postać jest spalona, a Strzelca tu widziano.

– Kto? – Vika jakby nie rozumie całej złożoności sytuacji. – Moje dziewczęta?

– Na przykład.

– Nikomu nie powiedzą. A może myślisz, że wirtualne prostytutki współczują możliwym tego świata? Wiesz, my tych wszystkich dyrektorów korporacji i prezesów firm widziałyśmy bez spodni. Ludzie, którzy lubią przed stosunkiem chłostać kobietę pejcem, nie budzą współczucia.

– Mówisz tak, jakby oni wszyscy byli zboczeńcami

– Oczywiście, że nie wszyscy – uśmiecha się Vika. – Ale zapamiętuje się właśnie takich gości. Żadna z naszych dziewcząt nie doniesie na Strzelca. Tym bardziej, że on nie urządzał orgii i nie wzgardził naszym towarzystwem.

– Naprawdę?

– Lonia, cały nasz personel jest z Rosji, Ukrainy, Białorusi. Kazachstanu. Jak myślisz, czy w tych krajach kwitnie miłość do polityków i ludzi wielkiego biznesu?

– Takich zboczeń nie zauważyłem.

– O tym właśnie mówię. Za twój sukces.

Pijemy koniak. Nieudacznik też się przyłącza. Jego twarz pozostaje obojętna, jakby pił herbatę.

– A Cyklistówka? – przypominam sobie. – Ten mnie na pewno zapamiętał.

– Nie ten typ. To silne przejawy nieprzystosowania... nie doniesie na ciebie.

– Mnie się wydał zdolny do wszystkiego. Vika bębni palcami po stole.

– Lonia... On zawsze sięga po czerwony album. To szczególna grupa, w której zezwala się na wszystko. Nie tylko łańcuchy, bicze i drobne radości sadystów, ale na każde bestialstwo. Zabójstwo, ćwiartowanie ciała, mogę nie mówić dalej?

– Gdybyś była tak miła.

– Otóż Cyklistówka się tym nie zajmuje. On przychodzi do nas rozmawiać.

– I tym dobił wszystkie dziewczęta?

– Lonia, gdy solidny wujcio zamawia czerwony album, zabiera dziewczynę do podziemi i z okrzykiem: „Jestem wampirem!” gryzie ją w szyję, to jest wstrętne, ale zrozumiałe. Ale gdy niepozorny gość siada przed dziewczyną i zaczyna z nią serdecznie rozmawiać... gdy traci pieniądze na to, żeby przez godzinę czy dwie udowodnić jej, że jest szmatą i zwierzęciem niegodnym żyć na Ziemi, to jest naprawdę koszmarnie. Uwierz mi.

– Dlaczego? – do rozmowy włącza się nieoczekiwanie Nieudacznik.

– Dlatego, że to przekleństwo. Prawo osądzania i prawo władzy. Prawo do prawdy. Łatwo poradzić sobie z idiotą czy bydlęciem, znacznie trudniej z kimś, kto uważa się za nadczołowieka. Mądry, czysty i bez wad. Generałowie walczący o pokój, władcy gromiący korupcję, zboczeńcy osądzający pornografię... Mój Boże, mało ich było? Może to przekleństwo, które wisi nad ludźmi? Gdy obiecują ci porządek, spodziewaj się chaosu, gdy walczą o życie, przychodzi śmierć, gdy bronią moralności, przemieniają się w zwierzęta. Wystarczy tylko powiedzieć: „Jestem ponad, jestem czystszy i mądrzejszy” – i przychodzi zapłata. Tylko ci, którzy nie obiecują cudów i nie stawiają się na piedestale, przynoszą światu dobro.

Czuję, że zaraz tu dojdzie do walki. Pospiesznie włączam się do rozmowy.

– Stop! Vika, tylko bez dysput na temat dobra i zła! W ten sposób dojdziemy do tego, że jedynymi sprawiedliwymi są zabójcy i złodzieje!

– Sam jesteś złodziejem – zauważa Vika.

– Pomagam tylko rozpowszechniać informacje.

– A kieszonkowcy uczą ludzi czujności. Tylko czy taka lekcja potrzebna jest matce sześciorga dzieci, której ukradli portmonetkę z całą pensją?

Mam milion kontrargumentów. Mogę wytłumaczyć, że w pracy nurka nie kradzież cudzych pików jest najważniejsza. Haker, który wchodzi w wirtualność może zrobić to z większym powodzeniem. Poza tym jest różnica pomiędzy kradzieżą, a kopiowaniem informacji – ja nie zostawiam za sobą pustych komputerów. Co to dla ludzkości za różnica, kto pierwszy wypuści na rynek nowy szampon czy lekarstwo na przeziębienie?

Ale nie chcę się kłócić z Viką.

– Przepraszam – dotyka mojej ręki. – Nie mam racji.

– Dlaczego nie? Dostałem za swoje.

– Przepraszam... Widzisz, Nieudaczniku, spadliśmy w świat czystej informacji. Świat, w którym wszystko jest dozwolone. Można walczyć, uprawiać rozpustę, łamać prawo. Prawa, a co najważniejsze – ludzka psychika, nie są jeszcze gotowe. Kar w Głębi praktycznie nie ma; nawet gdy ekskomunikują cię z Sieci, masz prawo wejść pod innym nazwiskiem. Można mieć nieprzyjemności, gdy kradnie się informacje, ale i tu środki prewencji są mizerne. Spróbuj udowodnić dwunastu przysięgłym, że to właśnie mister John Smith ukradł nową grę z serwera Microprozu, przekazał ją Wani Piotrowowi, a ten z pomocą Wang Ho wrzucił pirackie wydanie na rynek. Świat przestępstw nie do udowodnienia i nieprawdziwych śmierci. Tylko ból w duszy jest prawdziwy, ale kto zmierzy ból, który prześliznął się po przewodach i ścisnął cię za serce? Nie zostało nam nic poza moralnością. I oto okazało się, że być sprawiedliwym czy łajdakiem jest znacznie wygodniej niż być człowiekiem. Po prostu człowiekiem, prawdziwym człowiekiem.

– A jaki właściwie jest ten człowiek? – pyta Nieudacznik. – Po prostu człowiek, prawdziwy człowiek?

– Wyjaśniłbym ci – odpowiadam – gdybym był Bogiem. Skończcie już, dobra?

– Ale mnie to naprawdę interesuje. – Nieudacznik nadal mówi spokojnym, niemal obojętnym tonem, ale w oczach zapala się ogień podniecenia.

– Ty jesteś człowiekiem.

– Dlaczego?

Właśnie, dlaczego? Przecież jeszcze niedawno gotów byłem uważać go za program. Jestem strapiony, ale Vika też na mnie patrzy, czekając na odpowiedź:

– Nie wiem. Nie strzelałeś do ludzi w Labiryncie, ratowałeś nieistniejące dziecko. Ale to akurat czysta głupota. Cytujesz Carolla w oryginale, ale człowiek to nie zbiór wykutych na pamięć książek... Jesteś trzecią dobą w Głębi i nadal się trzymasz.

Vika patrzy na Nieudacznika ze zdumieniem.

– Nie wiadomo, jak wszedłeś w wirtualność... ale to wcale nie dowód na to, że się jest człowiekiem, przeciwnie...

Cierpliwie czeka.

– Wiesz, to musi być w nas – mówię niespodziewanie dla samego siebie. – Dla mnie jesteś człowiekiem... bo chciałbym być twoim przyjacielem.

Teraz chyba Nieudacznik jest zakłopotany.

– Tutaj, w Głębi, wszyscy nosimy maski. Może to lepiej, bardziej prawdziwie. Nie wiem. Może w realu okażesz się antypatycznym tytkiem. Ale tu i teraz uważam cię za człowieka. Tego nie da się wyjaśnić.

– Może w takim razie lepiej, że nie mogę wyjść? – pyta Nieudacznik, zerka na Vikę, uśmiecha się zmieszany. – Przecież nie – jestem człowiekiem.

– No, to jesteśmy w domu. Obłądu część druga.

Vika przygląda się Nieudacznikowi z uśmiechem, a ja czuję chłód w piersi.

– Vika... on nie kłamie. On nigdy nie kłamie – mówię, wstając. – Jeśli nie chce odpowiedzieć, po prostu milczy. – Biorę ją za rękę i odciągam od stołu. Nieudacznik obserwuje nas, smutny i spokojny.

– Żartowałeś? – Vika patrzy pytająco na Nieudacznika.

– Nie. V|

– On nie umie żartować – potwierdzam. – Nie możesz wyjść z Głębi?

– Nie.

– Jesteś człowiekiem?

– Nie.

– Kim jesteś?

Milczenie.

– Widzisz? – prawie krzyczę. – Nie odpowiada!

– Minutę temu nazwałeś mnie człowiekiem – mówi Nieudacznik. – Nawet dodałeś, że chcesz być moim przyjacielem. To była prawda?

Teraz ja milczę.

– Mówiłeś, że prawda jest tu i teraz – ciągnie on. – Że w Głębi każdy może być samym sobą, bez makijażu. Tylko dusza... jeśli wierzy się w duszę.

– Tak – mówię. – Tak. Nie kłamałem!

– W takim razie czego się boisz? Mojego wyznania?

Kiwam głową. Vika przytula się do mnie, czuję, jak drży jej ciało.

Nie sądziłem, że tak ją to przestraszy.

– Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej? – krzyczę.

– Mówiłem wystarczająco dużo, Leonid.

Vika zaczyna się śmiać. Zanosi się śmiechem.

– Obaj oszaleliście! Nie jesteście człowiekiem? – Wrywa się, podchodzi do Nieudacznika, bierze go za rękę. – Odpowiedz!

– Co dla ciebie znaczy pojęcie człowiek? Nieopierzony dwunożny!

– Nie jestem człowiekiem.

Koszmar trwa. Nieudacznik gra w swoją grę, Wika stropiła się, a ja nie wiem, jak rozerwać łańcuch nieudomówień i zagadek.

Istnienie komputerowego rozumu jest niemożliwe! Jeszcze nie czas, nie pora na jego pojawienie się! Ale nie mogę uznać słów Nieudacznika za kłamstwo...

Brzęczyk, który rozdarł ciszę, zabrzmiał jak wybawienie.

Vika odchodzi od Nieudacznika, otwiera drzwiczki kredensu, wyciąga rękę. Wśród puszek, pudełek i torebek leży telefon komórkowy.

– Tak? – mówi, nie odrywając wzroku od Nieudacznika. Głos w słuchawce jest pewny siebie i na tyle głośny, że słyszę go i rozpoznaję natychmiast.

– Poproszę ze Strzelcem.

– Z kim? – zdziwienie Viki jest bardzo naturalne.

– Ze Strzelcem. Proszę powiedzieć, że chce z nim rozmawiać Człowiek Bez Twarzy.

Robię krok i wyjmuję jej słuchawkę z ręki. – Mów.

– Po pierwsze, chcę panu pogratulować, Strzelcu. Po drugie, proponuję, żeby wyjść.

– Gównu – mówię krótko.

– Strzelcu, nie ma czasu na takie gierki. Stoję przy głównym wejściu, ale tym razem wyprzedzam konkurentów jedynie o kilka minut. Al Kabar zdołał wyśledzić waszą trasę. Wyjdźcie.

– I co dalej?

– Otrzyma pan obiecaną nagrodę. A ja dostanę Nieudacznika.

Vika, i Nieudacznik wszystko słyszą. Patrzę na jasnowłosego chłopca, który nie uważa się za człowieka. Na posępniejącą Vikę.

– Wydaje mi się, że on nie chce iść z panem – odpowiadam. – Przepraszam.

– Strzelcu, mieliśmy umowę.

– Nie obiecałem, że oddam panu chłopaka. Z Labiryntu go wyprowadziłem, reszta to już pańska sprawa.

– Dużo na siebie bierzesz, nurku.

– Ktoś musi podjąć decyzję.

– Cóż, ty już podjąłeś.

Głos znika. Sekundę później podłoga zaczyna wibrować, podrzuca nas do sufitu, ściany z bierwion trzeszczą, wyginają się. Spada na mnie obraz z wodospadem – szmer wody nad uchem przywraca mi przytomność umysłu.

Wstaję, pełnę po unoszącej się w górę podłodze. To nie trzęsienie ziemi. To wałą się ściany burdelu. To poddaje się ochrona, którą naiwnie wychwalał Komputerowy Mag.

Zresztą... skoro do chaty jeszcze się nie wdarli, zabezpieczenie wcale nie jest takie złe.

– Vika!

Pomagam jej się podnieść. Twarz Viki jest we krwi, rękaw swetra rozdarty.

– Bydlaki... – szepce.

Tylko Nieudacznik nie upadł – stoi przyciśnięty do ściany, rozkłada ręce, żeby utrzymać równowagę.

– Wyjdę z piekła... – zaczyna, ale huk kolejnego wybuchu zagłusza jego słowa. – To nieuniknione.

– Chcesz się poddać?

– Nie, ale...

– No to się nie ruszaj! – rozkazuję i lekko potrząsam Viką. – Są tu jakieś sznury?

Oszołomiona kręci głową.

– Potrzebne mi sznury!

Vika przenosi spojrzenie na okno. Zrozumiała.

– Można zeskoczyć...

– Siedem i pół metra, zabijemy się!

Na szczęście Vika nie zwraca uwagi na dokładność miary – nie uniknąłbym kolejnej awantury. Kobiety są ulepione z innej gliny niż mężczyźni.

– Na trzecim piętrze... – zaczyna, i w tym momencie drzwi się otwierają. Zrywam z ciała pas, który z szelestem przemienia się w bicz. Ale w drzwiach nie stoi Człowiek Bez Twarzy, nawet nie jego najemnicy. Balansując na swoich skrzydlatych kłapkach, wisi w powietrzu Komputerowy Mag. Korytarz za jego plecami wypełniają różnokolorowe rozbłyski. Patrzę na ten karnawałowy miraż i coś się ze mną dzieje – ruchy stają się wolniejsze, mniej precyzyjne...

– O, Warlock 9000! – wyje radośnie Mag na widok bicza w mojej ręce. Wpływa do pokoju, zatrząskuje za sobą, drzwi i moje nieoczekiwane wyhamowanie mija. – Vika, gdzie Madame?

– Jestem za nią!

– Burdelik atakują! – cieszy się dalej Mag. – Parter już zburzyli! Hamulec zadziałał, ale oni i tak się ruszają!

Podlatuje do mnie, chwyta za rękaw i pyta podniecony:

– Widziałeś tę iluminację? Teraz na ich modemy leci tyle niepotrzebnej informacji, że każdy komputer się zatka! No, oprócz bardzo dobrego... Vika, no to gdzie jest Madame?

– Wytrzymamy? – pyta Vika.

– Coś ty! Tam prawdziwi spece pracują! Ale to nic, wysmażymy taki protest, że im się odechce! Madame gdzie? Bez jej rozkazu nie włączę aktywnych systemów!

Po ciele Viki przepływa drżenie, jej postać poszerza się w piersi i biodrach, twarz rozplywa się jak wosk. Tak wygląda z boku nurek, który wynurzył się z Głębi i zmienia swoje ciało.

– Włączaj wszystko, co jest! – komenderuje Madame.

– Ojoj! – Mag w teatralnym zdumieniu otwiera oczy. Ciekawe, czy mógłby przez chwilę nie grać? – Wiedziałem, wiedziałem!

Jego ręce już są czymś zajęte – wydobywają z kieszeni mały pulpit i zaczynają wprowadzać jakieś komendy. – I tak nie wytrzymamy, Madame Vika!

– Musimy uciekać, Mag.

– Madame – Mag przyciska ręce do serca. – Nie dam rady tak od razu pomóc! Nurek by się przydał!

– Co tu ma do rzeczy nurek? – Macham ręką w stronę okna. – Potrzebny jest sznur!

– Żeby się powiesić? – chichocze Mag. Unosi nogi, siada na podłodze i zaczyna ściągać swoje klapki, nie przestając trajkotać: – Na drugim piętrze, to był numer... ten bałwan, co lubi trójkąty, no, ten, co nic o sobie nie mówi, ze strachu wyskoczył przez okno! Wpadł do basenu, młóci wodę rękami i krzyczy, że nie umie pływać, że jest deputowanym Dumy i że trzeba go ratować...

Rzuca mi klapki.

– Trzymaj! Nie ma ograniczeń mocy, wszyscy troje polecicie! Madame, czemu nie powiedziałaś, że Vika to twoja maska, przecież ja bym nikomu ani słówka... w końcu nie jestem papłą!

Biorę klapki do ręki. Skrzydełka poruszają się niespokojnie, muskają moje palce. Śmieszne – dla Maga Vika to maska Madame, dla mnie na odwrót.

– Ale będzie skandal! Koleś, a ty kim jesteś? Nieudacznik nie odpowiada. Może jemu, tak jak i mnie, kręci się w głowie od tej paplaniny? Komputerowy Mag przypomina wielozadaniowy system operacyjny, jednocześnie zajęty błaznowaniem i poważną pracą. Ja tak nie umiem.

– Dziękuję – mówię, próbując wstać. Mag trzyma mnie pod łokieć, gdy balansuję w powietrzu, przyzwyczajając się do tego niesamowitego uczucia. To nie to samo co reaktywny silnik, którego używa się na niektórych poziomach Labiryntu – to chodzenie po powietrzu.

– Jak po stopniach – szepce Mag. – Jakbyś wchodził i schodził po schodach.

– Mag, ile mamy czasu? – Madame rozgląda się po chacie, wieszka na ramieniu torbę Viki, potem zaczyna wyjmować z kredensu różne torebki i paczki i ruchami koszykarki ciskać w okno. Wątpię, żebyśmy mieli czas je pozbierać, ale nic nie mówię.

– Wystarczy tylko na pożegnalny pocałunek!

– W takim razie odłożymy go na powitalny. Mag, proszę cię zatrzymaj ich, ile zdołasz. Zagadaj albo coś w tym rodzaju!

– Spróbuję – nieoczekiwanie zakłopotał się Mag. – Tylko nie wiem... nie umiem...

– Vika, wróć do poprzedniego ciała – proszę, oglądając gabaryty Madame. Podchodzę do Nieudacznika; nadal stoi przyklejony do ściany.

– Słuchaj, jest mi wszystko jedno, kim jesteś, człowiekiem czy programem. Zgadzam się wyjść i z jednym, i z drugim!

W milczeniu patrzy mi w oczy.

– Nie chcę cię oddać tym łajdakom. Spróbuję cię uratować. Wierzysz mi?

Nieudacznik milczy.

– Nadal chcę być twoim przyjacielem – mówię. – Bez względu na to, kim jesteś.

Robi krok w moją stronę, a ja dorzucam:

– Proszę cię... nie pozwólmy tym bydlakom na radość ze schwytania nas!

Chyba powiedziałem nie to, co trzeba.

– Dobro na przekór złu? – pyta Nieudacznik.

– A jak inaczej? – odzywa się niespodziewanie Mag. Klapnął na fotel, założył nogę na nogę i nagle bardzo spoważniał. – Gdy nie ma punktu odniesienia, wszystko traci sens.

Nieudacznik bez słowa podchodzi razem ze, mną do okna. Vika – już nie Madame – stoi na

parapecie i z dziwną miną patrzy w dół.

– Co, masz lęk wysokości? – zadaję spóźnione pytanie.

– Nie przeciągajcie, dobra? – krzyczy z tyłu Mag. Oglądam się; Mag wali palcami w klawisze, a za ścianą rozlega się ryk niczym z turbiny rozpędzającego się boeinga. Ryk niemal zagłusza czyjś krzyk. Po drewnianych drzwiach przebiegają języki płomieni.

– Mag, a ty?

Komputerowy Mag uśmiecha się i wyciąga z kieszeni przedmiot mocno przypominający kurze jajko.

– Ja mam to.

– Co to jest?

– Zobaczycie – obiecuje Mag.

Vika i Nieudacznik zawisają na moich ramionach tak synchronicznie, że komendy nie są potrzebne. Przechodzę na parapet i stawiam nogę na powietrzu.

Powietrze mnie utrzymuje.

Wiatr uderza z boku, rzeka szumi sto metrów pode mną. Kręci mi się w głowie. Muszę wyjść, muszę wyjść z Głębi.

Tylko... nie chcę widzieć twarzy Viki jako kwadracików różnokolorowych pikseli.

Najpierw miałem zamiar wylądować na urwisku, ale teraz widzę, że to nie ma sensu. Ścieżka cała zawalona głazami... przekłete trzęsienie ziemi!

Płynę do przodu i w dół. Nad zboczem, nad urwiskiem, nad ryczącą górską rzeką, ku przeciwległemu zboczowi, gęsto porośniętemu drzewami.

– Nawet samolotem boję się latać – szepce Vika. Z trudem odrywam spojrzenie od przepaści pod nogami, patrzę na Vikę.

– Trzymaj się, malutka...

– Wynurzyłeś się?

– Nie!

Zamyka na chwilę oczy, potem podnosi głowę.

– Lonia, wyjdź! Nie męcz się!

Aha, niedoczekanie. Jesteśmy z innej gliny!

– Powodzenia, chłopcy! – krzyczy z tyłu Mag. Pewnie wychylił się przez okno.

– Chłopcy... – szepce oburzona Vika. – Wszyscy faceci są tacy sami!

– Vikunia, mam u ciebie tysiąc pocałunków! – ciągnie Mag. Teraz jego paplanina jest mi na rękę.

Do przejścia jeszcze sto metrów.

Patrzę w lewo – twarz Nieudacznika jest absolutnie spokojna. Wpatruje się w przepaść pod nami z radosną dziecięcą ciekawością. Oto, kto powinien był włożyć skrzydlate klapki!

Nie wiem, czemu Vika tak wysławiała tego Sigsgorda. Jej przestrzeń wcale nie jest gorsza.

A może nawet bardziej prawdziwa.

Sosnowe gałązki biją mnie po twarzy, przed oczami przepływa liliowa szyszka. Teraz jestem pewien, że takie szyszki istnieją.

Obchodzę sosnę po spirali, spływam coraz niżej. Skała, na której umościła się górska chata,

zostaje po tamtej stronie urwiska. Maga w oknie już nie ma.

– Łońka... – szepce Vika. Do ziemi zostało półtora metra, ale ona już mnie puszcza. Niepotrzebnie. Vika zeskakuje normalnie, ale ja i Nieudacznik jesteśmy w gorszej sytuacji. Przechyla mnie na lewą stronę, klapki młóć powietrze, ale nie mogą nas już utrzymać.

Bęc!

Czy nie za dużo upadków jak na jeden dzień? Tym bardziej w chińskim kombinezonie, który prawie nie tłumi siły upadku.

Zrzucam klapki i wstaję, chciwie łapiąc powietrze i pocierając bolący bok. Nieudacznik z jękiem siada w kucki.

Vika patrzy na nas zakłopotana.

– Boli, chłopaki?

– Nie, wszystko *cool!* – burczę, pomagając wstać Nieudacznikowi. Nad nami szczelny zielony baldachim, urwisko pięć metrów od nas. Huk wody zagłusza szelest igliwia pod nogami. Jak przyjemnie stać na twardej ziemi...

– Lonia...

– Najważniejsze, że się udało – ucinam. Przecież wiem, czym jest lęk wysokości. Sam nie mogłem przejść mostu w Głębi.

Wyrwaliśmy się z burdelu i to jest najważniejsze. Nie jesteśmy już w przestrzeni atakowanej przez ludzi Człowieka Bez Twarzy. Wokół nas są góry stworzone przez Vikę do własnego użytku. Góry, w których nigdy nie było ludzi. Przestrzeń w przestrzeni, tajemny świat żyjący własnymi prawami. Chata na urwisku to jedyne prowadzące do niego drzwi...

Z okna chaty bije gęsty pomarańczowo-czarny płomień, drewniane ściany błyskawicznie zajmują się ogniem.

„Zobaczycie” – powiedział Mag. Rzeczywiście, trudno nie zauważyć działania file-bomby. Jedyne przejście do normalnej Głębi dopala się na naszych oczach.

– Mam nadzieję, że był tam Człowiek Bez Twarzy – mówię.

– Co on ci obiecał za Nieudacznika? – pyta Vika. Zerkam na niedoszły przedmiot handlu i przyznaję się:

– Medal Bezkarłości.

– Co?

– Nie słyszałaś o nim? Otrzymał go Dibienko za stworzenie Głębi. Prawo do każdego działania w wirtualności.

Vika uśmiecha się.

– To więcej niż pieniądze – tłumaczę. – Umożliwienie wszelkich grzechów...

– Oszukano cię, Lonia.

– Dlaczego?

– Lonia. Medal dlatego jest wyjątkowy, że istnieje w jednym jedynym egzemplarzu. Każda stworzona kopia automatycznie uważana jest za podróbkę i ulega zniszczeniu. Znałam jednego chłopaka, który próbował zrobić taką kopię.

Śmieszne, ale nawet nie jestem zdumiony. Mrugam do Nieudacznika:

– Naprawdę jesteś ważnym ptaszkiem. Jeśli Dimka Dibienko gotów jest oddać za twoją skórę

swój największy skarb...

Nieudacznik kręci głową.

– Jestem ważniejszy.

Część czwarta

Głębia

Z rzeczy, które Vika wyrzuciła przez okno, ocalał tylko szklany słoik dżemu i paczka krakersów. Czysta kpina z praw fizyki. Reszta spadła w przepaść albo rozbiła się na kamieniach. Moim zdaniem nie było sensu robić zapasów jedzenia, ale słoik mimo wszystko wzięliśmy.

Pewnie inercja świadomości. Paniczna chciwość rozumu otoczonego dziką naturą.

– Masz jakiś plan? – pytam Vikę.

– Dlaczego ja? To ty zaproponowałaś ucieczkę przez okno – odpowiada rezolutnie.

– Nie było innego wyjścia.

– Było. W końcu jesteś nurkiem.

Kiwam na Nieudacznika

– A on?

Vikę ta kwestia zdążyła zmęczyć już po godzinie. Siadamy na miękkiej trawie, w cieniu drzew. Nad pogorzelskim chaty unosi się biały dymek.

W milczeniu patrzymy na Nieudacznika. Chodzi po zboczach, dotyka sosen, podnosi z ziemi igły i kamyczki. Mieszczuch, który po raz pierwszy znalazł się na łonie przyrody. Więzień, który nawiał z lochów zamku If.

– Leonid, ja chyba zbyt przekonująco mówiłam o komputerowej świadomości... – zaczyna Vika. – To zwykły człowiek, który zwyczajnie cię zwodzi.

– Jest od trzech dni w Głębi.

– Stymulatory. Albo też jest nurkiem.

– Nie można wyśledzić jego kanału połączenia.

– Dobrze zamaskowany.

– Polują na niego dwie wielkie firmy i Dibienko.

– Durniów nie brakuje.

Piękna rzecz ta brzytwa Okhama. Każdą mistyfikację wycina na czysto. Razem z mięsem.

– Vika, jesteś psychologiem... czy istnieją testy wykrywania człowieczeństwa?

Vika śmieje się cicho.

– Oczywiście, że nie. Nigdy nie były potrzebne.

– W jakiejś fantastycznej książce czytałem o metodzie sprawdzenia...

– I sądzisz, że schemat wymyślony przez pisarza przy filiżance kawy naprawdę zadziała?

– Warto spróbować – upieram się. – Są przecież instytuty zajmujące się problemem sztucznej inteligencji. Powinni mieć jakieś opracowania. Są fanatycy, którzy wymyślają abstrakcyjne testy... na zapas. Wyjdę z Głębi i połączę po Internecie.

– A jak wrócisz? Do tej przestrzeni nie ma już wejścia. – Vika śmieje się gorzko. – Obawiam się, że jest stracona na zawsze. Zamknięty system, będzie żył w komputerze sam z siebie.

– Dobry haker przebiję wejście.

– Ale wtedy to już będzie inny świat. Góry stawiają opór do końca. Jeśli się ktoś do nich wdrze, utracą wolność.

Rozumiem ją bardzo dobrze, ale nienawidzę takiego proroczego pesymizmu.

- Narysujesz nowe. Vika nie obraża się.
- Następnym razem wymyślę morze. Morze, niebo i wyspy.
- I nie zapomnij o zapasowym wyjściu.

– Przestrzenie żyją według własnych reguł... – Vika wstaje. – Stąd też może być wyjście, Lonia.

Gdy powstawały te góry, program szukał innych pejzaży na wszystkich otwartych serwerach. Ściągał stamtąd fragmenty... – uśmiecha się zakłopotana – ...i zostawiał wejścia. Malutkie. Jeśli znajdziemy jedno z nich, to się wydostaniemy.

To już brzmi lepiej.

– W ostateczności użyjemy Warlocka. Ale to ryzykowne... prześladowcy odnajdą ślad wirusa.

– Musimy stąd odejść – postanawia Vika. – Do zmroku jeszcze pięć godzin. Jeśli tamci zdołają odbudować chatę, lepiej być jak najdalej od niej.

Zatrzymujemy się dopiero wtedy, gdy słońce znika w palisadzie gór i gaśnie pomarańczowe światło chmur. Udało się przejść dziesięć kilometrów – to dużo. A nocą po górach chodzą tylko samobójcy.

Ostatni kwadrans zajęło nam zbieranie chrustu. Na szczęście jest go dużo na tym pograniczu lasu i alpejskich łąk. Razem z Nieudacznikiem przyciągamy zwałoną wiatrem sosnę. Kalecząc sobie ręce, obdzieram z niej małe gałązki i układam w mały szałasik.

– Wystarczy, chłopaki – decyduje Vika. Szybko i umiejętnie rozpala ognisko.

Kolacja jest symboliczna – dżem malinowy i krakersy. Nieudacznikowi wszystko jedno – przeżuwa z entuzjazmem elektrycznej maszynki do mięsa. Ja nie mogę przełknąć nawet kęsa. Mam ochotę na kawał pieczeni z ostrym sosem i zielonym groszkiem, do tego ze dwie butelki zimnego piwa. I to wszystko jest tuż obok! Wystarczy wyjść z Głębi, wejść na nowo, zajrzeć do Starego Hakera albo Trzech Prosiaczków...

Oboje z Viką patrzymy na siebie jednocześnie.

Nie wiem, czy ona marzy o wieprzowinie z piwem, czy o pstrągu z białym winem, ale na pewno nie o ciastkach z dżemem. Nie nadajemy się na Karlssonów z dachu.

– Nieudacznik, smakuje ci? – pyta Vika.

– Mhm...

– Co zazwyczaj jadasz?

– Różne świństwa.

Jej cierpliwość się skończyła.

– Posłuchaj mnie...

Nieudacznik cofa rękę znad krakersa i patrzy na nią pytająco. Ja i Vika siedzimy po jednej stronie ogniska, on po drugiej. Przeciwwaga.

– Mamy problem – zaczyna Vika. – I tym problemem jesteś ty. Możliwe, że nie do końca rozumiesz naszą sytuację... cóż, spróbuję skonkretyzować. Jeśli się pomylę, popraw mnie, dobrze?

Nieudacznik kiwa głową. Gdy wywierasz na człowieka presję, daj mu możliwość sprzeciwu. Choćby pozorną...

– Znalazłeś się w Labiryncie i nie mogłeś sam wyjść, tak? Leonid stracił masę czasu i forsy, żeby cię wyciągnąć, tak? I zrobił to. Tak?

Niezupełnie – początkowo Labirynt opłacał moją pracę. Ale ja się nie odzywam, a Nieudacznik posłusznie kiwa głową.

– Lonia uratował cię i przyprowadził do mnie. Gdyby cię wydał, dostałby ogromną nagrodę, ale on tego nie zrobił. W rezultacie został ogłoszony przestępcą, szukają go w całej Sieci. Tak? Potem mój zakład został zniszczony podczas próby pojmania cię. Można, oczywiście, odnowić program, ale swoją reputację Zabawy straciły na zawsze. Trzeba będzie zaczynać wszystko od początku.

– Bardzo mi przykro... – mówi cicho Nieudacznik. – Ja... ja nie miałem zamiaru sprawiać wam kłopotów...

– Poczekaj. Teraz znowu uciekamy. Jeśli jeszcze do ciebie nie dotarło, to informuję cię teraz: z tej przestrzeni nie można wyjść w zwykły sposób. Możliwe, że jakieś wyjścia istnieją. Ale czy

znajdziemy je w ciągu najbliższych lat, nie wiadomo. Ja i Lonia jesteśmy nurkami i możemy stąd wyjść w dowolnym momencie. Ale wrócić nie zdołamy i zostaniesz tu sam, pewnie na zawsze. Tak wygląda sytuacja... z moralno-etycznego punktu widzenia.

– Bardzo mi przykro – powtarza Nieudacznik.

– Teraz pomówmy o tobie, w końcu jesteś przyczyną wszystkich wymienionych wydarzeń.

Nieudacznik kuli się, ale milczy.

– Albo jesteś człowiekiem, albo zostałeś stworzony przez komputerowy rozum. To drugie jest bardzo wątpliwe. Jeśli jesteś człowiekiem, to najprawdopodobniej zdolnym samodzielnie wychodzić z Głębi i do niej wchodzić. Jak nurkowie, może nawet lepiej. Tak? W przeciwnym razie nie byłbyś taki świeżutki czwartego dnia w wirtualności. Możesz zaprzeczyć?

Cisza.

– Dopuszczam również inną możliwość – mówi Vika. – Półtora kilograma szarych komórek to znacznie większa zagadka niż gram krzemienia w mikroschemacie. Mogę sobie wyobrazić człowieka, który zdołał wejść w wirtualność bez użycia hełmu, modemu, deep programu... wyobrażam sobie jego zachwyty i szok. Dlaczego by nie zamącić w głowie innym, nie otoczyć się tajemnicą? Wszystko można prosto wyjaśnić... ale chcę, żebyś wreszcie zrozumiał, że to już nie są żarty. Teraz sprawiasz, że my cierpimy. Z każdą minutą coraz bardziej utrudniasz rozwiązanie konfliktu. Zrozum, nie możemy cię ciągle niańczyć!

– Ja... ja... jestem zmęczony... po prostu zmęczony... – Nieudacznik patrzy na mnie, jakby oczekując wsparcia.

Nic z tego.

– I ostatni punkt: rozwiązanie sytuacji – mówi Vika. – Ciągnięcie tego wszystkiego dalej to głupota. Przewlekanie konfliktu nie doprowadzi do niczego dobrego. Jeśli nie chcesz szczerze pogadać, nie ufasz nam albo nie masz ochoty psuć takiej ładnej legendy, powiedz, a my odejdziemy. Potem żółtodzioby będą układać bajki o tym, który zagubił się w Głębi... Ale jeśli uważasz, że zasługujemy na zaufanie, wyjaśnij, kim jesteś i po co to wszystko zaplanowałaś. Dwa wyjścia to niemało.

Vika milknie, a ja chyłkiem ujmuję jej dłoń i ściskam. Mnie nigdy nie wystarcza zdecydowania, by doprowadzić rzecz do takiej jasności, do sytuacji albo-albo.

– Ja... – Nieudacznik patrzy na ogień. Trzeszczy drewno, w niebo lecą ciemne iskry. – To moja wina. Jestem zmęczony, zmęczony ciszą... nie powinienem był tak postąpić...

– O czym ty mówisz? – pyta Vika. Pewnie zbyt ostro. Ale Nieudacznik jest teraz stropiony i zdeprymowany.

– Zbyt cicho – powtarza. – Nigdy się tego wcześniej nie rozumie. Dźwięki stają się martwe, kolory blakną. Sekundy wloką się niczym stulecia. Miliardy wieków. Uprzedzano mnie, ale nie wierzyłem.

Oddycha płytko, i wyciąga rękę do ognia. Płomień dotyka jego palców.

– Nie ma nic, ani bólu, ani radości. Wielka cisza. Wszędzie. Wieczne nic. A nic nie ma granic. Nie mogłem się oprzeć.

Jego ręka czule gładzi ogień.

– Nie mogę wam nic wyjaśnić. Odejdźcie.

Patrzę na Vikę. No, już ona mu nawtyka. Ale w oczach Viki jest odblask ognia. Czarna noc i czerwony płomień. Poczwała dotyk ciszy, o której mówił Nieudacznik. Jak ja za pierwszym razem.

Wstaję, odciągamy Nieudacznika od ognia. Autosugestia to potęga. Wsadziłeś dłoń w ogień – spodziewaj się pęcherzy na skórze.

Zmuszam go, żeby usiadł nad strumieniem i włożył rękę do zimnej wody.

– Robimy tak – mówię. – Teraz idziemy spać. Po prostu spać, żadnego mącenia sobie nawzajem w głowach. Ja i Vika mamy się wynurzyć, musimy normalnie zjeść. A ty... wedle uznania. Rano zdecydujesz, czego w końcu chcesz.

Nieudacznik milczy, trzyma rękę w wodzie.

Idę do Viki. Wygląda normalnie, ale jej stanowczość znikła.

– Jesteś podatna na hipnozę? – pytam. Vika prychna pogardliwie. Retoryczne pytanie, wśród nurków nie ma ludzi podatnych na hipnozę. Skoro jesteśmy w stanie przezwyciężyć otumanienie deep programu, to tym bardziej słów. – Właśnie o to chodzi – mówię. – Udawać głupka umie każdy. A pogrążyć rozmówcę w ciszy?

– Ja też jestem zmęczona – szepce Vika. – Jeszcze trochę i zacznę mówić takimi zagadkami, że sam Nieudacznik mi pozazdrości...

– Kładziemy się spać. Wynurzamy się, nie przerywając połączenia. Zjemy coś. Masz w domu coś do jedzenia?

– Oczywiście.

– No to super. Zjedz i się połóż. Rano wrócimy i postanowimy, co dalej.

Tak właśnie robimy. Zmuszam Nieudacznika, żeby mi pomógł, we dwóch łamiemy trzy naręcza świerkowych gałęzi, układamy przy ognisku.

Posłanie jest tak wygodne, że z trudem zwalczam pragnienie olania kolacji.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Powieki mam jak z ołowiu, z trudem je rozklejam. Na ekranikach płasa płomień, w nausznikach szelest gałęzi – Vika kręci się i układa wygodniej.

– Lonia, przerywasz zanurzenie? – pyta Windows Home.

– Nie.

Zdejmuję hełm, patrzę na zegarek.

Późny wieczór. Ale nie na tyle, żeby nie wypadało zajrzeć do sąsiadów. Piwo musi trochę poczekać.

Wyszarpnąłem sznur z kombinezonu wirtualnego, uspokoiłem zdenerwowany komputer i zerknąłem na siebie w lustrze.

Klown z gniazdkiem przy pasku. Przestraszymy staruszkę?

Trykot leży w brudach. Wciągnąłem go na kombinezon wirtualny, sznur zwinąłem i włożyłem pod pasek, zasłoniłem z wierzchu kurtką. Wyglądam nawet normalnie, tylko jakby lekko wzdęty.

Na klatce schodowej brzęczy gitara. Zerknąłem przez wizjer i otworzyłem zamki.

Towarzystwo młodocianych ulokowało się na półpiętrze. Ktoś szarpie struny, śpiewa:

Samotny ptaku, latasz wysoko...

Moje pojawienie się wywołało, nie wiedzieć czemu, konsternację. Tylko sąsiad z góry szybko

rzucił:

– Lonia, nie ma pan papierosa?

Pokręciłem głową, a chłopak zerknął na wypukłość trykotu. Akurat rozmiar paczki papierosów. Pewnie się nie domyśla, że niektórzy żyją z gniazdkiem przy pasie.

Zadzwoiłem do sąsiedniego mieszkania, poczekałem na szurające kroki i czujne: „Kto tam?” Wizjerowi i własnym oczom staruszka nie dowierzała.

– Ludmiło Borysowna, przepraszam bardzo – mówię do drzwi. – Mógłbym od pani zadzwonić?

Chwila wahania i rozlega się szcęk archaicznych zamków. Ledwie się przecisnąłem przez wąską szczelinę i drzwi się zatrzasnęły.

– Młodeż znowu siedzi? – zapytała Ludmiła Borysowna. Staruszka jest po siedemdziesiątce i nie ryzykuje dyskusji z małoletnimi chuliganami.

– Siedzi.

– Przynajmniej ty byś z nimi pogadał, Lonia! Bo tu już nigdy spokoju nie ma!

Dźwięków z klatki prawie nie słychać, drzwi babcia ma mocne, ale nic nie mówię.

– Na pewno powiem, Ludmiło Borysowna.

– A czemu twój telefon się zepsuł? Nie zapłaciłeś rachunków i wyłączyli?

Kiwam pokornie głową, zachwycony taką domyślnością.

– Lubisz sobie pogadać – burczy staruszka. Kiedyś mieliśmy telefon na równoległych numerach, ale coś takiego na dłuższą metę było, oczywiście, niemożliwe. Zapłaciłem za rozdzielenie numerów i jeszcze subsydiowałem babcie – poprzedni telefon kosztował ją nieco mniej. Chyba uznała mnie za idiotę.

Ale od tamtej pory nasze wzajemne stosunki uległy znacznej poprawie.

– Dzwon, późno już... – Ludmiła Borysowna wskazała na telefon, nie mając jednak zamiaru zostawić mnie samego.

Ciekawość nie grzech...

Wybrałem numer Maniaka, usiłując nie zwracać uwagi na brudną tarczę telefonu i lepka słuchawkę.

– Halo?

– Szura, dobry wieczór.

– Aha – powiedział zadowolonym tonem Maniak. – Jesteś, przestępco!

– Szura, oni...

– Dobra, wszystko wiem. Licencję na produkcję lokalnych wirusów mam, tu się nie przyczepią.

– Zarejestrowałeś Warlocka?

– Oczywiście. U samego Łozińskiego. Wszystkie kody źródłowe odpowiadają Konwencji Moskiewskiej, więc mogą się ugryźć w tyłek.

Czuję, jak opada ze mnie napięcie. Gdyby wirus nie był zarejestrowany u któregoś z twórców programów antywirusowych, Maniak miałby duże nieprzyjemności. Mogą mi co prawda zarzucić nieostrożne użycie broni i wyrządzenie szkód... ale w tym celu musieliby mnie najpierw znaleźć.

– Pytali cię, kto kupił wirusa?

– Jasne. Dałem im twój adres. Ten zdechły. Dwa lata temu, gdy zacząłem balansować na granicy

prawa, któryś z nurków poradził mi, żebym kupił kilka adresów i nigdy z nich nie korzystał. Na te właśnie nieistniejące osoby zrzucał były wszystkie wirusy, które brałem od Maniaka.

– Powiedziałem, że wirus kosztował cię tysiąc baksów – ciągnie Szura.

– Wiesz co, myślę, że powinienem...

– Uspokój się. Mam już pięć zamówień na Warlocka po tej cenie. – Maniak zachichotał z zadowoleniem. – Rewelacja! Za taką reklamę gotów jestem postawić Rade'owi piwo. Całe Deeptown huczy.

– Sprzedaż nie jest zabroniona?

– Na razie nie. Grzebią w kodzie źródłowym. Lepiej powiedz, gdzie byłeś półtorej godziny temu.

– No... jak zwykle.

Ludmiła Borysowna lekko zakaszła. Ciekawość walczyła w niej ze starczą chciwością. Oplata za każdą minutę to największy wróg komputerowców i gaduł.

– Jasne, w Głębi. Byłem u ciebie. Chciałem się z tobą napić piwa. Maniak nagle się spieszył:

– Wiesz co... wyjrzyj za drzwi.

– Po co?

– Zadzwoń do twoich drzwi, posiedziałem na ławce, napiłem się piwa. Znowu przyszedłem, zadzwoniłem. W końcu postawiłem pod twoimi drzwiami dwie butelki holsteina. Jasnego. Sprawdź, czy są?

Wydałem dźwięk przypominający skrzywienie starego czytnika.

– Szura, czyżby rano wprowadzili komunizm? Co z tobą?

– No, co? Zobacz, może stoją... – mruknął Maniak.

– Nie, nie stoją, dzwonię od sąsiadki.

– Do diabła z nimi.

W kontaktach z prawdziwymi komputerowcami mój intelekt czasem daje za wygraną. Może Szurka pomylił real z Głębią, gdzie cena piwa jest symboliczna?

– Jakbym komuś opowiedział, nie uwierzyłby...

– Ten, co wypił, uwierzy – zauważył posepnie Maniak.

– Słuchaj, przyjdź jutro rano, o dziesiątej – proszę. – Musimy pogadać.

– Tylko nie zapomnij się wynurzyć. Przyjdę.

– Na razie, Szurka.

Odłożyłem słuchawkę, popatrzyłem na Ludmiłę Borysowną lekko zakłopotany.

– Długo?

– Trudno, co tam – staruszka macha ręką. – Interesy, czyja tego nie rozumiem? Sprzedajesz coś?

– Piwo – rzucam na chybił trafił.

– Ja też się kiedyś lubiłam piwa napić. Ale czy to na emeryturze może sobie człowiek pozwolić?

– Ludmiło Borysowna, pozwoli pani, że panią poczęstuję? – proponuję radośnie. – Akurat mam kilka służbowych butelek w domu!

Najlepsze wyjście z sytuacji. W przeciwnym razie staruszka na pewno przyleci do mnie, żeby skorzystać z mojego telefonu... w ramach rekompensaty za poniesioną stratę. A osoby o słabych nerwach nie powinny zaglądać do mojego mieszkania.

– Najwyżej buteleczkę... – ożywia się staruszka.

Gdy wynosiłem jej na klatkę butelkę oranienbauma, młodzież odprowadziła mnie ze schodów chciwym spojrzeniem. No cóż, dwie butelki lekkiego piwa na czterech zdrowych chłopaków to stanowczo za mało.

W śnieżnym wnętrzu zamrażalnika znalazłem skostniałą kielbasę. Z konserw została tylko puszka kilek kupiona albo w okresie totalnego braku kasy, albo z sentymentu.

Spać mi się chciało strasznie, ale mimo wszystko podgrzałem nieszczęsną kielbasę, wziąłem otwieracz do konserw, postawiłem przed sobą dwie butelki czeskiego urqela. Kolacja przy świecach – świece płonęły na monitorze komputera, włączył się wygaszacz. Dobiegający z hełmu trzask ogniska był szalenie na miejscu.

A, do diabła z całą tą Głębią i z Nieudacznikiem. Teraz, w realu, wszystko, co się działo tam, wydawało się teatrem absurdu. Jeśli jutro rano Nieudacznik nie pęknie, ja i Vika wychodzimy z przestrzeni gór. Na zawsze. Niech opowiada swoje bajki skałom i sosnom. One go docenią.

Łyknąłem zimnego piwa i cichutko jęknąłem z zadowolenia. Zacząłem otwierać puszkę z rybami. Odciałem wieczko, podważyłem widelcem...

I o mało nie spadłem ze stołka.

Z puszek patrzyła na mnie z wyrzutem setka rybich łebków.

W wirtualności podobna sztuczka by mnie nie zdziwiła. Ale w realu...

Podniosłem oblane pomidorowym sosem główki, próbując znaleźć choćby jedną całą rybkę. Nic z tego. Zrobione z niezwykłą starannością. Wyobraziłem sobie kombinat rybny... taką pływającą maszynę... a może kilki pakuje się do puszek na brzegu? Taśmociąg z taką niskogatunkową produkcją. Otepiałe od rybiego zapachu i monotonnej pracy dziewczęta przy taśmociągu. Jedna z nich zdejmuje z taśmy pustą puszkę i zaczyna do niej wciskać rybie łebki. Taki żart.

Zaśmiałem się, wzdrygnąłem i zamknąłem puszkę. Nie miałem wprawdzie kolacji, ale nie czułem żalu do nieznaney robotnicy. Przeciwnie. Wszystko pasowało idealnie.

Przysałem się do butelki i szybko wykończyłem pierwszego pilznera urquela.

Zachciało ci się cudów, nurku? Sztucznej inteligencji, ludzi wchodzących bezpośrednio w wirtualność?

Ocknij się! Oto dostępne w naszym świecie cuda. Ukradzione piwo, rybie łebki faszzerowane oczami, duchota i brud starczego mieszkania, małaletnia łobuzeria na schodach, uciążliwe kapanie z kranu w kuchni.

To właśnie jest życie. Bez względu na to, jakie głupie i nudne. A tam, wewnątrz hełmu, istnieje stworzona przez komputery i podświadomość bajka. Nasz elektroniczny eskapizm.

Otworzyłem drugą butelkę piwa, wziąłem puszkę, wyszedłem na balkon i wyrzuciłem jej zawartość na mizerne krzaczki. Koty dachówce czeka tej nocy uczta.

– To nieetyczne – powiedziałem sam do siebie z wyrzutem. W mój mózg, nie gorzej niż w program Viki, wbito, że nie wyrzuca się śmieci za okno.

Z resztką piwa poszedłem do toalety. Rozpiąłem kombinezon, spoglądając na butelkę. Nie miałem już ochoty na piwo.

– I po co ten długi, nużący proces? – zadałem sobie retoryczne pytanie i wylałem piwo do sedesu.

Dowlokłem się do pokoju, wyłączyłem światło. Ile można spać nad biurkiem z elektronicznym garnkiem na głowie? Było cicho, bardzo cicho. Nawet młodziaki na półpiętrze przestali się znęcać nad gitarą.

Tylko równy szum komputera i migotanie świec na monitorze.

Przekręciłem się, wtuliłem twarz w poduszkę. Sen nie nadchodził. Tam, w Głębi, leży nieruchome, martwe ciało Strzelca. Nie smutno mu tam beze mnie? Jest w tym coś ze zdrady.

– Ostatni raz! – jęknąłem, wstając. Włożyłem hełm, wetknąłem wtyczkę kombinezonu w port. Położyłem ręce na klawiaturze.

Deep

Enter.

We śnie przytulam się do Viki, ona coś mamrocze, odwracając się na drugi bok. Jej głos jest bardzo cichy, ale i tak się budzę.

Więc też śpi w Głębi.

Ognisko dogasło. Pewnie zaraz wstanie świt, ale ciemność jeszcze nie odeszła. Tylko czerwone błyski dopalającego się ognia. Nieudacznik leży z boku nieruchomy jak głaz. A gdyby cię tak kopnąć, chłopczyku? Czy jesteś tu z nami, czy wyszedłeś z Głębi i wysypiasz się w miękkim ciepłym łóżeczku?

Patrzę na niebo, na czarny skrzający się kryształ. Jak to powiem działem Vice? „Ukradli nam niebo...”

Tak, ukradli. Im więcej ludzi odejdzie w Głębię, tym bardziej odległe staną się gwiazdy.

Zresztą nie chodzi tylko o gwiazdy. Zawsze znajdą się tacy, dla których ten świat jest niedostępny. Zagubione małolaty, które nie mogą znaleźć pracy, dziewczęta z zakładów rybnych... Najpierw ułożone rzędami rybnie łebki w puszcze. Żart czy bezgłośny krzyk, protest? Najpierw rybne głowy. Dopiero potem zaczną z karków spadać ludzkie.

Czy czeka nas powtórne przyjscie luddytów? Bunt przeciwko maszynom, coraz bardziej niezrozumiałym i przerażającym? Czy ktoś znajdzie wyjście?

Odwracani się, patrzę na Nieudacznika. Jeśli jesteś rozumem Sieci, jeśli jesteś człowiekiem, który pokonał wirtualność, to właśnie ty możesz być tym wyjściem. Przerwaniem bariery, wydostaniem się ze ślepej uliczki. Dibienko – jeśli Człowiek Bez Twarzy to rzeczywiście on – świetnie to rozumie.

Czy warto bawić się w szlachetność i ukrywać Nieudacznika, jeśli on jest ratunkiem, połączeniem światów?

Nie wiem. Jestem tylko zwykłym człowiekiem, któremu przypadkiem trafiła się idiotyczna odporność na deep program. Dzięki temu zarabiam na kawałek chleba, czasem z grubą warstwą masła i kawioru. Ale nie mnie ratować świat, nie mnie decydować, co jest dla niego dobre, a co złe.

Nie mam nic poza tą śmieszną, staroświecką moralnością, o którą martwi się Vika. A moralność to taka sprytna sztuczka, która nigdy nie daje odpowiedzi – przeciwnie, przeszkadza ją znaleźć.

Lepiej być sprawiedliwym lub łajdakiem niż człowiekiem.

Czuję gorycz, robi mi się nieprzyjemnie. Tak mógłby się czuć prowincjonalny sportowiec, którego włączono do reprezentacji olimpijskiej i kazano walczyć z mistrzami. To nie mój los...

Wtedy w niebie rodzi się dźwięk.

Znowu przekręcam się na plecy, wpatruję w czarny pęknięty kryształ. Przez cały nieboskłon biegnie błękitny pas. Oślepiająca strzała mknąca w dół.

– Co to jest, Lonia?

Vika siada i odsuwa włosy z twarzy. Kiedy się obudziła?

Albo kiedy ja zasnąłem?

Co jest wokół – sen czy jawa?

– Meteoryt – odpowiadam Vice.

Błękitna strzała jest coraz niżej; cieniutki śpiewny trel to jej tren, płomień na końcu – ostrze.

– To spadająca gwiazda – bardzo poważnie mówi Vika i już wiem, że jednak śpię.

Nieudacznik nadal się nie rusza.

Szczelina rozcina niebo do końca i wbija się w ziemię. Błękitny pas gaśnie, niebo umie leczyć swoje rany. Tylko tam, gdzie gwiazda dotknęła gór, płonie blady ogień.

– Obiecałeś, że znajdziemy gwiazdę – mówi Vika.

We śnie wszystko jest proste. Wstaję, podaję Vice dłoń, przechodzimy przez Nieudacznika i zaczynamy schodzić ze zbocza. To nie powinno być tak, do gwiazd idzie się pod górę, ale nie można interweniować w sny.

Błękitne światło płonie na trawie, nie parząc i nie rzucając cienia. Gwiazda spadła w jar pomiędzy wzgórzami. Nieco dalej jest skupisko skał, zupełnie tu niepasujące, jakby wyrwane z innego świata. To jest z jakiegoś powodu ważne, ale teraz patrzymy tylko na gwiazdę.

Czysty płomień, puszysta ognista kulka – można ją schować w dłoniach.

Wyciągam ręce, dotykam gwiazdy i czuję delikatne ciepło, jakbym podstawiał dłonie wiosennemu słońcu.

– Teraz już wiem, czym są gwiazdy – mówi Vika. – To kawałeczki pogodnego nieba.

Chcę podnieść gwiazdę, ale Vika mnie powstrzymuje.

– Nie trzeba. I tak się zmęczyła.

– Czym?

– Ciszą, samotnością...

– Ale teraz my jesteśmy przy niej.

– Jeszcze nie. Przeszliśmy swoją drogę, ale to dopiero połowa. Pozwól jej w nas uwierzyć.

Wzruszam ramionami, nie umiem kłócić się z Viką. Chcę się do niej uśmiechnąć, ale jej już nie ma obok mnie. Został tylko głos.

– Lonia, obudź się! Co za głupota, po co...

– Lonia, Nieudacznik znikł! Otwieram oczy. Świta. Różowe światło na wschodzie. Przestraszona twarz Viki.

Nieudacznika przy ognisku nie ma. Sen to wielki kłamca.

– Do diabła! – syczę i zrywam się. – Kiedy poszedł?

Vika poprawia włosy takim samym gestem jak we śnie.

– Nie wiem, Lonia, przed chwilą się obudziłam i już go nie było.

– Oto odpowiedź – mówię, rozglądając się. – Oto odpowiedź...

Nieudacznik uciekł. Zmył się z Głębi. Więc wszystko na próżno?

Nie, nie wszystko. Dzięki niemu poznałem Vikę.

– On nas ze sobą poznał – Vika powtarza moje myśli. – Dzięki choć za to.

Obejmuję ją, chowam twarz w jej włosach. Stoimy tak długo, świt się rozpala, śnieżna czapa

górskiego giganta lśni na tle nieba. Nie ma tu ptaków, pewnie Vika zapomniała je zrobić. Ale góry ożywają i bez nich, napełniają się szmerem wiatru, szelestem liści i traw.

– Zrobię dla tych gór ptaki – szepczę. – Jeśli uda się odbudować twoją chatę...

– Nie chcę zmieniać gór, są wolne! – sprzeciwia się natychmiast Vika.

– Ptaki też są wolne. Po prostu wypuszczę je przez okno i powiem: płódźcie się i rozmnażajcie.

Vika śmieje się cicho.

– Dobra, spróbuj.

– Co tu jest do próbowania? – strugam ważniaka. – Prosty program... Postudiuję Brema, stworzę algorytm zachowania. Najpierw narysuję wszystkie zięby i wróbelki, potem kanie. Biogeocenoza... tak? Zapomniałem, chyba w piątej klasie nas tego uczyli, na lekcjach przyrodoznawstwa.

– Biolog się znalazł. Może też klapki Zuko wypuścisz na wolność? Lonia, wynurzymy się? Pójdziemy do jakiejś restauracji. Byłeś na Różowym Atolu?

– Nie.

– Ładne miejsce. Schulz i Brandt je rysowali. Ja zapraszam.

– Dobrze. Tylko najpierw poszukajmy...

Vika odrywa się ode mnie i pyta ostro:

– Kogo?

– Nieudacznika.

– On już wyszedł z Głębi, nie rozumiesz tego?

– Rozumiem. Ale jednak poszukajmy, dobrze? Może poszedł zrobić siusiu i spadł w przepaść?

– I dobrze mu tak... – mamrocze Vika, ale już wiem, że się zgadza.

Najpierw idziemy wzdłuż krawędzi najbliższego urwiska, zaglądamy w dół. Potem Vika przeszukuje dolinę z lewej strony strumienia, ja z prawej. Wzrok mimo woli biegnie w dół, do jaru, w którym we śnie znalazłem gwiazdę. Tam naprawdę widać jakieś skały.

Ale obowiązek przede wszystkim. Muszę się upewnić, że Nieudacznika naprawdę już tu nie ma.

Nawet wchodzę pod górę, po naszych śladach. Wyłącznie po to, żeby ostatecznie uspokoić sumienie.

W wąziutkiej szczelinie, którą z łatwością przeskoczyliśmy w świetle dogasającego dnia, odnajduję Nieudacznika.

W milczeniu stoję nad szczeliną, patrząc na niego z trzymetrowego załomu. Mijają dwie minuty, zanim on się upewnia, że go zauważyłem i podnosi głowę.

– Dzień dobry, Strzelcu.

Milczę. Nie mam już sił się złościć.

– Po ciemku było źle widać – mówi Nieudacznik. Porażająco genialna i nowa myśl.

Spadł z niedużej wysokości, ale miał pecha. Już z góry widzę, że prawą nogę ma spuchniętą i siedzi, starając się jej nie dotykać. Wyciągam zza pasa klapki, wkładam i zlatuję do niego na dół.

– Wybacz – mówi Nieudacznik, gdy biorę go na ręce i wydostaję ze szczeliny.

– Dlaczego? – pytam tylko.

– Żebyście się nie wahali. I tak nic nie mogę wyjaśnić.

– Głupi jesteś. Nocą po górach chodzą tylko samobójcy. Albo Czarny Alpinista.

– Nigdy nie byłem w górach. A kim jest czarny alpinista?

Do przełęczy jest kawałek drogi. Zdążam opowiedzieć bajkę o Czarnym Alpiniście i o towarzystwie, które zabrało w góry balowe suknie i smokingi. I jeszcze kilka prawdziwych historii.

Gdy podchodzimy do Viki, zapas moich górskich opowiadań jest na wyczerpaniu. Pod jej lodowatym spojrzeniem opuszczam Nieudacznika na rozłożone przy ognisku gałęzie i mówię:

– Co może być gorszego od wyjścia w góry bez sprzętu? Wyjście w góry z kaleką na rękach.

Ciekaw jestem, co ona teraz robi.

– Daj pasek.

Takiej agresji się nie spodziewałem.

– Vika, użycie Warlocka...

– Do licha! Nurek nedorobiony! Potrzebny mi sznur!

Nigdy się nie zastanawiałem, czy wirtualności można rwać ubranie na części. I nie chcę sprawdzać, górskie słońce jest zbyt ostre. Dlatego porzucam myśl podarcia na pasy własnej koszuli i oddaję Vice czarną apaszkę.

Ona długo zajmuje się nogą Nieudacznika, posępnie kręcąc głową, gdy chłopak jękiem reaguje na lekkie dotknięcie dłoni.

– Złamana goleń – stawia w końcu diagnozę. – Chyba bez przemieszczenia. Dziwne.

– W dodatku jesteś lekarzem?

– Nie. Pielęgniarką, ale ze stażem. Potrzebny mi sznur. Jednak przyjdzie poświęcić koszulę. A marynarka na gołe ciało to kompletny brak dobrego smaku. Umieszczamy nogę Nieudacznika w zaimprovizowanych łubkach.

– Jeszcze żadnemu idiotcie – dopiero teraz Vika daje upust furii, – jeszcze żadnemu kretynowi nie udało się złamać nogi w wirtualności. A co masz w realu? Też złamanie?

– Nie... – mamrocze Nieudacznik.

– Chwała Bogu!

Patrzymy na siebie – po wieczornej bojowości nie zostało ani śladu. Jedną rzecz porzucić w wirtualności kłamcę, a całkiem co innego – rannego w górach. I to, że góry nie są prawdziwe, niczego nie zmienia.

– Chodźmy do tych skał – proponuję.

– Chodźmy, widziałam je we śnie.

Wystarczy nam jedno spojrzenie, nic nie musimy mówić.

Nierealność nie ma praw.

Sen czy jawa – razem schodziliśmy do spadającej gwiazdy.

Skały rzeczywiście nie pasują do tej doliny. Lodowiec mógł – by tu przywlec głązy, ale nie takie gigantyczne bloki skalne.

– To chyba rzeczywiście wyjście w inną przestrzeń – przyznaje Vika, oglądając się na mnie. – Nie zmęczyłeś się?

Kręcę głową. Wprawdzie już ręk nie czuję od niesienia Nieudacznika, ale teraz nie mam głowy do głupstw.

– Jeśli w tym miejscu program wdarł się na czyjś serwer – rozważa Vika – to kanał będzie jednostronny. Wyjść wyjdziemy, ale uciec, w razie potrzeby...

– W ostateczności mamy Warlocka – mówię. Ale nie słyszę pewności w swoim głosie. Nie mam już ochoty spadać w niebieskie tunele. Zbyt dziwne obrazki widziałem po drodze.

– Dobra, chodźmy. Może tu w ogóle nic nie ma – Vika z westchnieniem robi krok do przodu. Idę w ślad za nią. Nieudacznik milczy. Albo czuje się winny, co byłoby całkiem słuszne, albo nie chce przeszkadzać – i dobrze.

Idziemy zwężającym się kanionem. W pewnym momencie podnoszę głowę, oceniając położenie skał. Najwyraźniej są wyżej, niż wydawało się nam z doliny.

To daje nadzieję.

Przejście staje się coraz węższe, trudno się przecisnąć. Zaczynam iść bokiem, może uda mi się nie zawadzić złamaną nogą Nieudacznika o skałę. A może powinienem był włożyć skrzydlate klapki? Za późno, w tej kiszce nie uda mi się tego zrobić. Vika z przodu klnie po cichu, jej też niełatwo. Złośliwie myślę, że Madame ze swoimi gabarytami dawno by utknęła.

Robi się zimno. Do skalnej szczeliny wdiera się lodowaty wiatr. To dobrze, to bardzo dobrze!

– Lonia – mówi stłumionym głosem Vika. – Jest!

Przed nami światło zasłonięte jej sylwetką. Vika odsuwa się, staje na jej miejscu. Na ostatnich metrach mimo wszystko zaczepiam nogą Nieudacznika o kamienie; biedak cicho jęczy.

Szczelina wyprowadziła nas w dziwne miejsce.

Też góry, tylko inne. Nie po prostu bezludne, ale dzikie. Jakby kiedyś istniało tu życie... a potem coś je zabiło. Ciemno. Chyba to dzień, ale niebo zasnute szczelnymi ciężkimi, ołowianymi chmurami. Z nieba wali leniwy mokry śnieg. Smutek, opuszczenie, samotność. W dół zbiega, pomiędzy czarnymi kłami skał, wije się wąska ścieżka.

– Co to jest? – pyta cicho Vika. – Co to, Lonia?

Rozglądam się. Rzeczywiście wyszliśmy w inną przestrzeń.

I chyba ją znam.

– Elfy – mówię. – To jakiś serwer graczy. Bawią się tu.

– Jak w Labiryncie? – odzywa się Nieudacznik.

– Inaczej.

– Daleko tak nie zajdziemy – prorokuje ponuro Vika. – Albo zamarzniemy, albo elfy nas zastrzelą.

– Najpierw zamarzniemy – stwierdzam. Moja koszula służy teraz nodze Nieudacznika, marynarkę lekkomyślnie porzuciłem.

– Ale za to twój nagi tors robi niesamowite wrażenie – ironizuje Vika. Dobrze jej żartować, ona

ma sweter. A Nieudacznik nosi nadal kombinezon maskujący, też dość ciepły.

– Gdybym tylko miał je na kim robić. – Wyciągam rękę. – Vika, przed nami jest ścieżka. Trzeba pójść tędy i poszukać ludzi.

– Elfów.

– Ludzi, elfów, gnomów. Kogokolwiek.

Śnieg sięga niemal do kolan, brniemy bardzo powoli. Nieudacznik szepce przepaszająco:

– Nadal nie rozumiem...

– Wiesz, kim jest Tolkien?

– Autor...

– Tylko nie cytuj mi z pamięci *Władcy pierścieni*. Więc to jest przestrzeń wirtualna stworzona przez graczy, jego wielbicieli. Zbierają się tu, wkładają ciała bohaterów książki i odgrywają różne sceny. Według Tolkiena czy innych pisarzy.

– Teatr – decyduje Nieudacznik. – No... w pewnym stopniu.

Nieudacznik milknie, całkowicie usatysfakcjonowany wyjaśnieniami. Ja nie jestem taki pewny.

Co to za serwer?

Jakie są prawa tego świata?

Gdzie mieszczą się wyjścia, przez które można by przeciągnąć Nieudacznika?

O tym, co zrobimy później, nawet boję się myśleć.

Ścieżka jest udeptana, jakby niedawno przemaszerowała tędy cała armia. Płatki śniegu topnieją, ledwie dotkną gruntu. Pewnie czary. Świat graczy rządzi się własnymi prawami. To jest magia.

– Dokąd teraz? – Vika przerzuca na mnie dowodzenie. Takie zaufanie jest bardzo przyjemne... gdybyż tylko miało jakieś podstawy. Próbuję sobie przypomnieć mapy przestrzeni RPG, ale szybko rezygnuję z tego pomysłu. Rysuje je każdy, kto tylko ma ochotę.

I wtedy słyszę słabe stukanie dobiegające zza najbliższej skały. Albo szalony koń z kastanietami na nogach, albo olbrzym szczękający z zimna zębami.

Nie ma czasu na zastanawianie się.

– Tutaj! – szepcę, skacząc w wątle świerczki. Opuszczam Nieudacznika na śnieg, przykładam palce do ust. – Cii!

Viki i Nieudacznika nie widać ze ścieżki. Szeroko rozstawiam nogi, ściągam pas. Warlock z szelestem rozwija się w ognisty bicz.

Chyba wyglądam groźnie. Goły do pasa facet z przyprószonymi śniegiem ramionami. Ciało Strzelca wymodelowałem na żyłaste i mocne, od razu widać, że potężny ze mnie wojownik. I jeszcze ten lśniący bicz w ręce! Każdy troll by się przestraszył.

Stukot jest coraz bliżej.

Krzywię twarz w żadnym krwi uśmiechu i czekam.

Zza skał wysuwa się malutka, sięgająca mi najwyżej do piersi postać.

Oto i mój szczękający zębami olbrzym!

Twarzą i budową ciała przypomina dziecko. Tylko z hormonami coś nie w porządku – gołe do kolan nogi porośnięte są gęstymi włosami. Cóż, z takimi łapami można nawet boso chodzić po śniegu. Na piersi wędrowca wisi malutki bębenek, w który uderza pałeczkami.

Hobbit.

To dobrze.

Na mój widok hobbit zastyga, jak zamrożony. Jedna pałeczka spada w śnieg.

– He, he! – mówię złowieszczo.

Hobbit już nie bębni i nawet zaczyna szczekać zębami.

– Kim jesteś? – pytam, podsuwając hobbitowi Warlocka. Bicz wyciąga się w jego stronę, muszę go odsunąć.

– Harding, panie! – szepce hobbit.

– Kto? – pytam już normalnym głosem. Ale biedny hobbit wpadł w kompletną panikę, nawet nie próbuje sięgnąć po miniaturowy kindżał zatknięty niedbale za pas.

– H-harding, dobry panie. Sam urodził Frodo, Frodo urodził Holfasta, Holfast urodził Hardinga...

– Ciebie?

– Mnie, dobry panie!

– Na próżno!

– Tak, dobry panie – zgadza się pokornie Harding.

– Nie jestem dla ciebie panem! – ryczę. – A już na pewno nie dobrym! Ja... – doznaję olśnienia – jestem Conanem! Dzielnym Conanem z Cymerii!

O Conanie hobbit widać słyszał; zaczyna szybko kiwać głową, nie pytając, jakim cudem bohater Howarda zdołał trafić do świata Tolkiena. Zresztą gracze RPG to pasjonaci, nie przejmują się takimi drobiazgami. Mógłbym się nawet podać za Kościeja Nieśmiertelnego, tylko budowa ciała nie pozwoli.

– Dokąd idziesz? – kontynuuję przesłuchanie, spacerując wokół hobbita. Ten kręci się jak fryga, starając się nie odrywać ode mnie spojrzenia.

– Doganiam armię.

– Jaką znowu armię?

– Elfów. Idziemy bić orków i gnomów!

– Po co?

– Przecież oni są źli!

Wrażenie, że w ciele hobbita siedzi dziecko, jest coraz silniejsze. Dorosły znalazłby inne, poważniejsze argumenty, i pewnie stanąłby do walki ze mną.

– Armię... – mówię w zadumie. – A! Pamiętam!

W oczach hobbita pojawia się przerażenie. Zerka na ognisty bicz, nie wątpiąc już w smutny los, jaki spotkał wojsko elfów.

– Słyszałem, że wy, hobbici, nazywacie się Baggins – oznajmiam. – To jak?

Hobbit kręci oszołomiony głową, przyciska ręce do brzucha.

– Żarcie jest?

Dzielny Harding oddaje mi swój worek. Znajduję w nim kilka placków, manierkę, kawałek suszonego mięsa, co znacznie poprawia mi nastrój.

– Zapobiegliwy ludek ci hobbici... a to co? Z dna worka wyciągam snikersa.

Hobbit uderza w bek. Dzieciak, bez dwóch zdań. Zębami zrywam z batonika folię, odgryzam

połowę, resztę oddaję hobbitowi. Przestaje płakać.

– Jak myślisz, pobijecie gnomów? – zagajam. Nie można go przecież tak zwyczajnie ograbić i zostawić. A rozmowa?

– Pobijemy! – kiwa głową hobbit. – Oni robią strzały z cisu, a strzały z cisu są niedobre. I w hidrom się ustawiają, a to niedobry szyk...

Nie mam najmniejszej ochoty wnikać w różnice poglądów elfów i gnomów.

– Do miasta daleko?

– Lorien jest osiem kilometrów stąd...

Coś tu mają nie tak z geografią... zresztą, nieważne. Gdybym jeszcze znał nazwę serwera...

– A kto panuje w tym kraju?

– Światły elf Legolas!

Dobra. Wystarczająco dużo informacji.

– Możesz iść. – Zrzucam sobie worek hobbita na ramię. Harding nie protestuje przeciwko grabieży. Mało tego, nieśmiało pyta:

– Mogę pójść z panem, Conanie? Gnomów i beze mnie pobiją. Tego mi tylko brakowało. Znowu robię groźną minę i szepcę:

– A wiesz, że hobbit to nie tylko cenne futro? To jeszcze czterdzieści kilogramów dobrego, łatwo przyswajalnego mięsa!

Książki nie kłamią – hobbitci rzeczywiście umieją szybko biegać. W śnieżnym pyle migają puszyste pięty.

Do Viki i Nieudacznika wracam w jak najlepszym humorze. Rozmowę słyszeli, nie muszą opowiadać.

– Masz tu jedzenie – wręczam Nieudacznikowi worek. – Zrobimy ci posłanie i wyjdziemy z Głębi. Wrócimy już uczciwie, przez Lorien, z normalnym wyposażeniem. I wyciągniemy cię stąd. Zgadzasz się?

Nieudacznik kiwa głową.

– Posiedzisz ze trzy godziny... – rozmyślam na głos. – Może być?

I tak nie mamy innego wyjścia. Pólnagi, grzęznąc w śniegu, nie zdołam go nieść przez osiem kilometrów.

Razem z Viką urządzamy pod starym świerkiem posłanie z gałęzi, układamy Nieudacznika, wręczamy mu worek z trofeami. W manierce jest lekki alkohol. Na prawdziwym mrozie nie radziłbym się tak rozgrzewać, ale w wirtualności – dlaczego nie?

– Wynurzamy się? – pytam Vikę. – Spotkamy się za trzy godziny... na przykład przy wejściu na serwer Legolasa.

Kiwa głową. Po chwili jej postać rozplywa się w powietrzu.

– Na razie, Nieudacznik – mówię.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Wyszedłem w samą porę. Na zegarku za piętnaście dziesiąta.

– Zanurzenie zakończone – zameldowałem Windows Home i dokonałem najazdu na lodówkę. Bez efektu, rzecz jasna.

– Odbieram pocztę – oznajmił komputer.

Ubrałem się pospiesznie i wyskoczyłem z domu. W sklepie za rogiem na szczęście prawie nie ma ludzi, na dziesiątą wróciłem.

Akurat w dobrym momencie, żeby klepnąć w ramię Maniaka smętnie naciskającego mój dzwonek.

– Będiesz jadł śniadanie? – pyta Szurka, zerkając na mnie.

– Aha. Ty nie?

– Ja też, ale później. – Maniak wyprzedził mnie i przecisnął się do pokoju. Podczas gdy zdejmowałem buty, on już siedział przy kompie. Gdy do niego podszedłem, właśnie przesuwiał kursorem po Nortonie, usuwając plik po pliku.

– Co jest? – spytałem oszołomiony.

– Próbuję wybawić cię od lochów – odezwał się Maniak, usuwając kolejne programy. – Warlock został zrehabilitowany. Czysty wirus, nie rozmnaża się i nie niszczy informacji. Zezwolenie na użycie wirtualności. Na twoje ryzyko.

Mój komputer został pozbawiony kilku kolejnych plików. Chyba zginęły też skrzydlate klapki...

– Za to Labirynt i Al Kabar oskarżyli cię o wyrządzenie szkody materialnej na wysokość dwóch i pół miliona dolarów.

Suma mnie rozbawiła.

– A dlaczego nie miliard? Co za różnica, przez całe życie tyle nie zarobię... ani nie ukradnę.

– Można było miliard... – przyznaje Maniak, przesuwając myszą po mopadzie. – Kiedy ostatnio czyściłeś mysz? No więc tak: Strzelca już nie ma i nigdy na twoim kompie nie było. Na siódmej pozycji postawisz kogo innego. Jeśli możesz, zapewnij sobie alibi... coś ty im zrobił, Łońka?

– Sprzątnąłem im sprzed nosa jednego chłopaka. Uratowałem.

– To dobrze...

Maniak wsunął dyskietkę, uruchomił z niej jakiś program.

– Teraz wyczyścimy twojego twardego, na poziomie fizycznym nie zostanie żadnych śladów – zapewnił. – Najlepiej sprzedaj te dyski i kup inne. Albo zrzuć je z mostu do Newy.

Robi mi się nieswojo. Maniak nie panikowałby niepotrzebnie.

– Wódka jest? – pyta Szurka. – Koniak...

– Gorzej, ale ujdzie – mówi, krzywiąc się.

Daję mu butelkę, przygotowując się moralnie na to, że Szurka zaraz chluśnie alkoholem we wnętrze komputera. Dla pełnej gwarancji. Ale on tylko pije, a potem wyciąga z myszy kulkę, chucha na nią, trze o rękaw i wsuwa z powrotem.

– Będziemy opijać sprzedaż trzech wirusów – mówi. – Zrobiłeś Warlockowi dobrą reklamę.

– Szura, ja muszę z powrotem...

– Ale teraz pojechałeś, nurku – zaśmiał się Maniak, nie odwracając się. – Teraz to musisz

posiedzieć w realu!

– Nie mogę. Wzruszył ramionami.

– Twardziela sprzedaj tak czy inaczej.

– Chcę zrobić *up grade* całego komputera...

– Tak? No to sprzedaj go ze wszystkimi wnętrznościami. Albo podaruj jakiemuś dziecięcemu klubowi. Dużo za taki złom nie dostaniesz, a dzieciaki po tygodniu kompa zarzną. Na amen.

Przypomniałem sobie ograbionego hobbita i niepewnie kiwnąłem głową.

Może rzeczywiście uszczęśliwić młode pokolenie starym kompem?

A taki byłem z niego dumny przy zakupie... pentium! Dwa megabajty pamięci karty graficznej! Szesnaście megabajtów operacyjnej!

– I jak ty z taką kartą graficzną możesz żyć? – odzywa się do moich wspomnień Szurka. – Cholera! Nawet TV nie łapie?

Przez pięć minut słuchałem wykładu o najnowszych opracowaniach w dziedzinie hardware'u. Potem Maniak wysłał mnie do szykowania śniadania, a sam dalej czyścił komputer.

Zrobiłem jajecznicę. To była chyba dziesięć tysięcy pierwsza porcja jajecznicy w moim życiu. Kawalerskie jubileusze – stutysięczna puszka konserw, stutysięczna sucha bułka...

– Szurka, mam tylko dwie i pół godziny! – krzyczę z kuchni. – Potem do pracy.

– Zdążysz...

– Jeszcze muszę narysować nową osobowość!

– Jaką? – pyta Maniak.

– Bajkową. Elfa albo gnoma... nie, lepiej elfa. Gnoma od razu zaczną tłuc.

– Od kiedy się z RPG-owcami przyjaźnisz?

– Praca. – Stawiam patelnię obok klawiatury. – Muszę się przejść po ich serwerze.

– A co tam jest u nich do zabrania? Wszyscy są nędzarzami! – Maniak pokręcił głową. – Brr! Teksty elfich hymnów? Tajemnice produkcji drewnianych mieczy?

– Nie... zostawiłem tam coś.

– Aha... – Maniak kiwa głową. Pewnie pomyślał, że Warlock przebił przejście prosto na serwer graczy. – Tylko ich nie krzywdź, dobra? To śmieszny ludek, wchodziłem do nich kilka razy.

– Zabezpieczenie im robiłeś?

– Ja? Im? Coś ty! Mają swoich speców! – macha ręką Szurka. – Tam takich programistów jak ja jest pełno.

Nie podoba mi się ta informacja.

– Jak wyglądał Warlock w działaniu? – pyta Szurka.

– No... niebieski lej, iskry, lustra pod nogami. Odbicia innych serwerów.

Maniak podnosi głowę.

– Windy nie było? – pyta stropiony.

– Coś ty, jaka winda! Dziura w podłodze...

– Zawsze to samo... wymyślasz jedno, a wychodzi... – Szurka macha ręką. – Cholera. Masz tylko koniak?

Nalaliśmy trochę, stuknęliśmy się, wypiliśmy. Po kompie ciągle szperały programy Szury.

– Wczoraj wypróbowałem ten twój... wierszyk – mówi Maniak po drugim kieliszku. – No, ten: „Głębio, Głębio...”

Nie pytam o rezultat. Gdyby Maniakowi udało się wyjść z Głębi, właśnie za to byśmy teraz pili.

– Lonia, jak się dowiesz, o co w tym chodzi... – zaczął Szurka.

– Od razu ci powiem.

– Słuchaj, jaki wczoraj był popłoch w jednym burdelu! – zmienił temat Maniak. – Nie słyszałeś w wiadomościach w Sieci?

Konsternacja.

– Nie.

– Jacyś chuligani próbowali złamać zabezpieczenie domu publicznego Różne Zabawy. Jest taki...

– Szurka mruży słodko oczy.

– Próbowali?

– Prawie złamali, potem ochrona odcięła wszystkie kanały. Podobno jeszcze potem była walka, jeśli Zuko nie zalewa...

– Kto?

Muszę mieć bardzo głupi wyraz twarzy, bo Szura patrzy na mnie i cicho mówi:

– Aha... więc to takie buty...

– Znasz Zuko... Komputerowego Maga?

– Bo ty go nie znasz?

– Tylko w Głębi – nie próbuję kłamać.

Szurka kręci głową.

– Tak myślisz? To Sieriega. Ten, który pracował w banku. Ale nowina!

Sieriegę znam od dawna. Gdy przyszedłem do firmy produkującej gry, on już tam pracował. Ale tamten milczący flegmatyczny programista w żaden sposób nie pasował mi do hałaśliwego Komputerowego Maga.

– To on?

– Tak.

– Ale się zamaskował!

– Wyobraź go sobie mówiącego komukolwiek, że pracuje w domu publicznym! Wymarzony temat do żartów. Do tej pory wciska wszystkim, że robi programy dla banku.

– Nie mów mu, że ja to ja – proszę szybko.

– Nie powiem. On mi też nie opowiadał żadnych szczegółów. Tylko o Warlocka pytał.

– Zuko poznał twój wirus! – wołam, wspominając radosny okrzyk Maga.

– Pokazywałem mu miesiąc temu... – Szurka mruży oczy. – Tajemnica... szlag by to...

– Może wygadać?

Maniak pokręcił głową.

– Nie o to chodzi, Lonia. Informacja jest czymś, co lubi przeciekać. Różne drobne wpadki, zbiegi okoliczności... i tak dalej. W końcu cię znajdą.

– Niech mi spróbują udowodnić.

– Lonia, tak im na odcisk nadepnałeś, że nie będą sobie zawracać głowy dowodami. Ktoś wie, że

Strzelec i Leonid to jedna i ta sama osoba. Ktoś się domyśla, że Leonid jest nurkiem. Ktoś podejrzewa, że Leonid jest Rosjaninem. Wirtualność żyje informacjami. Prawdą, plotkami, domysłami. A informacje można łatwo zebrać i poddać obróbce. Jeśli dołożą odrobinę starań, dowiedzą się wszystkiego!

– Co proponujesz?

– Zniknij – sugeruje Szurka, nalewając reszkę koniaku. – Będzie mi przykro, że nie możemy się razem napić piwa, ale ujrzenie cię w trumnie byłoby znacznie bardziej przykre. Do diabła, coś ty tam nawyprawiał?

– Ratuję człowieka.

– To można robić, póki sam nie jesteś w opałach.

Kiwam głową. Maniak ma rację. W jego słowach jest żelazna logika normalnego hakera, a nie pewnego siebie nurka, który umie wypływać z Głębi.

Gdzie się wynurzę, jeśli dorwą mnie w realu?

Wszyscy żyjący w wirtualności mają kompleks słabości fizycznej. Wrażenie, że w komputerowym świecie jesteś bogiem, a w prawdziwym jednym z miliarda szeregowych obywateli, jest zbyt przykre. Dlatego wszyscy tak lubimy sztuki walki i zabawy w wojnę, kupujemy gazowe i pneumatyczne pistolety, uparcie chodzimy do klubów sportowych i wieczorami bawimy się nunczako. Pragniesz poczuć się tak samo nietykalny w realu jak w świecie po drugiej stronie monitora.

Ale ci to nie wychodzi.

I czasem słyszysz w Głębi słowa: „A pamiętasz tamtego? Chuligani go zarżnęli w zaułku... lewą wódką się zatruł... skoczył z okna, nawet listu nie zostawił... wszedł mafii w drogę...”

Pamiętamy. Wiemy.

Tylko po drugiej stronie ekranu jesteśmy bogami.

– Jeszcze doba – mówię cicho. – Potem zniknę gdzieś... na Syberii albo na Uralu.

– I nie mów nikomu, dokąd jedziesz – kiwa głową Maniak. – Nawet mnie.

Kieliszki były puste, więc Szura zaproponował:

– Skoczę do sklepu, co?

– Jeszcze muszę narysować postać.

– Cholera. Włączaj Biokonstruktora.

Minutę później wyrywaliśmy sobie mysz, tłukąc z pasją w klawiaturę. Pierwsze narysowane ciało trzeba było spisać na straty – było zbyt wyzywające. Dwumetrowy mięśniak z dwuręcznym mieczem na pasie. Zdaniem Szurki, do takiego herosa będą się kleić wszyscy poszukiwacze przygód. Musiałem przyznać mu niestety rację.

Następna postać była tak bezbronna, że aż żałosna – obdarty staruszek żebrak. Może nikt go nie ruszy, ale też na pewno nie uda mu się nieść Nieudacznika osiem kilometrów. Tu ja postawiłem weto, nie wyjaśniając przyczyn.

Do trzech razy sztuka.

Chłopak na ekranie był dość silny, ale z tak dziewiczo niewinną twarzą, że aż mdliło. Ubraliśmy go w jasnozieloną chlamidę do kostek i zawiesiliśmy na ramieniu torbę.

– Medyk! – skonstatował z zadowoleniem Maniak. – Po prostu lekarz. Bez potrzeby nikt go tam nie

ruszy, ani elf, ani ork. Medycyna jest potrzebna wszystkim.

Zaczął umieszczać w torbie jakieś buteleczki, kolby, suszone liście wynajdywane w katalogu akcesoriów.

– W świecie RPG będę mógł leczyć?

– Oczywiście. Zasada jest taka: przychodzisz do świata w tej czy innej postaci i masz określoną moc. Na przykład znasz sztuki walki albo jesteś mądry, albo masz dar leczenia. Im dłużej żyjesz w tym świecie, tym silniejsze stają się twoje zdolności. Ty jako medyk już od początku możesz leczyć niewielkie rany, złamania, zwichnięcia...

– Ciekawa sprawa – mówię, patrząc na swoją nową postać. Zaczynała mi się już podobać. – Dziękuję. Ja bym się zrobił na wojownika.

– I oberwał po głowie od jakiegoś bywalca.

– A ty w jakiej postaci zazwyczaj wchodziłeś? Maniak waha się.

– Nie powiesz nikomu?

– Nikomu.

– Byłem wojowniczką elfów, Ariel.

– Dlaczego?

– Kleiłem się do Goromira.

Odbiera mi mowę. Jasne, że to nie moja sprawa, ale...

– Goromir to dziewczyna – wyjaśnia szybko Maniak. – Mają tam kompletny bajzel, dziewczyny biorą często męskie role, chłopaki żeńskie. Z pół roku ją rwałem...

– I jak?

– Nijak. Goromir się spiknął z Dijanel.

Nie ryzykuję pytania o płęć Dijanel. Głos Szurki jest zbyt posępny.

– Jeśli przypadkiem spotkasz Goromira, przekaż mu pozdrowienia od Ariel – dodaje Szurka. – Rozstaliśmy się jak przyjaciele. Szlag by to.

– Muszę wejść na serwer, na którym istnieje miasto Lorien, gdzie panuje Legolas. Tam się pasie twój Goromir?

– Nie twój, tylko twoja! – zaperza się Szurka. – Nie wiem, dawno nie byłem u graczy. Zaraz znajdziemy.

Włączył Vikę i zaczął szperać przez terminal po serwerach. Po pięciu minutach poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem.

– Proszę! „Jaśnie oświecony Legolas zaprasza mądre elfy, dzielnych ludzi i szybkich hobbitów do wielkiego miasta Lorien, albowiem nastąpiły dni ostatniej bitwy z orkami i gnomami!” Przyjmą cię z otwartymi ramionami.

– Dzięki, nie skorzystam.

– To może napijemy się piwa? Masz jeszcze półtorej godziny. Piwo po koniaku? Ale z drugiej strony rzeczywiście mam mnóstwo czasu. Z Szury pomocą postać powstała szybko.

– Dobra – decyduję się.

Zamknąłem za Szurką drzwi i bardzo starannie powiesiłem łańcuch. Zajrzałem do kuchni, upewniając się, że gaz jest wyłączony.

Nie czułem się pijany. Cztery butelki piwa to drobiazg, koniaku w ogóle nie ma co liczyć.

Idąc do komputera, potykałem się o jakieś kable, stare klapki, zrzucone z półki książki. To Szurka się zachwiał i chwycił za półkę, próbując utrzymać równowagę.

– Vika, jest poczta? – mruknąłem.

– Nie rozumiem. Leonid.

– Poczta jest? – powtarzam starannie.

– Tak.

Może dwa litry ciemnego piwa wypite w tym tempie to jednak nie tak mało? Skoro Vika nie poznaje mojego głosu... Słumiłem atak pokory i zacząłem przeglądać pocztę.

Różne głupoty.

Jeszcze trzeba zajrzeć na tablicę ogłoszeń.

Rzecz jasna, żaden z pracodawców czy przyjaciół nie zna mojego prawdziwego adresu w Sieci. Jeśli ktoś chce się skontaktować nie z Leonidem, lecz z nurkiem, istnieje tylko jeden sposób – umieścić ogłoszenie na stacji łączności elektronicznej. To komputer z modemem i obszerną pamięcią, gdzie może zajrzeć każdy pragnący przeczytać wszystkie ogłoszenia. Kodowana metka pozwala na sortowanie niepotrzebnych depech, szyfr nie daje lamerom możliwości podrabiania cudzych ogłoszeń, a mętne przekazy samych listów zrozumie jedynie adresat. Całkowita anonimowość i absolutna pewność. Spróbuj odnaleźć wśród miłosnych intryg, wiadomości dla small biznesu i zwykłej paplaniny tajne informacje.

Rzadko znajduję na tablicy ogłoszeń listy do mnie. Ale dzisiaj były dwa.

„Iwan! W wigilię wędrówki po lesie czekam na ciebie tam gdzie zajmowaliśmy się podziałem łupu. Szary”.

To Romek. Podziałem zajmowaliśmy się w Trzech Prosiaczkach. A wigilia operacji w Al Kabarze nastąpiła kwadrans temu.

Nieoczekiwanie wytrzeźwiałem. Po co Romek miałby mnie szukać, i to tak pilnie? List został napisany tej nocy. Ciekawe, czy pisał sam, czy pod dyktando... Człowieka Bez Twarzy na przykład.

Drugiego listu się spodziewałem.

„Siedemdziesiąt siedem. Tam gdzie zwykle, tak jak zwykle. Bracia”.

Siedemdziesiąt siedem to mój numer. Bracia nurkowie w gniewie...

Jak nakazuje kodeks, podałem Crazy i Anatolowi swoje imię nurka (i jednocześnie prawdziwe).

Jak nakazuje kodeks, złożyli na mnie skargę. Wdarłem się w ich przestrzeń pracy. Użyłem broni.

Czegoś takiego się nie wybacza.

– Nieudacznik... – wymamrotałem – żeby cię... co ty ze mną robisz?

Niech będzie przeklęta chwila, w której połaszczyłem się na Medal Bezkarłości i poszedłem cię uratować!

– Vika, zanurzenie – mówię. – Postać numer siedem... Medyk.

Znam trzy postacie Romka. Włączając wilka, nawet cztery. Ale dziś przyszedł w nowej –

chudziutki, rozczochrany okularnik. Stoi, przy barze, zerka na boki i w niczym nie przypomina akuratanego Romana. Poznaje go tylko po tym, że jednym haustem opróżnia szklanę pieprzówki.

– Romek?

– Lonia?

Uścisk dłoni.

– Napijesz się? – pyta okularnik.

– Nie... ja już w realu...

– Alkoholik – mamrocze Roman. I kto to mówi! Sądząc po jego odporności na alkohol... – Lońka, orientujesz się, że wdepnąłeś?

– Orientuję. A w co?

– Złożyli na ciebie skargę. Jakiś Anatol i Crazy. Szczegółowych zarzutów jeszcze nie podawali.

Kiwam głową.

– O tym wiem.

– A co, jeszcze jakieś kłopoty?

– Milion.

Często razem pracujemy. Lubię wilkołaka, a Romek chyba mnie.

– Lonia, co jest?

– Pomyśl.

Roman krzywi się i nagle nerwowym ruchem zdejmuje okulary.

– Warlock to twoja robota? – szepce.

– Zgadłeś.

– Więc... Labirynt...

– Ciii – przypominam sobie słowa Szurki o przesączających się informacjach. – Nie mówmy o tym.

Romek woła barmana – dzisiaj to najwyraźniej program – i napełnia moją szklanę.

– No, Lońka, ostro... – mamrocze. – Wdepnąłeś. Jesteś w kłopotach po uszy!

Nagle uświadamiam sobie, że wilkołak wcale nie jest przestraszony rozmiarem moich kłopotów. Nie martwi się o mnie. Jest zachwycony! Zachwycony takimi emocjami – blask skandalu i sławy pada i na niego. Jeśli my, egoiści do szpiku kości, moglibyśmy zobaczyć w innym nurku idola – to właśnie stałem się nim dla Romka.

– Jeśli na rozprawie będziesz potrzebował mojej pomocy – mówi – dostaniesz ją. I nie tylko ode mnie.

Może i będę potrzebował. I może dostanę. Roman to facet kontaktowy i w wąskim kręgu nurków-wilkołaków uznany za lidera.

– I tak będę musiał odejść. Na długo – przyznaję się ucziwie.

Roman mruga nerwowo.

– Co? Z Sieci? Powaga? Nie, żart...

Kiwam głową.

– A jak będziesz żył? – pyta zdumiony Roman.

Tylko my, mieszkańcy wirtualnego świata, pod tym względem się rozumiemy.

Jak można żyć bez sprasowanego Głębią czasu, błyskawicznych przemieszczeń z chłodu restauracji na rozpalony piasek plaż, bez narysowanych dżungli i wymyślonych gór, bez niekończącego się, kipiącego strumienia informacji, bez staroświeckich dowcipów i dopiero co napisanych książek, bez maskarady kostiumów i ciał, bez setek, tysięcy przyjaciół i znajomych żyjących we wszystkich zakątkach ziemi?

Jak?

Trzeba bywać w Deeptown, żeby zrozumieć, co tracisz.

– Nie wiem, Romek. Ale Labirynt i Al Kabar...

Kiwa głową. Wszystko jasne – słoń boi się myszy tylko w bajkach. A dla tych korporacji nawet nie jesteśmy myszami, najwyżej muchami.

– Lonia, jeśli potrzebujesz pieniędzy... – mówi nieoczekiwanie Romek. – Oddam ci swoją dolę. W końcu to ty odwaliłeś całą robotę, ty straciłeś. Przyda ci się, jak się będziesz ukrywał.

Kręć głową.

Roman jest super, ale takiej ofiary nie potrzebuję.

– Chciałbym cię za to poprosić o coś innego.

– Wszystko, co zechcesz...

– Będę musiał uciekać. Zacierać ślady. Nie chcę korzystać z hoteli... gdybym mógł pomieszkać u ciebie ze dwa miesiące, aż ucichnie szum...

Sam nie wiem, dlaczego o to proszę. Może nie chcę się całkiem odrywać od Głębi? Żeby móc choćby oczami Romka popatrzeć na wirtualny świat. Czuć bicie elektronicznego pulsu, łykać informacje...

– Nie sprawię kłopotu – dodaję.

Ale po twarzy Romka już widzę, że propozycja nie przeszła.

– Nie.

– Wybacz – wzruszam ramionami. – Rozumiem.

Jednak się siebie boimy. Łatwiej nam oddać ogromną kasę i tym uspokoić sumienie niż się ujawnić...

– Nic nie rozumiesz – mamrocze Romek. – Chcesz, podam ci mój adres. Realny! Miasto, ulicę, dom.

– Nie trzeba.

– Po prostu nie mogę cię przyjąć. – Odwraca wzrok. – To... rodzinne problemy.

No tak. Założmy, że ja, mimo skromnych rozmiarów mieszkania, mimo wszystko mógłbym spokojnie przyjąć gości. A jeśli Romek na tych samych metrach ma żonę, teściową i trójkę małych dzieci?

– Rozumiem. – Kładę mu rękę na ramieniu. – Naprawdę. Wszystko okay.

A jednak Romek odwraca wzrok.

– Idę.

– Na złocie będziesz?

– Oczywiście.

– A teraz gdzie idziesz?

Pokusa tajemniczego milczenia jest ogromna. Zresztą byłoby to najbardziej rozsądne posunięcie. Mimo wszystko odpowiadam:

– Postraszyć elfy. Cześć, Romek. Zobaczymy się jeszcze.

Gdy wychodzę z Trzech Prosiaczków, on bierze następną szklankę wódki. No nie! A może jest na tyle silnym nurkiem, że nie upija się wirtualnym alkoholem?

Gracze RPG niezbyt się afiszują. Są wyjątki w rodzaju Polan Elfów, ale to bardziej atrakcja dla turystów; tam bajkowe postacie zarabiają na chleb. A raczej na opłatę rachunków za światło i telefon.

Serwer, na którym stworzono Lorien, należy do kogoś z Rosji, to wszystko, czego mogę się dowiedzieć, nie łamiąc prawa. Bawi się tam głównie rosyjskojęzyczne towarzystwo.

A może by tak wejść do Legolasa pod postacią turysty? No tak, ale kto wie, czym by się to skończyło... To tak, jakby w Mekce zjawił się chrześcijanin i od razu pomknął do Czarnego Kamienia – w butach, kapeluszu, ze złożonym krzyżem na piersi.

Już lepiej być nowicjuszem, który naczytał się Howarda, Tolkiena, Perumowa i innych pisarzy, którzy oddali hołd romantyce miecza i smoka!

Wysiadam z taksówki obok przekrzywionej piętrowej rudery. Trzeba przyznać, że nędza budynku zrobiona jest wspaniale. Imitowanie biedy i upadku jest znacznie trudniejsze niż imitowanie luksusu i bogactwa.

Cała ulica wygląda podobnie. Jakieś ciemne budynki, magazyny, zamknięte do lepszych czasów biura. Graczom RPG przepych nie imponuje.

Viki nie ma. Przy wejściu drepcze jakiś elf – krucha, złotowłosa istota niewiadomej płci i nieokreślonego wieku. Ma na sobie zielone, obcisłe spodnie i zieloną kurtkę. Na plecach łuk i kołczan ze strzałami.

Zatrzymuję się przy drzwiach, czekam. Elf zerka na mnie, potem wsuwa rękę za pazuchę, wyjmując papierosa i zapalniczkę. Zaciąga się, wypuszcza strumień dymu.

Pałace elfy to widok dla ludzi o mocnych nerwach. Wygląda tak, jakby miał skonać po pierwszym sztachu, ilustrując szkodliwość nikotyny... Do diabła!

– Vi... – zaczynam i gryzę się w język. A jeśli to nie ona?

– Vi, vi! – mówi radośnie elf. – I vi i mi! Lonia?

Głos też zmieniła – pewnie działa program korekty dźwiękowej. Można by pomyśleć, że wirtualność wszedł Robertino Loretti.

– To ty? – pytam na wszelki wypadek.

Vika rozumie moje wątpliwości.

– Hobbit to nie tylko cenne futro! – Mówi wesoło. – Poznałeś mnie!

– Dlaczego właśnie elf?

– W końcu jesteśmy na ich terytorium. Będzie bezpieczniej.

– A jak się nazywasz?

– Makreła.

– Jak?

– A co, nie brzmi po elfiemu? Jestem z holenderskich elfów. Zaczynam podejrzewać, że Vika w realu też łyknęła coś wyskokowego.

– Jesteś nim czy nią?

– Szczegółów nie rysowałam, nie było czasu – oznajmia niedbale Vika-Makrela i rzuca papierosa.

– Zobaczmy, jak wyjdzie.

Nie ma sensu sterczeć dłużej przy wejściu, wchodzimy. Wąski ciemny korytarz, na ścianach graffiti – motywy batalistyczne. Na końcu korytarza pojawia się blade światło, za którym majaczy ludzka postać.

– Kim jesteście? – pada pytanie.

– Słyszeliśmy wezwanie Legolasa i przybywamy z pomocą! – krzyczę.

– Nie ruszajcie się z miejsca! Jak brzmią wasze imiona?

– Makrela, rodem z elfów znad jeziora Loch Ness – oznajmia Vika.

– Medyk Elenium z ziem Trankvilli!

Vika daje mi kuksańca pod żebro, ale za późno, imię zostało już wymyślone i podane.

Człowiek, kryjący się za lśnieniem, myśli chwilę.

– Przyszliście razem?

– Tak – odpowiada Vika. Przejmuje dowodzenie i to mnie cieszy. Nie mam nastroju na poważne i wymyślne mącenie komuś w głowie.

– A co doprowadziło do przyjaźni pomiędzy elfem a medykiem – człowiekiem?

– W boju z orkami raniono mnie zdradziecko cisową strzałą – wykrzykuje Vika. Nadal nie określa swojej płci. – Gdyby nie cudotwórcza siła Eleniuma, nie oglądałbyś mnie teraz, o nieznajomy.

Zachowanie kamiennej twarzy wymaga ogromnego wysiłku.

– A co ty powiesz, Elenium?

– Szajka ohydnych gnomów, uformowanych w szyk hidrom – przypominam sobie opowieść małego hobbita – napadła mnie podstępnie! Gdyby nie odwaga Makreli, ja... ja...

Nie wiem, jak zakończyć, i zasłaniam twarz rękami. Bezgłośny śmiech bardzo przypomina szloch.

Lśnienie rozwiewa się, do korytarza wchodzi starzec. Ruchy ma tak gwałtowne, a głos tak młody, że może mieć najwyżej dwadzieścia lat.

– Rad jestem powitać mądrego medyka i dzielnego... dzielną.” – zaczyna się plątać – dzielnego elfa! Teraz jesteście bezpieczni. – Dziękuję – szepczę.

– Ty, mądry Eleniumie, dostajesz dziesięć punktów umiejętności, pięć wytrzymałości i pięć mocy – oznajmia starzec. – A ty, Makrelo, otrzymujesz dziesięć punktów zdolności, dziesięć wytrzymałości, dziesięć mocy i dziesięć dzielności.

– A dlaczego ja nie dostałem dzielności? – oburzam się.

– Łzy nie przystoją ludziom! – oznajmia z wyższością starzec. Makrela, którą – którego – odźwierny wyraźnie polubił, wstawia się za mną:

– Elenium przelewa łzy po swoim starszym bracie Relaniumie, który zginął z łap gnomów!

Uuu... Chyba Vika przegięła...

Na szczęście młody starzec albo nie zna farmakologii, albo ma poczucie humoru.

– Dobrze, otrzymujesz pięć punktów odwagi – postanawia wielkodusznie. – Wejdźcie do słynnego miasta Lonien i nabierzcie sił przed decydującą walką!

Posłuszni jego gestowi wchodzimy w lśnienie. Na końcu korytarza widnieją masywne żelazne

drzwi.

– Starszy brat Relanium, mówisz? – szepcą w plecy Viki.

– Daj spokój, nie gniewaj się.. Wychodzimy na ulice Lorien.

Dwie minuty stoję, rozglądając się. Do licha, naprawdę tu ładnie!

Gigantyczne drzewa z białą jak śnieg korą. Ciemna zieleń i czerwone złoto liści. Dróżki wyłożone białymi kamieniami. Na drzewach umocowano jakieś platformy, chyba mieszkalne, połączone drewnianymi schodkami.

– Nieźle popracowali – komentuje profesjonalnie Vika. – Brawo. Zbudować coś takiego na gołym entuzjazmie!

Mógłbym powiedzieć, że sama stworzyła swoje góry z czystego entuzjazmu. Ale nie chcę jej przypominać o tym, może na zawsze utraconym, kraju.

– Trzeba znaleźć stąd wyjście – postanawia Vika.

Idziemy białymi dróżkami, rozkoszując się otaczającą nas idyllą. Powietrze słodkie i świeże, lekki mrozek szczypie skórę. Śniegu nie ma, widocznie magia elfów rozgania chmury. Średniowieczna muzyka na granicy słyszalności. Szkoda, że narodu mało. Najwidoczniej wszyscy poszli bić orków i gnomy.

Pod jednym ze śnieżnobiałych drzew rozpalono ognisko i umocowano koło szlifierskie Potężny, owłosiony chłop próbuje pod okiem elfa naostrzyć miecz.

– Zatrzymajcie się na chwilę, wędrowcy! – woła do nas elf. Przystajemy. – Jesteście tu po raz pierwszy?

Vika kiwa głową.

– Czy nie jesteśmy aby krewnymi, o wysoko urodzony? – pyta Vikę elf.

– Nie, bracie mój – opęda się Vika. – Wskaż nam, którędy wyjść za mury miasta, byśmy mogli dogonić armię.

Elf posepnieje.

– Zdolności wasze są niewielkie. Posiedźcie ze mną, nauczę was ostrzyć miecze. Tylko trzy godziny, a liczba waszych zdolności wzrośnie o pięć punktów!

Co za radość. Obracać nieistniejącą szlifierkę w celu zdobycia nieistniejących umiejętności.

– Spieszmy się – odmawia Vika.

– W takim razie wejdźcie na ten melorn – elf kiwa głową na jedno z drzew. – Jedyne sześć godzin ćwiczeń na schodach, a otrzymacie siedem punktów siły i wytrzymałości!

Odnoszę wrażenie, że elf się zwyczajnie nudzi. Jego podopieczny chyba już kończy zdobywanie pięciu punktów zdolności i elf znowu będzie siedział sam.

– Słuchanie twej mowy to rozkosz, wysoko urodzony elfie – oznajmia Vika. – Ale my rwiemy się do boju.

– W takim razie idźcie tam! – Elf posepnieje i wskazuje kierunek, po czym atakuje chłopca z mieczem: – Jak ostrzysz?! Jak ostrzysz! Co to jest, nóż do chleba? Nie zaliczę ci zdolności!

Pospiesznie idziemy we wskazanym kierunku. Surowo tu u nich. Urok Lorien lekko się rozwiewa.

– A ja myślałam, że oni tu tylko machają mieczami – dziwi się Vika.

– Nie tylko. Uczą się języka elfów i gnomów, ostrzą miecze i kindżały, studiują ekonomię średniowiecza, układają ballady i legendy.

– Nie ma co, masa pożytecznych doświadczeń...

– Ty byś pewnie zamknęła wszystkie serwery RPG – odpowiadam zjadliwie.

– Nie. To ich prawo. – Vika nie daje się sprowokować. – Po prostu trochę tu nudno. Jeszcze jedna guma do żucia dla mózgu.

– Takich subkultur jest cała masa. Ci przynajmniej nie biorą narkotyków i nie organizują rewolucji.

– Lonia, ja nie marzę o jednolitości. Każdy znajduje rozrywkę według własnego uznania. Ale to eskapizm. Ucieczka od życia.

– Oczywiście. Ale zbieranie znaczków, gra w pokera, wielka polityka, malutkie wojny z sąsiadami... wszystko jest ucieczką od życia. Nie ma wartości ogólnych. Ludzie wyszukują sobie skromniutkie cele i poświęcają im życie.

– Wiesz, w ten sposób to i w komunizm można uwierzyć.

– Dlaczego nie? Piękny i wielki cel. A składanie mu życia w ofierze to już tradycja.

Dzielny elf Makrela patrzy na mnie ze smutkiem.

– Lonia... Elenium... masz w życiu cel? Jakikolwiek? Nie ukraść tysięcy dolców, nie popić z przyjaciółmi w restauracji, a właśnie – cel?

– Mam – mówię uczciwie.

– To tajemnica? Milczę przez chwilę.

– Wiesz... chciałbym, przychodząc do domu nie wyciągać z kieszeni kluczy.

Vika w swojej masce elfa odwraca spojrzenie.

– To beznadziejnie śmieszne i małe – mówię. – To nawet nie ostrzenie nieistniejących mieczy... i nie badanie psychopatów w wirtualności. A już na pewno nie komunizm czy światowa rewolucja. Po prostu chcę, żeby ktoś otworzył mi moje własne drzwi, gdy do nich zadzwonię.

– Ja też czasem tego chcę – odpowiada w końcu Vika. – Ale już tak było, że wracałam do domu i miał mi kto otworzyć drzwi. I to... to nie zawsze jest dobre.

Tak to jest, nurku...

Najpierw w zęby, potem w krocze.

– Lonia, chodź, wyciągniemy Nieudacznika. – Mówi dzielny wojownik Makrela.

Zmierzamy do opasujących Lorien murów.

Tutaj jest już znacznie więcej postaci. Pod okiem elfich mędrców kilkunastu ochotników zarabia na punkty siły, walcząc mieczami i puszczając strzały do celu. Wzdłuż rzędu kramów, gdzie handlarze zarabiają punkty zdolności, spacerują kupujący. Też coś zdobywają. Oberwany artysta rysuje portrety wszystkich chętnych, kuglarz – pewnie mag-zongluje ognistymi kulami. Życie wre. Człowiek, ale w zielonym stroju elfa, śpiewa, akompaniując sobie na gitarze:

Do wrót zamku minstrel zastukał,

Otworzyła służąca młodziutka...

Grupka słuchaczy nie przejawia entuzjazmu, bard rozgląda się i przechodzi na jakieś miejscowe przyspiewki:

Był taki czas, gdy elf Legolas

Walnął nazgula w oko raz!

Nazgul do rzeki wpadł po szyję

Dziwić należy się, że żyje!

Prościutka piosenka zyskuje aprobatę tłumu. Minstrela oklaskują, rzucają mu drobne monety, chichoczą. Chyłkiem odchodzimy.

– Potrzebujemy czegoś? – Vika wskazuje kramy.

– A pieniądze?

– Poszukaj w kieszeniach.

Wsuwam rękę do kieszeni kurtki, gdzie rzeczywiście jest pięć miedzianych monet.

– Wszyscy wchodzący otrzymują je automatycznie – wyjaśnia Vika. – Słyszałam o czymś takim.

W jednym z kramów potargowaliśmy się ostro ze sprzedawcą i kupiliśmy dwie manierki z miejscowym winem i dwa krótkie kindzały. Do walki stawać i tak nie mamy zamiaru, miecze, kopie i halabardy sprzedawane na rynku w wielkim wyborze nie są nam potrzebne. A jednak pociąg do broni jest chyba genetycznie zakodowany w męskim organizmie. Pod pełnym wyrzutem spojrzeniem Viki wędruję od kramu do kramu, oglądając środki zniszczenia sobie podobnych. W kramach panuje mrok, tylko pod szkłem gablot obok broni palą się świece. Na ostrzach tańczą krwawoczerwone odbłaski światła. Przypominają mi kwaciarzy, którzy zimą wstawiają świece do swoich akwariów z kwiatami.

Życie i śmierć są takie podobne. Ubierają się w szaty niemal nie do odróżnienia.

W kącie kramu przy stoliku siedzi dwóch mężczyzn. Wymijam ich, ale po chwili się zatrzymuję.

Przysadzistego osiłka w białym ubraniu nie znam. Ale...

– Rzygać się chce – mówi osiłek za moimi plecami. – Taniocha. Poziom bruku. Kompletnie zwyrodnienie pod każdym względem.

Czuję taki wstręt, jak dawno temu w dzieciństwie, gdy kąpiąc się w rzece, wynurzyłem się i zobaczyłem na brzegu, tuż przed oczami, ogromną ropuchę.

Osiłek za moimi plecami poprawia nasuniętą na oczy cyklistówkę i gada dalej:

– Kiedyś twoje gry były niezwykle. Zawierały zdrowy element. Teraz to żłób i pomyje.

– No wiesz, teraz to już przesadziłeś – odpowiada rozmówca. – Młodzież musi się jakoś bawić...

– Zawsze mówię to, co myślę. Mówię prawdę – ogłasza bezapelacyjnie Cyklistówka. Nagle do mnie dociera: on nie tylko tak gada. On naprawdę tak myśli. On i prawda to jedno.

No...

– I za to właśnie cię nie lubią! – nie zgadza się z Cyklistówką rozmówca.

– Ha! Miłość sama w sobie jest kłamstwem. Gdy rejestrujesz wszystko, co się tu dzieje, to staje się oczywiste.

Kramarz po tamtej stronie lady widzi, że zamarłem nad witryną i ożywia się. Podchodzi, wskazuje palcem szkło, pod którym leży miecz.

– Bardzo, bardzo dobra broń! Ale może go pan kupić tylko pod warunkiem, że ma pan sto punktów zdolności!

Cyklistówka za moimi plecami nie przestaje ględzić.

– Gra zesłała do poziomu bydła. Straciła swoją rozwojową rolę. Punkty siły, minstrele, kuglarze... dno! Pomyśl o tym.

– Życzy pan sobie potrzymać miecz? – proponuje uprzejmie kramarz.

Rzucam spojrzenie na Cyklistówkę. Jego rozmówca, najwidoczniej jakiś znany gracz, pyta:

– Więc co proponujesz?

– Sytuacja jest absolutnie jasna – głosi Cyklistówka. – Ale wolę i sprawdzić, czy sam znajdziesz adekwatne rozwiązania...

– Nie, dziękuję – mówię do kramarza. – Daleko mi do stu punktów.

Wychodzę z kramu – na świeże powietrze, do czekającej Viki. Chyba nie zauważyła swojego byłego klienta.

– Czegoś tam szukał? – pyta Vika.

– Życia.

– I znalazłeś?

Wzruszam ramionami.

– Raczej nie.

Idziemy w stronę miejskiej bramy – obok minstrela kuplecisty, obok kuglarza i fechtujących się wybrańców, i nagle zaczynam rozumieć.

W tym, co Cyklistówka mówi dziewczętom w burdelu albo elfom w Lorien, jest wiele prawdy. Prawda jest ubraniem maskującym cynizm.

To też na pewno jakiś cel – uważać się za ucieleśnienie prawdy. Kroczyć przez Głębię niczym dumny herold prawdy, wzgardliwie strząsając z białych wyłogów brud ludzkich wad. Cierpieć za prawdę i demaskować kłamstwo.

A wszystko z jednego jedyne powodu.

Nieumiejętności kochania ludzi.

Patrzę na ten świat i śmieszą mnie chłopcy, którzy ostrzą narysowane miecze, studiują język gnomów i handlują pustką. Ale to jeszcze nie to. Trzeba zrobić jeszcze jeden krok – całkiem malutki. Pójść odrobinę dalej – przestać kochać.

Tajemniczego Nieudacznika, głupiutkiego małego hobbita, wirtualną prostytutkę Vikę, kramarza, minstrela, wilkołaka Romka, Człowieka Bez Twarzy.

Nie kochać nikogo.

To takie proste. Oni wszyscy są pełni wad. Na każdego można się złościć, gardzić. Nawet nie trzeba się złościć, wystarczy nie kochać.

A wtedy uchylają się ciężkie drzwi i można zajrzeć do innego świata. Sterylnie białego, wystudzonego do zera absolutnego. Martwego i czystego, niczym procesor.

– Vika – szepczę – Vika...

Po co idziemy ratować Nieudacznika? Po co ten długi, nużący proces?

– Vika...

Patrzy mi w oczy i widzę ją pod obliczem elfa, pod złotymi kędziorami i bladą arystokratyczną cerą.

Zwykłą, prawdziwą.

Moją Vike.

Której nie trzeba nic wyjaśniać.

– Powiedz „kocham” – mówi ona.

Kręcę głową. Nie mogę, ciągle jestem tam, w zimnej bieli drwiącej prawdy. Prawda i miłość nie idą w parze.

– Powiedz „kocham” – powtarza Vika. – Umiesz.

Dokonuję wyboru.

– Kocham – szepczę ledwie słyszalnie.

– Przyjaciół i wrogów...

– Przyjaciół i wrogów... – powtarzam.

– A ja kocham ciebie – mówi Vika.

Wspaniałe miasto, Lorien. Nikt nie śmieje się tu z człowieka i elfa, obejmujących się przy bramie miasta.

Dobrze idzie się zimową drogą, jeśli przed tobą przeszła tędy armia. Śnieg jest udeptany, nie zboczysz z trasy. I wszędzie drobne znaki hałaśliwej krzątany.

Sosna najeżona strzałami. Dwie górki popiołu. Widzę oczami wyobraźni dwóch starsuszków przewodników, którzy odeszli na bok, żeby wypalić po fajeczce, gdy drogą maszeruje wojsko. Jeden pewnie był magiem z laską w ręce, drugi – wojownikiem z mieczem. Oto i ślady – okrągły od kija i wąski od pochwy miecza.

A tutaj był krótki postój. Po lewej stronie drogi śnieg jest ubity, po prawej lekko zdeptany. No tak, elfy chodzą lekko, nie zapadają się. Tutaj obie części armii wysłuchiwały instrukcji od swoich dowódców...

W realu przejście ośmiu kilometrów zajęłoby sporo czasu. Na szczęście gracze nie są milionerami, żeby iść do swoich wrogów całe miesiące. Droga ściele się pod nogami z cudowną szybkością.

Zapewne gracze umówili się, że to efekt magii.

Doszliśmy do skał, zaczynamy iść po ścieżce. Kilka razy odnoszę wrażenie, że poznaję miejsce, w którym niedawno straszylem hobbista, ale za każdym razem okazuje się, że to pomyłka. Drogę po prostu złożono z powtarzających się elementów.

W końcu Vika zauważa ślady biegnące od drogi ku świerkom. Kiepsko schowaliśmy Nieudacznika, każdy wojak, który włókł się za armią, mógł go zauważyć. Nie umawiając się, przyspieszamy kroku – może już go tu nie ma?

Ale Nieudacznik jest na miejscu, i to nawet nie sam.

Oparty o pień drzewa opowiada coś hobbistowi, popijając z manierki. Hobbit siedzi przy nim w kucki i śmieje się w głos. Na nasz widok zrywa się i wyszarpuje swój mały kindżał.

No proszę. Ten maluch umie być dzielny. Przynajmniej wtedy, gdy ma obok siebie bezbronnego człowieka.

– Jesteśmy przyjaciółmi! – mówi Vika. – Przyszliśmy w pokojowych zamiarach!

– Jestem medyk Elenium – popieram ją. Ciekawe, czy Nieudacznik nas pozna?

– Witaj, Lonia – mówi właśnie z uśmiechem.

– Jestem Harding! – oznajmia hobbit, chowając kindżał. – Nie widzieliście tu gdzieś Conana? Taki wysoki, z ognistym mieczem?

– Ten Conan okradł małego – mówi bardzo poważnie Nieudacznik. Tylko oczy mu się śmieją.

– No nie, nie jest taki zły! – hobbit nieoczekiwanie wstawia się za grabieżcą. – Potem zostawił Alienowi wszystkie moje zapasy! Zrozumiał, że jemu są bardziej potrzebne!

– Komu? – pytamy jednocześnie.

– Alienowi – powtarza hobbit, niczego nie podejrzewając. – Jemu. Złamał nogę.

Bardzo ciekawe.

Podchodzę do Nieudacznika, rozwijam łubki, wytrząsam na śnieg zawartość swojej torby lekarskiej. Nie mam bladego pojęcia, jak należy leczyć w tym wymyślonym świecie.

– Więc nazywasz się Alien? – pytam. Nieudacznik milczy. Otwieram jedną z buteleczek. Wewnątrz śmierdząca zielona maź. Podwijam nogawkę Nieudacznika, obficie smaruję nogę. Po chwili zastanowienia oblepiam jeszcze suchymi liśćmi i oznajmiam: – Za pięć minut złamanie się zrośnie.

Sytuacja jest bardzo prosta. W tym świecie mam zdolność leczenia ran. Nieudacznik pojawił się tu z kontuzją kończyny. Gdy otworzyłem torbę i poświęciłem część jej zawartości na nogę Nieudacznika, komputer podtrzymujący Lorien i jego okolice powinien odtworzyć funkcje narysowanego ciała.

– A jeśli nie zadziała? – pyta z ciekawością Harding. – Wtedy doniesiemy... hmm... twojego przyjaciela do miasta.

– Dziękuję – mówi z całego serca hobbit. – Mam tylko trzy punkty siły, nie doniósłbym go.

Po chwili wahania pyta:

– A czy wy... czy poradzicie sobie sami?

– Oczywiście.

– To ja już pójdę, dobrze? Wrócę do miasta. Długo mnie nie było, na pewno oberwę.

Dzieciak. Sto procent.

– Biegnij – mówię, czując wyrzuty sumienia. Harding rysią wybiega na ścieżkę, jeszcze krzyczy:

– Tylko uważajcie na Conana!

Vika szepce mi na ucho:

– Conan, pogromca hobbitów!

– Przestań – proszę – i tak mi wstyd.

W milczeniu odczekujemy pięć minut i, nie umawiając się, odkładamy rozmowę z Nieudacznikiem na później. Teraz najważniejsze są rezultaty leczenia.

– Wstawaj – komenderuje Vika.

Nieudacznik niepewnie opiera się na niedawno chorej nodze, i wstaje. Robi jeden krok, drugi.

– Boli? – pytam z ciekawością prawdziwego lekarza.

Kręci głową.

– No to idziemy do miasta.

– A potem? – Nieudacznik zerka na Vikę, ona milczy. Odpowiedzieć muszę ja:

– Potem mimo wszystko będziesz musiał wybrać. Nie mamy czasu na zagadki.

Powrót do Lorien trudno nazwać triumfalnym. Ochroniarze przy bramie miejskiej rzucają nam pogardliwe spojrzenia – przechodziliśmy tędy kilka godzin temu i wygląda na to, że nie udało nam się dogonić armii. Powstrzymują się wprawdzie od złośliwych uwag, ale mimo wszystko wyjaśniam:

– Namówił nas, żebyśmy potrenowali – kiwam na Nieudacznika. – Na razie i tak niewiele z nas pożytku.

Wyjaśnienie nie gorsze od każdego innego. Mogą nas uznać za zarozumiałych nowicjuszy, którzy w końcu spokornieli.

– To jest Lorien? – pyta Nieudacznik, gdy przechodzimy obok śnieżnobiałych drzew oplatanych schodami niczym bożonarodzeniowe choinki łańcuchami.

– Właśnie. Teraz wyjdziemy na ulicę i ostatecznie zakończymy nasze sprawy – rzucam niedbale.

– Ja i tak nie umiem niczego wyjaśnić – uprzedza Nieudacznik.

– Wobec tego rozstajemy się. Na zawsze. – Nie kłamię i nie szantażuję go. – Muszę się ukryć. Czeka mnie nudne i długotrwałe ukrywanie się w różnych zadupiach, gdzie na kalkulator mówią komputer. A Vika musi odbudować swój biznes.

Vika zerka na mnie, ale milczy. Rozumie, wie, że będę musiał odejść.

Nieudacznik zadziera głowę, patrzy na poprzecinane melornami niebo.

– Jak chcesz, zostań tutaj – proponuję. – Przecież nie musisz płacić za rachunki telefoniczne?

– Nie muszę.

– I wychodzić w real, żeby coś przegryźć, też nie musisz?

Milczy.

– Zpracujesz tysiąc punktów i będziesz twardzielem, w dodatku szanowanym – rozmyślałam na głos. – Kiedyś przyjdę tu znowu, zastukam i pokornie zapytam: gdzie szukać mądrego Aliena? Może wtedy zaryzykujesz i opowiesz mi prawdę.

– Ja też mam niewiele czasu, Leonid.

– Nie zalewaj! Co dla ciebie znaczy rok czy drugi? Po stu latach ciszy?

Nieudacznik przystaje. Patrzymy sobie w oczy.

– Chłopcy, jestem chyba najmniej poinformowaną osobą w tym towarzystwie – odzywa się Vika.

– To bardzo proste, moja droga. Bardzo proste. Gdy odrzucasz to, co niemożliwe, prawdą okazuje się to, co nieprawdopodobne.

Nawet Nieudacznik jest zakłopotany.

Czegoś brakuje w tym długim łańcuchu warunków pozwalających mu mówić.

– Chodźcie. Nie denerwujmy biednych elfów... nigdy nie staniemy się częścią ich bajki.

Wychodzimy z Lorien przez ten sam przedpokój. Tym razem odzwierny nie nęka nas pytaniami.

– Decyduj, Nieudaczniku – mówię, otwierając drzwi. – Nie żartuję, naprawdę jestem zmęczony rebusami.

Ale gdy wychodzę na zewnątrz, widzę, że to jednak ja będę musiał podjąć decyzję.

Człowiek Bez Twarzy stoi pięć metrów od nas. Skrzyżował ręce na piersi, natarczywie nas obserwując. Czarny płaszcz ściele się na brudnej ulicy.

Nie jest sam.

Trzech ochroniarzy z automatami stoi za jego plecami. Kolejnych dwóch wisi w powietrzu opodal – ale nie dlatego, że mają buty w rodzaju skrzydlatych kłapek Zuko. Za plecami ochroniarzy huczą reaktywne silniki, to dzięki nim lewitują dwa, trzy metry nad ziemią – scena przypomina mi jakąś staroświecką, przedwirtualną grę...

– Brawo, nurku – mówi Człowiek Bez Twarzy.

Pierwsza dochodzi do siebie Vika.

– To twoi chłopcy rozwalili mój zakład? – zaczyna agresywnie. Mgła nad kołnierzem czarnego płaszcza kołysze się.

– Sprawdź swój rachunek, dziewczyno. A potem zastanów się, czy możesz czuć się pokrzywdzona.

Znowu ruch – nieistniejąca twarz odwraca się w moją stronę.

– Magazyn, w którym rozmawialiśmy po raz pierwszy, jest na Yuken Street 42. Idź i weź to, co ci obiecano.

Nieźle.

Kij i marchewka. Bardzo słodka marchewka.

Człowiek Bez Twarzy robi krok do przodu. Wyciąga do Nieudacznika rękę.

– Chodźmy. Musimy omówić wiele rzeczy. Wiem, kim jesteś. Nieudacznik nie rusza się.

– Możemy się dogadać. Powinniśmy. Nie wiem, jakie stawiasz warunki, ale wszystko da się zrobić – szepce hipnotyzująco Człowiek Bez Twarzy. Na nas już nie patrzy, zostaliśmy kupieni i usunięci z gry.

Jego zdaniem.

– Zbyt długo cię nie było w Rosji, Dima – mówię, a Człowiek Bez Twarzy zamiera. – Powieś sobie swój medal nad sedesem.

– Chcesz powiedzieć, że ciebie nie można kupić, Leonid? Jeden jeden. On też zna moje imię. Może nawet adres.

– Tak.

– Co to, próba samobójcza? Osobiście wolałbym dobrze zapłacić za dobrą robotę. Nie nauczyłem się tego w Rosji.

– Po pierwsze, nie pracowałem dla ciebie. Po drugie, ty też ryzykujesz.

– Czym?

– A jeśli doniosę na ciebie Urmanowi? Samemu Friedrichowi Urmanowi? On też pragnie dołączyć do grona wtajemniczonych.

Człowiek Bez Twarzy zaczyna się śmiać.

– Nurku, ty jesteś po prostu głupi! Samemu Urmanowi! Żaden człowiek jego rangi nie zajmuje się osobiście interesami w wirtualności! Od tego są referenci, sekretarze, sobowtóry i tak dalej. Dobrze przygotowani pomocnicy!

Wytrzymuję cios. Robi wrażenie, nie podejrzewałem istnienia takich subtelności. Wydawało mi się, że biznesmeni tak samo lubią pobawić się w Głębi jak zwykli ludzie. Ale wytrzymuję cios – innego wyjścia nie mam.

– Co za różnica, Dibienko? Mogę poinformować o tobie Al Kabar. A ty nie możesz mi nic zrobić, jestem nurkiem.

– Nawet nurkowie mają swoje czułe punkty.

Blefuje, na pewno blefuje. Odwracam się do Nieudacznika.

– Chcesz z nim pójść?

– Ty decydujesz – odpowiada Nieudacznik. Tylko on się teraz nie boi. I może jeszcze osiłki Dibienki, ale oni z innego powodu.

– Odchodzimy – mówię i biorę Nieudacznika za rękę. Wewnętrznie jestem absolutnie przekonany, że Dibienko nie będzie nam przeszkadzał. W końcu nie jest idiotą. Jeśli rozumie, co się dzieje...

– Zabić tych dwoje – rozkazuje Człowiek Bez Twarzy. Stoimy w zwartej grupie, ochrona nie strzela. Najwidoczniej dostali polecenie chronienia Nieudacznika za wszelką cenę. Dwóch w powietrzu nadal wisi, ale tych trzech na ziemi rzuca się na nas.

Ile potrzeba na dwoje nieuzbrojonych ludzi? Kilka uderzeń kolbami, kilka wirusów wpuszczonych w nasze kompy i znikniemy z pola bitwy. Nawet jeśli zza muru przyglądają się nam dzielne elfy, nie będą się wtrącać. Wystarczy im własna odwaga i własna broń.

Ale okazuje się, że obserwują nas nie tylko elfy.

Uchylam się przed pierwszym ciosem, podcinam ochroniarza, który pada – w Deeptown podlega

ogólnym zasadom... próbuję wyrwać mu automat w nieśmiałej nadziei, że ten zestaw wirusów ukształtowano jako autonomiczny obiekt...

W tym momencie z dachu elfiej rudery skacze długi szary cień.

Wilk uderza w jednego z latających ochroniarzy, który spada na ulicę jak papierowa lalka podwieszona na nitkach. Pstryknięcie, szczęk i ochroniarz nieruchomieje. Wilk odskakuje – w samą porę, bo drugi lotnik zaczyna strzelać w jego stronę.

Kule rozrywają obojętne ciało, które zaczyna unosić się w górę – silnik nadal pracuje. Wilk skacze w naszą stronę.

Człowiek Bez Twarzy płynnie schodzi mu z drogi. Ale wilk mija go obojętnie i wgryza się w gardło jednego z napastników. Czas jakby gęstnieje – widzę, jak trzeci ochroniarz walczy z Viką i ciskam swoim przeciwnikiem w niego.

Jednym kłapnięciem szczęk wilkołak przegryza ochroniarzowi szyję i rzuca się na pozostałych dwóch. Jest zbyt zaabsorbowany walką, by imitować czysto wilcze zachowanie – rwie wrogów zębami i po kociemu młóci łapami. Z pazurów sypią się zielone iskry – w ruch poszła broń wirusowa.

Automat leży pod moimi nogami, podnoszę go, ale w programie jest, oczywiście, detektor użytkownika. Spust pod palcem ani drgnie, więc po prostu rzucam bronią w lecącego na nas ochroniarza, który odruchowo zaczyna strzelać. Za szybka, bezsensowna reakcja.

W tym wypadku również niebezpieczna. Seria tnie po automacie, zabezpieczenie programu bojowego nie wytrzymuje. Eksplozja – i cały pakiet wirusów, połączonych w postać automatu, uaktywnia się jednocześnie. Najbliżej jest nieszczęsny lotnik i właśnie on obrywa. Kolejny wybuch i pechowy ochroniarz rozlatuje się na bezkształtne kawałeczki.

– Uciekajcie! – ryczy wilk, odrywając się od nieruchomych ciał. Z kłów kapie krwawa ślina, sierść jest zjeżona. Podchodzę do Romka, kładę mu rękę na grzbiecie i szepczę:

– Dziękuję.

Został już tylko Człowiek Bez Twarzy, który patrzy niewzruszenie na pogrom swojej armii.

– Uciekaj! – rozkazuje znowu wilk, nie odrywając spojrzenia od Dibienki.

– Braterstwo nurków? – mówi kpiąco Człowiek Bez Twarzy. – Nigdy bym się nie spodziewał.

Jest zbyt spokojny. Kiwam na Vikę i Nieudacznika, którzy posłusznie zaczynają się wycofywać. Ja i Roman zostajemy – dwóch na jednego.

Ale ten jeden jest zbyt opanowany.

– Po raz kolejny proponuję ci, żebyś się opamiętał – mówi Dibienko.

– Idź wreszcie! – prycha na mnie wilk, błyskając zielonymi ludzkimi oczami. I skacze na Człowieka Bez Twarzy.

Piękny skok, chyba nawet szybszy i bardziej precyzyjny niż ten z dachu. Kłapiące szczęki zaciskają się na szyi Dibienki, przednie łapy drą jego pierś. Stojąc na tylnich łapach, wilkołak jest znacznie wyższy od Człowieka.

– Szczeniak – mówi Człowiek Bez Twarzy.

Jedną ręką podnosi wilka za skórę na karku i odrzuca pod elfią rudere. Cios jest tak silny, że ściana się zawala i wilk do połowy grzęźnie w przedsionku. Ale natychmiast zrywa się i znowu rzuca na Dibienkę. Cios nie był zwykłym uderzeniem – skóra wilka jarzy się białym płomieniem.

Jednak drań wpuścił w Romka wirusa. Pewnie wilkołak odłączył całą ochronę w imię szybkości i precyzji ruchów. Ale teraz, nawet gdy wirus załatwia jego komputer, nadal walczy.

Uciekam. Romek mnie wyśledził – jak mu się udało? – i rzucił się do walki, żeby dać mi szansę.

Nie mogę jej zmarnować.

Dziesięć metrów dalej, na ulicy, Vika łapie samochód Deep Przewodnika, wpycha do środka Nieudacznika, macha mi ręką. Ale zaraz jej twarz wykrzywia przerażenie.

Uszy przewierca mi żałosne, cichnące wycie, a w następnej chwili Człowiek Bez Twarzy chwyta mnie za ramię. Trudno współzawodniczyć pod względem szybkości z facetem, który ma w domu prototyp komputera najnowszej generacji. Jeden cios i leżę na ulicy. Człowiek, który wymyślił Głębio, pochyla się nade mną.

– Byłem cierpliwy – mówi.

Pluję w tę mglistą maskę. Gest czysto symboliczny – możliwość plucia w wirtualnym ciele nie została przewidziana. Trzeba będzie podpowiedzieć Magowi...

Dibienko przesuwa dłoń po pustej twarzy, jakby ścierał moją ślinę. Ale to nie o to chodzi. Jego palce wyszarpują garść mgły i zgniatają niczym brudny miejski śnieżek.

– Łap, nurku! Miłych snów.

Śnieżek leci prosto w moją twarz, rozwija się niczym bezkresne prześcieradło. Już nie szare – barwne, skrzące się, lustrzane, wzorzyste.

Zbyt późno dociera do mnie, co mi przypomina ten kalejdoskop.

„Głębio, Głębio...”

Za późno.;

Deep program zalewa mnie, i nie mam sił się uchylić.

„Głębio, Głębio...”

A płótno prześcieradła płonie, i nie ma zamiaru zgasnąć, jak przystało na ucziwy, posłuszny deep program...

„Głębio, Głębio...”

Nurkuję coraz głębiej, spadam w tę barwną przepaść, w niekończące się fałszywe odbicia, w kolorowy labirynt, w szaleństwo i zapomnienie.

Na moim kompie nie ma timera i nikt nie przyjdzie do moich drzwi z własnym kluczem.

„Głębio, Głębio...”

Nie mogę wynurzać się z taką prędkością, z jaką wciąga mnie kolorowy wir!

„Głębio, Głębio...”

Przede wszystkim spokój. Podobno to ulubione powiedzonko któregoś z naszych kosmonautów. Tylko kto jeszcze pamięta bohaterów minionych czasów?

Spokój.

Panika zabija szybciej niż kula.

Wokół mnie niekończący się kalejdoskop. Tęcza, fajerwerk, aktywny deep program. Jak prosto i jak niespodziewanie. Nurek umie się wynurzyć, ale co ma zrobić, gdy wody przybywa szybciej niż on wyrywa się w górę?

Jeszcze nie wiem.

Robię krok – o dziwo, udaje mi się. Świat stracił realność, teraz jest jak obraz szalonego abstrakcjonisty. Obok mnie przepływa pomarańczowa wstęga, zwija się w pierścień, próbuje zawiązać wokół mojej głowy. Zrywam ją, ale moich rąk nie widać, urażona wstęga odlatuje. Spod nóg, których też nie ma, biją fontanny białego pyłu. Zaczyna padać szmaragdowy deszcz, każda kropla to malutki, kłujący boleśnie kryształek...

I cisza, martwa cisza, prawie taka, jak ta, o której mówił Nieudacznik...

Spokój.

Gdzie teraz jestem? Idę po ulicy Deeptown z wysuniętymi przed siebie rękami ślepo wpatrzony w nicość? A może spadłem w Głębię komputera Dibienki? Albo, niczym legendarne postacie, rozplątałem się po całej Sieci?

Spokój.

Przede wszystkim – jestem w domu. W domu, przy swoim starożytnym kompie. W kombinezonie i hełmie. Gdzieś przede mną klawiatura, po prawej mysz. Gdyby wymacać klawisze, mógłbym ręcznie wprowadzić komendę wyjścia.

To niemożliwe. Rzecz nie w tym, że nie poczuję klawiszy pod palcami. Po prostu świadomość dawno temu przywykła imitować moje ruchy. Nie wyciągam ręki, lecz słabo drgam, nie skaczę, tylko unoszę się nad krzesłem, nie idę, ale przebieram nogami pod stołem. Iluzje. Głębia.

– Vika! – Mówię. – Vika! Wyjście z wirtualności! Vika, przerywam zanurzenie! Wyjście!

Zero efektu.

Kontaktowanie się z Windows Home z Głębi było dla mnie naturalne. Przejmowanie i kopiowanie plików, wychodzenie z Głębi, interesowanie się wolnymi resursami komputera. Gdyby wszystko było takie proste, po co byliby potrzebni nurkowie? Teraz w skórze zwykłego bywalca wirtualności gram na zwykłych prawach.

Nie czuję rzeczywistego świata.

Nie mogę wezwać pomocy.

Tonę.

Spokój!

Próbuję ściągnąć hełm, którego nie czuję. Bez sensu. Biegnę, szarpnię się w nadziei zerwania kabli.

Wątpię, żebym przesunął się choćby o metr.

Zamykam oczy. Muszę odciąć się od deep programu. Nie widzieć go. Nie zanurzać się już.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój... wypuść mnie, Głębio...”

Powtarzam to sto razy, dwójkowy uczeń szkoły nurków smętnie skrobiący w zeszyście jedno i to samo zdanie...

Nic się nie zmienia.

Tam, w nieskończenie odległym prawdziwym świecie, moje nieruchome ciało siedzi przed komputerem. W otwartych oczach odbijają się fatalne tęcze.

Dibienko mnie schwytał.

Czy wymyślił tę pułapkę przypadkiem? Próbował sam się nauczyć wynurzać, projektował koło ratunkowe i wyszło mu wiadro z cementem? A może właśnie do tego dążył? Nie podciągać wszystkich bywalców wirtualności do umiejętności nurka, lecz ściągnąć nurków do poziomu mas?

Może nigdy się tego nie dowiem.

Co się stało z Romkiem? Czy Vika zdążyła wsiąść do samochodu, czy tak jak ja błąka się w kolorowej zadymce, a Nieudacznik idzie z Dibienką pokorny i milczący?

Żeby się dowiedzieć, muszę wrócić.

Świat wokół mnie nieco się uspokaja. Albo szaleństwo kolorów się usystematyzowało, albo ja przywykłem do tego, co się dzieje. Ustalmy sobie, że szmaragdowy deszcz pada z góry. Zawsze to jakiś punkt orientacyjny. Spróbuję iść. Powoli, spokojnie. Choćby do tej pomarańczowej taśmy, wirującej z przodu...

Wstęga dopuszcza mnie do siebie i odlatuje. Zdążam zauważyć, że szmaragdowy deszcz pociął ją, postrzępił brzegi. Pomarańczowa szarfa zwinięta jakby we wstęgę Mobiusa, jakby była niezależna od otaczającej ją przestrzeni!

Zbyt wymyślne jak na deep program...

Znowu ruszam do taśmy, ale ona znowu nie daje się wziąć w ręce, odlatuje.

Co się właściwie dzieje? Czy to szalony świat sformował się wokół mnie, czy to, co się dzieje, jest tylko żartem podświadomości?

Idę za taśmą. Każdy kierunek może być tym słusznym – jeśli w ogóle istnieją tu jakieś kierunki. Deszcz się nasila, kryształki stają się coraz drobniejsze, przemieniają się w igły. Pochylam głowę, chroniąc oczy, idę dalej. To, co się dzieje, cieszy mnie. Ktoś z kimś walczy.

Więc jest jeszcze szansa.

Nie ma czasu, nie ma odległości. Wszystkie miary zlały się w jedną. Może minęła godzina, może trzy kilometry.

Może nadeszło szaleństwo.

Wstęga wisi przede mną, ale jej ruchy są coraz wolniejsze i mniej pewne. To już właściwie pomarańczowe, posiekane deszczem strzępy. Ostatnie szarpnięcie i spada w dół, wzbijając gejzer białego pyłu.

Koniec?

Stoję nad resztkami swojego dziwnego przewodnika. Co teraz? Nie ma innych punktów orientacyjnych. Zamykam oczy i słyszę słaby, odległy dźwięk.

Deep program nie operuje dźwiękami. Podobno, choć możliwe, że to tylko plotki, w komputerze Dimy Dibienki nie było karty dźwiękowej.

Idę.

Dźwięk nabiera mocy, ale nadal jest niewyraźny. Tak mógłby szemrać leśny strumyk albo szumieć

odległy przybój, albo trzeszczeć płomyk świecy. Wszystko jedno, niechby to nawet było echo Wielkiego Wybuchu, potrzebuję tego dźwięku – braku ciszy!

Kolejne dwa kroki.

Nawet przez zamknięte powieki czuję, że coś się zmieniło.

Otwieram oczy. Świat jakby przygasł. Szmaragdowy deszcz stracił wyrazistość; to już nie szmaragdy, lecz brudne odłamki butelkowego szkła. Biały pył pod nogami jest ledwie widoczny.

A przede mną płonie błękitna gwiazda.

Odłamek nieba.

Albo to ona urosła, albo ja stałem się mniejszy – nade mną unosi się migocząca ognista kula. Wyciągam rękę, dotykam ciepłych promieni.

I spadam w gwiazdę.

Wiatr.

Zimny wiatr chłodzi moją twarz.

Wstaję z przyprószonej śniegiem ziemi. Jak okiem sięgnąć, płaska równina. Nie ma horyzontu. Niebo pokryte ślizgającymi się i przeplatającymi nawzajem pomarańczowymi nićmi, przez które sączy się błękitne światło.

Mgliste strumienie, płynące nad ziemią, zmieniają kolor i gęstość, mkną naprzeciw wiatrowi, wzlatają ku pomarańczowej kratce nieba.

Otrząsam z kolan śnieg, patrzę na swoją dłoń. Dziwny śnieg – kryształki są za duże, sypkie, nie lepią się. Syczą na mojej ręce i ulatują białą mgiełką.

– Cieszę się, że doszedłeś, Lonia – odzywa się zza moich pleców Nieudacznik.

Zanim zdążę się odwrócić, słyszę krzyk:

– Nie... nie trzeba!

Równina otulona mgłą, zimny wiatr, sypki śnieg. Przełykam kulę w gardle.

– Nieudacznik... dziękuję ci.

– Musiałem pomóc – odpowiada bardzo poważnie. – Przynajmniej spróbować. Przecież ty mnie ratowałeś.

– Z niewielkimi efektami...

– Ale wyciągnąłeś. A mnie było bardzo źle... tam.

– Domyślam się. Ale mogłeś przejść cały Labirynt w ciągu godziny... w ciągu dziesięciu minut...

– Lonia...

– Mogłeś po prostu wyjść albo pobić wszystkie rekordy.

– Nie mogłem.

– Ale dlaczego?

– Jeszcze nie rozumiałeś? – W jego głosie słychać zdumienie.

– Nie chciałeś zabijać?

– Tak.

– Ale to przecież nie jest prawdę!

– Dla ciebie.

– Nigdy nie mógłbym być taki jak ty.

– To nie jest potrzebne. Strzelcu.

– Wiesz – mówię, walcząc z pokusą odwrócenia się – przez moment, tylko przez moment pomyślałem... że jesteś mesjaszem. Rozumiesz?

Nieudacznik jest bardzo poważny.

– Nie, Leonid. Nie chciałbym być waszym bogiem. Żadnym z wymyślonych. Są bardzo okrutni.

– Jak my.

– Jak wy – odpowiada jak echo Nieudacznik. W jego głosie jest smutek.

– To sen? – pytam po chwili milczenia. – Wszystko, co jest wokół?

Ten, który stoi za moimi plecami i nie chce, żebym się odwracał, bardzo długo milczy.

– Nie, Lonia. A jeśli sen, to nie twój.

– Rozumiem.

– Dziękuję.

Nie jest mi zimno, może dlatego, że on tak chciał. Nie parzą mnie szare grudki śniegu pod nogami, nie palą mgliste strumienie. Może dla niego to było głupstwo, a może wymagało ogromnego wysiłku? Nie wiem.

– Zdążyliście uciec?

– Tak. Teraz jeździmy po mieście. Vika podaje kierowcy adres za adresem... chyba nie wie, co robić. – Nieudacznik po chwili wahania dorzuca: – I płacze.

Pomarańczowe taśmy wiją się na niebie. Niekończący się taniec pod gorącym błękitnym słońcem. Mimo wszystko chyba to jest piękne.

– Powiedz jej, że ze mną wszystko w porządku.

– To prawda?

– Nie wiem. Pomożesz mi stąd wyjść?

Nieudacznik nie odpowiada.

– Zdołam stąd wyjść?

– Tak. Może.

– Powiedz Vice, że wszystko będzie dobrze.

– Nie uwierzy.

– Uwierzy. Ona też prawie zrozumiała. Powiedz jej, że w rosyjskiej dzielnicy Deeptown jest kompania Polana. Należy do niej jeden jedyny dom. Taki smętny betonowy dwunastopiętrowy wieżowiec. Czekać tam na mnie, pod drugą klatką, dokładnie za godzinę.

– Coś jeszcze, Lonia?

– Nie. To wszystko.

– Będzie ci bardzo trudno, Strzelcu. – Nieudacznik zająknął się. – Przywykłeś walczyć z Głębią. Siła i napór. Jesteś dobrym pływakiem, zawsze wynurzałeś się z wiru. Ale teraz to nie zadziała.

– Ty nie przywykłeś liczyć na siłę?

– Zależy, na jaką siłę. Strzelcu...

Coś leciutko musnęło moje ramię. Albo pożegnalnie, albo krzepiąco.

A niebo z pomarańczowych nici spadło na śnieżną ziemię...

Wstaję w rozbryzgach kolorów, w kalejdoskopie iskier. Deep program działa. Swojego ciała

nadal nie widzę.

I tylko żyje we mnie ledwie wyczuwalna pamięć dotyku.

Pamiętam też tamten świat, nadal w nim żyję. W cudzym dalekim śnie...

– Co ty wyrabiasz, Dibienko? – szepczę w szaloną ciszę. – Nie można... nie można traktować go po naszymu.

Ten przypadkowy stwórca wirtualnego świata mnie nie słyszy; kontynuuje swoją pogoń za Nieudacznikiem, swoje polowanie na cud. Ale ja muszę go znaleźć, wytłumaczyć, jak bardzo się myli. Zamykam oczy, rozkładam ręce. Kolorowe rozbłyski pod opuszczonymi powiekami, deep program nadal otula mój mózg.

Przede wszystkim spokój. Nie ma tu nic demonicznego. Błyszczące wahadełko, którym hipnotyzerzy machali przed oczami pacjenta – oto, czym jest deep program. Wahadełko wieku elektroniki. Nie ma granicy pomiędzy snem a snem we śnie. To ja buduję te bariery. Ja wmawiam sobie, że tonę.

Ale teraz pora się wynurzyć.

– Głębio – szepczę niemal czule – Głębio, Głębio... Budowaliśmy ją, układając cegielki komputerów na cemencie linii telefonicznych. Zbudowaliśmy wielkie miasto. Miasto, w którym nie ma dobra ani zła, dopóki nie przyjdziemy my.

Było nam ciężko w realnym świecie. Tam, gdzie nie rozumieją hazardu, wielodniowego łamania cudzego programu i wielomiesięcznego pisania własnego. Tam, gdzie nie mówi się o spadających cenach na megabajt pamięci, lecz o rosnących cenach chleba. W świecie, gdzie zabija się naprawdę. W świecie, w którym żyje się ciężko i grzesznikom, i świętym, i zwykłym ludziom.

Zbudowaliśmy sobie miasto nieznające granic. Wierzyliśmy, że jest prawdziwe.

Czas się wynurzyć.

Chcieliśmy cudów i wypełniliśmy nimi Deeptown. Polany elfów i marsjańskie pustynie, labirynty i świątynie, odległe gwiazdy i morskie głębiny – na wszystko znalazło się miejsce.

Ale teraz czas się wynurzyć.

Zmęczyła nas wiara w dobro i miłość, napisaliśmy na sztandarze „wolność”, naiwnie sądząc, że wolność jest ponad miłością.

Pora dorosnąć.

– Wypuść mnie, Głębio – proszę. – Głębio, Głębio... jestem twój.

Część piąta

Nieudacznik

Najpierw jest ciemność. Wszystkie barwy świata znikły w jednej chwili.

Nie zauważyłem, kiedy i jak to się stało. Przed chwilą był wokół mnie deep program, a teraz nie ma już nic.

Może tak właśnie giną nurkowie? Spadając na samo dno wirtualnej przestrzeni? Pałac komputer i już nic nie czując?

Ale ciemność dzieli się na siatkę malutkich kwadracików, zmienia wyrazistość. Kolory wracają.

Stoję przyciśnięty czołem do ściany. Narysowanej ściany narysowanego domu.

Dziwnie to wygląda. Jakbym wszedł w wirtualną przestrzeń bez deep programu. Ale patrzę nie na ekraniki hełmu, jestem tu jakby naprawdę! Tylko świat przestał być rzeczywisty, stał się narysowany, animowany.

Odrywam się od ściany, kwadraciki zlewają się w brązowe prostokąty-cegły. Patrzę na niebo – granat z rzadkimi gwiazdami. Wzdłuż ulicy domy i pałace przypominające dziecięce rysunki – wyraźne kontury – wypełnione kolorem. Ten domek jest z cegły, płot drewniany, w ogrodzie przed domem małe świerki... Wzdłuż ulicy stoją stalowe rury z żółtymi plamami na górze – latarnie... Umowność, wszędzie umowność. Bardziej solidne dzielnice rysowano staranniej, ale teraz jestem gdzieś na samych obrzeżach. Świat stworzony na prościutkich programach, podtrzymywany przez słabe komputery.

A ja jestem prawdziwy. Rozerwany w bójce rękaw koszuli, podrapane ręce... podnoszę dłoń do twarzy, widać każdy włos, brud za paznokciami i zdartą na kostkach palców skórę.

Człowiek pośród animków.

Przeszywa mnie dreszcz. To coś nowego, czegoś takiego nie było jeszcze nigdy. Co zrobił ze mną deep program, zanurzając tysiąc razy?

Co ja z nim zrobiłem, wynurzywszy się z obłądu?

Z tyłu napływa dźwięk. Odwracam się – ulicą jedzie autobus. Ogromny dwupiętrowy kolos, niemal cały ze szkła. Narysowany dość dokładnie, nawet koła mu się kręcą. Do okien przyklejone są karykaturalne twarze – dorośli, dzieci, staruszki. Z boku emblemat Deep Przewodnika.

Stoję, wdycham powietrze, oglądam nieruchome twarze. Zresztą dlaczego miałyby być inne – mimikę dodają tylko bardzo dobre, obliczone na stałego użytkownika programy. A to są turyści.

Autobus zatrzymuje się, wychodzą z niego niezgrabnie ludzie. Niedaleko mnie przystaje facet w jaskrawoczerwonym kombinezonie – pilot wycieczki. Mężczyźni w garniturach i krawatach, tylko jedyny w grupie Murzyn ma na sobie dzinsy i t-shirt. Twarze – niewzruszenie regularne, jak u drugoplanowych łajdaków z dziecięcych seriali animowanych. Kobiety w szykownych sukniach zrobionych znacznie lepiej niż twarze, obwieszone kosztownościami. Stadko karykaturalnie wielkookich dzieci. Grupa staruszków i staruszek w szortach i z aparatami fotograficznymi.

Ostatni jest chłopak na wózku inwalidzkim, któremu pomagają wsiąść.

– Hej – krzyczy do mnie przewodnik i macha ręką. Usta mu się otwierają, ale mimiki brak.

– Witaj... – uśmiecham się z wysiłkiem. Usatysfakcjonowany pracownik Deep Przewodnika odwraca się do swoich podopiecznych.

– *What attracts you most...*

Słabe syczenie i głos przewodnika staje się ledwie słyszalny. Zagłuszając go, rozlega się suchy,

znajomy głos:

– Co zainteresuje was najbardziej w tej dzielnicy Deeptown? Można obejrzyć znane – chwila przerwy – słynne centrum handlu książkami, gdzie waszej uwadze zaproponują dowolną literaturę – przerwa – dowolne książki, czasopisma, gazety, papierowe nośniki informacji wydawane od czasów...

Mrugam oczami jak dziecko, które wypatroszyło ukochanego pluszowego misia i znalazło w środku pomięte szmatki, pogniecione papiery i czyjąś brudną chusteczkę.

A tak ceniłem program tłumaczący Windows Home. Zachwyciałem się szybkością i dokładnością tłumaczenia! I to z dowolnego z pięciu języków Deeptown!

Szybkość? Na pewno. Ale dokładność zapewnia nasz własny mózg, wybierając z potoku zwrotów odpowiednie słowa.

– Są tu również... znajdują się znane, popularne restauracje Miecz Artura i Cztery Dziesięć. Jeśli przejdziemy po Czterdziestej Trzeciej ulicy sto metrów, nieco więcej, dojdziemy do dzielnicy rozrywek dla dorosłych... pełnoletnich.

Lekki szum wśród turystów – chyba uśmieszki.

– Mamy dwie godziny czasu wolnego – ogłasza przewodnik.

Chyba już wiem, gdzie jestem. Ta bezosobowa szara kopuła nieopodal – to słynne centrum ksiązek noszące imię jakiegoś amerykańskiego prezydenta, który sponsorował tę budowlę.

Jeśli jestem na ulicy Czterdziestej Trzeciej, to zaniósło mnie na przeciwległy koniec miasta. Niezły spacer! Patrząc przerażony na zegarek i panika opada.

Z ziemi elfów wyszliśmy dwadzieścia minut temu!

Turyści rozchodzą się. Rodziny do restauracji, samotnicy przeważnie do miejsc rozrywek dla dorosłych. Chłopak na wózku w towarzystwie siwej staruszki i Murzyna jedzie do centrum ksiązek. Przewodnik wyjmując potężne cygaro, bez wątpienia odpowiednio drogie, narysowane lepiej niż jego twarz, odgryza kawałek, przypala. Podchodzi do mnie.

Czy już tak zawsze będzie?

Czy takiego zwycięstwa nad Głębią chciałem?

Nie.

Gotów jestem okłamywać się nadal. Widzieć miasto i ludzi, a nie kolaż dziecięcych rysunków i prymitywnych kreskówek. Nie jestem sędzią tego świata ani obojętnym obserwatorem. Jestem częścią Głębi, ciałem z ciała Deeptown...

Zasłaniam twarz rękami, patrzę w ciemność. Nie wiem, kogo prosić. Głębię czy samego siebie. A jednak proszę:

– Bądź mną, Głębio...

– Chcesz cygaro, koleś? – pyta dobrodusznie przewodnik. Uśmiecha się, podsuwa cygarnicę. Kołnier z czerwonego kombinezonu jest rozpięty, z kieszeni wystaje końcówka eleganckiego długopisu i kawałek notesu. Ręczę, że przedtem ich nie było. Twarz otwarta, dobra, szczerza. Tak powinni wyglądać ludzie wprowadzający w Głębię niedoświadczonych nowicjuszy.

– Dziękuję, nie palę...

Wszystko w porządku. Wszystko jak przedtem.

Nawet lepiej.

Jestem twój, Głębio. Mogę być prawdziwym człowiekiem w prawdziwym Deeptown, albo prawdziwym w animkowym świecie. Może nawet rysunkiem spacerującym wśród prawdziwych mieszkańców Deeptown.

Dziękuję, Dimka Dibienko. Chciałeś wyrzucić mnie z gry, może nawet zabić.

Ale coś poszło nie tak.

Nawet domyślałam się, co. Nieudacznik jednak mi pomógł. Dał część tej siły, którą sam posiada.

I za to wielkie dzięki. Z całego serca.

– Jak chcesz – przewodnik nie wygląda na obrażonego odmową. Chowa cygaro do kieszeni. – Jesteś tu stałym bywalcem, prawda?

– Prawda – przyznaję się.

– Jestem Kirk – przedstawia się mężczyzna. – Podobny? Pewnie ma na myśli jakąś postać z gry albo z folkloru. Nigdy nie interesowałem się amerykańską kulturą masową.

– Niezbyt – odpowiadam na chybił trafił.

– I słusznie! – popiera mnie Kirk. – Podobieństwo powinno być wewnętrzne!

Puszcza w niebo strużkę dymu, zręcznie przerzuca cygaro z jednego kącika ust do drugiego.

– Jestem z Seattle – kontynuuje rozmowę, chociaż ja się nie przedstawiam.

– A ja z Sankt Petersburga.

Kirk uderza mnie radośnie w ramię.

– Wiem! Byłem u was!

Czuję przyjemne zdumienie, ale nie na długo.

– Ładne miasteczko – dzieli się Kirk wrażeniami. – Miałem kiedyś przyjaciółkę. Dziewczyna, jak to mówią, z zasadami! I kiedyś, gdy pod wieczór dojeżdżaliśmy do Sankt Petersburga, akurat zepsuł się karburator. Musieliśmy zanoćować.

Mruga do mnie chytrze.

Z przyjemnością zwiedziłbym ojczyznę Tomka Sawyera, ale teraz to zarozumiałstwo doprowadza mnie do szału.

– Jestem z innego Sankt Petersburga. Tego w Rosji.

– Rosja! – Kirk jest mile zaskoczony. – Wy też macie Sankt Petersburg?

– Mamy. A Seattle, to gdzie? W Kanadzie czy w Meksyku? – pytam.

Kirk żuje swoje cygaro; nie wie, czy żartuję, czy naprawdę nie znam tak wspaniałego miasta.

– W Ameryce!

– Południowej czy Łacińskiej?

Chociaż jest typowym, pełnokrwistym Amerykaninem, sympatyczny z niego gość. Zaczyna chichotać i daje mi kuksańca w brzuch.

– Brawo! Przyjadę do was, ale trochę później. W wieku czterdziestu pięciu lat planuję zwiedzić Europę, wtedy wstąpię i do was!

– Przyjedź.

Jestem tak wykończony deep programem, że teraz z przyjemnością stoję i prowadzę tę głupawą rozmowę.

– A ja wożę turystów – ciągnie Kirk. – Biznes ojca. Wesoło! Jeździliśmy po mieście, a jedna

dziewczyna przez cały czas prosiła, żeby pokazać jej nurka. No to wskazałem jakiegoś chłopaka, mówię: „To jest nurek!”. Omal autobusu nie przewrócili, wszyscy rzucili się na tamtą stronę, żeby popatrzeć.

Śmiejemy się obaj.

– Rzadko tu przyjeżdżamy – Kirk cmoka cygarem. – Ale Sam ciągle prosił, żeby mu pokazać centrum ksiązek, postanowiliśmy zatrzymać się tutaj... i on ma blisko, i w pobliżu restauracje... i cała reszta... Sam to ten wysoki, w dżinsach, w koszuli z krótkimi rękawami.

– Murzyn?

Kirk o mało się nie udusił od tak rozpasanej rasistowskiej wypowiedzi. Jak można nazwać Murzyna Murzynem!

– Pójdę już, mam kilka spraw do załatwienia – mamrocze i szybko bez pożegnania idzie do autobusu. Wzruszam ramionami. Gdybyście wiedzieli, panowie potężnego kraju, jak śmieszne i głupie są wasze kompleksy...

Zresztą na mnie też już pora. Podnoszę rękę. Zza rogu z gotowością wyjeżdża taksówka.

– Kompania Deep Przewodnik cieszy się, że może pana powitać – mówi kierowca. Jak na zamówienie – ciemnoskóry. Wsiadam do samochodu, śmiejąc się cicho.

Jedziemy dość długo, Deep Przewodnik podłącza się do kompanii Polana przez szereg pośrednich hostów. Mój komputer nie byłby w stanie utrzymać samodzielnie całego domu, w którym sam u siebie wynajmuję mieszkanie, dlatego Polana mieści się na czyimś serwerze do wynajęcia, chyba w Białorusi. Niedrogo i dość pewnie, nie mam zamiaru tego zmieniać, nawet gdy kupię zamiast pentium porządny komputer.

Po drodze zabijam czas, zmieniając świat z prawdziwego na narysowany i odwrotnie. Udaje mi się to bez żadnego wysiłku. Mało tego – zaczynam zmieniać odbiór przestrzeni fragmentami. Narysowany samochód wyprzedza nasz, prawdziwy. Prawdziwa dziewczyna idzie po narysowanej ulicy. Stoją obok siebie i rozmawiają dwaj kolesie – animowany i prawdziwy.

Jeśli to właśnie jest obłąd, to mnie się podoba.

Volvo, którym jadę, staje się narysowane. Wysuwam rękę przez szybę. Lekki nacisk na skórę – i dłoń czuje wiatr.

Niewiarygodne!

Świat wokół należy do cudzych serwerów. Jestem tu przejazdem, możliwe, że nawet nie da się tu przyjechać normalną drogą... a ja mogę w dowolnym momencie wyjść, wypaść z nieistniejącego samochodu. Coś się zmieniło. Już nie nurkuję w Głębię, żyję w niej!

Dwie ulice przed moim domem proszę kierowcę, żeby się zatrzymał. Znam tę dzielnicę doskonale, należy do dwóch dużych rosyjskich banków. Oczywiście, nieoficjalnie. Finansiści nie widzą większego sensu w takich inwestycjach, ale programiści, pracujący w bankowości, urządzili tu sobie mieszkania na koszt państwa. I który dyrektor z nowych Rosjan dowie się, że jego komputery nie tylko zestawiają kredyt z debetem, ale i podtrzymują część powierzchni Deeptown?

Idealne miejsce dla sprawdzenia nabytych umiejętności.

Kręci się tu sporo ludzi. Centrum miasta, obok dzielnice mieszkalne i miejsca rozrywki. Idę chodnikiem, wypatrując w miarę spokojnego zaułka.

Ten będzie odpowiedni. Malutki skwerek z malutką fontanną i kilkoma ławkami przylegający do ściany wieżowca. Urządzony skromnie, ale z gustem. Po trawniku, nie zwracając uwagi na tabliczkę WYPROWADZANIE PSÓW ZABRONIONE! ruda dziewczyna spaceruje ze swoim kotkiem. Cóż, nie można jej odmówić logiki – zakaz jej nie dotyczy. Kotkowi smycz najwyraźniej obrzydła, co chwila przystaje i próbuje ściągnąć ją łapą. Uśmiecham się w odpowiedzi na surowe spojrzenie dziewczyny i po sekundzie wysiłku na chwilę robię ją narysowaną.

Kotek zostaje żywy. Jest słonecznie rudy jak jego pani, sprytny i ruchliwy. Wirtualne zwierzę – jeden z najbardziej intratnych interesów Deeptown, oczywiście poza grami. Szczególnie lubią je Japończycy, może w ich mieszkaniach-panelach nie można trzymać prawdziwych? Poza tym narysowane zwierzątka kupują ci biedacy, którzy kochają zwierzęta i cierpią alergię...

Siadam na ławce, obok mnie cicho grucha jakaś parka. W tle szmer fontanny. Przyglądam się wysokiej ścianie. Jeśli mam rację, to za nią są komputery bardzo znanego banku.

Spróbować?

I tak jestem oskarżony o spowodowanie milionowych strat. Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy.

Kawałki zaczerpnięte ze skarbnicy mądrości ludowej mnie nie uspokajają. Parka się obejmuje, nie zwracając na mnie uwagi. Chciałbym wierzyć, że to zakochani, których w realu rozdzielają tysiące

kilometrów, a nie poszukiwacze bezpiecznych przygód...

Pod ścianami biegają dzieci – dziewczynka i dwóch chłopców. Z kolorową kredą w rękach, z zapałem malują po ścianie. Słychać radosne okrzyki: „Janka, Andriusza lepiej narysował potwora!”, „Sewka, daj czerwoną! No, daaj!” Najwidoczniej ktoś wyszedł ze swoimi dziećmi na spacer w wirtualności. W końcu dzieci cichną, biorą się do roboty. Dziewczynka rysuje samuraja z mieczem, miecz wygląda niemal jak prawdziwy. Pulchny okularnik Sewa biega wzdłuż ściany, rysując coś w rodzaju węża, który połknął słońca. Ale całość wykończona jest lufą, więc domyślam się, że to czołg. Chudy smagły Andriej pracowicie sapie, tworząc jakieś niewiarygodne monstrum. Może tak sobie wymyślił, a może chciał narysować człowieka...

Wstaję i podchodzę do dzieci.

– Dzieciaki, możecie narysować drzwi? – pytam całą trójkę.

Pytanie ich najwyraźniej zakłopotало, ale po krótkiej naradzie zaczynają wspólnie pracować nad zamówieniem. Drzwi rysowane są z zapałem, zabieraniem sobie kredy i sporem – trzeba czy nie trzeba narysować dziurkę od klucza?

Czekam cierpliwie. W końcu praca skończona i młode talenty patrzą na mnie: poznam się na wartości arcydzieła czy nie?

– Wspaniale! – mówię szczerze. – Dziękuję bardzo!

Drzwi naprawdę są niezłe narysowane. Znajdują się pomiędzy trąbą słońca, to jest lufą czołgu, a samurajskim mieczem. Jest dziurka od klucza, klamka, nawet zawiasy.

– Bardzo mi pomogliście – przyznaję. Dzieci uparcie czekają.

Wtedy robię ulicę narysowaną, oddycham głęboko, rozluźniam się i zamieniam drzwi w prawdziwe.

To tylko iluzja, tylko iluzja...

Wyciągam rękę i ciągnę za klamkę. Raz, drugi.

Żadnego efektu. Zresztą, czego się spodziewałem?

Ze złością kopię prawdziwe drzwi w narysowanej ścianie. Otwierają się.

Otwierają się do środka...

Jednak się udało!

Dzieci za plecami wrzeszczą – nie ze strachu czy zdumienia, raczej z radości. Przy akompaniamencie krzyków wchodzę w nieprzenikloną ścianę.

Trafiam do łaźni.

Starożytni Rzymianie, którzy znali się na rzeczy, oszczędni Finowie i Rosjanie pękliby z zazdrości. Ogromna marmurowa sala, szklana kopuła przyprószona śniegiem, przez który przebija się chłodne zimowe słońce. Pośrodku sali okrągły basen, w którym stygnie kilku mężczyzn. Za oknami widać góry i zbocze, po którym biega, wzbijając fontanny suchego śnieżnego pyłu, kilku innych, najbardziej odważnych amatorów łaźni. Otwierają się ciężkie drewniane drzwi i z parówki z wyciem wychodzi chudy chłopak. Skacze do basenu, wzbija falę, zaczyna podskakiwać w miejscu. Przy barze, owinięty w prześcieradło, żłapie piwo łysy grubas i pobłażliwie popatruje na wodę.

Pokusa zrzucenia spodni i dołączenia do towarzystwa jest ogromna. Brawo, bankowi programiści, brawo! Nieźleście się urządzili! Ciekawe, czy gdy smagają się różgami w parówce, to oblewają się potem w realu?

Nieważne – najważniejsze, że wszedłem!

Kolumny otaczające basen na razie zasłaniają mnie przed obcymi spojrzeniami, ale długo to nie potrwa. W łaźni człowiek ubrany rzuca się w oczy. Odwracam się do ściany – drzwi już nie ma.

Nie są potrzebne.

Wchodzę w ścianę. Łaźnia to superpomysł, ale mnie interesuje coś innego... to, co w ogóle nie ma odpowiednika w wirtualności...

Ale chyba trafiam gdzie indziej. Posępne puste pomieszczenie, przez środek biegnie rząd kadzi, w których głośno pluska woda. Wzdłuż nich pełnią taśmociąg, z dziur w suficie sypie się coś w rodzaju proszku do prania.

Wszystko to przypomina zautomatyzowaną pralnię ze starej powieści fantastycznej. Już chcę iść dalej, gdy kadź zaczyna się przechylać i wylewa na taśmociąg swoją zawartość.

Dużo brudnej wody i kilka kilogramów pieniędzy.

Szok jest tak ogromny, że wyrzuca mnie z wirtualności, zapominam nawet wymamrotać wierszyk o Głębi.

Na ekranach hełmu widzę cyfry. Staranne słupki cyfr, tabele, niezrozumiałe zdania. Zdjąłem hełm.

Oczywiście, graficzne przedstawienie całego procesu przerzucania pieniędzy z jednego konta na drugie, a tym bardziej ich prania nie miałyby sensu. Ale moja sprytna podświadomość przywykła do obrazków, i tym razem postarała się na całego!

Bardzo rozboleła mnie głowa. Efekt wielokrotnego deep programu? Czy skutek napięcia, którego teraz doświadczyłem? Co za różnica.

Wyjąłem z biurka napoczętą paczkę tabletek od bólu głowy, zajrzałem do lodówki. Jedna puszka coli jeszcze była. Krztusząc się, rozgryzłem tabletkę, popiłem. Wytrzymaj trochę, mój nieszczęsny organizmie. Najważniejsze dopiero przed nami.

Zanim wróciłem do pralni, spojrzałem na zegarek. Za piętnaście druga. Trzeba coś zjeść.

W kadziach głośno huczą wirniki piorące pieniądze. Po taśmociągu pełzną dolary, marki i ruble. Spoglądam na ten niekończący się strumień, za którym stoi czyjś pot, czyjaś krew.

Co by się stało, gdybym wziął z taśmociągu kilka milionów? Z jakiegoś powodu jestem pewien, że znalazłyby się na moim koncie. Może podłączę się do odizolowanej bankowej sieci i sam o tym nie wiedząc, wystukam na klawiaturze polecenie transferu pieniędzy? Może komputery banku same przeprowadzą całą operację posłuszne mojemu pragnieniu?

Teraz nie jestem zwykłym złodziejem odpornym na iluzje Głębi. Jestem Głębią. Jestem jej częścią...

Nachylam się, podnoszę studolarowy banknot. Mogę nawet zapamiętać jego numer. Mogę sprawić, że zgodnie z dokumentami banku on się tu w ogóle nie pojawił.

Wszystko teraz mogę. Albo prawie wszystko.

Rzucam banknot na taśmociąg, podchodzę do ściany. Jeden krok i świat blaknie, spada w dół, przemieniając się w płaski schemat pod nogami. Ogromna mapa rozwieszona w pustce. Wiszę nad nią, patrząc na nitki ulic.

Widzę już mój dom.

Nurkuję do niego, przebijam płaskość schematu, czuję asfalt pod nogami. Nigdy więcej żadnych wysiłków, żadnych wierszyków i próśb do Głębi. Przecież nie proszę swojego ciała, żeby

oddychało!

Vika i Nieudacznik stoją przed klatką, o czymś rozmawiają. Potem Vika zauważa mnie i strapiona milknie.

Macham ręką idę do nich. Vika biegnie w moją stronę.

Zamykam drzwi od klatki, długo grzebiąc przy zamku. Vika cały czas trzyma moją dłoń, a uruchomienie wszystkich systemów bezpieczeństwa nie jest łatwe. W końcu decyduję się i po prostu rozkazuję drzwiom, żeby się zamknęły. Szczęk zamka, miga światelko sygnalizacji ochronnej. Nieudacznik podnosi nagle głowę – chyba poczuł.

– Co on z tobą zrobił? – pyta Vika. Dopiero teraz, gdy jesteśmy odcięci od zewnętrznego świata, nareszcie się rozluźnia. Powinienem być przylecieć tu od razu.

– Deep program – znajduję dla siebie nieskomplikowane usprawiedliwienie. – Cykliczny deep program, niekończące się zanurzenie.

Vika mruży oczy, rozumie.

– Wynurzenie było niemożliwe. – Ale ty...

– Znalazłem określną drogę – mówię, zerkając na Nieudacznika. – Vika, jak to wyglądało z boku?

– Dibienko czymś w ciebie rzucił. – Marszczy czoło, coś sobie przypominając. – Jakby chusteczką.

I ty się w nią zapadłeś. Wyglądało to na bardzo potężny wirus.

– A Romek?

Vika patrzy na mnie zdumiona.

– Wilk. To Romek, nurek-wilkołak. Mój przyjaciel...

– Spalił go. Zupełnie. Po prostu chwycił go za gardło i wilk zaczął płonąć...

Milczę. Zewnętrzny efekt wirusa może być różny, najważniejsze, jak podziałał na komp Romka. Zawsze mi się wydawało, że ma słabiutki komputer, taki jak mój. Pewnie nawet optyki magnetycznej nie ma. Jeśli Człowiek Bez Twarzy użył broni, to Romek będzie musiał na nowo instalować cały soft.

– Lonia...

Kiwam głową. Nie pora współczuć cudzemu zmartwieniu. Zresztą na to zawsze brak czasu.

– Chodźmy – kiwam na nią i Nieudacznika. – Mieszkam na jedenastym piętrze.

– Kto tu jeszcze mieszka?

– Nikt. – Wciskamy się do kabinki windy, naciskam przycisk, szarpnięcie i pełniemy do góry.

Vika się krzywi – rzeczywiście boi się wysokości. Nawet takiej...

– A wcześniej mieszkali?

– No, w pewnym sensie... – robię unik. Otwierają się drzwi, wychodzimy. Nieudacznik rozgląda się z ciekawością.

– Oto i mój pałac... witam serdecznie – mówię, otwierając drzwi mieszkania. I dodaję już tylko do Nieudacznika: – Rewizyta?

Kiwa głową.

Vika wchodzi pierwsza. Drepcze na progu, jakby zastanawiając się, czy warto zdejmować buty. Rzecz jasna nie warto, i ona to rozumie.

– Na prawo łazienka z toaletą i kuchnia. Na lewo pokój i balkon – oznajmiam uprzejmie.

Vika ostrożnie zagląda do pokoju. Jej spojrzenie przesuwają się po wyblakłych tapetach, zatrzymuje na biurku z komputerem, tapczanie, lodówce, szafce. Pewnie jest rozczarowana, co mnie wcale nie dziwi.

– Interesujące – mówi Vika i czuję, że na chwilę wychodzi z Głębi, patrzy na moje mieszkanie

trzeźwym okiem.

Nie krępuj się. Tylko teraz wolę ci nie wchodzić w oczy.

– Chodźmy – ciągnę Nieudacznika za rękę. – Nauczyc cię parzyć kawę?

Zamiast odpowiedzi Nieudacznik idzie do kuchni, szybko wybiera pośród torebek z kawą tę najdroższą i w dodatku najlepszą. Zdejmuje z półki największy tygiel. Bierze solniczkę.

– Aha – mówię tylko.

– Przepisy kulinarne są w setkach serwerów – oznajmia Nieudacznik. – Pięć minut temu dziewczyna z Rostowa dodała jeszcze jeden. Bardzo interesujący. Zaryzykujemy?

Trudno się spodziewać, żebym mógł go czegoś nauczyć. Najwyżej strzelania do ludzi.

Ale to chyba nie jest umiejętność, którą byłby w stanie sobie przyswoić.

– Czuj się jak u siebie – mówię tylko i wracam do pokoju. Vika siedzi na tapczanie, ogląda książki na półce.

– Jestem – oznajmiam i Vika zamyka oczy. Na chwilę, żeby wrócić w Głębię.

– Interesujące – powtarza ona. – Lonia, spodziewałam się...

– Zobaczyć pałac?

– Niekoniecznie, ale choćby cokolwiek...

– W rodzaju twojej chaty?

W milczeniu kiwa głową. Rozumiem jej stropienie. Była przekonana, że też jestem projektantem przestrzennym, a zobaczyła ubogie mieszkanko, niechby i nieźle narysowane, ale najwidoczniej niegodne utrwalenia w wirtualności.

– Chodź – mówię. – Nieudacznik, na chwilę wychodzimy! Jakby co, jesteśmy na schodach!

Vika posłusznie idzie za mną.

Na klatce jest cicho i czysto. Przykładam palec do ust.

– Cii! Nie przeszkadzajmy im!

– Przecież mówiłeś, że w domu nikogo nie ma... – szepce Vika.

– A nuż? – odpowiadam tajemniczo. Podchodzę do drzwi naprzeciwko, wyciągam z kieszeni zagięty kawałek drutu. Tak mniej więcej wyobrażam sobie wytrych.

Vika czeka, zaintrygowana.

Grzebię drutem w cudzym zamku, który się, rzecz jasna, poddaje. Tak miało być. Wchodzimy do środka.

Duże trzypokojowe mieszkanie. Na wieszaku płaszcze i kurtki. O ścianę stoi oparty dziecięcy rowerek. Pod ścianą buty. Podaję Vice klapki, sam też zdejmuję buty i mówię:

– Tutaj tak trzeba. Duża rodzina, czworo dzieci, nanieśliby błota. I podłogi są zimne...

Vika milczy. Przyjęła zasady gry.

Zaglądam do kuchni; stareńkie polskie meble, jeszcze z czasów radzieckich. Bardzo dużo pudełek i słoiczków z przyprawami, jakichś powideł i marynat w słoikach. Na kuchence gorący rondel z barszczem, patelnia z kotletami. W oknach cichy zielony skwerek, Vika szybko przykleja się do szyby. Na placyku biegają dzieci, jakaś kobieta spaceruje ze starym powolnym pudlem.

– Kto tu mieszka? – pyta Vika.

– Znam tylko imiona. Wiktor Pawłowicz i Anna Pietrowna. Starsza córka Lida, kończy szkołę. I

trzech chłopaków. Oleg, Kostia i Igor.

Po chwili wahania dodają:

– Pudel wabi się Gerda. Niespecjalnie lubię, gdy psom nadaje się ludzkie imiona. Ale tak sobie wymyślili.

– A co to za miasto?

– Witebsk. Chyba Witebsk.

Vika odwraca się do mnie plecami, mówi surowo:

– Nie włącz mi teraz w oczy.

Wyszła z wirtualności, przez minutę ogląda kuchnię. Potem zanurza się z powrotem, odwraca do mnie i pyta:

– Tak jest wszędzie? Kiwam głową.

– Gospodarzy w domu nie ma, ale mieszkania żyją – szepce Vika. – Koszula wisi na oparciu krzesła, zabawki leżą porozrzucane na podłodze... i jeszcze kapiący kran i śmieci podmiecione przez samotnego mężczyznę pod kanapę. Tak?

Milczę.

– Łońka, czy ty jesteś normalny? – pyta cicho Vika. – Ja budowałam góry, gdzie nie ma i nie może być ludzi. Też pewnie dziwactwo. Ale ja niezbyt lubię ludzi.

– Nie kłam – proszę.

– A ty zbudowałeś dom, w którym nigdy nikt nie będzie mieszkał. A raczej dom, w którym ludzie prawie mieszkają. Dymiąca fajka w popielniczce i gorący czajnik na kuchence... Istna *Marie Celeste*. Po co, Lonia?

– Nie mam prawa zasiedlać tego mieszkania naprawdę. Wymyślać charaktery i twarze, radości i smutki. Niech tak będzie... tylko rzeczy. One też mogą wiele opowiedzieć.

Przez cały czas mam wrażenie, że ona nie rozumie i nie potrafi zrozumieć do końca. Zaczynam mówić bardzo szybko, jednym tchem:

– Piętro niżej mieszka chłopak, meloman. Z Podolska. Czasem się zapomni i puszcza magnetofon tak głośno, że trzeba stukać w podłogę. Ale on jest w porządku, od razu przycisza. Ma wspaniałą kolekcję: kasety, czarne krążki, CD. Wszystkiego po trochu. Najwięcej krążków, teraz można je kupić za grosze. Nikomu nie są potrzebne, a on ma adapter, Vega, stary, ale niezły.

Na piątym piętrze też siedzi dziwny typ. Chyba jest inżynierem, pracuje w tulskiej fabryce, przedtem produkowali broń, teraz różne AGD. Lubi pisać miłosne kryminały, wymyślił taki gatunek. Potem je drukuje wieczorami na drukarce i nikomu nie pokazuje. Sam wie, że mu nie wychodzi, rzadki typ grafomana, nieszkodliwy. Czytałem jego rękopisy, to naprawdę bzdury, ale takie sympatyczne, naiwne, szkoda, że nie urodził się w XVIII wieku...

Vika nie odpowiada.

Już wiem, że się pomyliłem, nie trzeba było pokazywać jej pustego mieszkania, a tym bardziej mówić o tych ludziach, ona nie zrozumie tego dziwnego szaleństwa, tego obłędu, który tworzyłem dwa lata...

– Na trzecim piętrze mieszka staruszka, sama w trzypokojowym mieszkaniu, wiem, że jej ciężko. Tym bardziej, że jest skądś z Ukrainy, z Charkowa chyba. Telewizor włącza tylko wtedy, gdy nadają opery mydlane, przyciemnia obraz, myśli, że w ten sposób czerpie mniej energii, że kineskop się nie

zużywa... Ale boi się wynająć pokój komuś obcemu, boi się zamienić mieszkanie na mniejsze, może ma rację. Rzadko do niej wstępuję, przecież nie mogę jej pomóc, a sprawia mi ból patrzeć, jak ona żyje. To przykre zwłaszcza przed świętami; wiesz, najstraszniejsza nędza to nędza, która próbuje powitać Nowy Rok. Dzieci o niej zapomniały, a może nie miała dzieci, albo zginęły na wojnie... ma zdjęcie na ścianie, chłopak w rosyjskim mundurze wojskowym...

Vika milczy.

– Na pierwszym taka para, śmieszni. Małżeństwo od roku, pochodzą z Ufy. Ciągłe się kłócą i godzą, czasem słycać aż na klatce... a to zbiją filiżankę, a to drzwiami tak trzasną, że tynk odpadnie... Ale mnie się wydaje, że się nie rozwiodą. Coś ich razem trzyma, albo jakaś tajemnica, albo miłość, a może i jedno, i drugie. Miłość to też tajemnica. A tam jest trzypokojowe mieszkanie, puste... całkowicie. Żyła tam żydowska rodzina, mieszkanie sprzedali jakiejś firmie pośrednictwa, a ta widać nie może się go pozbyć. Pewnie wyznaczili za wysoką cenę, w końcu mieszkanie w Moskwie, w dobrej dzielnicy...

Uduszę się w tej ciszy, w tym jej milczeniu.

– Na parterze staruszek inwalida, o kulach. Chyba najgłośniejszy i najbardziej złośliwy w Kursku. Urządza awantury w sklepach, kłóci się z sąsiadami... zawsze szybko przeskakuję parter, nie chcę starcia. To by było nieładnie, przecież to nie jego wina, że stał się taki. To życie... życie...

Sam rozumiem, jak głupio brzmi to słowo.

Życie? Jakie życie? W pustych mieszkaniach narysowanego domu, w betonowych grobowcach, gdzie tylko rzeczy pamiętają o ludziach? Bomba neutronowa doceniłaby moją pracę, ale żywa kobieta?

Jestem idiotą. Kliniczny przypadek. Cóż, zawsze to jakiś pożytek, Vika może zająć się nowym tematem.

– Lońka – mówi ona. – Mój Boże, Lonia, co się z tobą stało? A nie mówiłem...

– Wybacz mi – mówi Vika. – Te moje narzekania na pracę z psychopatami... na łajdaków... gdyby mnie tak walnęło jak ciebie...

– Vika... – nic już nie rozumiem.

– Ktoś cię porzucił, zdradził cię? Straciłeś ideały, w które wierzyłeś? Podałeś się? – pyta cicho. – Nie wierzysz, że jesteś zdolny komuś pomóc, choć odrobinę? Przecież ty naprawdę umiesz kochać, tylko boisz się swojej miłości.

– Tutaj mogę pomóc. Tylko tutaj. Choćby w ten sposób, że wyciągnę z narysowanego świata tych, którzy zabłądzili. Ale oni przecież nie toną dlatego, że nie umieją pływać. Toną, bo nie mają siły zostać na brzegu. A brzeg... nad brzegiem nie mam władzy.

– Nie widzisz żadnej nadziei? Tam, w prawdziwym świecie?

– Teraz widzę. Teraz pojawił się Nieudacznik.

– Lonia, nie mówisz wszystkiego! Wiesz, kim on jest?

– Wiem. Już jest nadzieja. Jeśli oni umieli stać się takimi, nauczmy się i my.

– Kto to jest „oni”?

Jak jej wyjaśnić? Jak sprawić, by uwierzyła w to, co niemożliwe, w to, na co jest miejsce jedynie w brukowcach?

– Vika, przecież on prawie wyznał... tam, w mieście elfów. Ich komputery nie znają angielskiego, to rosyjskie towarzystwo. Sam się nazwał Alien. Obcy.

Vika kręci głową. Zrozumiała, ale nie chce, nie może uwierzyć.

– To Obcy, Vika. Przybysz. Z Kosmosu.

– Jest człowiekiem...

– W jakimś sensie... tak. Leciał tu w najbardziej przykry sposób. Od gwiazdy do gwiazdy.

Pamiętasz jego słowa o ciszy?

Vika wzdryga się.

– My boimy się to sobie nawet wyobrazić, a on przez to przeszedł. Setki, tysiące lat. Pustka i cisza, mrok, w którym nie ma niczego. Wydaje mi się, że jego statek jest niematerialny...

Vika kręci głową i nagle zamiera. Odwracam się – Nieudacznik stoi na korytarzu.

– Wołałem was – mówi. – Wyszedłem na klatkę i wołałem. Potem zajrzałem tutaj, drzwi były otwarte.

Po chwili milczenia odzywa się Vika.

– Nie jesteś człowiekiem?

– Nie jestem. Chodźcie, kawa gotowa.

Pijemy kawę. Nie podoba mi się przepis dziewczyny z Rostowa. Dziwne, że w ogóle mogę zauważać odcienie smaku.

– Tylko dla koneserów – mówi Nieudacznik, odsuwając filiżankę. – Na pewno dla koneserów.

– Czujesz smak? – pyta Vika.

– Tak.

– W jaki sposób? Smak w wirtualności to tylko pamięć o tym, czego próbowaliśmy w prawdziwym świecie! Jeśli nie jesteś człowiekiem, to...

Czuję, jak rośnie jej agresja, ale nic nie mogę zrobić.

– Próbuję sobie wyobrazić, czy taka ilość soli mogłaby udoskonalić smak kawy. Wydaje mi się, że nie.

– Próbowałeś kiedyś czegoś podobnego z kawą?

– Tylko gdy byłem u ciebie w gościach. Ja... – Nieudacznik patrzy na mnie, waha się – nie mogę nawet powiedzieć, że w ogóle się odżywiam.

Najwidoczniej jest jakaś granica, po przekroczeniu której Vika traci cierpliwość.

– Kłamiesz – mówi z przekonaniem. – Zwyczajnie kłamiesz! Wiesz co, ruszaj na plac Viniera, tam jest klub ufologów! Ucieszą się na twój widok! Uwierzą ci!

– Nie proszę, żeby mi ktoś wierzył – odpowiada cicho Nieudacznik. Zrywam się.

– Stop! Wystarczy, oboje spokój! Vika, ja mu wierzę!

– Lonia, wmawiasz sobie! – Vika celowo ignoruje Nieudacznika. – Nie jesteś specjalistą od technologii komputerowych. Nie mogłeś wysledzić jego sygnału i sprawdzić? Co cię napadło! On jest człowiekiem, ma ludzką wiedzę, ludzkie reakcje! To człowiek! Możesz udowodnić, że jest inaczej? Nieudacznik patrzy na ścianę.

– Ja nie. On może – zaglądam Nieudacznikowi w twarz. – Powiedz jej, proszę cię. Udowodnij.

– Nie mogę nic udowodnić.

– Mnie pomogłeś wydostać się z pułapki – szepczę. – Nie wiem jak, ale dałeś mi część swoich zdolności, swojej siły. Zrób to samo dla Viki!

Nieudacznik podnosi wzrok.

– Leonid, nic ci nie dałem. Nie mam prawa wtrącać się do waszego życia.

– Ale...

– To ty sam potrafiłeś. Sam. Brakowało ci tylko wiary, że to jest możliwe, potrzebny ci był cel, o który warto walczyć. Spotkałeś mnie i znalazłeś ten cel. Uwierzyłeś, że wszystko jeszcze przed nami, że świat nie złoży się jak domek z kart, nie runie w Głębię. Pomogłem ci zdobyć tę wiarę.

Kręcę głową. Nie mogłem! Nie mogłem zrobić tego sam! Nieudacznik nie odwraca spojrzenia.

– Niczego ci nie dałem, Leonid. Niczego poza kłopotami. Wybacz. Nie mam prawa dawać takich prezentów.

– Koleś, proszę cię, nie mąć mu głowie! – mówi ostro Vika.

– Nieudacznik... Alien... – kładę mu rękę na ramieniu. – Przecież i tak będziesz musiał udowodnić, kim jesteś. Wyjaśnić, niechby nie nam, ale uczonym, politykom...

Milknę w pół zdania. Nieudacznik kręci głową. – Nic nikomu nie będę wyjaśniał. To nie ma sensu. Nie jest potrzebne.

– Ale kontakt...

– Czym jest kontakt? – uśmiecha się. – Błyszczący statek kosmiczny na polance przed Białym Domem? Długonoga blondynka podaje kwiaty fioletowemu krokodylowi w skafandrze? Pełne ładownie maszyn i przyrządów, galaktyczna encyklopedia zapisana na tysiąc i jednym syntetycznym diamencie? Lekarstwo na raka i system sterowania pogodą? A może coś innego? Latające talerze palą miasta, ludzkość prowadzi partyzancką wojnę przeciwko rozumnym meduzom. Prędzej uwierzycie właśnie w to, Leonid! Przypomnij sobie człowieka, który dowodził międzygwiazdowymi armiami.

Przypomnij sobie Labirynt. To jest kontakt? Uwierzyłeś we mnie. Zdecydowałeś, że jestem przybyszem. Że nastał czas kontaktu...

– Ale jeśli przybyłeś do nas – krzyczę – to coś znaczy! Chcesz nam coś powiedzieć!

– Nie.

I już. Dalsza rozmowa nie ma sensu.

– Po prostu tu żyję. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, Leonid, jak bardzo jesteśmy różni. Nigdy nie stanę na Ziemi... nie mam czym na niej stanąć. I nie mogę uścisnąć ci dłoni; nie mam rąk.

– Ale tu jesteś człowiekiem – mówi Vika.

– Tak. Jeśli chcesz poznać niebo, stań się niebem. Chcesz poznać gwiazdę, zostań gwiazdą... – Nieudacznik zerka na mnie, uśmiecha się. – Chcesz poznać Głębię, zostań Głębią. Stałem się człowiekiem na tyle, na ile było to możliwe.

– To twoja metoda poznania? – pyta ironicznie Vika.

– Tak.

– Po co, skoro tacy jesteśmy różni? Skoro nie jesteśmy sobie, potrzebni?

– Jestem zmęczony. Zbyt długo byłem sam. – Nieudacznik albo przeprosza, albo przekonuje Vikę. – Potrzebowałem tej pamięci... miasta i ludzie, smak kawy i zapach ogniska. To było obce, a teraz, zostanie ze mną na zawsze. Twoja nieufność i wiara Leonida. Ci, którzy mnie zabijali, i ci, którzy ratowali. Nie chciałem sprawić wam kłopotów i nie chciałem przeszkadzać. Taka jest zasada. Nie wyrządzać krzywdy.

– Twoja zasada... – mówię.

– Tak. Wy żyjecie według innych reguł. Nie mnie sądzić, czyje są lepsze.

– W takim razie znalazłeś idealne miejsce, żeby pojawić się na Ziemi. Wolność i nieingerencja. Wszystkie barwy życia od czerni do bieli.

– Oczywiście.

– A mnie się wydawało – mówię – że możesz nie tylko brać... smaki i zapachy, słowa i kolory. Że chcesz nas czegoś nauczyć... nie, nie tego, jak przegonić chmury czy leczyć grypę... choćby dobra.

– Leonid, dobro to tylko słowo. Nie mogę zabić istoty żyjącej. Ale to nie moralność. Prędzej fizjologia.

W takim razie to rzeczywiście koniec. Chciałem znaleźć odpowiedź, znaleźć ideał. Odszukać cud, na który od dawna nie ma miejsca na Ziemi. Przybysz z gwiazd czy intelekt zrodzony przez Sieć – wszystko jedno. Zapewne Człowiek Bez Twarzy wiedział o tym, proponując mi pójście do Labiryntu.

A cud nie jest nami zainteresowany. Jest zupełnie obcy. Jego dobroć jest niczym syte zadowolenie z siebie.

– Jeśli spróbuję wyjaśnić swoją etykę – mówi Nieudacznik – będę musiał przejść na język praw fizycznych i matematycznych równań. Jeśli spróbuję przekazać naukę, zrobię to, układając poematy i rysując obrazy. Rozumiesz? Różnica nie polega na poziomie rozwoju. Różnica leży u podstaw. Nie mam co dać ani wziąć. To, co otrzymałem, to tylko pamięć. Emocje. Czy uważasz, że zachowają się w ludzkim wyglądzie?

– Tak myślałem.

– Mylisz się, Leonid. Wkrótce stąd odejdę i wszystko się zmieni. Zmienię się ja, zmieni się moja pamięć.

Odchodzę od stołu, patrzę w okno, na migoczącą iluminację Deeptown. Człowieku Bez Twarzy, może miałaś rację? Nie można mierzyć Nieudacznika ludzką miarą. Ja próbowałem i co z tego wyszło?

– Załóżmy – odzywa się za moimi plecami Vika – że nie kłamiesz. Że naprawdę jesteś obcy. Przybysz z gwiazd, na przykład. Niemający nic wspólnego z ludźmi. W taki razie opowiedz mi...

Może Vika zaczyna wierzyć. Teraz, ukrywając się za słowem „załóżmy”, będzie przesłuchiwać Nieudacznika na okoliczność jego etyki, kultury, konstrukcji statków i zasad międzygwiazdnych podróży.

Też dobrze...

– Zostawię was na minutkę – mówię, nie odwracając się. Vika nie protestuje, pewnie myśli, że robię czasowe wyjście z Głębi...

Nie.

Narysowana ściana, narysowane okno. Przebijam je ręką, robię krok i jestem nad miastem. Budynki, reklamy, przechodnie, samochody...

Mnie już nie ma, moje ciało znikło. Po prostu surfuję w powietrzu.

Spełnienie marzeń hakerów i fantazji hollywoodzkich reżyserów. Wirtualność taka, jaka powinna być. Wolność kierunków i form.

Dalej...

Zataczam koło nad pałacem Microsoftu, ogromnym, potwornie rozlanym budynkiem, obficie utkanym oknami. Schodzę niżej, próbuję określić kierunek na serwer elfów.

Wzdłuż tamtej ulicy...

Jestem niewidoczny dla innych. Mknę nad głowami przechodniów szybciej niż samochody Deep Przewodnika, przełączając się z serwera na serwer.

Czego ja właściwie szukam? Śladu bitwy, która skończyła się kilka godzin temu? W wirtualności czas jest skompresowany, nie znajduję żadnych śladów. Ale mimo wszystko muszę to zrobić.

O, właśnie...

Domek elfów, pusta ulica. W oddali mignęła i znikła taksówka.

Wchodzę na chodnik i zmieniam się w człowieka.

Trupy ochroniarzy Dibienki już znikły: albo je zabrano, albo rozpadły się same. A w miejscu, w którym wilkołak walczył z Człowiekiem Bez Twarzy, asfalt nadal jest stopiony i wgnieciony. Jedyne znak.

Co mi to daje?

Krażę wokół wkleśnięcia, zastanawiając się, czy warto wyciągać z domu programy startowe i wymacywać przestrzeń. Nie, to bez sensu. Zwykle metody nie pomogą.

Z zaułka niespiesznie wyjeżdża taksówka, sunie w moim kierunku. Zbyt powoli, by można to uznać za przypadek; Deep Przewodnik słynie z szybkości.

Cóż, powinienem był się spodziewać zasadzki.

Jestem tak pewien, że z samochodu, który właśnie stanął, wyjdzie Dibienko, że nie od razu poznaję tego mężczyznę.

– Strzelec? – wykrzykuje radośnie Gilermo, idąc w moją stronę. – Jesteś Strzelcem?

Milczę. Dyrektora służby bezpieczeństwa Labiryntu lubię nadal. To przykre.

– Jesteś Strzelcem? – pyta znowu Gilermo. – Muszę się upewnić, powiedz!

– Witaj, Willy – mówię, a on rozkwita w uśmiechu.

– Witaj! Wiedziałem, wiedziałem... – Gilermo zerka na stopiony asfalt, cmoka językiem. – Gorąco tu było, tak?

– Tak.

– Strzelcu... – Willy rozkłada ręce. – Jest mi bardzo przykro, naprawdę! Byłem przeciwny obwinianiu pana! Ale tam – urażone spojrzenie w górę – postanowili pana nastraszyć. To niesłuszna metoda!

– I co teraz?

Gilermo wzdycha i, nie żałując eleganckiego garniturku, siada na asfalcie. Lokuję się obok. Siedzimy obok resztek stosu pogrzebowego Romka, jak dwóch hipisów różnych pokoleń. Jeden w sile wieku, ale nadal wierzący w demokrację, drugi w samym rozkwicie swojego protestu.

– Podejrzywałem, że to, co się tu wydarzyło, to pańskie dzieło – mówi Willy. – Bardzo niezwykła i krwawa walka. Tak... czekałem na pana na własne... eee... ryzyko.

– Po co? Żeby spróbować mnie zatrzymać? Nie wyjdzie. Nie wyszłoby już wcześniej, a teraz tym bardziej.

Gilermo staje się czujny, ale nie wypytuje mnie.

– Nie, nie, Strzelcu! Wcale nie jestem przekonany, że to pan jest winien naszych kłopotów. Może zawiniły nieporozumienia z Al Kabarem? Co?

Mruga do mnie jak spiskowiec. Taki cichy bunt przeciwko kierownictwu Labiryntu.

– Strzelcu, chciałbym odnowić naszą współpracę. W końcu pan pierwszy zaczął podejrzewać niezwykłość Nieudacznika. I nie powinien pan teraz za to cierpieć!

– Dziękuję.

– Ale nie możemy stać z boku! Przecież przeniknięcie nastąpiło na naszym terenie! Kwestia prawna jest bardzo złożona, najprościej rozwiązać ją po dobroci... po ludzku. Przecież jesteśmy ludźmi!

Nie spodziewałbym się po labiryntowcach takiego tempa. Szybko się domyślili, co jest grane!

– Willy – mówię – to wszystko nie ma sensu. Wie pan, jaki jest nasz wspólny problem?

– Al Kabar? – pyta szybko Gilermo. – Czy mister X?

– Nie, Willy. Każdy z nas chce czegoś od Nieudacznika. Ja marzyłem o szczęściu dla wszystkich. No, wie pan, takie abstrakcyjne szczęście, które on mógł przynieść.

Gilermo kiwa głową ze zrozumieniem.

– Pan zapewne chciał sławy i swojej doli przy podziale technologii, którą on mógłby się podzielić...

Protestujące machanie rękami. No tak, Labirynt nie jest organizacją komercyjną, słyszeliśmy już tę śpiewkę...

– Willy, on nie ma zamiaru się z nami kontaktować! Kompletnie. Nie jesteśmy mu potrzebni.

Chyba go rzeczywiście zaskoczyłem.

– Niepotrzebni? – wykrzykuje Gilermo.

– Absolutnie. Zatrzymał się tutaj, żeby odpocząć. A teraz ma zamiar kontynuować swoją drogę przez gwiazdy.

Gilermo porusza wargami, a wreszcie pyta:

– Drogę przez gwiazdy?

– Tak.

– Jakie gwiazdy? Chyba się nie rozumiemy.

– Willy, Nieudacznik to obca forma życia, moim zdaniem chyba energetyczna, jego rozum kardynalnie różni się...

Milknę.

Jak to wszystko głupio brzmi!

Teraz, gdy Nieudacznika nie ma obok mnie, czuję ten sam sceptycyzm, co Vika.

– Energetyczna forma życia... – bardzo uprzejmie i grzecznie, jakby zwracając się do chorego, powtarza Gilermo. – Tak. Interesujące.

Kto z nas jest większym idiotą?

– Willy, wymieńmy się informacjami. Na początek współpracy.

– Wydaje się, że znam pańską informację – Willy mruga do mnie chytrze.

– Tak?

– Za to ja mogę w każdej chwili spotkać się z Nieudacznikiem. I porozmawiać. Tak?

– Jest u pana? – pyta szybko Willy.

Milczę.

– Na dowód współpracy... – mamrocze Willy. Oho, nie przyszedł tu z własnej inicjatywy! Albo nie tylko z własnej! Teraz kierownictwo Labiryntu w panice postanawia: pozwolić mu na szczerą rozmowę czy nie...

– Mogę odejść – zauważam.

– Dobrze! – Willy podnosi ręce. – Poddaję się, poddaję! Zwyciężył pan, Strzelcu! Jak zawsze, zwyciężył pan!

Nie reaguję na komplement, zresztą Willy nie spodziewa się reakcji. Pociera nos i mówi triumfalnie:

– Nie od razu doceniliśmy fenomen Nieudacznika. To nasz największy błąd. Jednak troska Labiryntu o klientów odegrała pozytywną rolę... gdy pańskie usługi i wysiłki naszych nurków nie przyniosły efektu, zaczęliśmy szukać kanału wejścia Nieudacznika. Szukaliśmy, szukaliśmy... i nie znaleźliśmy.

Czekam na dalszy ciąg. Gilermo mruga do mnie chytrze i ciągnie:

– Zna pan teorię światów równoległych?

– Z literatury SF.

– To całkiem poważna teoria, Strzelcu. Równoległe z naszym światem mogą istnieć inne światy. Niewidoczne, nieosiągalne... ale całkiem rzeczywiste. Na razie nie możemy kontaktować się w normalny sposób. Ale wirtualność to inna sprawa. Strumienie informacji żyją własnymi prawami. Komputerowa sieć to najpotężniejszy w historii ludzkości twór zmniejszający entropię. Niezależnie od naszej woli czy naszego życzenia, wirtualność wpływa na fizyczne prawa świata. Strumienie informacji biegną przez Sieć, kumulują się, tworzą centra, gdzie sama natura wszechświata ulega transformacji.

– Informacje nie mogą zmieniać praw natury – mówię szybko.

– Naprawdę? Gdy w ograniczonym wycinku przestrzeni dochodzi do komplikacji struktury, odbija się to na całym Wszechświecie. Bardzo słabo, oczywiście. A jednak cały Wszechświat się chwieje. Każdy przedmiot stworzony rękami człowieka niósł w sobie pozytywny i negatywny ładunek. Pałka wycięta z pnia drzewa była nie tylko bronią. Była zjawiskiem anormalnym, uporządkowaną strukturą w chaotycznym świecie. Ale została skompensowana; niechby tylko górą wiórów. Bardziej złożonym zjawiskiem stała się książka. Zawartość informacji i chaos przy jej powstawaniu nie były już równoznaczne. A jednak to zjawisko również zostało zrekompensowane: choćby tym, że większość książek niewarte było drzew ściętych do produkcji papieru. Płaciliśmy przede wszystkim za te książki, które niosły w sobie nienormalną komplikację informacji. Nie mówię o podręcznikach, które były odbiciem znanej i przeważnie niepotrzebnej wiedzy, tylko o tych książkach, które tworzyły nową etykę i rozumienie świata. To one zaczęły wpływać na życie ludzi, prowadzić do entropii, burzyć... To było jak przekleństwo – im więcej informacji w książce, tym silniej wstrząsała ona światem. Człowiek nie miał siły, by tworzyć porządek, nie wnosząc przy tym w świat chaosu. Inną sprawą są komputery. To informacja w czystej postaci. Spływa z różnych kierunków, gromadzi się, mnoży. Nie znika bez śladu, oddać plik z informacją to nie całkiem to samo, co oddać drogocenny kamień czy ukochaną książkę. Ta informacja rozrywa przestrzeń Wszechświata, zakłóca równowagę porządku i chaosu.

Gilermo milknie i bierze głęboki oddech. Jest poruszony, najwyraźniej chce się wygadać.

– I w takich punktach, gdzie ludzkie czyny rodzą nowe rozumienie świata, gdzie zmienia się samo spojrzenie ludzi na życie, tam dzieje się coś niezwykłego. Tam pęka granica pomiędzy światami, tam rodzi się cud. Nawet istota z innego świata, może człowiek, a może nie, prawda?... zdolna jest przybyć do nas, zetknąć się z naszą moralnością, kulturą, naszymi marzeniami. Wchłonąć w siebie całą wiedzę Sieci. Zadrzeć i zamrzeć...

Co mogę mu odpowiedzieć?

Powtórzyć sen o spadającej gwiazdzie?

– Jak zrozumiałem. Nieudacznik oświadczył, że jest przybyszem z innej planety?

Kiwam głową.

Chociaż może niezupełnie mam rację. On przecież nie mówił wprost, on tylko nie negował moich słów.

– To była jego własna wersja czy potwierdził pańską sugestię?

– Potwierdził... – mamrocę.

– Typowe – decyduje Gilermo. – Przyznać się do obcości, ale wskazać niewłaściwy kierunek. On może się nas bać. Jego cywilizacja prawdopodobnie jest pokojowa, nasza niezbyt...

Już dawno nikt mnie tak nie walnął w twarz.

– Rozważaliśmy różne teorie – mówi Gilermo. – Braliśmy pod uwagę wersję Al Kabaru o powstaniu komputerowego rozumu, o mutacji, która stworzyła człowieka-komputer. Ale... nasi specjaliści raczej się z tego wyśmiewają. Myśleliśmy o przybyszu z gwiazd. To piękne, ale zbyt piękne, by mogło być prawdą. Mamy niezłą grupę psychologów pracujących nad danymi, mamy dobrych programistów, oni również pracują. Ale na razie najbardziej prawdopodobną teorią wydaje się wersja o światach równoległych. Al Kabar mało zajmował się ludźmi. Ich podejście jest mechanistyczne, a Urman jest zbyt daleki od współczesnych technologii. Nie, nie, nie. Nie komputerowy rozum, nie człowiek zrośnięty z komputerem. Może – pobłażliwy uśmiech – przybysz. Może – Gilermo poważnieje – istota ze świata równoległego. Zdecydujemy razem. Żadnego nacisku. Żadnych... walk – Gilermo pogardliwie wskazuje stopiony asfalt. – Siądziemy razem i porozmawiamy. Zapomnimy o błędach, urazach, pretensjach; wyjaśnimy, że nie jesteśmy tacy źli, że nie trzeba się nas bać. Wyciągniemy rękę...

Jego dłoń wyciąga się do mnie, a ja milczę. Nie mogę jej uścisnąć.

Bez względu na to, kim jest Nieudacznik, starał się mi pomóc.

On był i jest lepszy niż wielu prawdziwych ludzi.

– Nie mogę przyjąć pańskiej propozycji, Willy – mówię. – Przepraszam. Możliwe, że ma pan rację. Ale ja nie mam prawa podejmować decyzji.

– A kto ma? – pyta cicho Gilermo.

– Tylko on sam. Tylko Nieudacznik. A on nie chce nic mówić. Powiedział, że jest Obcym, gościem, który zmęczył się samotnością. I teraz chce odejść. To jego prawo. Jego decyzja. Nikomu nie wyrządził krzywdy, po prostu zablądził w naszym złym świecie. Ja pomogłem mu wyjść. Pokazałem... mam nadzieję... że Głębia to nie tylko krwawe jatki. Jeśli to mało, cóż... Niech odejdzie. W swój równoległy świat czy do odległych gwiazd. Jest wolny, tak samo jak my.

Gilermo jakby się osunął, oklapł. Patrzy na mnie smętnie i ze zmęczeniem. Zapewne powiedział prawdę i chyba nie chce wyrządzić Nieudacznikowi krzywdy. Po prostu różnica w podejściu.

– I pan pozwoli mu odejść, Strzelcu? – pyta. – Tajemnica zniknie na długo albo na zawsze... i nikt się nie dowie, kim był Nieudacznik?

– Wolność, Willy.

– Wy. Rosjanie, zawsze stawialiście państwo i społeczeństwo ponad jednostką – mówi Gilermo. – To niesłuszne podejście, ale przecież jest pan Rosjaninem!

– Jestem obywatelem Deeptown. W Głębi nie ma granic, Willy.

Gilermo powoli i niezgrabnie wstaje, patrzy na czekającą taksówkę. Tam na pewno jest kilku żołnierzy Al Kabaru. Może także moi przyjaciele, Anatol i Dick...

– Nieudacznik coś panu dał, Strzelcu? – pyta Willy.

– Chyba tak.

– Mógłbym zobaczyć albo dowiedzieć się, co? – pyta z nieoczekiwaną nieśmiałością.

Patrzę na niego, potem pochylam się nad lejem w asfalcie.

Dwie godziny temu zginął tu nurek wilkołak. Mój nieszczęsny partner, Romek. Nie widziałem, jak się to stało, ale mogę sobie wyobrazić.

Płomień otula wilcze ciało, to znaczy wirus Człowieka Bez Twarzy przenika w komputer Romka. Twardziel jego kompa szarpie się, kasując informacje i niszcząc programy, zrywa się połączenie, Romek wypada z Głębi, ze swojej rozpaczliwej i beznadziejnej walki.

Czuję zapach spalonej sierści, widzę blady ogień, ciało zwinięte w spazmie bólu...

Znikam, zapadając się w narysowany asfalt, w dawno wyłączony kanał połączenia.

Iskry przenikają ciało.

Spiralne błyskawice chłuszczą twarz.

Czuję ból i po raz pierwszy w Głębi rozumiem, że nie jest wymyślony. To słaby odgłos bólu, który targa moim ciałem w prawdziwym świecie. Robię to, czego nie może, nie powinien robić człowiek. Kontaktuję się z komputerem bezpośrednio. Idę przez Sieć, wyciągając informacje z programów, które od dawna nie działają.

Boli, jest ciężko, ale muszę wytrzymać.

Chyba jęczę. Krzyczę, przykładając do głowy nieistniejące ręce. W oczy wbijają się rozpalone gwoździe, skórę trze coś jak pumeks.

To zapłata za rzeczy niemożliwe, to...

Gdy dochodzę do siebie, mam przed sobą drzwi. Leżę na korytarzu, długim i posępnym, na który wychodzi setka takich samych drzwi. Jeden z hoteli w wirtualności?

Ból jeszcze nie zgasł, ale stał się bardziej delikatny. Już można podnieść się z podłogi – bardzo ostrożnie, i oprzeć się czołem o zimne drewno drzwi.

Ty też wchodzisz w wirtualności z jednorazowych adresów, Romek?

Pcham drzwi, nawet nie dopuszczając myśli, że mogą być zamknięte, i wpadam do pokoju. Na ścianach portrety rozebranych kobiet, pod ścianą stoliczek zastawiony napojami. Dziwnie to wszystko wygląda... tyłem do mnie siedzi nieznajomy mężczyzna, wali w klawiaturę komputera, nuci fałszywie jakiś motyw. Obok stoi opróżniona do połowy butelka dżinu i popielniczka pełna niedopałków. Mężczyzna właśnie dopija szklankę taniego hogarta.

– Witaj, Romek! – mamroczę, chwytając się ściany. Mężczyzna odwraca się, patrzy na mnie stropiony, potem zrywa się, chwyta mnie pod rękę i ciągnie do fotela.

Teraz można odpocząć...

Romek podsuwa mi pod nos pełną szklankę dżinu, i zapach jałowca ostatecznie przywraca mi przytomność umysłu.

– Zabierz... zwymiotuję... – odsuwam jego rękę.

– Łońka, to ty? – pyta nieufnie nurek.

– Ja...

– Wypij, pomoże!

– Alkoholik – szepczę to, czego nigdy przedtem nie odważyłem się powiedzieć głośno – tylko ty możesz pić czysty dżin...

– A, dodać toniku? – domyśla się Romek. – Mnie tam bez różnicy...

Wylewa większą część szklanki na podłogę, dolewa toniku i znowu mi podaje. Tym razem nie odmawiam, piję i czuję, jak po ciele rozlewa się rozkoszne ośpienie.

– Jak wszedłeś? – pyta Romek. – Drzwi były zamknięte! Wyjaśnianie, dlaczego już nie przeszkadzają mi zamknięte drzwi, trwałoby zbyt długo. Macham ręką i dopijam trunek.

– A jak mnie znalazłeś?

– A tak... udało się... – mówię niejasno. Ale Romek jest chyba zbyt ucieszony moim pojawieniem się, żeby dalej wypytywać.

– Zdążyłeś uciec przed tamtym gadem? – pyta.

– Tak...

– A to bydlę – mówi Romek. – Kompletnie mi kompa zablokował!

– Jak wyszedłeś?

– Wirus był czysty. Zawiesił komputer, ale po zresetowaniu zdechł. Wszystko w granicach Konwencji... Niezła jazda, kurczę! – Romek chichocze z przymusem. – Niezłych wrogów się dorobiłeś, Lonia!

– Zazdrosny?

– Aha! – przyznaje się szczerze Romek. – Bałem się, że nie zdążycie uciec...

– Zdążyliśmy.

– Śliczną masz przyjaciółkę – mruga do mnie Romek. Kiwam głową, rozglądam się uważnie.

Mieszkanie Romka naprawdę jest dziwne. Wszystkie te panienki na ścianach... obfitość alkoholu, cygara na stoliku, dwa świeże numery „Playboya” na łóżku i młodzieżowa gazetka o muzyce rockowej... Romek odwraca wzrok.

– Nie przeszkadzam ci? – pytam.

Wilkołak zerka na włączony komputer. Na monitorze linijki prościutkiego programu.

– Nie... przygotowuję się do sprawdzianu... głupstwo.

– Jakiego sprawdzianu?

– Z informatyki.

– Ile ty masz lat, Romek? – pytam. Moje podejrzenia nasilają się.

– Piętnaście.

Zaczynam chichotać, nie zwracając uwagi na to, że mężczyzna naprzeciwko posepnie zaciska szczęki. Śmieję się, a Romek wstaje, zapala papierosa, nalewa sobie dzinu do szklanki i w końcu pyta:

– No i co w tym takiego śmiesznego?

– Romek... – wiem, że zachowuję się nieładnie, ale nie umiem się powstrzymać. – Romek, piłeś kiedyś wódkę szklankami albo czysty dzin?

– Nie.

– I nie próbuj. Jestem tępy, że od razu nie zrozumiałem. Jak na dorosłego faceta zachowywałeś się zbyt męsko!

– Tak się to rzuca w oczy? – pyta posepnie Romek.

– Nie, nie za bardzo. Tylko trochę dziwne...

– Dlaczego? Wśród wilkołaków jest wielu uczniów.

– Skąd wiesz?

– No... chyba jesteśmy ze sobą bardziej szczerzy. Ci, którzy skończyli osiemnastkę, rzadko umieją żyć w nieludzkim ciele. A nam to wychodzi.

Plastyczność... plastyczność psychiki. Patrzę na Romka i myślę, że wśród moich przyjaciół nurków, którzy z takim zaangażowaniem opowiadają świńskie dowcipy albo ciągle podkreślają swoją twardość, na pewno jest wielu nastolatków. Oni łatwiej pokonują barierę deep programu. O dziwo. Ich świadomość jest ukształtowana na filmach i książkach o wirtualności, oni wiedzą, że

Deeptown narysowany jest nie tylko rozumem, ale i sercem. Oni nie toną.

Może będzie ich coraz więcej, a wtedy nurkowie przestaną się kryć.

– Romek, wchodzisz ze swojego komputera?

– Z ojca. Zawsze obrywałem, gdy mnie zastawał w wirtualności. Ojciec myśli, że tam jest tylko rozpusta i mordobicie. I musiałem jakoś wychodzić... żeby się orientować, co się dzieje w mieszkaniu. Słyszę, jak się drzwi otwierają.

– Cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku. Wilkołak kiwa głową.

– A jak ja się cieszę! Mam timer, ale instalować wszystko od nowa to kupa roboty. Szukałeś mnie, żeby się dowiedzieć, co ze mną?

Bardzo chciałbym potwierdzić, ale to by było kłamstwo.

– Nie tylko. Chciałem się poradzić...

– A teraz się rozmyśliłeś?

Ma rację, rozmyśliłem się. Ale po tych słowach nie mam wyjścia.

– Romek, wydarzyła się dziwna rzecz... – wstaję, nalewam sobie džinu na dwa palce, dodaję toniku. – Natknąłem się w Sieci na człowieka, który nie całkiem jest człowiekiem.

Romek cierpliwie czeka.

– Nawet nie wiem, gdzie jest prawda, a gdzie kłamstwo – mówię. – Może jest przybyszem z Kosmosu, a może gościem z równoległego świata. A może rozumem zrodzonym przez komputer, czy mutantem, wchodzącym w Sieć bezpośrednio, bez kompa. Szukają go przynajmniej dwie wielkie firmy...

Wilkołak kiwa głową. Niepotrzebne mu nazwy Labiryntu i Al Kabaru. I nazwisko Dmitrija Dibienki.

– Dibienko?

– Ten sam. Chcą wyciągnąć od niego coś pożytecznego. A on chce odejść. Na zawsze.

– I zastanawiasz się, czy warto go wydać? – pyta Romek.

– Zatrzymać go nie zdoła nikt. Tego jestem pewien. Ale mimo wszystko... to przecież inny świat. Inna wiedza, inna kultura. Może zdołają go przekonać. Dowiedzieć się czegokolwiek. Ziarno jego wiedzy może stać się dla człowieczeństwa nowym stopniem rozwoju.

– Może – przytakuje ochoczo Romek.

– Przecież on zdołał w jakiś sposób... mnie zmienić. Nie znalazłbym twoich śladów bez tych nowych zdolności. Nie wiem, czy mam prawo milczeć i go kryć.

– Chcesz mojej rady? – pyta Romek z jakimś nieoczekiwanym lękiem. – Poważnie?

– Tak. Właśnie, dlatego, że ty jeszcze jesteś nastolatkiem, a ja starym cynikiem. Powiedz, czy jeden człowiek ma prawo do własnego cudu?

– Nie.

Kiwam głową, nie spodziewałem się innej odpowiedzi. Ale Romek jeszcze nie skończył.

– Nikt nie ma praw do cudu. Cud zawsze jest sam z siebie. Dlatego jest cudem.

– Dziękuję – mówię i wstaję.

– Obraziłeś się? – pyta Romek.

– Nie, przeciwnie. Pójdę do domu. Cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku.

Już w drzwiach zatrzymuję się na chwilę i dodaję:

– Nie pij tak ostentacyjnie. I tak jesteś dorosły, nie musisz tego udowadniać. Powodzenia na sprawdzianie!

– Nie dziękuję! – wrzeszczy za mną Romek. Cud jest sam z siebie...

Idę korytarzem hotelu, uśmiechając się do słów Romka.

Ta niecierpliwość rozumu, to wielkie, niezaspokojone pragnienie.

Zrozumieć, wyjaśnić, pokonać!

Cud powinien być posłuszny i oswojony. Nawet Boga uczyniliśmy człowiekiem. I dopiero wtedy nauczyliśmy się wierzyć. Ściągamy cud do swojego poziomu.

Pewnie to dobrze. W przeciwnym razie nadal siedzielibyśmy w jaskiniach, karmiąc chrustem zapalony błyskawicą czerwony kwiat.

Fajny z ciebie chłopak. Romek. Udało ci się dojść do słusznego wniosku niesłuszną drogą. Jakbyś szedł przez lustrzany labirynt, stukając w szkło – a jednak przeszedłeś go do końca. Jeszcze nie umiem powiedzieć, dlaczego masz rację, ale mimo wszystko ją masz...

Przechodzę obok obojętnego portiera, otwieram drzwi. Ulica Deeptown, ludzie, samochody, światła reklam. Wiem to, co może, zmienić świat. Mogę oddać światu cud.

Ale nie mam prawa – dlatego, że on żyje.

Istnieje sam dla siebie, za nim jest nie nasze życie, istnieją nie nasze radości, nie nasze nieszczęścia. Co dzieli mnie od Nieudacznika – chłód kosmosu, niewyobrażalna przepaść innej przestrzeni? Jaka różnica, skoro on żyje!

Idę ulicą. Nie podnoszę ręki, niech się Deep Przewodnik nie cieszy. To złażona przeze mnie wzdłuż i wszerz dzielnica rosyjska, pójdę pieszo. Muszę zrozumieć Nieudacznika do końca. Zanim on odejdzie na zawsze. Muszę zdążyć coś powiedzieć, coś zrobić.

Dzielnica kościelna – złocone kopuły prawosławnych świątyń, kościoły katolików, skromne synagogi, muzułmańskie minarety. Koronki świątyni turyńców, czarna piramida satanistów i – jak kpina – ognista reklama nad pubem, gniazdem dobroduszej i cierpiącej na lekkie otłuszczenie sekty Wyznawców Piwa.

Mógłbym ci wiele pokazać, Nieudaczniku. Zoo, w którym żyją krowy Stelleria i mamuty. Kluby czytelników, gdzie ludzie spierają się o dobre i mądre książki, wystawy projektantów przestrzennych, gdzie rodzą się nowe światy, konferencję medyczną, na której zbierają się lekarze z całego świata, konsultując chorego pochodzącego z zapomnianej przez Boga prowincji... na konferencję nas tak łatwo nie wpuszczą, ale otworzyłbym drzwi i stanęlibyśmy cicho z boku, patrząc, jak amerykański anestezjolog i rosyjski chirurg planują operację czarnoskórego górnika z Zairu... Zaprowadziłbym cię do opery, gdzie każdy muzyk jest obywatelem świata, i na spektakl, gdzie każdy widz to uczestnik sztuki. W świątyni oddalibyśmy cześć wszystkim bogom, zapominając o tym, że oni są źli. Postalibyśmy na placu zabaw, gdzie dzieciaki jeżdżą na prawdziwych samochodach wyścigowych, i powspółczuli ekologom z Greenpeace'u ratującym jeże na europejskich autostradach. Galeria obrazów Deeptown mogłaby zająć nam cały miesiąc – spróbuj przejść od razu Ermitaż, galerię Prado, Galerię Trietiakowską i Luwr. Ale przynajmniej dołączylibyśmy na to poświęcić... zamiast siedzieć pod purpurowym niebem Labiryntu. W dzielnicy studentów pomógłbyś pierwszorocznemu studentowi z Wołogdy zgłębić tajniki sopromatu, a ja wyjaśniłbym kanadyjskiemu malarzowi, dlaczego nie warto detalizować obrazu jesiennego lasu. To wcale nie jest zły świat, ta Głębia. Nie tylko mordobicie i rozpusta. Czy to ja jestem winien, że twoja droga biegła przez areny gladiatorów i

domy publiczne, z pogonią za plecami i niepewnością z przodu?

A przecież to nie był przypadek. Sam wybrałeś tę drogę. Labirynt, Gwiazdy i Planety. Różne Zabawy, Lorien elfów... wzięłaś w siebie Głębię i pokazałaś – nie sobie, mnie – jaka ona jest. Całą bezsilność i głupotę, całą agresję, która w nas żyje. I nie gorzej ode mnie wiesz, że nie tylko z tego utkany jest wirtualny świat.

Jaka szkoda, że jednak masz rację, Nieudaczniku. Świat sędzi się nie po jego najlepszych cechach. W przeciwnym razie faszyzm byłby renesansem techniki, wspaniałymi samolotami i potężnymi silnikami, a nie kominami obozów koncentracyjnych i mydłem z ludzkiego tłuszczu.

Ty wydałaś swój wyrok i wyjaśniłaś, dlaczego jest właśnie taki.

Czy mamy prawo czuć się urażeni?

Czy mamy prawo bić się w pierś i krzyczeć: „Jesteśmy dobrzy”?

Ale ty nie możesz, nie powinieneś zabierać ze sobą tylko tego! Ludzki brud i piękno pustych gór, technologię, która służy wadom! W przeciwnym razie po co bylibyśmy w Głębi? Co bylibyśmy warci?

Stoję pod drzwiami kościoła katolickiego, pełnego przepychu i przytłaczająco wielkiego. Można wejść i pomodlić się do starożytnego Boga, którego jednak nie ma. Można wrócić do domu i uścisnąć Nieudacznikowi rękę na pożegnanie.

Żadna decyzja nie będzie słuszna.

– Leonid?

Człowieka, który do mnie podszedł, kompletnie nie znam. Niski, z banalną twarzą, w starych dżinsach i starym swetrze. Nudny i zwyczajny; jego miejsce jest nie w wirtualności, lecz przy kuflu żygulowskiego piwa. Ale on zna moje imię – a więc jest wrogiem.

– Pan od kogo? – pytam. – Z Al Kabaru?

Człowieczek nie odwraca spojrzenia.

– Leonid, widziałeś mnie w innej postaci. Bez twarzy.

– Dmitrij?

– Tak. Może jednak przejdziemy na ty?

– Jesteś bydlakiem – zgadzam się.

– Leonid, proszę cię o rozmowę. O pięć minut rozmowy.

Czyżby to była podstawowa postać Dimy Dibienki? Widziałem jego zdjęcie, ale dawne, na nim był jeszcze młody. Więc jest taki niepozorny i zwyczajny... Mały piesek na zawsze pozostaje szczeniakiem. I ten facet wymyślił deep program, to on opuścił świat w Głębię? Zdobył miliony i dostał udziały w Microsoftzie i America Online? Pierwszy zrozumiał, że Nieudacznik jest przybyszem z zewnątrz?

– Pięć minut. – Chodźmy...

Głos nie pasuje do jego wyglądu zewnętrznego. Jeśli nawet kiedyś umiał mówić proszącym tonem, było to w zamierzchłej przeszłości.

Omijamy kościół, Dibienko otwiera kluczem prowadzącą do sadu furtkę. Cicho i spokojnie. Wierzby, topole, równe alejki... kamienie... znajome formy.

– Cholera – mówię tylko.

– Tak, to cmentarz – mamrocze Dibienko. – Ja... lubię tu przychodzić. Uspokaja i nastraja

filozoficznie.

Pewnie nie ma w tym nic nienormalnego. Ale patrzę na nagrobki, na alejki, na dziewczynę siedzącą w dali na trawie, przy malutkim popiersiu, przyciskającą dłonie do twarzy. To nie złamany nieszczęściem człowiek, to narysowana płaczka, elektroniczny ekwiwalent marmurowych aniołków.

Wirtualność to życie. A życie nie może istnieć bez śmierci. Przyjaciele chowają tu tych, którzy już nigdy nie zanurzą się w Głębię, nie włożą wirtualnego hełmu.

„On wierzył w cud” – krótkie, niczym przekleństwo, zdanie na najbliższym nagrobku.

Wybacz, nieznanemu mi człowieku. Wierzyłeś w cuda i skakałeś w różnobarwność wirtualnego świata. Ale pamięć o tobie leży tu, a twoja prawdziwa mogiła porasta burzanem. Twoi przyjaciele przychodzą tu, tracąc pół dolara, a ziemia, która przyjęła twoje prochy, rodzi nowe życie. Może uczciwiej by było, gdyby twoi przyjaciele poświęcili dwie godziny swojego życia, żeby napić się wódki na twoim grobie?

Wolność. Nie mnie sądzić!

– Słucham, Dima.

Dibienko ma czerwone, jakby od niewyspania, oczy i pomiętą twarz. Wciągnął mnie w cud, któremu nie jestem potrzebny, rozprawia się z nurkami jak ze ślepymi kociakami. Ale to on stworzył ten świat i muszę go wysłuchać.

– Nie pytam, jak się wyrwałeś, Lonia – mówi Dibienko. – Rozumiem, że jednak odebrałeś swoją nagrodę...

– Jaką nagrodę? Za co?

– Za zdradę – Dibienko patrzy mi w oczy. – Co, to słowo ci nie pasuje? A przecież to zdrada! Nas wszystkich, wszystkich ludzi, którzy dzisiaj żyją! Mogłeś zostać jego przyjacielem. Wiedziałem, że możesz, i dlatego wynająłem ciebie, właśnie ciebie! Pewnie niepotrzebnie. To, co mogłem zaproponować, to grosze...

– Dima, czy ty rozumiesz, czym stała się wirtualność?

– Wolnością!

– W takim razie, co mi zarzucasz? Nie mamy prawa żądać od Nieudacznika niczego! Niczego!

– Dlaczego nie mamy prawa? – Dibienko opiera się łokciami na pomniku wierzącego w cud i uśmiecha się krzywo. – Niekoniecznie równania i wykresy... nawet nie szczepionki i przepis na sprawiedliwe społeczeństwo. Ale mógłby nam dać choć nadzieję! Nam wszystkim! Jeśli on tu przyszedł, to znaczy, że wszystko będzie dobrze! Jeśli on jest, to nie zachłśniemy się wolnością!

Chyba znowu nic nie rozumiem. Ale Dibienko mówi dalej, a ja milczę.

– Myślisz, że wiedziałem, co robię? Wtedy? Nie! Upiłem się! Na umór, w drobny mak! Przykleiłem się do kompa, spać mi się nie chciało i grać mi się nie chciało, pracą już rzygałem, więc zacząłem zestawiać paletę braw, dopasowywać rytm obrazu... bardzo chciałem dodać muzykę, a komp miałem bez karty dźwiękowej!

Legandy nie kłamały...

– Nie wiem, jak to się stało! – krzyczy Dibienko. – To ona zapragnęła się narodzić, ja jej nie stworzyłem! To Głębia, Głębia przyszła przeze mnie na świat! Zrozumiałem, poczułem, ale nie tworzyłem! Jestem tylko przewodnikiem, piórem, którym wodziła cudza ręka! Z daleka, przez mrok, przez ciszę, dosięgła i zmusiła do zrobienia deep programu!

Przeszył mnie dreszcz – i nawet nie dlatego, że Dibienko wspomniał o ciszy. Ja też znam to

uczucie, przerażenie stwórcy, który nie rozumie, co i jak stworzył.

– Jedni nazywają mnie geniuszem... – człowiek z sińcami pod oczami chwyta mnie za rękę. – Inni tępakiem, który znalazł perłę w kupie nawozu. A to nieprawda! Dzięki mnie Głębia przyszła na świat! A więc komuś to było potrzebne, ale teraz... potem...

Dibienko patrzy na mnie chciwie, w uniesieniu. Szepce:

– Czy on ci cokolwiek powiedział? Czy chociaż napomknął, skąd przybył? Rok, wiek, tysiąclecie?

– Dima – mamrocze. – Skąd ci przyszło do głowy...

– Kiedy uciekłeś – szepce Dima – wpadłeś w sidła, nie mogłeś się wyrwać z mojego kompa. Ale wyrwałeś się. Ściągnąłeś całą informację z dysków i wyrwałeś się! On cię tego nauczył, nurku? On?

Przykro na niego patrzeć. Nie znoszę litości – zabija równie łatwo, jak nienawiść, ale Dibienko zasługuje na współczucie.

Tylko głos, głos nie pasuje. Brzmi, jakby sławny aktor upokarzał się, odgrywając tragiczną scenę...

– Nie wyobrażasz sobie – mówi Dibienko – ile sił w to włożyłem. Czym ryzykowałem... pozycją w radzie dyrektorów Al Kabaru, agentami w Labiryncie... nie zrozumiesz, wy w Rosji do tej pory nie rozumiecie... ale ja cię rozgryzłem! Wyśledziłem kanał! Wiem, kim jesteś! Leonid, znam twój adres w Deeptown! Kompania Polana, mieszkanie numer czterdzieści dziewięć. Mam cię w garści! Prawdziwy adres też mogę poznać! Ale ja ci nie grożę! Ja proszę: bądźmy razem!

Deja vu. Tylko już nie Gilermo, ale Dmitrij Dibienko wyciąga do mnie rękę.

– Oni nie potrafią zrozumieć – szepce. – Przybysze ze światów równoległych, kosmici, komputerowy rozum... tego nie ma... nie ma nic prócz nas! Wczoraj i jutro jesteśmy tylko my!

Już rozumiem...

– Można wierzyć, a można się śmiać! – Dibienko uderza pięścią w nieistniejący nagrobek. – Ale jedyne, co nie ma granic, to czas. Komputerowa sieć żyje i będzie żyć, a pamięć o tym chłopaku przeżyje nas wszystkich! Informacja nie jest ograniczona czasem. Nieudacznik zajrzał w przyszłość ludzkości. Z tej pięknej dali, której nie dożyjemy, z przyszłości Ziemi, wszedł w dzieciństwo wirtualnego świata. No i niechby nawet, bądźmy sobie dzicy i nieokrzesani! Ale czy może nam powiedzieć cokolwiek, dać nam wiarę?

– Dmitrij, ale dlaczego? Dlaczego tak myślisz?

– Dlatego, że wiem! – Dibienko zagląda mi w oczy. – Nie mogłem stworzyć deep programu przypadkiem! To tak jakby strzelać z zawiązanymi oczami i trafić w cel tysiąc razy z rzędu! Nie jestem geniuszem, jestem zwykłym człowiekiem. Po prostu tam, w przyszłości postanowili stworzyć wirtualność. Może to zostało przewidziane. Może po prostu był im potrzebny przyczółek... taras widokowy, żeby zajrzeć do naszego świata. I ja stałem się piórem w czyjejś ręce.

– Przyczółek? – pytam. – To wojna?

– Tak! A na wojnie trzeba walczyć... i brać jeńców.

– Wiesz, ile jest wersji o Nieudaczniku?

– Tak.

– A jeśli on nie jest z przyszłości? Jeśli jest z innego świata?

– Wtedy tym bardziej! Teraz jest w naszym świecie, a tutaj panują nasze prawa! Powinniśmy zrozumieć, kim on jest.

Czego on właściwie chce ode mnie?

Patrzę na Dibienkę – drżące wargi, zmęczone oczy, niechlujny, zapuszczony wygląd. Czego on chce? Żebym zmienił zdanie? Oddał mu Nieudacznika? Tak czy inaczej, nie mam takiej możliwości. Tylko tracimy czas... czas...

On zna moje imię i mój adres. Wie, gdzie jestem w wirtualności.

Zdołał wyśledzić mnie u Romka.

A teraz gra na zwłokę.

Odskakuję, rzucam się do furtki. Dibienko patrzy na mnie, nie próbując mi przeszkodzić. Tylko na twarzy pojawia mu się uśmiech, zadowolony uśmiech aktora, który odegrał swoją rolę i teraz wsłuchuje się w oklaski.

Taksówka przejeżdża obok – jakby moja uniesiona ręka nic już nie znaczyła w Deeptown. Biegnę za samochodem, macham z całej siły... Bez skutku. Wojna.

Jak Dibienko zdołał mnie odciąć od sieci transportowej Deeptown? Może tam też ma udziały?

Ale przecież teraz nie potrzebuję już Deep Przewodnika...

Znajome uczucie. Miasto wokół mnie zamyka się, zamienia w schemat. Lecę nad nim, poprzez odległość, poprzez cudze komputery – do swojego domu.

I uderzam w ścianę.

Widzę dom – zasiedlony przedmiotami wieżowiec – ale nie mogę przeniknąć do wnętrza. Coś się zmieniło w samej przestrzeni.

Staję się realny, nie w samym budynku, ale obok, na chodniku.

Dom płonie.

To nie pożar, prędzej niewiarygodna iluminacja. Ściany mieniają się kolorami i każde ziarenko piasku lśni jak drogocenny kamień. Dom wygląda jak dziwaczny prostokątny brylant w promieniu reflektora.

I ludzie, mnóstwo ludzi. Mundury miejskiej służby bezpieczeństwa, ochroniarze Labiryntu, strażnicy Al Kabaru... pierścień wokół domu, snajperzy z karabinami, automaty za przezroczystymi tarczami, wiszący w powietrzu strzelcy z reaktywnymi silnikami. Pojawiłem się w samym środku. Natychmiast we mnie mierzy setka luf.

Pająki dogadały się i zarzuciły pajęczynę. Wspólnie...

– Leonid! Proszę podnieść ręce i podejść tutaj! – rozlega się głos nad ulicą. Za ścianą ochrony, w tęczy odblaskach iluminacji – grupka ludzi. Urman, Willy, Człowiek Bez Twarzy, komisarz Jordan Rade.

No proszę!

Co za zaszczyt! I gdzież ma się zgłosić biedny nurek? Oficjalni i nieoficjalni władcy Głębi spotkali się pod jego domem!

– Leonid, proszę powoli podejść! – powtarza Rade. Jego głos odbija się echem na końcu ulicy.

Przynajmniej starają się przestrzegać pozorów prawa. Operację przeprowadza policja.

Idę pod wycelowanymi we mnie lufami, pod nadzorem setek komputerów. Każdy mój krok jest oceniany i wyważany, każdy bajt informacji płynie pod niewidoczną obserwacją...

Ochrona rozstępuje się, przepuszcza mnie. Gilermo odwraca wzrok. Urman, a w rzeczywistości jedynie jego sekretarz, uśmiecha się zjadliwie. Dibienko, znowu w swojej mętnej masce, jest niewzruszony.

Ignorując wszystkich, zwracam się do Rade'a:

– Co się dzieje?

– Został pan oskarżony o bezprawne przeniknięcie w cudzą przestrzeń informacyjną i użycie broni, co spowodowało znaczne szkody materialne, a także o zatajenie informacji niezwykle ważnej dla Deeptown – mówi wyraźnie Jordan. – Zostaje pan zatrzymany do wyjaśnienia.

– O co oskarżony jest mój dom? – pytam. Ale Rade'a nie tak łatwo zbić z pantałyku.

– Szukamy dowodów.

Oglądam się na płonący budynek. Szukanie? Raczej konserwacja. Zamrożenie. Nasylenie kanałów informacją. Czy Nieudacznik zdoła odeprzeć atak, czy nawet jego sił nie wystarczy?

– Poddam się – mówię. – Uznaję wszystkie zarzuty. Proszę to przerwać...

Jordan kręci głową. Z lekko współczującym wzrokiem, ale i z niezachwianym zdecydowaniem.

– Niech pan nie próbuje ukryć się w rzeczywistości – ostrzega. – Zwróciliśmy się z prośbą do Interpolu o pański areszt fizyczny.

Zalewa mnie fala strachu, pozbawiając woli, niszcząc siły. Może tam, w realu, za moimi plecami już stoją posępne typy w czarnych maskach?

Prawdziwe więzienie, prawdziwe przesłuchanie – to nie hazard wirtualnych walk. To zgniły materac, bałanda według przepisu niezmiennego od czasów stalinowskich, zakratowane okienko i nie skazono intelektem konwojent.

A może moja ojczysta policja, przy całej swojej gotowości wymiany rosyjskiego obywatela na dziesięć spisanych ze stanu przenośnych radiostacji, jeszcze nie nauczyła się szybko pracować?

Głębio. Głębio... i uciec.

Patrzę w narysowane twarze, na ochroniarzy z bronią. Nie ma granic dla łowców cudu. Ze wszystkich zakątków Ziemi zanurkowali w Głębi, żeby wydrzeć kawałek tajemnicy, bez względu na to, skąd przyniósł ją los.

Ogarnia mnie wściekłość.

– Jordan... damę panu dziesięć sekund... – szepczę. – Wam wszystkim. Dziesięć sekund, żeby się stąd zabrać.

– Opamiętaj się, Leonid... – to Rade.

– Strzelcu, pójdźmy na wzajemny kompromis... – to Willy.

– Twoje siły też mają swoje granice... – Człowiek Bez Twarzy. Mój Boże, przecież oni się mnie boją! Boją! Jednego przeciwko wszystkim, zaszczutego, z prastarym komputerem i pustymi rękami!

Dlaczego?

– Nie wiem, jak ty się trzymasz – zaczyna Dibienko – ale...

– Pięć sekund – mówię.

Ochrona zaczyna strzelać. Albo bez komendy, albo ja jej nie zauważyłem.

Ogień i ból.

Wszystko, co mogło być wymyślone przez lata istnienia Głębi, najlepiej sprawdzone, najbardziej utajnione, wszystko dla mnie...

Stoję w ogniu, a na twarzach wokół strach; nawet na szarej mgle Człowieka Bez Twarzy – też strach...

Dlaczego jeszcze tu jestem, dlaczego tkwię w Głębi, zamiast zdejmować hełm przed szarym monitorem zabitego kompa?

Sięgam do ochroniarzy – nie rękami, samym spojrzeniem – i ciała gniotą się jak szmaciane lalki pod obcasem, rozsypują się w popiół, zastygają, zwijają i rozpływają w powietrzu. Jakby moje spojrzenie odbiło cały ten syf, który sypie się w moją stronę.

Pięć sekund, które dałem wrogom, mija i ulica jest pusta. Tylko płonie mój dom, a obok stoją ci, którzy go podpalili...

– Tylko w Głębi jesteś bogiem – mówi Człowiek Bez Twarzy. Nie grozi, przypomina.

– Czyżby? – Podchodzę bliżej. – Rade, komputery policji podatkowej zaraz uzyskają informację, że podgrandziłeś kilka milionów... Urman! Wszystkie sekrety Al Kabaru są ogólnie dostępne! Willy! Labirynt jest martwy! Poziomy wykasowane, mapy utracone, potwory w panicznej ucieczce! Dima! Twoje odciski palców należą do seryjnego zabójcy!

Daję im kilka sekund, żeby do nich dotarło, i dodaję:

– Za minutę tak się właśnie stanie!

Nie wiem, czy to możliwe. Nie znam swoich sił. Nie wiem nawet, skąd się wzięły. Ale oni wierzą.

– Czego ty chcesz, nurku? – krzyczy Urman.

Rade odpycha go i ryczy:

– Warunki!

Może trochę zgadłem z tymi podatkami?

– Przerwywacie polowanie.

Przed nimi jest cud. Ale za nimi zbyt wiele do stracenia. Urman i Gilermo patrzą po sobie, dyrektor Al. Kabaru kiwa głową.

– Wycofujemy oskarżenie, Jordan – mówi Willy. – Nie warto angażować Interpolu.

Ledwie zauważalnie kiwa na mnie. Więc to tylko groźby?

Kłamstwo. Wszędzie kłamstwo.

Kątem oka dostrzegam, że ulicą podchodzą ludzie. Prości obywatele Deeptown, teraz, gdy tamtych już nie ma, mogą zaspokoić ciekawość.

Niech patrzą.

Jordan bierze Dibienkę za ramię, lekko potrząsa.

– Słyszał pan? Operacja skończona! Koniec! Proszę odłączyć swoje systemy!

Więc budynek zamrażał Dmitrij? Policji nie starczyło sił?

Człowiek Bez Twarzy opędza się od komisarza. Patrzy tylko na mnie. On jeden ma moje groźby gdzieś. Nie dlatego, że w nie nie wierzy, i nie dlatego, że gotów jest włączyć się po amerykańskich sądach przesiąkniętych komputerowymi technologiami.

Ale nie jest gotów zrezygnować z cudu. W końcu jesteśmy ziomkami. Nam obu wyższa idea wywichnęła mózg, niechby nawet w różne strony. Z mglistej maski dobiega szept:

– Zdradzasz cały świat...

– Zrehabilituję go.

– Nie chcesz się dzielić, nurku. Dostałeś swoją nagrodę i zdradziłeś nas. Dobrze. Nie zapomnij wziąć swojego Medalu. Będiesz miał się czym usprawiedliwić.

Przypominam sobie magazyn, pudełka z softem, stół, na którym został Medal Bezkarności.

Sięgam poprzez odległość, której już nie ma i oto ciężki krążek leży w mojej dłoni.

Przyglądam mu się chwilę. Białe tło i tęczowa kula. Pajęczyna sieci otoczona niewinnością i czystością.

– To twoje – mówię i rzucam medal Człowiekowi Bez Twarzy. Kółko dotyka czarnego płaszcza i przykleja się. Ładnie to wygląda... – Nie zapracowałem na niego. A ty... ty stworzyłeś Głębię. I nie mów, że nie mogłeś tego zrobić. Mogłeś. Dziękuję. Ten świat będzie żył, upadał i uczył się wstawać. Nie zmusi do mówienia tego, kto chce milczeć. I nie zamknie ust temu, kto chce mówić. I może stanie

się lepszemu...

Odwracam się i idę do swojego domu. Dibienko jednak nie odłączył programu skuwającego budynek diamentowym lodem. Nie będę go o nic prosił. Szarpnię drzwí i wchodzę na klatkę połyskującą niczym jaskinia cudów Alladyna.

Dopiero wtedy za moimi plecami iluminacja zaczyna gasnąć i znika. Rwę czyjś program, walcząc o każdy metr przestrzeni.

Wchodzę. To tylko dwie i pół setki schodów.

Za każdymi drzwiami słycać szelest i szum. Mój narysowany świat ożywa, gdy przechodzę obok. Słyszę fragmenty muzyki i niezrozumiałe szmer rozmów, brzęk rozbijanego szkła i rytmiczny stukot młotka, kłapanie bosych stóp i pisk drzwí.

Nawet nie pamiętam, kiedy i co programowałem, otaczając się nieistniejącymi sąsiadami. Dziwny ze mnie typ. Jak każdy człowiek...

Wiem, że mogę usunąć całe zamrożenie od razu, jednym wysiłkiem. Ale nie robię tego. Niech moja droga w górę będzie powolna, stopniowa. Zmiatając ze ścian fałszywy blask, obudzę życie w pustych mieszkaniach. Nigdy więcej nie wejdę do tego domu.

Płacz dziecka i wycie niesprawnego kranu, szczekanie psa i brzęk kieliszków. Nie ma czego zapamiętywać ani o co się martwić. To były moje kule, ale teraz nauczyłem się chodzić bez nich.

Ostatni zakręt schodów. Zatrzymuję się na chwilę przed drzwiami złożonymi z diamentowych drobin. W każdym okruchu odbicie mojej twarzy. Jednej z wielu twarzy, które zakładałem w Głębi. Dmucha na drzwi – diamenty gasną, zmieniają się w kawałeczki lodu, spływają kroplami wody. Popłacz za mnie. Głębio. Ja nie mam czego opłakiwać.

Wchodzę – i do razu widzę, że w mieszkaniu nic się nie zmieniło. Tutaj program Dibienki był bezsilny.

Nieudacznik i Vika stoją przy oknie, patrzą na ulicę.

Podchodzę. Vika w milczeniu bierze mnie za rękę i razem patrzymy na Deeptown.

Ulica nabita ludźmi. Gęsty tłum. Nieco dalej zamarły samochody Deep Przewodnika. Wciąż napływają nowe fale ludzi i zamierają, patrząc na dom.

Dopiero pod samym oknem tłum się rozstępuje. Tam krąg pustki otacza Człowieka Bez Twarzy. On też patrzy w górę, jakby mógł nas zobaczyć. Nawet nie chce mi się sprawdzać, czy nas widzi.

– On wcale nie jest zły – mówię Nieudacznikowi. – Tylko niecierpliwy.

– Nikogo nie osądzam – zgadza się Nieudacznik.

– W takim razie odejdz – proszę go. – To najlepsza pora.

Bardzo długo na mnie patrzy – ten, który wszedł do Głębi w postaci Nieudacznika. Jakby chciał dojrzeć moją prawdziwą twarz, zrozumieć, co teraz czuję.

– Jesteś urażony? – pyta w końcu.

– Nie, zdenerwowany, a to zupełnie co innego.

– Bałem się, że się obrazisz. Przecież zniszczyłem twoje marzenie.

– Jakie?

– Marzyłeś, że wirtualność zmieni świat. Uczyni go czystszy, da ludziom dobroć i siłę. Znosiłeś to, co cię oburzało, uśmiechałeś się do tego, co cię drażniło...

Nieudacznik wyciąga rękę, kładzie na moich i Viki splecionych dłoniach.

– Wierzyłeś w moment... jeden jedyny moment, który odkupi wszystkie grzechy i pomyłki. Zabiłem tę wiarę.

Śmieszają mnie jego słowa. Czy on naprawdę tak sądzi? Czy ja naprawdę tak myślałem?

– Nie chodzi o Głębię, Nieudaczniku – mówię. – Nie o tę Głębię.

Kiwa głową.

– Pamiętasz lustrzany labirynt, Leonidzie? Oczywiście, że pamiętam...

– Głębia dała wam milion luster, nurku. Magicznych luster. Można w nich zobaczyć siebie. Można spojrzeć na świat, na każdy jego zakątek. Można narysować swój świat, a on ożyje, odbity w lustro. To cudowny prezent. Ale lustra są zbyt posłuszne, nurku. Posłuszne i kłamliwe. Nałożona maska staje się twarzą. Wady zmieniają się w wytworność, snobizm w elitaryzm, złość w szczerłość. Podróż w świecie luster nie jest zwykłą przechadzką. Łatwo zabłądzić.

– Wiem...

– A ja rozmawiam z tobą tylko dlatego, że ty wiesz. Ja też chciałbym zostać twoim przyjacielem, Leonidzie.

Uśmiecha się smutno i dodaje:

– Ale to byłaby bardzo dziwna przyjaźń.

– Obcy i Rosjanin... – bracia na zawsze? – pyta Vika.

Więc Nieudacznik jej nie przekonał. Wcale. Dla niej on jest człowiekiem, sprytnym hakerem, który wszystkim maści w głowie...

– Nie pytam, kim jesteś – mówię. – Wierzysz, czy nie, ale mnie jest wszystko jedno... Przybysz z gwiazd czy z innego wymiaru, sztuczny intelekt... ale i tak wiesz więcej niż my. Powiedz, co będzie?

– Zależy, w jakie lustro się spojrzy, nurku.

– W takim razie będę wybierał. Nieudaczniku. Bardzo starannie. A teraz odejdz.

Odsuwa dłoń od naszych dłoni. Przez sekundę nic się nie dzieje. Potem ściana za jego plecami zaczyna się wyginać, związać w lej.

Nieudacznik robi krok do tyłu, w lśniący tunel odchodzący w niepoznawalność. Ku błękitnemu słońcu, pod którym wiją się pomarańczowe wstęgi. Do swojego świata.

Jego ciało drży, rozpływa się. Ze skóry sypią się kaskady różnobarwnych iskier. Przez moment mam wrażenie, że to, co widzę, to ten, kto przeszedł do naszego świata.

Ale po prostu chciałbym umieć go nazwać.

– Pamiętaj o nas – mówię w ślad za odpływającymi błyskami światła. – Pamiętaj nas takich, jacy jesteśmy...

Dom zaczyna drżeć. Ściany stają się przezroczyste, potem seledynowe, ceglane, wreszcie papierowe. Sufit odpływa w górę i wygina się w kopułę. Podłoga staje się lustrem, światło w oknie przechodzi przez wszystkie barwy spektrum i wypala na papierowej ścianie nasze sylwetki.

Mieszkanie zmienia się w ogromną salę, jakby ktoś je rozciągnął we wszystkie kierunki.

Tunel zwęża się powoli, ale jeszcze można zdążyć. Skoczyć w ślad za Nieudacznikiem i zobaczyć, skąd on przyszedł. Zerwać z cudu maskę.

– Lonia, co to jest? – krzyczy Vika.

– Informacje – odpowiadam. W mieszkaniu zaczyna hulać wiatr, na parapecie zakwita w doniczce pokojowy granat, sarta CD na półce zaczyna sama z siebie odtwarzać wszystkie piosenki jednocześnie. – Ściąga informacje. Zabiera wszystko, co poznał!

Biegna, przenikając przez nas, przezroczyste cienie. Przelatuje Alex z karabinem na ramieniu, pełźnie, przebierając łapami, potwór-pająk, odchodzi w tunel wymyślona rodzina, którą ratowaliśmy w Labiryncie. Wirując jak śmigło, przemyka gigantyczne drzewo, drepcze hobbit z przestraszoną mordką, ogromnymi susami zbliża się latający ochroniarz Człowieka Bez Twarzy z dyszącym ogniem silnikiem raketowym za plecami.

Potem przechodzimy ja i Vika, trzymając się za ręce.

– Pamiętaj o nas... – powtarzam. – Pamiętaj...

Tunel zaczyna się zwężać, jak obiektyw aparatu fotograficznego. W ostatnim momencie wciskają się w otwór machające skrzydełkami, latające klapki Maga Komputerowego.

I pokój staje się taki jak przedtem.

– Mimo wszystko nie wierzę, że on jest Obcym – mówi Vika niepewnie, ale z uporem. – Jeśli jest dobrym hakerem, to mógł to wszystko...

Milknie, gdy ją obejmuję.

– Nie trzeba, Vika – proszę. – Przecież on odszedł. Na zawsze. Teraz nie trzeba się już spierać. Teraz już można wierzyć.

Na ulicy harmider, na ulicy trwa wymiana poglądów. Czy widzieli choćby fragment tego, co otworzyło się przed nami? Wszystko jedno. Głębia zrodziła nową legendę.

– On odszedł, ale my zostaliśmy – mówi Vika. – A na ciebie polują.

Kiwam głową, ostrożnie otwierając objęcia. Podchodzę do okna, patrzę w dół. Człowiek Bez Twarzy nadal tkwi bez ruchu.

– Nurek Leonid też powinien odejść – zgadzam się.

– Będziesz tęsknił za swoim domem? – pyta Vika. Jak wspaniale, gdy nie trzeba nic tłumaczyć.

– Trochę. Jak za rowerkiem na trzech kółkach. Wracam i znowu ją obejmuję. Jej usta znajdują moje. To jest coś, co już nigdy nie zniknie.

Głębio! – wołam w milczeniu.

Dom znowu drży, gdy w dalekim Mińsku wynajmowany serwer otrzymuje polecenie. Magnetyczny pasek przesuwają się po dysku, ścierając informacje.

Obrót – znika parter z awanturującym się emerytem. Obrót – odchodzi szóstego piętro z cichym grafomanem, obrót – dziesiąte piętro z kolekcjonerem czarnych krążków.

Ożywa mój komputer i blakną ściany mieszkania. Nie patrzę na stół, ale wiem, że narysowana na monitorze Vika uśmiecha się do mnie po raz ostatni. Programom nie jest smutno, gdy się je wykasowuje. Martwią się ludzie, ale ja nie mam innego wyjścia. Jeśli zabłądzisz w labiryncie luster, stłucz je i wyjdź na światło...

Gdy mój dom rozplywa się w powietrzu, tłum zaczyna krzyczeć. Biedny Jordan będzie jeszcze musiał udowodnić, że to nie jego robota.

Płyniemy objęci nad Deeptown i patrzymy sobie w oczy.

– Super... – szepce Vika.

– Sam nie wiem, jak to robię...

– Nie wiesz, jak całujesz? – pyta zdumiona. Nigdy nie zrozumie kobiecej logiki.

Obok supermarketu, na styku dzielnicy ukraińskiej i nadbałtyckiej, znajduję cichy zaułek pomiędzy budkami telefonicznymi a fontanną. Tędy wychodzimy z Głębi. Ale nie od razu.

– Ścierasz swoje ślady? – pyta Vika.

Kiwam bez słowa.

– Masz nadzieję, że cię nie znajdą?

– Spróbują. Może uda im się wytypować miasto... ale wątpię. Lepiej, żeby nie wiedzieli nawet tego.

– A mnie możesz zaufać?

– Sankt Petersburg – mówię. Bardzo chciałbym usłyszeć, że mieszka w tym samym mieście, ale Vika krzywi się:

– Petersburg... kawałek drogi. Lonia, poczekaj tu na mnie, dobrze?

Czekam. Biegnie do supermarketu, a ja jeszcze raz sięgam do mińskiego serwera, sprawdzam, czy nie został jakikolwiek ślad. Potem odwiedzam wszystkie zapasowe adresy, nawet te, z których nigdy nie korzystałem i rozbijam je, bezlitośnie wyskrobując informacje zewsząd. Ze stimerów, z optyki magnetycznej, z dysków optycznych. Jako ostatni czyszczę twardego swojego internetowego prowajdera. Wszystko. Teraz nigdy nie wchodziłem w Głębie.

Vika wraca.

– Wyobrażasz sobie, była kolejka – śmieje się.

– Pilne zakupy?

– Jeden.

Macha mi przed oczami starannie złożonym biletem lotniczym. Widzę tylko, dokąd się wybiera.

– Masz rano czas?

– Przecież boisz się latać.

– Co zrobić, pociągiem za długo... będziesz na lotnisku?

– Jaki lot?

– O dziesiątej rano czekaj przy informacji.

Małe gierki w samodzielność... a ja mógłbym teraz sięgnąć do kasy lotniczej i dowiedzieć się, kto i skąd brał bilet do Petersburga. Ale, oczywiście, nie zrobię tego.

– Jak cię poznam?

Vika wzrusza ramionami:

– Zobaczymy. A jak ja poznam ciebie?

– Będę miał w zębach czerwoną różę – mówię posepnie. Doskonale ją rozumiem. Co innego pokochać kogoś w świecie wirtualnym, a całkiem inna sprawa – zobaczyć się w realu. Strach jest mówić o sobie.

Nie wiem, czy wystarczyłoby mi śmiałości, by pierwszemu zaproponować spotkanie.

– W takim razie o dziesiątej przy informacji – postanawia Vika. – Spróbujemy się nie pomylić?

– Spróbujemy.

– Pójdę, okay? Muszę się spakować...

– U nas jest już chłodno – uprzedzam.

– U nas też.

Vika staje się półprzezroczysta i rozplywa się jak wir iskier. Ładne ma wyjście z Głębi.

I na mnie pora.

Mrugam do przechodnia, który zatrzymał się, patrząc na wyjście Viki. I znikam z wirtualności.

Na ekranikach kompletna ciemność.

Zdejmuję hełm.

Na monitorze migocze złociste tło Windows Home. Viki już nie ma. Dość kochania narysowanych ludzi.

Wchodzić z Internetu będziemy ręcznie...

Otworzyłem okienko terminalu i, nic nie rozumiejąc, wpatrywałem się w migającą linijkę:

No dial tone!

Trzeba płacić rachunki telefoniczne.

Mimo to podniosłem słuchawkę i wsłuchałem się w ciszę. Potem sprawdziłem logi – telefon odłączyli mi trzy godziny temu. Pod sam koniec dnia pracy, typowe dla pracowników ATS.

Wirtualny sekretarzu Friedricha Urmana, miałeś rację. Można wchodzić w Głębię bez żadnych urządzeń technicznych.

Ściągnąłem kombinezon i powlokłem się do tapczanu.

Obudził mnie telewizor. Leżałem zawinięty w kołdrę, w pokoju było zimno, ogrzewania na razie nie włączyli, i słuchałem gadaniny spikerów. Polityka, ekonomia, kursy walut... ciekawe, czy powiedzą w wiadomościach o wczorajszej panice w wirtualności? Może i powiedzą. Gdzieś pomiędzy wiadomością o przyjeździe popularnego śpiewaka a sportem. Pośród innych ciekawostek. Telewizja lubi robić reportaże z Deeptown. Zwykłego człowieka bawią animkowe pejzaże i narysowani ludzie. Dobrze, że się z nas śmieją... żeby się tylko nie bali... nie zazdrościli... nie nienawidzili...

Podniosłem głowę, z przestachem spojrzałem na zegarek. Stał, pewnie od wczoraj. Zawsze zapominam nakręcić. Wymacałem leżący na podłodze pilot, wprowadziłem na ekran zegar.

Siódma. Spokojnie zdążę.

Całe ciało rozbite, w głowie ołów, jak zawsze po serii długich i częstych zanurzeń. Człowiek nie jest przystosowany do wirtualnego świata. Może jeszcze rok, dwa i dla wszystkich bywalców Deeptown nadejdzie czas zapłaty. Jakieś paraliże, ślepoty, zawały. Wtedy imię Dibienki miesza się z błotem; korporacje, które postawiły na wirtualność, zbankrutują; a poważni uczeni oznajmiają, że przewidzieli to dawno temu i bezustannie ostrzegali...

Pożyjemy, zobaczymy. W każdym razie będę miał szansę przeżyć tę katastrofę jako jeden z pierwszych.

A może przeciwnie, nastąpi ten przełom, o którym marzył i na który czekał Dibienko. To, czego ja nauczyłem się wczoraj, stanie się dostępne dla wszystkich. Dwa światy, złane w jedność. Wirtualność i real, zrób krok i wejdź w Głębię. Bez żadnych kombinezonów.

Wstałem i zaścieliłem łóżko. Umyłem podłogę, wytarłem kurze, wygrzebałem z szafy wszystkie ubrania i grzebałem w nich przez pięć minut, próbując wybrać coś porządnego. Trudno dbać o swoją garderobę, gdy przywykłeś rysować całe ubranie, od slipek po smoking.

Dżinsy i sweter. Dobra.

Ubrałem się i jeszcze raz przeszedłem po mieszkaniu, zerkając na komputer, który pracował całą noc. Po ekranie powoli płynął napis: „Lonia, Głębia czeka!”

Niech czeka.

Moje wysiłki zmierzające do doprowadzenia mieszkania do porządku nie dały rezultatu. Czysta podłoga i uprzątnięty chłam tylko podkreśliły zastarzały kawalerski bajzel. Cóż... zaprezentujemy się w pełnej krasie. Jeśli Vika miała kontakt z hakerami, to się nie przestraszy.

Wyłączam komputer. Już w drzwiach przypominam sobie, że nawet nie próbowałem sprzątnąć w kuchni... nie, wystarczy, ten wyczyn już nie dla mnie.

Pospiesznie zamykam drzwi, wzywam windę. Plastikowy przycisk przypalony papierosem, ledwie mżące światełko pod palcem. W windzie ciepło.

Ale nie tak ładnie jak w Głębi.

Winda powoli powiozła mnie na dół, przez dziesięć pięter, obok sąsiadów z betonowego pudełka, których nie znałem i nie miałem zamiaru poznać. Można wymyślać cudze losy, można martwić się o nieistniejących ludzi i kpić z nich... ale tak trudno poznać tych żywych i prawdziwych. Zrobić choćby krok w ich stronę.

Może Vika nie przyleci? Rozmyśli się, w ostatniej chwili poczuje to samo co ja – że nie można

mieszać dwóch światów?

Wyobraziłem sobie, jak stoję na lotnisku. Śmieszna postać, uciekinier z wirtualnego świata, który wyłonił się w świecie żywych. Błada twarz, odzież niewymagająca żelazka, czerwone jak u narkomana oczy. I pojawia się Vika, piękna i zgrabna, modnie ubrana... albo inaczej. Idzie przygarbiona okularnica, w workowatej sukience, w płaszczyku sprzed dziesięciu lat...

Bóg wie, co byłoby gorsze...

Zajęczałem cichutko, zawczasu przeżywając naszą wspólną hańbę i wzajemne rozczarowanie. Drzwi windy akurat się rozsunęły i malutka dziewczynka z dużym terierem na smyczy wystraszona cofnęła się o krok.

No proszę, nawet dzieci się mnie boją...

Przecisnąłem się obok radosnego psa i powlokłem na dół.

– Dzień dobry – mówi za mną dziewczynka. Odzwyczailem się od powitań.

– Dzień dobry – mówię, a na twarzy pojawia się spóźniony uśmiech. Wyskakuję z klatki.

Jestem pewien, że Nieudacznik nie zapomniałby się przywitać. Jeszcze by poklepał psa po karku, a pies klapnąłby z radości na podłogę.

Miałem pieniądze, mogłem nawet dumnie zajechać pod lotnisko taksówką. Ale nie chciałem się spieszyć. Bałem się tego oczekiwania...

Zjadłem śniadanie w jakiejś budce z hamburgerami – podgrzane, ale wyraźnie nieświeże. Miałem ochotę na piwo, ale pod pobłażliwym spojrzeniem sprzedawcy zdecydowałem się tylko na lemoniadę.

Autobus, który jechał na lotnisko, był prawie pusty. Jakieś senne towarzystwo z ogromnymi torbami, dziewczyny ubrane bardzo jaskrawo, na kolejne żądanie mody. Stałem z tyłu, patrząc na odpływającą wstęgę drogi.

Może nie jechać...

Za piętnaście dziesiąta autobus zatrzymał się przy lotnisku. Wypełzłem z niego z optymizmem skazańca, powstałem pod siąpiącym deszczem, zanim wszedłem do budynku.

Może nie latają w taką pogodę...

Na lotnisku było ciepło i głośno. Wokół rodziców biegały podekscytowane czekającym je lotem dzieci, ponuro dźwigali swoje torby handlarze, kolejka lekko ubranych obywateli szła do rejestracji na jakiś południowy lot. Przystudiowałem numery rejsów na tablicy – spóźnionych czy odwołanych nie było.

Może Vika nie poleciała...

W ciągu pół godziny wylądowały cztery samoloty. Vika mogła przylecieć z Taszkientu, z Rygi, Chabrowska i z Moskwy. A jeśli wyznaczyła czas spotkania z zapasem, to do dyspozycji była cała Rosja i niemal cały świat.

Powlokłem się do informacji. Tam stało kilka osób, ale ani jedna kobieta nie wyglądała mi na Vikę. To poczułem od razu.

Każda twarz jest jedyna w swoim rodzaju. Tyle nieładnych, zmęczonych i zmartwionych. Tego w Głębi nie ma, a może szkoda...

Oparłem się o ścianę i czekałem. Pół godziny – moja stała taryfa ulgowa dla kobiecej nieobowiązkowości... dla Viki zrobię wyjątek, będę czekał godzinę. Albo dwie. Przyrosnę do tej

ściany, aż mnie milicja odklei.

Przydałby się teraz notebook z modemem. Włączyć deep program, zanurkować, przeczesać wszystkie pliki kompanii lotniczych...

Zamknąłem oczy. Głębia leżała przede mną.

Czarny aksamit, bezdenna przepaść, poprzecinana różnobarwnymi liniami. Malutka kula Ziemi, wycelowany nowy pocisk. Głębia czekała. Widziałem iskry samolotów, startujących i lądujących, wiry opracowywanej komputerami informacji, widziałem odległe budynki Deeptown. Sięgnąć i znaleźć się tam. Nie potrzebuję już komputerów.

Gdzieś obok, na lotnisku, ktoś korzystał z komputera nie do końca zgodnie z jego przeznaczeniem. Wchodził w Głębię. Na chwilę stanąłem za jego plecami, popatrzyłem jego oczami.

To mój świat.

Szczodry i bezkresny, głośny i nieporządkny, ludzki. Stanie się lepszy, zmieni się razem z nami, tylko trzeba w to wierzyć. Nie błąkać się po labiryntach, gdy wejście jest tuż obok. Nie zakochiwać się w odbiciach, gdy obok są żywi ludzie.

I może następny gość w Głębi nie będzie jedynym Nieudacznikiem nieumiejącym strzelać do ludzi.

Wyszedłem z Sieci. Na elektronicznym zegarze zmieniły się cyfry – dokładnie dziesiąta.

– A gdzie czerwona róża?

To było najstraszniejsze – odwrócić się i spojrzeć na Vikę. Trudniejsze niż wszelkie moje wyczyny w wirtualności...

...Była dokładnie tą dziewczyną, którą rysowałem. Tą, która uśmiechała się do mnie co rano z monitora. Tą, która żyła w moich snach.

Tylko włosy ma nieco jaśniejsze. I krótsze. I oczy się nie śmieją... są przestraszone... tak jak moje. Ale to moja Vika. Wystraszona śmiertelnie dziewczyna w dzinsach i lekkiej kurtce, z torbą na ramieniu.

Zanurzając się w Głębię, oboje żyliśmy w swoich prawdziwych ciałach. Najlepsza na świecie maska – własna twarz.

– Ta róża nadal rośnie... – mówię. Vika lekko się rozluźnia.

– Bałam się, że obiecasz mi ją narysować...

– Nie – szepczę. – Wystarczy już narysowanych kwiatów... Biorę ją za rękę i stoimy tak przez sekundę, patrząc sobie w oczy. Zanim pójdziemy do domu.

^[1] Matrioszka – ludowa zabawka rosyjska, tzw. baba w babie (przyp. red.).

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Część pierwsza Nurek. 3](#)

[00. 4](#)

[01. 5](#)

[10. 27](#)

[100. 42](#)

[101. 54](#)

[111. 63](#)

[1000. 67](#)

[1001. 69](#)

[Część druga Labirynt 79](#)

[00. 80](#)

[01. 82](#)

[10. 86](#)

[11. 90](#)

[100. 94](#)

[101. 96](#)

[110. 99](#)

[111. 104](#)

[1000. 117](#)

[1001. 122](#)

[1010. 144](#)

[Część trzecia Człowiek Bez Twarzy. 153](#)

[00. 154](#)

[01. 158](#)

[10. 168](#)

[11. 174](#)

[100. 179](#)

[101. 188](#)

[110. 195](#)

[111. 209](#)

[Część czwarta Głębia. 220](#)

[00. 221](#)

[01. 223](#)

[10. 230](#)

[11. 237](#)

[100. 242](#)

[110. 261](#)

[111. 269](#)

[Część piąta Nieudacznik. 276](#)

[00. 277](#)

[01. 282](#)

[10.287](#)

[11.293](#)

[100.303](#)

[101.313](#)

[110.318](#)

[111.323](#)

[\[1\]](#)